



MEŃCZYŻNA  
Z  
PRZESZŁOŚCI

T.L. SWAN



T.L. SWAN

# MEŃCZYŻNA Z PRZESZŁOŚCI

TŁUMACZENIE  
MATEUSZ GRZYWA

OŚWIĘCIM 2023

Tytuł oryginału  
*Marx Girl*  
Copyright © 2019 by T.L. Swan  
All rights reserved  
Copyright © for Polish edition  
Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne  
Oświęcim 2023  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:  
Magdalena Magiera  
Korekta:  
Agata Bogusławska  
Karolina Piekarska  
Redakcja techniczna:  
Paulina Romanek  
Projekt okładki:  
Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8320-568-7

# SPIS TREŚCI

Dedykacja

Wdzięczność

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Epilog

Posłowie

Podziękowania

Przypisy

# Dedykacja

*Dedykuję tę książkę alfabetowi,  
bo tych kilkadziesiąt liter odmieniło moje życie.  
Odnalazłam w nich siebie i teraz mogę żyć marzeniem.  
Gdy następnym razem będziecie wymieniali litery alfabetu,  
pamiętajcie o ich mocy. Ja pamiętam każdego dnia.*

# Wdzięczność

*Cecha pozwalająca okazywać uznanie i odwzajemniać się za otrzymane dobro*

# Prolog

*Kamala*

## Bridget

– Nie patrz na mnie, jakbyś mnie pragnął... jeśli nie pragniesz – mruczę w ciszę.

On opiera się wygodnie i poprawia dżinsy. Patrzy na mnie tymi swoimi ciemnymi oczami, ale nie odpowiada.

Leżę w białym bikini na dmuchanym materacu i dryfuję w basenie. Wokół mnie chlupocze woda. Słońce właśnie zaszło, wszyscy zniknęli, by przygotować się do kolacji.

Zostaliśmy sami.

Tkwi na leżaku przy basenie i nie odrywa ode mnie spojrzenia. Nie ma prawa na mnie patrzeć, obserwować mnie tak zachłannym wzrokiem.

Ale patrzy.

A mnie się to podoba.

Ben jest gorylem rodziny mojej siostry i szefem ich ochrony. Łączą nas napięte relacje, delikatnie rzecz ujmując. Nie powinniśmy czuć do siebie pociągu, lecz zakazany owoc jeszcze nigdy nie był tak pyszny.

Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, piaskowe włosy, oczy barwy ciemnego miodu, wielka muskularna sylwetka. Jest byłym wojskowym.

Ben Statham to facet pełną gębą.

Przez te przeciągłe spojrzenia coś głęboko w moim kroczu się zaciska, a gdy późną nocą Ben zakrada się do mojej sypialni, rozpala się we mnie niepohamowany ogień...



Nasza historia zaczęła się sześć miesięcy temu, gdy moja siostra, Natasza, związała się ze swoim ówczesnym facetem, Joshua Stantonem.

Ja zawsze towarzyszyłam Taszy, Ben towarzyszył jemu. Poznaliśmy się więc przypadkiem i byliśmy tylko znajomymi, nic ponadto.

On pełnił rolę siłacza, który podąża za nami w tłumie, mając wszystkich na oku. Ja... ciągle wodziłam za nim wzrokiem. I podczas gdy reszta świata skupiała się na kwitnącym związku mojej ukochanej siostry i Joshui, ja skupiałam się na tłumieniu zauroczenia, ale z każdym dniem coraz bardziej ciągnęło mnie do Bena.

Przelotne żarty przeradzały się w rozmowy, te zrodziły długie spojrzenia, one zaś wywoływały gęsią skórę, aż w końcu pewnego dnia stało się w kuchennej spizarni.

Ben mnie pocałował.

To był najdoskonalszy pocałunek w moim życiu. Słodki, seksowny, otworzył przede mną cały świat nieznanej mi wcześniej namiętności.

Przez trzy tygodnie podkradaliśmy sobie buziaki, gdy tylko mieliśmy okazję, aż raz, w napływie odbierającej trzeźwość myślenia pasji, poprosiłam, by do mnie przyszedł, gdy już wszyscy zasną. Zrobił to.

Kochaliśmy się. Jak w książkach o miłości.

Doskonałość, którą razem stworzyliśmy, przetrwała sześć tygodni. Wtedy na rodzinę spadła tragedia. Ben był szefem ochrony, więc się obwiniał, a to odciągnęło go ode mnie.

Nie wspierał mnie, gdy najbardziej tego potrzebowałam. Od tamtej pory prawie nie rozmawialiśmy.

Teraz jesteśmy na rodzinnych wakacjach w Kamali w Tajlandii.

Ja nadal czuję do niego to samo. On nadal jest szefem ochrony.

Ja nadal jestem szwagierką jego szefa, lecz on zostawił mnie, gdy najbardziej go potrzebowałam, i szybko o tym nie zapomnę.

Nasze spojrzenia się spotykają.

– Skąd pomysł, że cię nie pragnę? – szepcze z mocnym południowoafrykańskim akcentem.

Ściągam brwi, niepewna, jak odpowiedzieć.

– A pragniesz? – pytam w końcu.

Sączy piwo, zastanawia się, jak zareagować.

Muskam palcami wodę pode mną, próbując właściwie wyrazić myśli. Nie wiem, co się między nami dzieje, ale wiem, że jeżeli dalej będę się tak czuła, to długo nie wytrzymam. Nie wytrzymam, jeżeli nie udzieli mi odpowiedzi. Wiem, że jest silnym facetem, który nie obnosi się z uczuciami, ale co się z nami stało? Byliśmy namiętnymi kochankami, a nagle ledwie ze sobą rozmawiamy. Jak to możliwe? Nie pokłóciliśmy się, nie rozmawialiśmy o tym. Po prostu nagle zapadła cisza.

Zbывa moje pytanie milczeniem. Zaciska zęby i patrzy mi w oczy, a ja szukam w jego twarzy odpowiedzi.

Co się z nim, kurwa, dzieje? Mam go błagać?

*Odpowiadaj, do cholery.*

Schodzę z materaca i docieram do schodków. To ja zakończę tę rozmowę, nie on. Kogo ja oszukuję? Tylko ja w niej uczestniczę.

Wyłaniam się z basenu wolnym krokiem, a głodny wzrok Bena łąduje na moim ciele. Schylam się po ręcznik, którym owijam się w talii, po czym posyłam mężczyźnie ostatnie spojrzenie i wchodzę do domu.

Wkurza mnie, że nie chce odnieść się do naszych problemów. Wiem, że jest silny. Wiem, że nie lubi gadać. A jednak noce spędzone w jego ramionach były wypełnione czułością i miłością.

Gdzie się podział tamten mężczyzna?

Chcę go odzyskać.

\*\*\*

Leżę w ciemnościach, jest pierwsza w nocy. W pokoju unoszą się odgłosy oceanu, owiewa mnie delikatna bryza. Jak zwykle zadręczam się myślami o Benie Stathamie i jego pięknym ciele.

*Co teraz robi? Śpi?*

Ostatnim razem wyznałam, że go kocham. Nie chciałam tego robić, ale nie zdołałam się powstrzymać. Byłam rozmiękczone i rozemocjonowana po uderzającym do głowy orgazmie i po prostu mi się wysnęło.

*Czy to dlatego uciekł?*

Wypuszczam powietrze z płuc, gapię się w sufit i tysięczny raz przeżywam w myślach naszą ostatnią wspólną noc. Gdybym wiedziała, że będzie ostatnią, zrobiłabym więcej, powiedziałabym więcej. Oddałabym wszystko, żeby został.

Drzwi się otwierają, więc przewracam się na bok, a serce zamiera mi w piersi.

– Ben – szepczę.

Wchodzi do środka, zamyka za sobą drzwi. Jego zwieszona przy ciele dłoń są zaciśnięte w pięści. Wydaje się nerwowy.

Mrużę oczy w rozcieńczonym świetle i patrzę na niego.

– Chciałem cię zobaczyć – szepcze.

Leżę nieruchomo. Niech on mówi tym razem.

– Patrzę na ciebie, jakbym cię pragnął... – zawiesza na chwilę głos, po czym zaciska pięści jeszcze mocniej i szepcze: – ...bo cię pragnę.

Marszczę czoło.

– Bridget, ty nawet nie masz pojęcia, jak bardzo cię pragnę i jak trudno jest trzymać mi się na dystans.

– Więc dlaczego? Dlaczego nam to robisz? – szepczę.

Przysiada na krawędzi łóżka, ujmuje moją twarz w dłonie i patrzy mi w oczy w zalewającym pokój księżycowym świetle, gładząc mnie kciukiem po dolnej wardze. Waha się, ściąga brwi, jakby cierpiał.

– Nie jestem tym, za kogo mnie masz.

Podnoszę się, podpieram na łokciu i patrzę na niego, zdziwiona.

– Jesteś żonaty? – pytam zduszonym głosem.

*O, nie.*

Serce zaczyna walić mi w piersi. Na pewno ma drugie życie w domu, w Afryce. Przecież nie mam pojęcia, co i kogo tam pozostawił.

Kręci głową, na jego ustach pojawia się blady uśmiech.

– Nie, nie jestem żonaty – mówi, ale chmurzy się jeszcze bardziej i nachyla się do pocałunku. – Ale nie mogę oddać ci serca.

Moje oczy zachodzą łzami.

Ponownie kręci głową.

– Proszę... – urywa na chwilę. – Wiedz, że cię Kocham, Bridget.

– Ben – mówię cicho. – Co się dzieje? Porozmawiaj ze mną.

Pochyla się i delikatnie omiata moje usta językiem, a moja twarz marszczy się w smutku, gdy próbuję powstrzymać łzy.

Znowu nachodzi mnie potrzeba wyznania mu miłości. Jestem przy nim taka słaba.

Siadam i obejmuję jego szerokie barki. Całujemy się powoli, aż czuję narastające podniecenie.

– Przyszedłem się pożegnać – szepcze tuż przy moich ustach.

– Co takiego? – patrzę mu w oczy, szukając odpowiedzi. – Ale mówiłeś, że...

– Bridget – wchodzi mi w słowo. – Nie mogę spełnić twoich oczekiwań.

– Owszem, możesz. Możesz, Ben. Już je spełniasz – szepczę wściekle.

Cholera, nie znoszę tych podchodów. Nawet nie mogę podnieść głosu.

Przebiega kciukiem wzdłuż mojej kości policzkowej, przygląda się uważnie mojej twarzy.

– Didge, mam przeszłość, która nie może cię dopaść. Nie mogę wprowadzić jej w twoje życie.

Tym razem to ja kręcę głową.

– O czym ty mówisz? Wszyscy mamy jakąś przeszłość. Ben, razem coś wymyślimy.

– Żegnaj, Bridget – szepcze smutno i próbuje wstać, ale łapię go za nadgarstek.

– Nie, nie odchodź – błagam, tracąc nad sobą kontrolę. – Nie opuszczaj mnie. Kocham cię.

Pochyla się i całuje mnie delikatnie.

– Zapamiętaj mnie z miłością, aniele.

Patrzę na niego przez łzy.

– Ja też cię kocham – szepcze.

Ogarnia mnie panika.

– Nie odchodź – błagam.

Patrzy na mnie w ciemnościach.

Potrząsam głową, nie zniosę tego. Potrzebuję więcej czasu. Potrzebuję więcej czasu, żeby nakłonić go do pozostania ze mną.

– Ostatni raz – szepczę. – Pożegnaj mnie, jak należy.  
– Bridget... – wzdycha.  
– Ben, jesteśmy tu sami. – Przyciągam go do siebie i całuję w usta.  
– Jeżeli chcesz mnie pożegnać, zrób to, gdy naprawdę będziesz musiał. Dzisiaj cię nie wypuszczę, nie zniosłabym tego – mówię głosem trzęsącym się z bólu.

– Ćśś, maleńka – uspokaja mnie, odgarniając włosy z mojego czoła, i uważnie mi się przygląda. – Będzie dobrze.

– Jak ma być dobrze, jeśli chcesz mnie zostawić? – szepczę przez łyzy.

Bierze mnie w ramiona i mocno do siebie przywieramy. Tak mocno! Mam wrażenie, że rozpadnę się na kawałki, jeśli mnie puści. Może naprawdę tak się stanie.

– Potrzebuję cię... – mruczę, gdy mnie całuje.

Jego język tańczy z moim, jego dłonie błędzą po moich biodrach, ściskają je.

– Bridget – mruczy w odpowiedzi i wiem, że toczy wewnętrzną walkę.

Pragnie mnie, ale uważa, że nie powinien mi tego robić.

Ale przecież uprawianie miłości z Benem zawsze jest właściwe, z konsekwencjami zmierzę się jutro. Siadam powoli, zsuwam przez ramię koszulę nocną z białego jedwabiu i rzuca ją na podłogę.

Ben spogląda zachłannie na moje piersi, gdy kładę się na plecach i rozkładam nogi w cichym zaproszeniu. Spuszcza wzrok na moje różowe majtki. Jego oczy ciemnieją, a język wystrzeliwuje z ust, by oblizać wargi.

*Och... Z całą pewnością mnie pragnie.*

Łapię własne piersi i ściskam je mocno.

– Ben, nie byłeś we mnie od sześciu tygodni. – Wyprężam się na łóżku. – Nie wytrzymam już bez ciebie ani chwili.

Zaciska szczękę, w jego oczach błyszczy podniecenie. Wstaje i szybkim ruchem zrywa T-shirt przez głowę.

Wodzę wzrokiem po jego umięśnionej, szerokiej piersi pokrytej rzadkimi, ciemnymi włoskami. Ma wielkie bicepsy, widzę każdy mięsień jego brzucha. Zniewala mnie wyraźne V niknące pod jego dżinsami. Przesuwam spojrzenie na jego idealną twarz i moje serce

wpada w szal. Ma najpiękniejsze ciało na świecie... ale ja kocham jego duszę.

Jest dominującym samcem alfa, który pokazał mi, jak to jest naprawdę kochać. Jakie to uczucie być uwielbianą i kochaną przez kogoś tak dogłębnie, że nic innego się nie liczy.

Wie lepiej ode mnie, czego potrzebuje moje ciało, więc zsuwa dżinsy, a mnie aż skręca z niecierpliwości. Spierzchnęły mi wargi.

*Ja pierdolę. On jest bogiem.*

Jego gruby, twardy kutas wisi między nogami, łapie go w dłoń i pompuje trzy razy, patrząc mi prosto w oczy.

– Chcesz tego, Bridget? – pyta, robiąc sobie dobrze.

Kiwam głową, wpatrując się w pierwsze krople na jego czubku. Zasycha mi w ustach.

*Tak, kurwa.*

– To chodź tu i mi possij. Zadbaj, żebym nigdy cię nie zapomniał.

Nasze oczy się spotykają i Ben obdarza mnie najlepszym spojrzeniem w stylu: „Chodź tu i mnie zerżnij”, jakie widziałam.

Nagle wpadam w desperację. Desperacko chcę go zaspokoić.

Dopadam do niego na kolanach i biorę go głęboko w usta.

Ben zachłystuje się powietrzem.

– Grzeczna dziewczynka... – wzdycha, a jego dłoń opada na moją potylicę.

Moje wnętrzności zaczynają się topić. Jęczę, choć wypełnia mi usta. Wpycha się głębiej... Tak głęboko... Pewnie zamyka oczy w rozkoszy. Muszę się skupić, żeby opanować odruch wymiotny.

*Ja pierdolę.* Doprowadzanie go do ekstazy to moje ulubione zajęcie.

Syczy i zaczyna wchodzić w miarowy rytm, trzymając mnie mocno za włosy.

– Kurwa, kurwa, kurwa... – mamrocze pod nosem.

– Podoba ci się, maleńki? – pytam szeptem, na moment wyciągając jego fiuta z ust.

W jego oczach widać iskry podniecenia.

– Kurwa... Ja to kocham... – dyszy.

Na jego skórze pojawia się mgiełka potu, co nakręca mnie jeszcze bardziej. Przestaje nad sobą panować i rzuca mnie na łóżko.

Odbijam się od materaca, ale po chwili on już na mnie jest, zsuwa moje majtki i rzuca je daleko za siebie. Zjeżdża ustami w dół moich piersi, ssie je, najpierw jedną, potem drugą. Ssie tak mocno, że aż zaciskam zęby i wyginam plecy z bólu.

Zawsze tak robi.

Tak bardzo mnie rozgrzewa, że sama błagam, żeby był ostry. Jakbym zamieniała się pod nim w rozszalałe zwierzę, które trzeba poskromić. Okiełznać.

Jego usta zjeżdżają niżej i niżej...

Wstrzymuję oddech i zamykam oczy.

*Dobry Boże, jaki on jest w tym wspaniały.*

*Jest królem.*

Omiata językiem moje ciało, łapiąc mnie za biodra i unieruchamiając mój tyłek przy materacu.

– Rozchyl się – warczy, świdrując mnie ciemniejszymi oczami. Całuje mnie czule po wnętrzu uda.

To zbyt wiele, zbyt mocno, zbyt intymnie. Odwracam wzrok.

– Patrz na mnie, Bridget – rozkazuje.

Zmuszam się, by ponownie spojrzeć mu w oczy.

– Patrz, jak mój język zlizuje twoją śmietankę i zmusza tę twoją śliczną cipkę do tańca... – Oblizuje wargi i znowu ssie.

Widok niezmaconej rozkoszy na jego twarzy wywołuje u mnie rumieniec. Targają mną konwulsje.

*Ja pierdolę. Jakim cudem jest taki seksowny?*

Gdy przygryza moją łechtaczkę, odrzucam głowę w tył i gwałtownie szczytuję.

*Kurwa mać, wytrzymałam całe dwie minuty.*

Wylizuje mnie z uśmiechem na ustach, po czym zarzuca na swoje ramiona jedną moją nogę, a po niej drugą i wbija się we mnie jednym potężnym pchnięciem.

– Ben! – krzyczę.

– Wszystko pod kontrolą, maleńka – mamrocze przy moich ustach i kładzie mnie na materacu.

A potem mnie całuje, miękko i delikatnie, i czule, i...

*O Boże.*

To nie ma prawa się skończyć. To, co razem mamy, jest zbyt dobre i nie może się skończyć.

Jego twarz, którą trzyma tuż przy mojej, wykrzywia ból, jakby wyczuł moje myśli. Jego ciało zaczyna mnie ujeżdżać. Długo, nieśpiesznie, dogłębnie. Cały czas patrzymy sobie w oczy.

Do cholery, to najlepszy seks w moim życiu.

Kogo ja oszukuję? Każdy seks z Benem jest najlepszy w życiu. Jest piekielnie dobrym kochankiem.

Spijamy się nawzajem, pokryci potem.

– A teraz... – sapie, wyczuwając mój nadciągający ekspresowo orgazm. – Masz dojść, natychmiast. – Podkręca tempo, a ja zaciskam się wokół niego.

Jęczy gardłowo, zanurza twarz w mojej szyi, a ja śmieję się w sufit.

*Tego długo nie zapomniesz, wielkoludzie.*

Jego ruchy robią się ostrzejsze i głębsze, szybsze i szybsze.

Zaciskam się wokół niego, a potem... spadam.

– Ach... – wzdycham.

Zaciskam oczy, by powstrzymać łzy, kiedy Ben jęczy, dochodząc głęboko we mnie.

Całujemy się, długo. Pocałunek jest miękki i czuły.

Ciało Bena wciąż należy do mnie, nieśpiesznie wypompowuje się we mnie do ostatniej kropli.

– Kocham cię, Ben – szepczę.

– Ja ciebie też – wzdycha, przytulając twarz do mojego policzka. Zamiera na chwilę. – Dlatego muszę cię opuścić. – Zrywa się ze mnie gwałtownie.

*Co takiego? Siadam prosto. Nie.*

– O czym ty mówisz? – szepczę. – Na pewno coś wymyślimy.

Patrzy mi głęboko w oczy.

– Bridget, to nasze pożegnanie. Nie utrudniaj go jeszcze bardziej.

– Ben... – mówię cicho. Moje ciało nadal pulsuje po wycisku, jaki przed chwilą dostało.

Ubiera się, a ja obserwuję go w milczeniu.

*Nie odchodź. Proszę, nie odchodź.*

Po ostatnim, długim pocałunku prostuje się i bez słowa wychodzi z mojego pokoju.



Gapię się w drzwi, które się za nim zamknęły.

*Nie. Panie Boże, proszę cię. To nie może być prawda.*

Przepełnia mnie rozpacz. Zwijam się w kłębek, bo serce fizycznie boli mnie w piersi. Zaczynam łkać.

# Rozdział 1

*Pięć lat później*

## Bridget

Uśmiecham się do ukochanej siostry i ściskam ją za rękę. Siedzimy na tylnej kanapie samochodu.

– Boże, tak dobrze cię widzieć – szepczę.

Tasza uśmiecha się smutno.

– Żebyś wiedziała.

– Jak długo nie byliśmy w Stanach? – zastanawia się na głos Abbie.

– Pięć miesięcy – wzdycha głęboko Natasza. – Ale pamiętajcie, macie przyjechać na Święto Dziękczynienia.

– Spróbuj nas powstrzymać... – mamrocze Abbie, poprawiając szminkę. Wydyma usta, obserwując efekt w lusterku kompaktowym.

Jesteśmy w samochodzie Nataszy, jedziemy właśnie do cocktail baru na spotkanie z chłopakami. Natasza, moja siostra, od pięciu lat mieszka z mężem, Joshua, i dziećmi w Stanach Zjednoczonych, a teraz przyleciała do domu, do Sydney, na rodzinne wesele. Tak się cieszyłam na jej powrót, że od tygodnia nie mogłam spać.

Towarzyszy nam Abbie, nasza najlepsza przyjaciółka, oraz dwóch ochroniarzy Nataszy, którzy jadą z przodu. Max prowadzi, Anton zajmuje fotel pasażera.

Joshua programuje aplikacje mobilne i osiągnął wielki sukces. Po wszystkim, co przeszli, Tasza wraz z dziećmi żyją pod ścisłą ochroną.

Teraz trzyma ręce wysoko, w przesadnie teatralnym geście.

– No to opowiadajcie, wszystko. Co mnie ominęło?

Wzruszam ramionami.

– Cóż... – zerkam na Abbie. – Sama nie wiem...

– Didge, nie mogę się doczekać, kiedy poznam twojego nowego chłopaka.

Uśmiecham się. Wszyscy mówią mi Didge. To skrót od Bridget.

– Też nie mogę się tego doczekać. Jutro przyjeżdża na ślub. – Uśmiecham się z dumą.

– Świetnie – promienieje Tasha.

– Eric jest... – Abbie zawiesza głos i mruży oczy, szukając jak najcelniejszego porównania. – Tasz, znienawidzisz go – prycha.

Otwieram buzię z oburzeniem, ale nie potrafię opanować szerokiego uśmiechu.

– Wcale że nie!

*Zakichana Abbie i jej nadmiernie szczere opinie.*

– Wcale że tak – rzuca krótko. – Poczekaj tylko, Natasza, aż go zobaczysz. Patrzy w lustro częściej niż na Bridget. Ma się za Starsky’ego i Hucha albo innego oszołoma.

Natasza zerka na mnie pytająco.

– Nie jest taki zły – przekonuję przez śmiech. – No i tak... jest gliniarzem... i jest piekielnie seksowny. Kobiety często go komplementują. Zachowaj swoje opinie dla siebie, Abs. I nie zapomnij, proszę, że sama umawiasz się z gorylem na sterydach. Nie za bardzo masz prawo osądzać innych.

Natasza i Abbie wybuchają śmiechem, a ja podnoszę wzrok i widzę w tylnym lusterku, że Max uśmiecha się kącikami ust.

– Cóż, ten goryl to prawdziwe zwierzę. Mam słabość do goryli.

Uśmiechamy się półgębkiem z Nataszą, bo Abbie sama o sobie mówi, że jest szmatą – pełnokrwistą szmaciurą z własnego wyboru. Uwielbia facetów, seks i z radością korzysta ze wszystkich zalet faktu, że jest niebywale atrakcyjną kobietą. Ma długie złote włosy, a do tego zabójcze ciało, z którym obnosi się bez cienia zażenowania.

Każdy facet, którego spotyka na swojej drodze, je jej z ręki.

Jej motto brzmi: „Żadnych chłopaków, żadnych zobowiązań... tylko zabawa”.

Niech mnie, dziewczyna potrafi się bawić. Szczerze mówiąc, nie wiem, skąd ma tyle energii, bo mnie to wygląda na ciężką harówkę.

\*\*\*

Samochód zwalania do ślimaczego tempa i po chwili się zatrzymuje. Wsiadamy i idziemy do baru, w którym mamy się wszyscy spotkać.

Joshua, Cameron, Scott i Adrian siedzą już przy stoliku, więc idziemy do nich.

– Didge! – woła Cameron i unieruchamia mnie w zapaśniczym chwycie.

Śmieję się, po czym obchodzę stolik i witam się buziakiem w policzek z pozostałymi.

– Dobrze was wszystkich widzieć. Ale najpierw skoczę po drinka, zaraz wracam – mówię z uśmiechem.

Podchodzę do baru i emocje aż we mnie buzują, bo rodzina jest dla mnie jak dom i czuję się cholernie dobrze. Czeka nas świetny weekend. Jutro poznają Erica i wszystko pójdzie gładko.

– Dzień dobry, Bridget. – Za moimi plecami odzywa się znajomy głos.

Odwracam się gwałtownie i odruchowo cofam o krok.

*Święty Boże...*

Krew odpływa mi z twarzy.

– Ben... – szepczę.

Góruje nad wszystkimi dookoła.

Gapię się na niego, próbuję przetworzyć sygnały przesyłane przez zmysł wzroku. Serce zaczyna walić mi w piersi.

– Ben? – powtarzam, marszcząc czoło, a potem potrząsam głową. Jestem zaskoczona i zmieszana. – Co... – Brakuje mi słów. – Co ty tu robisz?

Zjeżdża wzrokiem w dół mojego ciała.

– Przyjechałem do ciebie.

– Co takiego? – pytam, zdumiona.

– Słyszałaś.

Unoszę brwi. *Jaja sobie, kurwa, robi?!*

– Przyjechałeś taki kawał aż do Sydney, żeby się ze mną zobaczyć? – pytam ironicznie. *Zabawne, bo palant przez pięć lat nie raczył nawet zadzwonić.* Zerkam na grupkę moich znajomych i krzyżuję ręce w obronnym geście. – Niepotrzebnie robiłeś sobie kłopot – prychem.

Uśmiecha się seksownie, a ja mrużę oczy.

*Przestań być uroczy, jebany dupku. Dawno o tobie zapomniałam.*

– Gdy dostałem zaproszenie, od razu zapytałem: „Bridget będzie?”. Chciałem się spotkać po latach, sprawdzić, co u ciebie. Kawał czasu. – Spogląda na moje usta.

Czuję się niekomfortowo.

*Nie patrz tak na mnie.*

Wybałuszam oczy, kiedy dociera do mnie znaczenie jego słów.

– Ty... idziesz na to wesele? – bełkoczę.

Unosi brew.

– Specjalnie po to przyleciałem dziś rano. – Zerka na nasz stolik.

– Jestem ze Stanem, Camem i Murphem. Spotkanie po latach, że tak powiem.

Gapię się na niego, a mój mózg próbuje za tym wszystkim nadążyć.

*O, nie. Nie, nie, nie.*

W weekend zamierzam przedstawić wszystkim mojego chłopaka. Niepotrzebny mi przy tym mój zaginiony przed laty, dupkowany były facet.

*Jasna cholera.*

*Kurwa.*

Unoszę zadziornie podbródek.

– Powinieneś był się najpierw ze mną skontaktować, zapytać, czy nie mam nic przeciwko.

Mój wzrok krąży po jego szerokiej piersi skrytej pod czarnym T-shirtem, po czym niespodziewanie zjeżdża na sprane dżinsy, które wybrzuszą się we wszystkich właściwych miejscach. Uwagi domagają się też jego muskularne przedramiona, ale nic z tego.

Natychmiast odrywam wzrok.

*Dlaczego musi być taki boski? Jakże to wkurzające. Przecież powinien był już się roztyć, wyłysieć i zbrzydnąć.*

– A masz? – pyta arogancko.

– Czy co mam?

– Coś przeciwko mojej obecności? – pyta sarkastycznie.

– Tak. – Z rozdrażnieniem zarzucam włosy na plecy. – W gruncie rzeczy tak. Powinieneś wracać pod kamień, spod którego wypełzłeś.

Uśmiecha się półgębkiem i posyła mi to cwaniackie spojrzenie, które dopieścił do perfekcji.

Zaczynam się pocić i nerwowo rozglądać.

*Nie waż się uruchamiać swojego seksapilu.*

Wzdycham z irytacją, nie mam ochoty na ten szajs. Spoglądam z góry na moje džinsy i kremowy top bez ramion. Dlaczego nie ubrałam się seksowniej? Wiedziałam, że powinnam założyć tę czerwoną sukienkę. Daję sobie mentalnego kopniaka w tyłek.

*Przestań! Kogo obchodzi, co na sobie masz? Ben jest palantem, ty masz chłopaka, a to... jedna, wielka, pierdolona katastrofa.*

Jego ciemne oczy ponownie skupiają się na moich wargach.

Zaczynam się denerwować, a w żołądku czuję bulgotanie. *Och, dobrze pamiętam to spojrzenie.*

– Co będzie? – pyta barman.

– Trzy margarity, proszę – odpowiadam z uśmiechem i opieram się o bar.

Dziś obsługuje tu ten śliczny barman. Często go tu widuję.

Obdarza mnie przyjacielskim uśmiechem i odwraca się, by przygotować nam drinki.

Ben staje bezpośrednio za mną. Blisko... Zbyt blisko... Czuję, jak jego twarde ciało idealnie dopasowuje się do mojego. Jest niczym ciepła skała.

Zamykam oczy i krew zaczyna mi tętnić w uszach.

*To tylko przez tę ciasnotę... Ciasno tu... Zaraz się przesunie...* – powtarzam sobie.

Dlaczego jego ciało emanuje taką przyciągającą siłą?

Ktoś potrąca go od tyłu. Jego ręka ląduje na moim biodrze, gdy Ben wpada na mnie ze sporą siłą.

– Wow, maleńka... – szepcze. Jego ciało wtula się w moje, jego ręka wciąż jest na moim biodrze, a jego usta tuż przy moim uchu.

– Ben – zaczynam stanowczo, patrząc prosto przed siebie, na bar.

– Zabierz rękę z mojego biodra i usta od mojego ucha, bo zaraz rozwalę ci szklankę na głowie.

Rechocze, omiatając moją szyję oddechem.

– Widzę, że nadal masz zgryźliwe poczucie humoru.

Mam ochotę odpowiedzieć: „Założę się, że ty nadal masz tego wielkiego, pięknego fiuta”, ale się powstrzymuję.

Przysuwa się bliżej, ponownie ociera ustami o moje ucho.

– Dobrze cię widzieć, Bridget. Przyjemnie się w ciebie wpasować ciałem...

Przełykam nerwowo ślinę. *Chryste.*

Dość tego. Odsuwam się od niego gwałtownie.

– Posłuchaj mnie, Ben. Nie możesz mnie już dotykać. W zasadzie nie masz też prawa ze mną rozmawiać.

Uśmiecha się leniwie, seksownie i postępuje krok w moją stronę.

– Naprawdę?

Przytakuję nerwowo i krzyżuję ramiona na piersiach.

– Naprawdę. Mam chłopaka – rzucam.

Zbliża się o kolejny krok, góruje nade mną, pochyla się i szepcze mi do ucha:

– Przeprowadź go do mnie. Musimy się poznać.

## Rozdział 2

### Bridget

– „Przyprowadź go do mnie”?! – powtarzam, unosząc brew. *Żartuje sobie?* – A co ty jesteś nagle? Henryk VIII? – parskam, nie mogąc się powstrzymać. – Co chcesz zrobić, Ben? Zetniesz go?

Patrzy mi w oczy dłuższą chwilę.

– Istnieje taka możliwość. – Chyba sam wie, jak nedorzeczenie zabrzmiał, bo uśmiecha się seksownie. – Kusząca wizja.

Nasze oczy się spotykają i strzela między nami prąd.

*Przestań.*

Między nami zapada cisza, lecz w końcu Ben ją przerywa:

– Dobrze cię widzieć, Didge. Często o tobie myślałem.

Patrzę mu pytająco w oczy. Na nowo rośnie we mnie żal i mam ochotę porządnie potrząsnąć Benem za to, że naraził mnie na takie piekło.

– Ciebie również – odpowiadam z wymuszonym uśmiechem.

To było nieszczerze.

To, jak na mnie patrzy, sprawia, że jeszcze bardziej boli świadomość, że nam się nie powiodło. Od dawna trzymałam się nadziei, że to był tylko sen, ale niestety okazuje się, że łącząca nas chemia nie była tylko moim wymysłem. Myślałam sobie, że jeśli kiedyś spotkamy się ponownie, to będzie jak spotkanie ze starą kumpelą na ulicy – nic nie poczuję i ucieszę się, że ruszyłam dalej i ułożyłam sobie życie bez niego. Nie mogłam bardziej się pomylić. Jestem wściekła, zraniona, mam wrażenie, że ledwie wczoraj porzucił mnie bez mrugnięcia okiem.

Czas niczego nie zmienił. Przeciwnie – wszystko wydaje się spotęgowane.

*Cholera jasna! Jesteś kretynką, Bridget. Przestań. To już nieważne, to przeszłość.*



Waha się, jakby chciał coś dodać.

Ja niby też chcę coś powiedzieć, ale nie wiem co. Bo przecież tu wyraźnie nie ma już nic do dodania. Odkąd odszedł, tyle się zmieniło, ale jedna rzecz pozostała taka sama – łączące nas uczucie. Mam ochotę go objąć i wyznać, jak bardzo tęskniłam.

Ściągam brwi. To magnetyczne przyciąganie jest dziwne... i silne. Bardzo silne.

*Otrząśnij się, tępoto. Przecież to palant.*

– Proszę bardzo. – Barman uśmiecha się i wręcz mi tackę z drinkami.

Odwzajemniam uśmiech, płacę, podnoszę tackę i odwracam się do Bena.

– Widzimy się przy stoliku? – pytam.

Kiwa głową, wyraźnie rozkojarzony, a ja ruszam przez tłum z łomoczącym w piersi sercem.

*Ja pierdolę.*

*Uspokój się, mówię sobie. Wszystko gra. Jego przyjazd nic nie znaczy. Przestań przesadzać, Bridget.*

Stawiam tackę na stoliku, zasiadam pomiędzy Nataszą a Abbie i podaję im drinki.

Cameron coś opowiada, a wszyscy słuchają uważnie, zaśmiewając się w stosownych momentach.

Ja jednak rozglądam się wokół stolika z szerokim bananem na gębie. Spędzam wieczór z moimi ulubionymi ludźmi. Tasz i Josh, Cam, Adrian i Abbie – nie mogło być lepiej. Cała czwórka oprócz Abbie mieszka w Stanach, więc rzadko mamy okazję do wspólnych spotkań.

Moja ekipa. Moi ulubieńcy.

Adrian łapie mnie za rękę i ściska uspokajająco. Mój cudowny Adrian.

Gdy przed laty zerwał ze swoim chłopakiem, Nicholasem, a ja z Benem, bardzo się zbliżyliśmy. W Los Angeles nawet wprowadziłam się do niego na pół roku. Rozmawiamy codziennie, jest dla mnie prawdziwym darem. Wie, że widok Bena bardzo mną wstrząsnął. Nie muszę mu tłumaczyć własnych myśli, bo on je zna.

Ciekawe, czy Tasia wiedziała o przyjeździe Bena. Jeśli tak, to dlaczego nic nie powiedziała?

Odpowiedź dostaję chwilę później, gdy Ben podchodzi do stolika, a jej szczęka opada do samej ziemi.

– Ben! – piszczy, podekscytowana, i wstaje.

Abbie wytrzeszcza oczy i wbija je we mnie. Wymuszam uśmiech, który mówi: „Tak, wiem”.

Natasza i Abbie wstają, a Ben bierze je w ramiona.

– Boże, tak dobrze cię wiedzieć. – Uśmiecha się Tasia.

– Kupę czasu – odpowiada, odnajdując mnie wzrokiem z drugiego końca stolika. Obraca się i całuje Abbie w policzek. – Hej, Abs – wita się z nią, uśmiechnięty. – Nadal gorąca – dodaje zaczepnie.

– Żebyś wiedział, wielkoludzie. – Uśmiecha się, całując go w policzek.

Ben siada obok Joshui i wszyscy wbijają w niego wzrok.

– Joshua, dlaczego mi nie powiedziałeś, że Ben przyjeżdża? – pyta wciąż podekscytowana Natasza.

– Bo sam nie wiedziałem – parska Josh. – Cwany gnojek, powiedział tylko Wilsonowi.

– Dlaczego? – zaciekawia się Abbie.

Ben ponownie odnajduje mnie wzrokiem.

– Pomyślałem, że zrobię wam niespodziankę. Niespodzianka!

Tasia i Abbie równocześnie wybuchają śmiechem.

– Gdzie się podziewałeś, odkąd ostatnio się widzieliśmy? – pyta Cameron.

I tak rozmowa skupia się wokół Bena siedzącego po drugiej stronie stolika.

Gdy odpowiada na pytania, biorę do ręki komórkę, żeby nie chłonąć łapczywie każdego jego słowa. Nadal nie wierzę, że tu jest.

*Cóż za wyczucie czasu.*

Zauważam cyferkę jeden na ikonie mikrofonu na mojej komórce i ściągam brwi.

*Co się dzieje z tym głupim telefonem, do cholery? Dlaczego to się dzieje?*

Nieświadomie, ze skupioną miną, próbuję zrzucić ten symbol.

Adrian wyczuwa moją irytację i posyła mi pytające spojrzenie, ale kręcąc głową, zrezygnowana.

– Ten głupi telefon bez przerwy nagrywa... – odpowiadam.

– Hę? – dziwi się.

Wzruszam ramionami.

– Sama nie wiem, w przypadkowych momentach po prostu włącza się nagrywanie. – Podaję mu komórkę.

Adrian przygląda się jej bacznie, tymczasem ja sączę margaritę. Obecność Bena napina mi nerwy jak postronki. Muszę uważać, żeby się nie upić, bo jeszcze powiedziałabym mu, co naprawdę myślę. Choć w sumie to sama nie wiem.

*Jesteś ciachem. Jesteś dupkiem. Wyglądasz tak, że rznąłabym cię dzień i noc. Och, a może zacznijmy od tego, że Bridget jest kretynką!*

– I sama tego nie włączałaś? – pyta Adrian, wyrrywając mnie z zadumy.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie, zupełnie jakby miał swój własny rozum.

Z coraz bardziej nachmurzoną miną wchodzi w moje ustawienia i próbuje ustalić, o co chodzi.

– Wkurza mnie to, bo zużywa baterię i muszę ciągle ładować.

– Joshua? – Adrian spogląda na drugą stronę stolika.

Ten odrywa się od rozmowy z Benem, nieświadomy, o czym rozmawiamy.

– Zerknij no na to – mówi Adrian i podaje mi moją komórkę.

Joshua to nasz spec od technikaliów. Jest programistą, więc radzi sobie z takimi problemami.

Bierze komórkę od Adriana i zaczyna przy niej majstrować.

– Co ostatnio porabiałaś, Abs? – rzuca Cam nad stolikiem. – Dalej się gzisz jak na wiejskim festynie?

Wszyscy wybuchamy śmiechem, ja aż się krztuszę.

Cały Cameron.

To młodszy brat Joshui, uwielbiamy go. Nieustannie żartuje. Aż trudno uwierzyć, że w Los Angeles jest lekarzem. To urodzony cwaniak, który non stop rozbawia nas swoimi przewrotnymi docinkami i żartami. Każda napotkana kobieta je mu z ręki.

– Ależ Cameron! – rzuca Abbie, udając oburzoną. – Do twojej wiadomości: bynajmniej nie gzę się jak na wiejskim festynie!

Cam uśmiecha się do piwa.

– Ośmielę się mieć odmienne zdanie – prowokuje ją z zachwytem w oczach.

– Chciałbyś wiedzieć, jak się gzę, Cam – odcina się Abbie.

Cam unosi szklanke, szczerząc zęby.

Tymczasem Joshua się chmurzy.

– Didge, myślę, że będziesz potrzebowała nowej komórki. – Mruży oczy w skupieniu. – Złączki się poblokowały.

Przewracam oczami.

– A mógłbyś mówić po ludzku? Co to znaczy?

Patrzy na mnie z uniesioną brwią.

– To, że telefon się zjebał.

Podaje Nataszy komórkę nad stołem, ona oddaje ją mnie, a ja kładą ją na kolanach.

– Super – burczę pod nosem.

– Boże, spójrzcie na to miejsce – mówi Tasza, rozglądając się, oczarowana.

Wszyscy patrzemy wokół siebie. Przyznaję, że ja już czasami zapominam to robić.

– To najpiękniejsze miasto na świecie – wzdycha. – W domu zawsze najlepiej.

Uśmiecham się i podnoszę kieliszek, a Abbie idzie w moje ślady i wznosimy toast, stukając się szkłem.

Jesteśmy w Opera Bar w operze w Sydney, siedzimy na zewnątrz, nad wodą, przy jednym z setek stolików. Za nami widać rozświetlony most zamykający wejście do portu, na wodzie tańczą odbicia światła wieżowców. Wzdłuż nabrzeża ciągną się rzędy świecących na biało latarń. Leci muzyka z modnym, spokojnym bitem, cały lokal aż buzuje mrowiem różnorodnych gości. To nasza knajpa. Aż trudno uwierzyć, że wpadamy tu z Abbie przynajmniej raz w tygodniu. Jesteśmy w czepku urodzone.

Ciągle za czymś gonimy; ja jestem agentką podróżniczą, a ona asystentką w kancelarii prawniczej, ale co by się nie działo, raz w tygodniu spotykamy się, żeby pogadać.

Wróciłam do Australii nieco ponad dwa lata temu. Gdy Natasza przeniosła się do Joshui do Los Angeles, pojechałam za nią i jakby wsiąkałam w tamtejsze życie. LA również uwielbiałam. Z pocałowaniem ręki mogłabym osiąść w Stanach i być szczęśliwa na wieki wieków, ale tęskniłam za mamunią i Abbie, a jako że Tasia spędzała większość czasu w ich podmiejskiej posiadłości w Willowdale, a Adrian ciągle pracował – jest prezesem firmy deweloperskiej Joshui – uznałam, że przyszedł czas wracać. Wszystko, co dobre, kiedyś się kończy, a ja mam na tyle szczęścia, że Josh przysłała po mnie prywatny odrzutowiec, gdy tylko mam ochotę.

W krainie Stantonów forsa jest jak powietrze. Natasza wżeniła się w naprawdę wielkie pieniądze, co ogromnie wpływa na nasz styl życia. Najwięksi projektanci przysyłają jej ciuchy, licząc, że się w nich pokaże, a potem ona wysyła je mnie i Abbie.

Adrian totalnie mnie rozpieścił, bo gdy tylko uzna, że w czymś będzie mi dobrze, od razu mi to kupuje – to zalety przyjaźni z gejem o nieskazitelnym guście i miłości do butów oraz torebek. Joshua z całych sił dba, żeby Natasza wiodła w Stanach szczęśliwe życie, a jeśli wiąże się to z wysyłaniem samolotu po mnie, mamę i Abbie, gdy tylko najdzie nas ochota, nie ma z tym problemu.

Zatem, praktycznie rzecz biorąc, moja siostra wyszła za miliardera, a ja na tym korzystam. I wszystkim nam to pasuje.

– Kiedy wyjeżdżasz, Didge? – pyta Adrian, wyrrywając mnie z zadumy.

– Za dwa tygodnie.

– To służbowy wyjazd? – pyta z zainteresowaniem Tasia.

Przytakuję, sącząc drinka. Zerkam na bacznie mnie obserwującego Bena.

– Dokąd? – pyta Cameron.

– Do Londynu, stamtąd do Irlandii, a potem do Szkocji.

– Na terytorium potwora z Loch Ness – stwierdza Abbie.

Cam zerka kątem oka na Bena, który uśmiecha się bezczelnie. Obaj spuszczaają głowy i zaczynają rechotać ze znanego tylko im żartu.

– Co was tak bawi? – pytam.

Ben kręci głową, chyba nie chce wdawać się w szczegóły, więc przenoszę uwagę na Cama.

Śmieje się, zasłaniając usta szklanką.

Mrużę oczy. Takie wewnątrz żarciki bardzo mnie drażnią.

– No, proszę bardzo, słucham – ponaglam go oschle.

Cameron pociąga łyk piwa, chyba postanowił rozwinąć temat.

– Kiedyś wyrwaliśmy z Benem panienki i obiecaliśmy im, że zobaczą potwora z Loch Ness.

Wszyscy pozostali marszczą nosy i stękają, zniesmaczeni.

– Boże, jakie słabe – wzdycha Adrian. – Nie wiem, skąd wy bierzecie tak durne kobiety.

Ben śmieje się na głos i szczypie nasadę nosa, zanurzony we wspomnieniach.

Cameron uśmiecha się cwaniacko.

– Zadziałało – mówi, wzruszając ramionami. – Pokazałem im bestię. I mit przeistoczył się w prawdziwą legendę.

Ben zaśmiewa się, kręcąc głową, ja patrzę na niego bez cienia wesołości.

Kiedy to było? Po mnie? Zapewne. Minęło pięć lat. Kurwa, cholernie mnie wkurza, że dla niego najwyraźniej nic się nie zmieniło; nadal wyrywa sobie panienki z Cameronem, gdy tylko nadarzy im się okazja.

*Pierdoleni faceci. Fuj.*

Poirytowana, sączę drinka.

– Biedne dziewczyny... Miały obiecane potwory, a skończyły z kijankami – burczę.

Wszyscy wybuchają śmiechem, a Tasza podnosi szklankę i woła:

– Tak jest!

Dzięki Bogu, że mam chłopaka. Nie muszę się już babrać w tym łajnie.

*Przestań, co to w ogóle jest za problem? Kogo w ogóle to obchodzi? Mnie na pewno nie.*

Zaczynam czuć ciepło na twarzy, więc pociągam łyk drinka, żeby się uspokoić.

– Kiedy zaczynasz, Cam? – pyta Tasza.

Rozmowa przechodzi na pracę Camerona. Właśnie zaczął specjalizację kardiologiczną i jest tym bardzo podekscytowany.

– W przyszłym tygodniu. Nie mogę się doczekać.

Wypuszczam powietrze z płuc i skupiam uwagę na rozciągającym się przede mną porcie. Przysuwam kieliszek do ust, w zamyśleniu pocieram się po karku.

*Ciekawe, czy ma dziewczynę.*

Przez ten czas mógł się ożenić i narobić dzieci. Zapewne tak zrobił.

Nigdy o niego nie pytałam, ani razu. Choć chciałam. Boże, jak chciałam, ale jeszcze bardziej chciałam o nim zapomnieć. Wolałam, żeby inni nie wiedzieli, że wciąż o nim myślę. Nie lubiłam się do tego przyznawać – nawet sama przed sobą.

Mój telefon się odzywa, przyszedł SMS.

Patrzę na ekran i otwieram wiadomość. Od Bena.

*Co takiego?*

Ściągam brwi. Czytam.

**Twoja szyjka wygląda przesmacznie.**

**Chętnie zatopiłbym w niej zęby.**

*Że co?*

Marszczę czoło i podnoszę na niego wzrok.

Unosi piwo i pije, ale zerka na mnie tymi łobuzerskimi oczami. Siedzi wygodnie rozparty, z szeroko rozstawionymi nogami, potężne bary obrazują jego moc.

Nie mogę się powstrzymać i mój wzrok błądzi po jego silnych, umięśnionych przedramionach. Z trudem przełykam ślinę.

*Serio... dlaczego jest tak cholernie seksowny?*

Wokół nas toczą się rozmowy, tymczasem moje tętno przyspiesza.

No dobra, co tu się tak naprawdę odpierdala? Chyba nie mam zwidów. Bez dwóch zdań ze mną flirtuje. Ale co mu odpisać? „Spierdalaj, palancie”? Tak powinnam zareagować, ale piszę:

**Wampiry mnie nie kręcą.**

Odczytuje wiadomość i parska pod nosem.

Podnoszę kieliszek, upijam drinka i nawiązuję kontakt wzrokowy z Adrianem, który subtelnie, a zarazem pytająco marszczy czoło.

Telefon znowu sygnalizuje nadejście wiadomości.

### **Myślałaś o mnie?**

Przełykam nerwowo ślinę i odpisuję natychmiast:

**Ani razu.**

Nie muszę długo czekać na kolejną wiadomość.

### **Kłamczucha.**

Policzki naprawdę zaczynają mnie piec.

– Opowiedz o tym wyjeździe, Didge – zagaja Tasza. – Kurczę, podróżować zawodowo, to musi być ekscytujące.

– Jest – potwierdzam z entuzjazmem.

Leżąca na moich kolanach komórka znowu domaga się mojej uwagi, więc odczytuję wiadomość.

**Przez pięć lat myślałem wyłącznie o ssaniu twojego pięknego ciała.**

Zerkam na niego nad stolikiem, gdy sączy piwo i posyła mi najlepsze spojrzenie w stylu: „Chodź, zerznij mnie”.

Patrzy na mnie mrocznym, złaknionym wrażeń wzrokiem.

*Jasny gwint.*

Nie widziałam tego spojrzenia od bardzo, bardzo dawna. Patrzył tak na mnie, gdy się ukrywaliśmy i nikt nie wiedział, że się spotykamy. Czuję, że zaraz się rozplnę.

– Eee... – dukam, spoglądając na siostrę z poczuciem winy. Wygląda na to, że straciłam zdolność formułowania sensownych zdań. – Eee...

Rozglądam się, wszyscy wyczekują na moją inteligentną odpowiedź. No... jakoś nie mam jej pod ręką...



*Ben mnie pragnie?*

Mam przed oczami już tylko szaleńczy, wampirzy seks.

– Ja... Ja... – bełkoczę dalej.

Adrian i Tasza czekają na odpowiedź z coraz bardziej zdezorientowanymi minami.

– Muszę iść po drinka. Ktoś jeszcze? – pytam, zrywając się z miejsca.

– Tak, pomogę ci. – Adrian również wstaje.

– Ja też – mamrocze Natasza i dołącza do nas.

Abbie siedzi spokojnie i popija ze swojego kieliszka.

– Abs, przejdiesz się z nami? – pytam.

– Nie, dzięki – odpowiada, nawet na mnie nie patrząc.

Adrian uśmiecha się sztucznie, łapie ją za rękę i stawia na nogi.

– Abbie, potrzebujemy pomocy.

– Boże, jakie z was dzieciuchy – utyskuje, przeciskając się przez tłum. – Czemu musiałam się z wami wlec?

– Co się dzieje? – pyta mnie Adrian nad ramieniem, kładąc rękę na moim biodrze, żeby nie zginąć w tłumie.

– Chujowa sytuacja – odpowiadam szeptem.

– Przeoczyłam coś? – woła z tyłu Tasza.

Docieramy do baru i znikając reszcie z oczu, zbijamy się w kupę.

– Wysłał mi wiadomość. Napisał, że chce mnie ugryźć w szyję – wypalam.

Tasza i Adrian patrzą na siebie, skołowani, a potem na mnie i krzyczą w tym samym momencie:

– Kto?!

Wytrzeszczam oczy, porażona ich tępotą.

– No Ben! – skrzeczę.

Adrian wykrzywia twarz.

– Co takiego? – pyta, drapiąc się po głowie.

– Kiedy? – docieka Natasza, oglądając się w stronę naszego stolika.

– Przed chwilą.

Abbie poprawia sobie bieliznę pod sukienką.

– Wpijają mi się te majty w różne zakamarki.

Adrian krzywi się ze zgrozą.

– Boże, oszczędź mi opowieści o swoich zakamarkach.

Abbie przewraca oczami.

– Wiedz, że moje zakamarki to cel niesamowitych wakacji. Pięciogwiazdkowy luksus.

– Faj! – Tym razem wszyscy się krzywimy.

Dostaję kolejną wiadomość i odczytuję ją, po czym wybałuszam oczy, przerażona.

### **Rozmawiacie o mnie?**

– Twoje zakamarki to co najwyżej schronisko studenckie – odpowiada jej krzywiący się z niesmakiem Adrian, który po chwili obraca się, by zamówić drinki.

– O mój Boże, ja jebie... – rzucam, czytając z szeroko otwartymi oczami kolejny SMS. – Wie, że wam o tym opowiadam – dodaję, wymachując telefonem.

### **Za takie wykroczenie należy się kara.**

Krzywię się.

Nagle Tasza wyrywa mi komórkę i czyta.

– Co jest, kurwa? – szepcze pod nosem. – Przespałam jakąś część rozmowy?

– Tak – przytakuję. – Tę samą co ja.

Gdy barman przygotowuje drinki, Adrian obraca się do nas i zabiera Taszy telefon. Czyta SMS z nasróżoną miną.

– Wykroczenia i kara... – powtarza, zdumiony, po czym patrzy mi w oczy.

Tym razem komórkę zagarnia Abbie, która czyta i uśmiecha się przebiegle.

– Boże drogi. Proszę, powiedz mi, że zabierzesz go do siebie i zerznieś do nieprzytomności. Musisz ponieść karę, suko. Nawet ja to widzę.

– Abbie – syczę, wściekła. – Mam, kurwa, chłopaka.

– Do czego zmierzasz? – pyta, jakbym była głupia.

– Boże, zaczyna się. Ty i te twoje zapyziałe zakamarki dla biednych studentów... – fuczy Adrian, odbierając jej komórkę.

W tym momencie przychodzi kolejny SMS i przyjaciel go odczytuje. Wytrzeszcza oczy, nabiera powietrza i patrzy na mnie.

– Być może tym razem Abbie ma rację. – Wzrusza ramionami. Zabieram mu komórkę i sama czytam.

### **Nadal lubię na ostro, maleńka.**

Wybałuszam oczy.

– Do diabła. Nie, nie, nie. – Kręcę głową. – Będzie miał na ostro, jak go uduszę. Tyle wiem – warczę.

W oczach Abbie tańczą iskierki zachwytu i widać, że trybiki w jej głowie już pracują.

– O jakim poziomie ostrości mówimy?

– Ben jest kurewsko seksowny – szepcze Natasza do Adriana.

Adrian kiwa głową, po czym odszeptuje konspiracyjnie:

– No nie?

Przykładam palce do skroni i w tym momencie czuję, że czyjeś ręce zakradają się od tyłu na moje biodra.

Odwracam się i widzę Bena.

– Co ty wyprawiasz?! – warczę.

– Stoję za tobą.

– Przestań. – Wyrrywam mu się. – I przestań mi pisać, że lubisz na ostro – dodaję. – To informacje, których bynajmniej nie muszę znać.

Abbie łapie go za przedramię.

– Bridget należy ukarać. Musisz natychmiast zabrać ją do domu – mówi z pełną powagą.

*Choć raz nie mogła trzymać gęby na kłódkę?*

– Ukarz ją też w moim imieniu – dodaje.

– Abbie! – rzucam. – Zamknij się!

Tasza zasłania usta dłonią i wybucha śmiechem, na co ja i Adrian wytrzeszczamy oczy z przerażeniem.

– Dobry pomysł, Abs – zgadza się z nią Ben, po czym łapie mnie za rękę i ciągnie ku drzwiom, ale mu się wyrrywam.

– Nie dotykaj mnie!

– Przestań dramatyzować – mówi, popychając mnie naprzód.  
– Dramatyzować?! – powtarzam, wypadając przez drzwi. – Chyba ci się coś pojechało. – Wychodzę schodami na wybrukowane nabrzeże, bryza od oceanu rozwiewa mi włosy.

On rusza za mną dziarskim krokiem i przez chwilę idziemy w ciszy. Na wodzie tańczy odbite światło księżyca.

Zerkam na niego, wygląda, jakby głęboko nad czymś myślał.

– Co ty tu robisz, Ben? – wzdycham.

Marszczy czoło, lecz nie odrywa wzroku od ziemi.

– Już mówiłem.

Staję w miejscu, on też się zatrzymuje, a potem obraca do mnie przodem.

– Co mówiłeś?

– Wróciłem po ciebie – stwierdza, przysuwając się bliżej.

Kręcę głową i z irytacją wyrzucam ręce w powietrze.

– Czyli uznałeś, że możesz sobie tu wpaść i oświadczyć, że chcesz gryźć moją szyję?

– Przecież wiesz, że słowa nie są moją mocną stroną.

– Ben, kulturalni ludzie tak nie rozmawiają – warczę. – To hasło rodem z sekstelefonu.

– Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało – odpowiada i wzrusza ramionami, zawstydzony.

– Tak napisałeś.

Podchodzi jeszcze bliżej i delikatnie zakłada mi włosy za ramię.

– Po prostu mówiłem prawdę... – szepcze.

Spoglądam w jego piękną twarz, gdy łapie mnie za rękę.

– Didge, myślałem o tobie każdego dnia – wyznaje, gładząc kciukami moje dłonie.

Zaraz się rozpłaczę.

Nie ma pojęcia, ile razy modliłam się o tę chwilę, a teraz, gdy naprawdę jest przy mnie, rzeczywistość przeistacza się w koszmar.

– Nawet wtedy, gdy leżałeś obok innej? – pytam.

Patrzy mi w oczy, zrozpaczony.

– Tak... – zawiesz głós. – Nawet wtedy. Jesteś pierwszą i ostatnią osobą, o której myślę każdego dnia. – Czule zakłada kosmyk moich włosów za ucho i ujmuje moją twarz w dłonie.

Mrugam, by powstrzymać łzy.

– Chciałem wrócić po ciebie szybciej, ale... pewne sprawy okazały się bardziej skomplikowane, niż sądziłem.

– Jakie sprawy?

– Moja praca.

– Kurwa mać, Ben – rzucam, rozdrażniona, i wyrywam mu się. –  
Mów jak człowiek.

– Chcę drugiej szansy.

Ściągam brwi, mam wrażenie, że ziemia zaczyna pode mną drżeć.

– Za późno – mówię, kręcąc głową.

– Wcale nie.

– Jestem szczęśliwa, Ben – oświadczam i przytakuję, ale zbyt szybko, jakbym próbowała przekonać samą siebie.

– Mogę uszczęśliwić cię jeszcze bardziej. Wiesz o tym.

Łzy przerywają tamę, ale wycieram je wściekle.

– Nie! Przestań! – Potrząsam głową. – Wracaj, skąd przyjechałeś.  
Wracaj do dziewczyny, która przez pięć lat leżała przy tobie zamiast mnie. Miałeś swoją szansę i ją zmarnowałeś. Nie ma drugiej szansy, Ben! Spierdoliłeś to!

Odsuwam się o trzy kroki, muszę od niego uciec.

– Nigdzie bez ciebie nie wracam, Bridget – odpowiada swoim najbardziej władczym tonem, tym samym, którym w sypialni tyle razy rzucał mnie na kolana.

Kręcę głową, poirytowana.

– Dokąd niby nie wracasz, Ben? Nie zostawię Australii. To mój dom.

– Więc tu zostanę – mówi, patrząc na mnie mrocznym wzrokiem.

# Rozdział 3

## Bridget

– O czym ty mówisz, do ciężkiej cholery? – syczę. – Nie zostajesz tu. Zadziera zaczepnie podbródek.

– Załatwiłem sobie pracę. Mogę zacząć, kiedy zechcę.

– Co takiego? – pytam, patrząc na niego z wyrzutem.

– Pracuję dla Brocka.

Zatyka mnie.

– Dla Brocka? Dla mojego brata?!

*Co tu jest grane, do cholery?*

Brock jest właścicielem prywatnej firmy dochodzeniowej – Marx Security. Zatrudnia emerytowanych wojskowych.

– Tak, dla twojego brata. O jakiego innego Brocka mogłoby mi chodzić?

– Od kiedy to masz z nim kontakt?

– Od pięciu lat, co tydzień.

Kręcę głową z niedowierzaniem i ze złością biorę się pod boki.

– Wyjaśnijmy sobie coś... Podczas swojej nieobecności co tydzień rozmawiałeś z moim bratem, a do mnie nie raczyłeś zadzwonić ani razu?!

Rośnie we mnie gniew, nawet nie wiem, na którego z nich jestem bardziej wściekła. W zasadzie to najbardziej chyba jednak na samą siebie. Za to, że jestem taką idiotką.

– A jak inaczej miałbym się dowiadywać, co u ciebie?

– Co ty pieprzysz, Ben?! – wrzeszczę. – Sprawdzałeś mnie?!

Kiwa głową i ponownie próbuje złapać mnie za rękę, ale tym razem natychmiast się wyrrywam.

– Nie dotykaj mnie, palancie.

– Bridget, uspokój się.

– „Uspokój się”?! – wrzeszczę, kręcąc głową w furii. – Trzeba mnie było tak nie denerwować! Dlaczego teraz?

Marszczy czoło, jakby nie rozumiał pytania.

– Dlaczego wróciłeś akurat teraz? – Krzyżuję ręce na piersiach i czekam na odpowiedź.

Patrzy na mnie bez wyrazu, a mnie nachodzi pewna myśl i aż ściągam brwi.

– Czy Brock ci powiedział, że znalazłam sobie chłopaka?

Ben milczy.

Nie mogę w to uwierzyć.

– Żartujesz sobie? Zadzwoił z tym do ciebie?! – wrzeszczę dalej.

– Bridget...

– Przestań mi tu, kurwa, bridgetować! – krzyczę, przyciągając uwagę przechodniów, co niepokoi Bena.

– Mów ciszej – warczy pod nosem.

– Nie będę mówiła ciszej! – krzyczę. – A więc mój brat do ciebie zadzwonił i powiedział: „Lepiej przyjeżdżaj, bo Bridget w końcu znalazła kogoś, z kim warto się związać”? Tak było?!

Ben zaciska zęby.

Doskonale wiedziałam, że właśnie tak zareaguje.

*To jeden wielki żart.*

Odsuwam się od niego, bo „furia” to już zbyt delikatne określenie dla mojego stanu.

– Idź do diabła, Ben. Nigdy do ciebie nie wrócę.

Mruży oczy.

– Owszem... wrócisz.

Kręcę głową.

– Tobie wcale na mnie nie zależy. Troszczysz się wyłącznie o siebie.

– Bridget. – Chwyta mnie za rękę.

– Spierdalaj! – przeklinam, wrywając się z uścisku. – Nie zbliżaj się do mnie!

Odwracam się i mknę przez tłum, który wspaniałomyślnie się rozstępuje. Wszyscy patrzą na mnie jak na wariatkę.

Wypadam przed lokal i wsiadam do pierwszej taksówki.

– Proszę mnie zawieźć do domu – rzucam krótko, podając w pośpiechu adres.

### *Piętnaście godzin później*

– Gotowa do wyjścia, maleńka? – pyta Eric, wchodząc do mojej sypialni. Jego oczy rozświetlają się na mój widok. – Wyglądasz bosko – ocenia, szeroko się uśmiechając.

Zerkam na moją obcisłą jedwabną suknię w odcieniu kawy i na jej wążutkie ramiączka. Też się uśmiecham.

Mało co spałam minionej nocy, więc czuję się jak kupa i nie mam ochoty iść na żaden ślub. Przeklęty Ben siedzi w mojej głowie, co bezgranicznie mnie irytuje.

Eric pracuje obecnie na nocne zmiany. Tej nocy też był na służbie i rano pojechał się przespać do siebie, więc miałam sporo czasu na rozmyślania, co wcale nie było mi na rękę. Dziś w nocy też musi pracować, dlatego zostaje na weselu tylko do dwudziestej drugiej. A że niedawno awansował, nie za bardzo może poprosić o urlop.

Drzę na myśl, że zostawi mnie samą.

Drzę na myśl, że zostanę sama z Benem...

Drzę na myśl o magnetyzmie tego drania.

Nie wiem, za kogo on się uważa. Przylatuje tu sobie i wysuwa żądania, ale ja się na to nie złapię.

Eric całuje mnie czule w policzek i przywraca do rzeczywistości, na co uśmiecham się łagodnie. Jest dobrym człowiekiem i mam wyrzuty sumienia, że Ben w ogóle znalazł się w tym kraju. Coś mi mówi, że to nie zwiastuje niczego dobrego.

Dlaczego mam wyrzuty? Nie powinnam, a jednak. Czy to dlatego, że tak naprawdę mam zdradzieckie serce, które wie coś, czego ja nie wiem?

Eric jest wysoki, przystojny i ma ciemną karnację. Jest idealnym przedstawicielem rodzaju męskiego. Do tego to policjant. Spotkaliśmy się mniej więcej rok temu poprzez Jestena, z którym Eric się przyjaźni, odkąd poznali się w więzieniu lata temu. Jest przeciwieństwem posępnego, małomównego Bena. Przypomina raczej otwartą książkę i o wszystkim mi opowiada – poczynając od



tego, co danego dnia zjadł na śniadanie, a kończąc na tym, kogo przymknął na służbie. Wiem, jaki ma program treningowy na siłowni, do kogo dzwoni, ile ma na koncie. Wiem wszystko. Jest najuczciwszym człowiekiem, jakiego poznałam.

W zeszłym tygodniu wyznał mi miłość. Niestety nie mogłam zrewanżować się tym samym i bardzo mnie to bolało.

*Dlaczego nie potrafiłam się na to zdobyć?*

Jesteśmy razem od trzech miesięcy i szczerze mi na nim zależy. Naprawdę. Po prostu chyba potrzebuję więcej czasu.

A potem zobaczyłam Bena i cały świat zawalił mi się na głowę. Muszę się powstrzymać, żeby nie wypalić, że go kocham, albo nie błagać go, by został.

Ben jest przecież dupkiem, któremu wcale na mnie nie zależy.

*Co jest ze mną nie tak, do ciężkiej cholery?*

– Wiesz... kiepsko się dziś czuję. Opuśćmy sobie... – błagam.

– Dlaczego nie chcesz iść? – dziwi się. – Stało się coś? To dziesiąta wymówka, którą próbujesz się dziś wykręcić.

Wzruszam ramionami.

– Chcę iść. – Otulam go ramionami i składam głowę na jego piersi.

– Ale równocześnie chcę po prostu posiedzieć sobie z tobą w domu.

*Boże drogi, naprawdę chciałabym zostać w bezpiecznych ramionach Erica i nie wystawiać się na pokuszenie diabła.*

Eric uśmiecha się łobuzersko i całuje mnie w policzek.

– Kochasz mnie już?

Odwzajemniam uśmiech.

– Dobrze wiesz, co do ciebie czuję.

– Ale nie potrafisz powiedzieć tego na głos – prychna.

– Eric, dopiero zaczęliśmy się spotykać – tłumaczę, wzruszając ramionami.

Całuje mnie raz jeszcze.

– Tak, ale ja już od trzeciej randki wiem, że cię kocham.

Posyłam mu czuły uśmiech.

– Głupio oddawać komuś serce tak szybko. Powinieneś baczniej go pilnować.

– Wcale nie głupio, bo oddałem je tobie.

Spoglądam mu głęboko w oczy i czuję napływające łzy. On zasługuje na kogoś lepszego – nie na dziewczynę, która całą noc myślała o innym mężczyźnie.

– Hej, co się stało? – pyta, zaniepokojony, odgarniając mi włosy z czoła i bacznie mi się przyglądając.

– Nic. – Wzruszam ramionami i kręcę głową, próbując wymyślić jakąś wymówkę. – Po prostu mam naprawdę paskudny PMS – szepczę przez ściśnięte poczuciem winy gardło.

Eric śmieje się głośno, obraca mnie wokół własnej osi i popycha na łóżko.

– To muszę się pośpieszyć, bo lada chwila lokal zajmą malarze...

Kładzie się na mnie, a ja podnoszę na niego wzrok.

– Za późno, malarze już rozłożyli sprzęt i zabrali się do roboty – odpowiadam z konsternacją.

– Cholera – mruczy, przygryzając moją szyję.

Uśmiecham się, daję mu kuksańca w bok i wstaję z łóżka.

– Jestem przekonana, że wytrzymasz kilka dni.

Podchodzę do lustra, poprawiam szminkę i modlę się, żeby kupić tę kiepską ściemę.

Eric również wstaje i poprawia stojącego członka.

– Mam nadzieję, że jaja mi całkiem nie zsinieją. – Obejmuje mnie i całuje od tyłu w kark.

Mam wrażenie, jakbym obserwowała nas z boku. Przez chwilę przyglądam się naszym odbiciom w lustrze, a potem zamykam oczy, chcąc, by ten obraz zniknął. Czuję na szyi usta Erica, ale widzę twarz Bena.

*Co się dzieje?*

Dobry Boże, pomóż mi.

\*\*\*

Spacer do kościoła jest bolesny z dwóch przyczyn. Po pierwsze, przez te zjebane buty, które Szatan zaprojektował tak, żebym podczas ich noszenia chciała sobie odciąć palce u stóp. Po drugie dlatego, że wiem, że dostanę zawału, gdy Ben pozna Erica.

Nie mam pojęcia, co zrobi, ale znam go i wiem, że nie potrafi udawać uprzejmości, więc mam pełne prawo się denerwować.

Pamiętam, jak skradaliśmy się z Benem po kątach, gdy się spotykaliśmy. Pewnej nocy, na jakimś przyjęciu, Carson do mnie uderzył i... Ben złapał go za gardło tak mocno, że biedak prawie zemdleł.

Powiedzieć, że Ben jest zazdrosny, to jakby nie powiedzieć nic. Dlatego gotuje się we mnie z nerwów.

Problem w tym, że Eric jest niewiele lepszy.

Obaj mają silne, dominujące osobowości. Kto wie co się może zdarzyć...

Ale może Ben się dziś nie zjawi. Liczę, że przyjął do wiadomości to, co mu wczoraj powiedziałam.

Skrećmy za róg i widzę stojących przed kościołem Joshuę, Camerona i Bena. Trzymają ręce w kieszeniach, są pogrążeni w rozmowie. Joshua i Cameron zostali друзbami, mają więc na sobie czarne, eleganckie garnitury. Ben zaś założył antracytowy.

Serce skacze mi w piersi na jego widok... To znaczy na ich widok.

*Przestań!*

Niedobrze mi.

Jasna cholera, powinnam była wsadzić sobie palce w gardło i się zrzygać. Byłoby to znacznie przyjemniejsze rozwiązanie i nie musiałabym się borykać z tą sytuacją.

Eric ściska moją dłoń, więc odwzajemniam się tym samym.

– O, tam są Joshua i Cameron... – stwierdzam i uśmiecham się niezręcznie.

Eric spogląda w ich stronę.

– A gdzie twoja siostra?

Rozglądam się za Nataszą.

*Gdzie ona jest?*

– Nigdzie jej nie widzę.

Cholera, musimy przejść obok nich. Joshua zauważa nas jako pierwszy, uśmiecha się szeroko i od razu puszcza oko Benowi.

*Gnojek.*

– Hej, Didge – mówi z uśmiechem i całuje mnie w policzek.

– Dzień dobry – odpowiadam z uśmiechem. – To Eric, a to Joshua, mój szwagier.

Josh się uśmiecha.

– Dzień dobry. – Kiwa głową uprzejmie i podaje Ericowi rękę.

– A to Cameron – mówię i wstrzymuję oddech.

Przysięgam, że zaraz zemdleję.

– Cześć. – Cameron uśmiecha się szeroko i również wyciąga dłoń na powitanie.

Jestem pewna, że akurat on będzie miły dla mojego chłopaka, bo nie ma w nim ani odrobiny podłości.

– Cześć, miło poznać. – Eric odwzajemnia się uśmiechem.

– A to... jest Ben – wyduszam z trudem.

Ben patrzy spode łba i wyciąga rękę, na co na twarzy Erica pojawia się głęboka bruzda, ale w końcu wymusza uśmiech i także podaje Benowi dłoń.

– Hej – mówi.

Ben kiwa głową, ale nie odzywa się ani słowem.

Panie Boże, już nie muszę udawać, że źle się czuję, bo naprawdę mnie mdli.

Muszę skupić uwagę na czymś innym.

– A... A gdzie Tasha? – bełkoczę, rozglądając się chaotycznie i udając, że nie dostrzegam arogancji Bena.

Joshua uśmiecha się cwaniacko i stoi sobie z rękami w kieszeniach. Gnojek rozkoszuje się tą sytuacją.

– Gdzieś się tu kręci – odpowiada spokojnie.

„Gdzieś się tu kręci”? Wie, gdzie jest moja siostra o każdej porze dnia i nocy, więc niech mi tu nie wciska jakichś gdzieś.

– A gdzie dokładnie? – warczę.

*Joshua, nie zadzieraj dziś ze mną, bo z tobą skończę.*

Łapię Erica za rękę.

– Nieważne. Chodźmy. Widzimy się później, chłopcy.

Wlokę Erica za sobą przez tłum.

– Co to za jebany chuj? – szepcze Eric.

Mina mi rzednie.

– Który?

– Ben.

Krew odpływa mi z twarzy.

– Och... – wzdycham, rozglądając się za Nataszą. – No jakiś chuj.

– Co ty nie powiesz?

*Jest źle. Bardzo źle.*

Tasza i mama ukazują się w drzwiach kościoła. Na ich widok mimowolnie uśmiecham się od ucha do ucha. Nie mogę się doczekać, kiedy Tasza pozna Erica.

Podeksytowanie rozjaśnia twarz mojej siostry. Podchodzi do nas i całuje mnie w policzek.

– Wyglądasz bosko – zachwyca się. Sama promienieje, podziwiając mnie od stóp do głów.

– A to Eric – mówię z dumą.

Tasza uśmiecha się i nachyla, by pocałować go w policzek.

– Miło cię w końcu poznać.

Eric rechocze i spogląda to na nią, to na mnie.

– Wzajemnie. Niebawem podobieństwo.

Uśmiechamy się do siebie z Taszą, ponieważ często to słyszymy. Ona ma nieco ciemniejszą karnację, ale rzeczywiście jesteśmy podobne.

Joshua i Cameron pojawiają się za moją siostrą.

Mój szwagier całuje Taszę w policzek i mówi:

– To do zobaczenia, skarbie.

– Powalcie ich na łopatki, chłopcy.

Wchodzę do środka i zajmuję miejsce z przodu, obok Scotta i Wilsona, pana młodego.

Eric zauważa w tłumie mamę i idzie zamienić z nią kilka słów. Całuje ją w oba policzki, rozbawia miłym komplementem.

Tymczasem Tasza łapie mnie za rękę.

– O Boże, Didge, jaki on jest boski – szepcze.

– Wiem – potwierdzam z uśmiechem, przyglądając się, jak Eric rozmawia z mamą.

W tym momencie czuję, jak od tyłu na moje biodra zakradają się czyjeś ręce, i wzdrygam się, kompletnie zdumiona.

– Hej – mówi Adrian, zdziwiony. – Coś ty taka nerwowa?

Kręcę głową, zażenowana.

– Myślałam, że to Ben.

Oboje z Taszą marszczą czoła.

– Co wczoraj zaszło między wami? – docieka szeptem moja siostra. – Od rana chciałam do ciebie zadzwonić, ale nie miałam wolnej chwili nawet dla siebie.

– Cóż, jak ja do ciebie zadzwoniłem, to nie chciałaś nic powiedzieć... – wtrąca Adrian.

– Bo byłam z Erikiem, na miłość boską – syczę.

Adrian przewraca oczami i wzdycha.

– Mów dalej...

Wzruszam ramionami, nie spuszczać mojego chłopaka z oczu.

– Ben twierdzi, że wrócił po mnie i chce drugiej szansy.

– Że co?! – prycha Adrian. – Niech spada na drzewo – mówi, po czym dodaje szeptem: – Odrobinkę się, kurwa, spóźnił, co nie?

– Żebyś wiedział, do cholery – przytakuję i ściskamy nawzajem swoje dłonie.

Tym razem to Taszy rzędzie mina.

– Ale przecież... to Ben. – Uśmiecha się z nadzieją. – Kochamy Bena.

Przewracam oczami.

– Ben to palant – szepczę wściekle. – I nie waż się go bronić.

Tasza robi zaszępiłą minę, ogląda się przez ramię na Erica i taksuje go wzrokiem.

– Widzę, że mama go kocha.

– Wszyscy go kochają – potwierdzam, rozdrażniona.

Oboje patrzą mi twardo w oczy, Natasza unosi brew.

– Poza tobą?

– Co to ma niby znaczyć? – obruszam się.

Adrian zaciska usta z namysłem, a potem rzuca:

– Coś mi tu śmierdzi. Masz przy nim dziwną mowę ciała.

– Ćśś! Ciszej i przestań analizować moją mowę ciała. Skończyłam z Benem. Koniec pieśni – cedzę.

– Chyba jednak nie – warczy Ben zza moich pleców.

Wszyscy się obracamy, przyłapani na gorącym uczynku.

Mrużę oczy ze złością.

– Przestań się skradać jak jakiś oblech. Zaczynasz mnie na serio wkurzać. I wbij to sobie do tego tępego łba. Skończyłam z tobą.

– Nie mogę patrzeć na ciebie z tym gościem – burczy.

– To nie patrz.

Eric wraca do nas razem z mamą.

– Gotowa, maleńka? Wchodzimy? – zwraca się do mnie.

W tym momencie Ben morduje go wzrokiem, a wszyscy kurczymy się w sobie.

Zerkam na Taszę i Adriana, ale oni jedynie gapią się szeroko otwartymi oczami na Bena piorunującego spojrzeniem Erica.

*Wspaniale. Najbardziej niezręczna sytuacja, w jakiej kiedykolwiek byłam.*

– Tak jest! – rzucam wściekle. Jedną ręką łapię Erica, drugą chwytam mamę i dziarskim krokiem wmaszerowuję do kościoła.

*Walić to. Powinnam oświadczyć się Ericowi! Tu i teraz!*

Wszystko, byle pozbyć się Bena i jego zafajdanego fanklubu. Wchodzimy do środka i dostrzegam Brocka, który wręcza wszystkim plan uroczystości.

*Kutafon. To wszystko jego wina.*

– Usiądźcie, a ja przyniosę nam program – mówię ze sztucznym uśmiechem.

Eric i mama ruszają do naszej ławki, a ja dopadam brata na boku.

– Chodź za mną – rozkazuję mu szeptem.

– O co chodzi? – dziwi się.

Popycham go za zasłonę z czarnego aksamitu i zasłaniam ją, żeby nikt nas nie widział.

– Coś ty sobie, kurwa, myślał?! – syczę.

– O czym ty mówisz? – pyta, patrząc na mnie ostro.

– Zadzwoń mi powiedziec Benowi, że mam faceta.

– Wygadał ci? – pyta z krzywą miną.

– Tak, wygadał mi. – Popycham go mocno w tors. – Jak mogłeś?!

– Oddałem ci przysługę, stara – odpowiada, wzruszając ramionami.

– Co ty pierdolisz, Brock? Jestem twoją siostrą. Eric to porządny facet.

– No, nie mam nic do dodania... – mówi, skrzywiony.

– A żebyś wiedział, że zaraz nic nie będziesz miał, bo ci obetnę kutasa – rzucam. Oczy prawie wyszły mi z orbit. – Upierdolę ci

kutasa, Brock! Masz to naprawić!

– Ale co? – pyta, skołowany.

– Pozbądź się Bena.

– Jak?

– Nie wiem jak, kurwa – syczę. – Ściągnąłeś go tu, więc teraz go spław.

– Wiesz, jestem teraz odrobinę zajęty... – oświadcza, machając mi przed twarzą programami, które miał rozdawać gościom.

– W tej robocie też jesteś gówniany. Masz tam iść i kazać Benowi wracać do domu.

– Nie.

– Tak!

– Bridget, powinnaś być z nim.

Mam wrażenie, że dymi mi z uszu, lecz wtedy zasłona nagle się odsuwa i naszym oczom ukazuje się Natasza.

– Nie wiem, co wyprawiacie za tą zasłonką, ale wygląda to niedorzecznie – szepcze przez zaciśnięte zęby, uśmiechając się na pokaz.

– Natasza, lada chwila oszaleję. Pomóż Brockowi pozbyć się Bena.

– No, widzę, że ci odbija... – mamrocze pod nosem mój brat, po czym wraca na swoje stanowisko i rozdaje programy.

Tasza chwyta mnie za dłoń i mówi ze współczuciem:

– Mała, wszystko gra, uspokój się. Zajmiemy się tym. Idź usiąść, a ja załatwię tę sprawę.

Kiwam głową.

– Poprosisz Bena, żeby sobie poszedł?

– Naturalnie – odpowiada, wciąż sztucznie się uśmiechając.

Kiwam głową raz jeszcze i fala zdenerwowania zaczyna ustępować.

– Dobrze, cieszę się.

Wracam i zajmuję miejsce obok Erica, który obejmuje mnie ramieniem i całuje w czoło. Rozglądam się ukradkiem, aż zauważam Bena piorunującego mnie wzrokiem z drugiego krańca kościoła. Wygląda, jakby chciał tu podejść i znokautować mojego faceta.

Czy to jakiś żart?

Łamie mi serce, zostawia mnie, nie odzywa się przez pięć lat, aż tu nagle wyskakuje i zachowuje się, jakby miał prawo być zazdrosny.



Za kogo on się uważa, do cholery?

Zaczynam się pocić.

Dostrzegam, że Joshua i Cameron mają banany na gębach i doskonale się bawią moim kosztem. Dostali znakomite miejscówki, z których mogą obserwować całe przedstawienie.

Ponownie zerkam ukradkiem na Bena – nadal świdruje mnie wzrokiem, ma gdzieś jakiegokolwiek pozory. Mierzę go spojrzeniem spod przymrużonych powiek.

*Co za dupek.*

Pojawia się, niezapowiedziany, i oczekuje, że padnę przed nim na plecy i z zachwytem rozłożę nogi. Ach, cóż za zaszczytny dzień, nasz władca raczył powrócić! Niechaj żyje nam król Ben!

Cóż – mam dla niego w chuj smutne wieści.

Eric zaczyna zataczać opuszkami palców kręgi na moim odsłoniętym ramieniu, patrząc przed siebie w nieświadomości, a ja dosłownie czuję, jak strużki potu spływają mi po plecach.

*Jasny gwint, potrzebuję mocnego drinka.*

– Bridget – mówi ktoś ostro.

Podnoszę wzrok i widzę stojącego nade mną Bena.

– Mogę cię prosić na słowo?

Patrzę na niego, przerażona, a krew odpływa mi z twarzy.

– Teraz?

– Teraz.

Eric robi zdziwioną minę, ale uśmiecham się do niego sztucznie.

– Zaraz wrócę, kotku. – Całuję go w policzek i wstaję.

Mama i Tasia obserwują, jak wychodzę z kościoła, a Ben kroczy tuż za mną.

Wypadamy na zewnątrz, prosto na pannę młodą i drużny, które pozują właśnie do zdjęć w samochodach.

Ben ciągnie mnie za róg kościoła.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – szepczę, wrywając się z uścisku.

– Przypierdolę mu, jeśli jeszcze raz cię dotknie – warczy.

– Słucham? – pytam. – To mój facet. Może mnie dotykać, gdy tylko ma ochotę.

– Nie może.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Jesteśmy na ślubie. Zniknąłeś z mojego życia na pięć lat. Nie masz prawa wracać i zachowywać się jak jakiś jaskiniowiec.

– Ostrzegam cię – mówi, grożąc mi palcem. – Pozwolisz mu się dotknąć i gość leży.

– Co?! – wrzeszczę, na moment zapominając, gdzie jesteśmy. Rozglądam się, zażenowana.

Ben zadziera hardo podbródek, co przelewa czarę mojej goryczy.

– Och, będzie leżał, żebyś wiedział, że będzie. Na mnie. – Uśmiecham się sztucznie i dla efektu stukam palcem w brodę, jakbym się zastanawiała. – A może ja na nim...

– Dość tego – warczy i szarpie mnie za rękę. – Do samochodu.

– Co takiego? Całkiem ci odjechało?! – syczę.

– Jedziemy stąd!

– Ben, do kurwy nędzy! Jestem na rodzinnym weselu! Ty wracaj do domu!

Zza rogu wyłania się ksiądz.

– Wchodzimy – oświadcza z błogim wyrazem twarzy.

– Dziękuję – odpowiadam, wymuszając uśmiech.

Twarz Bena goreje ze złości. Jeszcze nie widziałam go tak rozjuszonego.

– Bridget, naprawdę cię ostrzegam. Jeżeli chcesz uniknąć sceny, to lepiej zadbaj, żeby cię nie dotykał.

– Jak śmiesz?

– Nie prowokuj mnie. To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie – warczy.

Udaje mi się uśmiechnąć przez łzy. Nie mogę w to uwierzyć.

– Dziękuję ci, Ben. Serdecznie ci dziękuję.

– Za co? – pyta niepewnie.

– Za zrujnowanie wszystkich pięknych wspomnień, jakie z tobą miałam. – Mina mu rzędzie. – A teraz wypierdalaj z mojego życia.

Z łomoczącym w piersi sercem wbiegam z powrotem do kościoła i zajmuję miejsce między moim chłopakiem a moją siostrą.

\*\*\*

## Ben

Siedzę przy stoliku z Joshuą i Brockiem, moimi najlepszymi kumplami.

Oni to kumają. Rozumują dokładnie jak ja.

Wszyscy nazywamy Joshuę Stanem, bo zawsze wydaje się taki oficjalny.

Na przyjęciu wodzę wzrokiem za Bridget, jak jakiś chorobliwie zabujany szczeniak. Przez ostatnie pięć lat nieustannie o niej myślałem, lecz przebywanie z nią w jednym pomieszczeniu i znoszenie tego, że kompletnie mnie ignoruje, to zupełnie nowy rodzaj tortur.

Jakbym przestał istnieć.

Może przestałem...

Zachowuję się, jak chciała, i cały wieczór trzymam się na dystans. Nadal myślę nad jej ostatnimi słowami: „Dziękuję ci za zrujnowanie wszystkich pięknych wspomnień, jakie z tobą miałam”.

Czy wracając, narobiłem więcej złego niż dobrego?

Ciaży mi ta myśl.

Didge tańczy z Adrianem i Nataszą. Bez przerwy się śmieje i jest tak piekielnie seksowna, że nie potrafię oderwać od niej wzroku, choć bardzo się staram. Nigdy nie wyglądała piękniej.

Dobija mnie, że jest tu z innym... I to z kimś takim.

W normalnej sytuacji pewnie mógłbym się zakumplować z tym jej Erikiem.

Brock powiedział, żebym szybko przytargał tu dupsko, bo Bridget poznała kogoś, w kim naprawdę może się zakochać. Kogoś naszego pokroju.

Spóźniłem się?

Sączę szkocką i próbuję blokować emocje. Wyciszałem je przez pięć lat, ale po powrocie nie umiem trzymać ich na wodzy.

Zaraz mi odjebie. Krew we mnie buzuje jak w gotującym się kotle furii.

Popchnąłem ją mocniej w jego ramiona?

– Chłopie, po prostu zadzwoń do niej jutro – próbuje mnie uspokoić Brock.

Opieram się na krześle, biorę głęboki wdech i patrzę na ich roztańczoną trójkę. Przełykam nerwowo ślinę.

– Stary, mówiłem ci już lata temu, że powinieneś powiedzieć jej już wtedy – wzdycha Stan.

Drapię się po głowie z bezsilności.

– Wiesz, że nie mogłem.

– A powiesz jej teraz? – zaciekawia się Brock.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie chcę, żeby wiedziała o tym gównie.

Obaj kiwają głowami i wszyscy zatapiamy się w myślach.

– Ben, prawda?

Podnoszę spojrzenie i widzę Erica, faceta Bridget, który stoi przy naszym stoliku. Kiwam głową i unoszę pytająco brew.

– Tak – dodaję sucho i biorę łyk szkockiej.

Wspomnienia nadal sprawiają, że serce mocniej wali mi w piersi.

*Odejdź ode mnie, bo cię, kurwa, zabiję.*

– Zechciałbyś mi powiedzieć, czego chciałeś od mojej dziewczyny w kościele?

Zerkam na Josha i Brocka, którzy wymieniają się spojrzeniami i piją drinki z krzywymi uśmieszkami na gębach.

Patrzę mu w oczy.

Ma jaja, to trzeba mu przyznać. Niewielu ludzi startuje do mnie z własnej, nieprzymuszonej woli.

– Zaznaczam, że to moja dziewczyna – cedzę.

Uśmiecha się przesadnie.

– Spierdalaj, kretynie.

Unoszę brew, sącząc swojego drinka. Ciągłe mierzymy się wzrokiem.

– Czego chcesz? – szczeka.

– Bridget – odpowiadam bez wahania.

Joshua zerka to na mnie, to na niego i nie jest w stanie opanować szerokiego uśmiechu.

– Nie dostaniesz jej, kurwa.

– No to patrz.

– Na zewnątrz, kutasie – warczy.

Zrywam się z krzesła, podczas gdy on odwraca się i wychodzi głównymi drzwiami.

Krocę tuż za nim.

# Rozdział 4

## Bridget

Zaśmiewam się, obserwując, jak Tasza próbuje skakać do kawałków lecących z głośników. Zderzają się z Adrianem piersiami, próbując wykonywać jakąś dziwną kombinację ruchów.

– Houston, mamy problem – mówi nagle poważnie Adrian, patrząc gdzieś ponad moim ramieniem.

Obracamy się jak na komendę i widzimy Erica. Stoi nad stolikiem Bena i nie jest zachwycony.

Wytrzeszczam oczy.

Brock i Joshua uśmiechają się pod nosami.

– Cholera, co tam się dzieje?

Tasza patrzy na nich ze ściągniętymi brwiami.

Nagle Ben zrywa się z krzesła i wychodzą z Erikiem na zewnątrz.

– Co tam się, do jasnej cholery, dzieje?! – powtarzam z trwogą.

Stoimy we troje jak wryci i obserwujemy, jak Joshua i Brock wymieniają się uśmiechami, po czym też wstają i ruszają za tamtymi dwoma.

– Kurwa mać. – Rzucam się biegiem, a Tasza i Adrian są tuż za mną. – O, nie.

– Zastrany Ben – mówi za moimi plecami Adrian. – Gość całkowicie wyrwał się spod kontroli.

Wybiegamy do foyer, gdzie Tasza ślizga się na marmurowej posadzce i wpada na wieszak.

– O mój Boże – piszczy Adrian, pomagając jej stanąć pewnie na nogach. – Wszystko dobrze? Patrz pod nogi.

Za nami pojawia się zdziwiony Max.

– Co tu się dzieje?

– Adrian, nienawidzę tych butów. Następnym razem sam będziesz sobie w nich chodził – odgraża się Tasza z podłogi. – Odtąd chodzę

tylko w trampkach.

– Cóż, moje buty też trafią po dzisiejszej nocy do kosza – stwierdzam, podając jej rękę. Nie żartuję, są niebywale niewygodne.

– Posprzątajcie to – rozkazuje Max dwóm maszerującym za nim ochroniarzom, a oni stawiają wieszak i poprawiają roztrącone przez Taszę kwiaty.

– Ben oszalał – warczy Adrian. – Musicie go ogarnąć.

Max wyszczerza zęby w uśmiechu, a Tasia kręci głową z niesmakiem, po czym ruszamy dalej.

Wypadamy przez główne drzwi i rozglądamy się, ale nikogo nie widać. Patrzymy w lewo, patrzymy w prawo. Nikogo nie ma.

*Gdzie oni się podziali?*

Wpatruję się w ciemność, serce łomocze mi w piersi.

– Odpuść sobie, kurwa! – Zza budynku dochodzi mnie niski warkot Erica.

– Tędy! – wołam.

Zbiegamy szerokimi kamiennymi schodami.

– Natasza, zdejmij buty! – krzyczy za nami Max. Jest ochroniarzem Tasi, więc dba wyłącznie o jej bezpieczeństwo.

– Zamknij się, Max! – odkrzykuje moja siostra, pokonując schody.  
– Mam teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Skręcamy za róg budynku, gdzie ukazują nam się Eric oraz Ben. Trzymają się za kłapy marynarek, pogrążeni w bardzo gorącej wymianie zdań.

Adrian zatrzymuje się i robi zdumioną minę.

– Ben! – krzyczę. – Przestań!

– Wracaj do środka, Bridget – nakazuje mi Eric.

Rozglądam się i widzę, że pod murem budynku stoją Joshua i Brock, który ćmi sobie spokojnie papieroska, jakby oglądał jakieś przedstawienie teatralne.

– Powiem to tylko raz i nie będę powtarzał, fajfusie... Nie zbliżaj się, kurwa, do Bridget – ryczy Eric prosto w twarz Bena.

– Idź do diabła – syczy Ben.

Biegnę do nich, wytrzeszczając oczy.

Joshua stawia krok naprzód i łapie mnie w pól, ale walczę, żeby mu się wyrwać.

Eric bierze zamach i wali Bena prosto w twarz.

Ben oddaje Ericowi i zaczynają się szamotać.

– Przestańcie! Natychmiast! – wrzeszczy Natasza.

– Zrób coś! – krzyczy Adrian do Maksa.

Wyrywam się i rzucam naprzód sprintem.

Ben chyba osiąga przewagę.

– Ben, przysięgam, że jeśli jeszcze raz go uderzysz, to więcej się do ciebie nie odezwę – zawodzę.

Ben zerka na mnie i po jego minie widać, że dotarło do niego, co zrobił.

Eric wyrywa się trzymającemu go za koszulę Benowi, odpycha go mocno i ryczy:

– Masz przejebane!

Następnie podchodzi do mnie.

– Jedźmy do domu – szepczę, patrząc na niego przez łzy.

– To było ostatecznie ostrzeżenie – rzuca jeszcze do Bena.

Ben piorunuje go wzrokiem, zaciskając pięści, jakby z całych sił się powstrzymywał. Dyszy ciężko, w jego ciele na pewno szaleje adrenalina.

Łapię Erica za rękę i wracamy przed budynek, gdzie wszyscy obserwują nas w kompletnej ciszy.

– Muszę wrócić po torebkę – mówię cicho.

Eric kiwa głową i wchodzimy po schodach, trzyma mnie delikatnie w talii.

Kieruję się prosto do naszego stolika, zabieram swoje rzeczy i wychodzimy. Gdy odjeżdżamy, spoglądam za budynek i widzę Bena, który patrzy nawiedzonym wzrokiem, jak znikam ze swoim chłopakiem. Są z nim Joshua, Tasza, Brock i Adrian.

Jest taki smutny. Wiem, że może winić wyłącznie siebie, ale dlaczego to mnie zżerają wyrzuty sumienia? Nic złego nie zrobiłam, więc czemu czuję się jak gówno?

– Przenocujesz dziś u mnie – stwierdza sucho Eric, wyjeżdżając z parkingu.

Zaczyna padać, na przednią szybę lecą ciężkie krople deszczu, a wycieraczki włączają się automatycznie.



Patrzę przed siebie oczami pełnymi łez. Eric boi się, że w nocy, gdy pójdzie do pracy, zjawi się u mnie Ben?

*Może w takim razie powinnam wrócić do siebie... Mam nadzieję, że u Bena wszystko dobrze.*

Poczucie winy wali mnie prosto w żołądek. Nie powinnam przejmować się teraz Benem.

*Boże, co za bałagan.*

Opieram głowę o zagłówek i skupiam się tylko na tym, żeby nie rozbeczeć się jak dziecko.

\*\*\*

Leżę w ciemności i obserwuję na ścianie taniec cieni rzucanych przez telewizor.

Jest czwarta nad ranem.

Ciągle mam przed oczami minę Bena, gdy odjeżdżaliśmy z Erikiem. Wiem, że nie powinno mnie to gryźć, że nie powinnam się nim przejmować.

Ale robię to. Nie umiem tego wyłączyć.

Bez przerwy wracam do naszej ostatniej nocy, gdy przyszedł się pożegnać.

„Patrzę na ciebie, jakbym cię pragnął... bo cię pragnę” – szeptał. „Bridget, ty nawet nie masz pojęcia, jak bardzo cię pragnę i jak trudno jest trzymać mi się na dystans”.

Co rozumiał przez to, że trudno jest mu trzymać się na dystans? Dlaczego właściwie musiał to robić?

W ciągu ostatnich lat wiele o tym myślałam, ale nadal nie rozumiem. Dziś ponownie wracam myślami do tamtych chwil.

„Didge, mam przeszłość, która nie może cię dopaść. Nie mogę wprowadzić jej w twoje życie”. Kręciłam głową z niedowierzaniem i pytałam: „O czym ty mówisz? Wszyscy mamy jakąś przeszłość. Ben, razem coś wymyślimy”. On wtedy wyszeptał smutno: „Żegnaj, Bridget” i próbował wstać, ale złapałam go za nadgarstek. Błagałam: „Nie, nie odchodź. Nie opuszczaj mnie. Kocham cię”. Pochylił się wtedy i delikatnie mnie pocałował, mówiąc: „Zapamiętaj mnie

z miłością, aniele”. Patrzyłam na niego przez łzy i wyszeptałam: „Ja też cię kocham”.

Ben ma przeszłość, która nie może mnie dopaść. O co mu chodziło, do cholery? O służbę w wojsku? Dlaczego miałyby mieć jakiś wpływ na moje życie?

To nie ma za grosz sensu. Wracam też do jego słów z przedwczoraj: „Chciałem wrócić po ciebie szybciej, ale... pewne sprawy okazały się bardziej skomplikowane, niż sądziłem”. Nie rozumiałam, więc dopytywałam: „Jakie sprawy?”, a on rzucił: „Moja praca”. To mnie wkurzyło. Rozdrażniona, krzyknęłam tylko: „Kurwa mać, Ben. Mów jak człowiek”. Wtedy powiedział: „Chcę drugiej szansy”.

*To dlatego wrócił po tylu latach?*

Podnoszę się na łokciu i włączam lampkę stojącą na szafce przy łóżku. Przewracam się na bok i przerabiam w myślach dzisiejsze wesele, naszą rozmowę.

Biorę komórkę, patrzę w nią przez chwilę, mam kołowrotek myśli.

Ciekawe, czy wyszedł gdzieś dziś w nocy z Camem i Brockiem.

Jest wpół do piątej nad ranem.

Przewijam nasze wiadomości z piątku i nim zdołam się powstrzymać, piszę SMS:

**Śpisz?**

Wciskam „wyślij”, zanim mózg nadąży za palcami.

*O, nie, co ja wyprawiam, do ciężkiej cholery?*

Telefon zaczyna dzwonić niemal natychmiast, a na ekranie pojawia się jego imię.

*Cholera.*

Serce zaczyna galopować mi w piersi.

Odbieram.

– Halo... – szepczę w ciemność.

– Cześć.

Przymykam oczy na dźwięk jego pięknego głosu. Oboje milczymy, z nerwów mnę kołdrę między palcami.

– Wszystko w porządku? – pyta łagodnie.

Ściska mnie w gardle.

– Tak – szepczę w odpowiedzi, choć wcale nie jestem tego pewna.

– A u ciebie?

Na dłuższą chwilę na linii zapada cisza.

– Nie bardzo.

Czuję ukłucie w sercu, ściągam brwi, zmartwiona.

– Dlaczego?

– Bo chciałbym być teraz przy tobie – odpowiada.

Wzruszenie zaraz rozsadzi mi gardło, moje oczy zachodzą łzami, ponieważ... Kurczę, co za bajzel. Łącząca nas bliskość nie zniknęła. Jest wręcz namacalna. Gdy on cierpi, ja również cierpię.

Milczę przez chwilę, myślę nad inteligentną odpowiedzią.

– Ben... – szepczę.

– Drugi raz nie odejdę. Obiecuję.

Już nie walczę ze łzami, które spływają mi po policzkach. Pragnę mu wierzyć. Tak rozpaczliwie pragnę mu wierzyć.

– Ben. – Zamykam oczy. – Możemy być tylko przyjaciółmi.

– Nie rób tego. Nie proś mnie o to.

– Ale...

– Didge, nie mogę patrzeć, jak jesteś z innym – wchodzi mi w słowo.

Wykrzywiam twarz w rozpacz.

– Wolałbyś całkowitą rozłąkę niż przyjaźń? – pytam szeptem.

Cisza.

– Ben, nie możesz się tak zachowywać. – Rozglądam się po spowitym w mroku pokoju, próbuję wyartykułować myśli. – Jeśli nie przestaniesz, w końcu się znienawidzimy.

– Nie mógłbym cię znienawidzić – szepcze.

Łzy powoli spływają mi po twarzy.

Brzmi tak smutno. Wiem, że powinnam się rozłączyć, ale nie robię tego. W tej chwili, po tylu latach, jestem z nim blisko i chcę pozostać w tej bliskości.

*Przestań. Rozłącz się.*

– Jesteś w domu? – pyta.

Rozglądam się dookoła. Jestem w pokoju Erica, leżę w jego łóżku i potajemnie rozmawiam z innym mężczyzną... Do tego wcale nie

chcę się rozłączać.

*Co ze mnie za człowiek?*

– Ben, muszę kończyć.

Milczy, ale ja pozostaję na linii.

*O Boże, rozłącz się. Proszę...*

Lecz czekamy, jakby żadne z nas nie chciało kończyć tej rozmowy.

– Dobranoc, Didge – szepcze w końcu.

Zamykam oczy. Mam tak ściśnięte gardło, że z trudem mówię:

– Dobranoc, Ben.

Znowu cisza.

*To niedorzeczne. Po prostu się rozłącz.*

Klikam czerwony guzik, padam na plecy i gapię się w sufit. Szaleją we mnie dezorientacja i wyrzuty sumienia, łzy spływają mi do uszu.

*Co za burdel.*

Budzi mnie trzask drzwi wejściowych.

Przewracam się na bok i odruchowo zakrywam kołdrą. Jest mi ciepło i miło, prawie nie zmrużyłam oka, ale teraz nareszcie poczułam się komfortowo.

Do pokoju wkracza Eric – już po nocnej zmianie. Z impetem podnosi żaluzje, aż mrużę oczy.

– Dzień dobry, Bridget. – Uśmiecha się i bierze pod boki.

– Hmm... – burczę, niezadowolona, z przymkniętymi powiekami.

– Powiedz mi... Kim jest ten Ben? – pyta, siląc się na swobodę.

*Hę?*

Otwieram oczy.

– Co?

– W robocie trochę pogrzebałem. Był kiedyś ochroniarzem Joshui Stantona.

Marszczę czoło jeszcze mocniej.

*Cholerka, wiedziałam, że nie odpuści.*

– No i? – wzdycham.

– Jak dobrze go znasz?

– Słucham? – Wstaję z łóżka i mijam go w drodze do łazienki. Nie chce mi się użerać z tym szajsem. – Jak sam powiedziałeś: pracował u Josha w ochronie. Stąd go znam – wołam z łazienki.

– I umawiałaś się z nim?

*Ja pierdolę.*

Myję ręce i wracam do sypialni.

– Bridget?

– No... tak jakby – wzdycham.

– Długo byliście razem?

– Eric, po prostu odpuść.

– Nie, nie odpuszczę. Jak długo byliście razem?

– Kilka miesięcy. Lata temu, to już nieważne – kłamię, wracając do łóżka i nakrywając się kołdrą, żeby uciec od tego przesłuchania.

Niestety on zrywa przykrycie i patrzy mi prosto w oczy.

– Kto zakończył ten związek?

Drapię się po głowie, rozdrażniona.

– Moglibyśmy zapomnieć o przeszłości? Dopiero wstałam!

– Otworzyłem jego zawieszony śledztwo.

– Słucham?

– Był oskarżony o morderstwo. Wznowiłem śledztwo.

– Co takiego?! – rzucam i siadam prosto. – Eric, co?! Do chuja!

Patrzy mi głęboko w oczy.

*Czy to jakaś podpucha?*

– Aż tak się zafiksowałeś, że musiałeś wznowiać durne śledztwo sprzed sześciu lat? – warczę, wychodząc z łóżka.

Nie mogę w to uwierzyć.

– Opowiedz mi o zamordowanej prostytutce.

Cholera, naprawdę przyglądał się tej sprawie. Zaczynam się ubierać, bo nagle zrobiło mi się piekielnie zimno.

– Zanim Joshua poznał Nataszę, spędził kilka nocy z ekskluzywną prostytutką. Pół roku później, gdy już był z moją siostrą, ta prostytutka zaczęła grozić, że jeśli nie zapłaci jej kilku baniek, to upubliczni nagranie ich wspólnego seksu.

– I zapłacił?

Wykrzywiam twarz.

– Nie, ale chciał. Ta kretynka szantażowała wielu ludzi interesu i najwyraźniej w końcu wkurzyła niewłaściwego człowieka. Znaleźli ją martwą w dokach.

– Co ci wtedy opowiadali?

– Kto?

– Twój szwagier i jego pierdolony goryl.  
Włoski na karku stają mi dęba. Wymierzam w niego palec.

– Eric... – zaczynam spokojnie. – Mów o Benie, co chcesz, ale ani złego słowa o Joshui. Nie waż się. Jesteśmy rodziną.

– Nie ufam mu – szczeka.

– Komu?

– Jebanemu Stantonowi.

– Co takiego?! – Zaczynam w pośpiechu zbierać ubrania.  
*Wynoszę się stąd. Na serio mnie wkurzył.*

Naciągam wściekle koszulę, żeby trochę ją rozprostować.

– Do twojej informacji: Joshua jest dla mnie jak brat. Nie masz prawa mówić o nim źle. Nie mieli z tym nic wspólnego.

– Pier-do-le-nie. Są w tym ujebani po uszy. Ben ją załatwił, żeby chronić swojego drogocennego szefunia.

– Chyba ci się coś, kurwa, w głowie poprzestawiało. Jak śmiesz?!

– Och, śmiem.

Zarzucam koszulę na ramiona.

– Dokąd się wybierasz?! – warczy.

– Do domu!

– Zabraniam ci zbliżać się do Joshui Stantona lub jego domu.

Unoszę brwi, zdumiona.

– Słucham?

– Nie chcę, żebyś zbliżała się do Bena. To pierdolony kryminalista. Nie ufam żadnemu z nich.

– Nie jest żadnym kryminalistą! – krzyczę. – To moja rodzina. Więc niby co?! Nagle nie mam prawa iść do domu siostry?!

– Dokładnie tak. Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy, żeby tam iść.

– Wal się! – Kręcę wściekle głową. – Dość tego. Odchodzę. Jeżeli myślisz, że masz prawo mówić mi, gdzie mogę, a gdzie nie mogę chodzić, to grubo się mylisz. Moja siostra i jej mąż są dla mnie nietykalni.

– Sprowadzam ich na przesłuchanie. Co twój brat wie o tym wszystkim?

– Nie mieszaj w to Brocka. – Kręcę głową z niedowierzaniem. – Od tego awansu chyba sodowa uderzyła ci do łba. Może poświęciłbyś

więcej czasu na prawdziwe śledztwa? – cedzę.

– Przejrzałem w nocy zebrane dowody. On tam, kurwa, był. W jej domu. I mogę tego dowieść. Jeśli zidentyfikuję pozostałe dwa wzorce odcisków palców, to będę mógł przeprowadzić aresztowanie.

Łapię moją torebkę. Serce galopuje mi jak oszalałe.

– Prześpij się, bo majaczysz.

– Wracam do pracy. Nie waż się dzisiaj zbliżyć do domu siostry.

Potrząsam głową i wypadam przez drzwi.

– Nie mów mi, co mam robić, Eric. Nie będziesz mi mówił, gdzie mam chodzić.

– Jeszcze zobaczymy! – woła za mną.

Trzaskam drzwiami i zbiegam po dwa schody na raz.

*O Boże. O Boże.*

Muszę powiadomić Joshuę.

\*\*\*

Zatrzymuję się przed domem Nataszy i jej męża. Ulica jest szeroka, wzdłuż jezdni rosną stare, wysokie drzewa. Nieruchomość otacza ogrodzenie z litego, białego betonu. Na środku jest brama z piaskowca.

Otwieram ją kluczem i od razu spotykam ochroniarza.

– Dzień dobry, Bridget – wita mnie z uśmiechem Marcus.

– Cześć.

Marcus to jeden z ochroniarzy Nataszy. Dobrze go znam.

Zerkam na zegarek, wpół do dziewiątej. Wiem, że wszyscy będą już na nogach, bo dzieciaki wstają dobrze przed wschodem słońca.

– Wcześniej dziś wpadłaś – dodaje serdecznie.

– Owszem – odpowiadam i pośpiesznie ruszam w stronę domu, bo zapowiada się na jebaną katastrofę.

– Są z tyłu – rzuca za mną.

– Dzięki.

Przechodzę przez dom, gdzie wita mnie zapierający dech w piersiach widok na port, rozciągający się za sięgającymi od podłogi po sufit oknami. Wszystko w środku jest z białego i szarego drewna, utrzymane w stylu Hampton<sup>1</sup>. Tasia i Joshua kupili ten dom jakiejś

trzy lata temu, bo mojej siostrze zależało na własnej przystani w Sydney.

Miło mieć ich tak blisko.

Z ogródka za domem dobiega mnie śmiech dzieci, więc idę w tamtą stronę, wychodzę na taras i rzeczywiście widzę piszczących Jordana i Blake'a, którzy skaczą na trampolinie.

Joshua przygląda się temu, trzymając Ellie.

Jordana ma cztery lata, żywe srebro. Niezłe z niej ziółko, po tatusiu.

Ellie ma trzy lata, jest słodka jak aniołek i owinęła sobie tatusia wokół małego palca. Mnie też. Mogłabym ją schrupać.

Blake wkrótce skończy dwa lata. Trudno o większego dzikuska w tym wieku.

– Cześć wam! – wołam, schodząc do nich po schodkach.

– Didge, patrz, jak wysoko umiem skakać! – krzyczy do mnie Jordana, popisując się swoją skocznością. Wyskakuje najwyżej, jak potrafi, a w górze rozkłada kończyny jak do gwiazdy.

– Wow! – odpowiadam z uśmiechem, gdy skacze coraz wyżej.

Joshua odstawia Ellie i podtrzymuje teraz Blake'a, który również próbuje się odbijać.

– Gdzie Tasia? – pytam, rozglądając się za siostrą.

– Bierze prysznic – odpowiada Joshua, skupiając uwagę na synku.

– Wcześniej się zerwałaś – parska.

– Tak, wiem... – mamrocę, rozkojarzona. – Wow – dodaję z podziwem, gdy Blake próbuje dorównać siostrze skokami. – Ale wysoko!

– Ja umiem wyżej – wtrąca Jordana, zdenerwowana, że jej braciszek przyciągnął moje zainteresowanie.

Joshua przewraca oczami, bo tych dwoje bez przerwy ze sobą rywalizuje.

– Jordana, pozwól bratu poskakać trochę wyżej, nie wszystko kręci się wokół ciebie – napomina ją ojciec.

Jednak ona jest jeszcze bardziej rozdrażniona i gdy malec się wybija, przytrzymuje go i wytrąca z równowagi.

Blake przewraca się, ale natychmiast się podnosi i próbuje wymierzyć siostrze cios piąstką.



– Psieśtań! – krzyczy.

– Ej, dość tego! – woła do nich Joshua.

Chichoczę.

Boziu, ale mają urwanie głowy z tą czeredą. Dom wariatów, delikatnie rzecz ujmując.

– Pójdę poszukać Taszy.

– Okej, spoko... – mamrocze nieobecny myślami Joshua, próbując rozdzielić dzieci.

Wracam do środka i wchodzę na piętro do sypialni Nataszy i Josha. Zastaję siostrę w jej wielkiej garderobie. Właśnie się ubiera.

– Hej, maleńka – wita mnie, zakładając stanik. – Co się stało? Zmoczyłaś łóżeczko?

– Nie. Tazsa, słuchaj, Eric ponownie otworzył śledztwo w sprawie Bena.

– Co takiego? – pyta, zaniepokojona.

– Kazał mi się trzymać z daleka od Bena i... – powstrzymuję się. Nie chcę jej mówić, że mój chłopak ma też podejrzenia względem jej męża.

– W jakiej sprawie? – pyta cicho, wciągając na tyłek dzinsy.

– Tej nierozwiązanej.

– Dlaczego? – dziwi się.

– Bo jest jebanym kretynem. Dlatego – szepczę wściekle.

– Ja pierdołę... – przeklina i zasępia się na moment. – Cóż, niczego nie znajdzie.

– Trochę jakby się pokłóciliśmy.

– Spodziewam się.

– Ben zachował się wczoraj jak kutas.

– No wiem.

– A Joshua i Brock bynajmniej nie pomagali – dodaję.

Tazsa kiwa głową, siada na łóżku i zakłada buty.

– Myślę, że na nich też Eric mógł się wkurzyć.

– Co się stanie, jeśli zechce przesłuchać Bena? Co wtedy będzie?!  
– szepczę, spanikowana.

– Po prostu powiedz Benowi wszystko, co wiesz. Będzie mógł się przygotować i nie da się podejść.

– Nawet nie wiem, gdzie się zatrzymał – odpowiadam.

– Jest tutaj.

– Co? – pytam, zdziwiona. – Jak to?

– W gościnnym skrzydle. I zostanie tu, dopóki nie znajdzie sobie mieszkania.

– Żartujesz sobie, kurwa? – szepczę. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Powinnaś się domyślić. Myślałaś, że Josh pozwoliłby mu nocować gdzieś indziej? Dziś będą mu szukali jakiegoś lokum.

Gapię się na nią ze zmarszczonym czołem.

– Czyli on myśli serio o zamieszkaniu w Australii?

– Tak – mówi, wzruszając ramionami. – Na to wychodzi. Wydaje mi się, że w najbliższym czasie nigdzie się stąd nie wybiera.

– Ja pierdolę – szepczę. – Ma wracać, skąd przyleciał, do stu diabłów. Przecież to katastrofa.

Uśmiecha się i zaczyna rozczesywać włosy.

– Natasza, to nie jest śmieszne.

– A mnie się wydaje całkiem zabawne – parska ironicznie.

– Niewiarygodne.

Wychodzę pośpiesznie, maszeruję do końca korytarza i wspinam się na kolejne schody.

Gościnne skrzydło ma niezależną sypialnię, zbudowaną nad czteromiejscowym garażem.

Przez moment stoję przed zamkniętymi drzwiami i przygotowuję się na spotkanie. Pukam cicho, ale nikt nie odpowiada. Pukam drugi raz, nadal cisza. W końcu przewyciężam strach i ostrożnie otwieram drzwi.

Ben twardo śpi, rozpostarty na łóżku w pozycji orła.

Całkiem nagi.

Skreca mnie w żołądku.

*Ja jebię, jaki on piękny.*

# Rozdział 5

## Bridget

Stoję w nogach łóżka i obserwuję, jak klatka piersiowa Bena unosi się i opada. Jego wysportowane ciało jest jak łańcuch górski mięśni, a przyjemnie ciemna skóra kontrastuje z bielą pościeli. Ma rozłożone nogi i zamknięte oczy, jedną rękę założył za głowę.

Jego tors porastają kępki ciemnych włosów, a na brzuchu widać wyraźny ośmiopak. Wiodę wzrokiem niżej i aż zasycha mi w ustach.

Zawsze był okazałym mężczyzną, ale... Jasna cholera. Na usta ciśnię się słowo: „Adonis”.

Motyle latają mi w brzuchu, ściska mnie w gardle.

Zerkam na drzwi. Nie powinnam tu wchodzić i gapić się na niego bez jego wiedzy.

*Cholera.*

Siadam na łóżku, niepewna, co robić, i spoglądam na jego krocze.

*Kurwa, jaki on piękny.*

Nagle się wierci, otwiera oczy i przez chwilę patrzy na mnie bez cienia emocji, po czym jego usta rozciągają się w leniwym, seksownym uśmiechu.

– No, miło się budzić i mieć w zasięgu wzroku taką śliczną buźkę – szepcze sennie.

Spoglądam na niego i nie wiem, jak zareagować, bo właśnie przyłapał mnie na bezwstydnym podglądaniu go. Ale chyba nie ma mi za złe. Jeżeli chodzi o sferę seksualności, zawsze był bardzo pewny siebie. Wychodzi na to, że nic się nie zmieniło.

– Dzień dobry, aniele – szepcze.

Zaskakuje mnie tym zwrotem. Czyżby pamiętał, że dawniej też mnie tak nazywał?

– Mógłbyś coś na siebie włożyć? – pytam szeptem.

Uśmiecha się sennie.

– O co chodzi, maleńka? Nie podobam ci się goły?

Kręcę tylko głową, bo kłamstwo nie chce mi przejść przez usta.

Ben, wybudzając się porządnie, zaczyna gładzić się po fiucie.

Muszę odwrócić wzrok.

– Ben... – warczę. – Przestań.

Parska pod nosem, zakrywa się kołdrą, po czym zakłada za głowę obie dłonie i rozciąga się wygodnie na materacu. Oczywiście łobuzersko mu lśnią, ma w nich chłopięcy urok.

– Mamy problem... – mamroczę.

Unosi brew i kącik ust jeszcze wyżej.

– Nie o to mi chodzi.

– A o co?

– O twojego kutasa.

Ben rechocze.

– Mój kutas nie stanowi dla mnie problemu. A dla ciebie?

*Na miłość boską... Jasne, że stanowi dla mnie problem.*

– Nie bądź śmieszny – szepczę, zirytowana. – To nie jest żart.

– Ale co?

– Eric przyjrzał się w nocy tej nierozwiązanej sprawie. Rano wrócił z pracy i zażądał, żebym się do ciebie nie zbliżała. Powiedział, że ma dowody świadczące o twojej winie.

– A jednak przyszłaś.

Siedzę na jego łóżku i patrzę mu w oczy. Ładnie pachnie – mydłem, męskością i seksem, które mieszają się w nieziemskie perfumy.

– Ben, bądź poważny – napominam go cicho. – To naprawdę nie są żarty.

Kiwa głową i poklepuje materac obok siebie.

– Połóż się i opowiedz dokładnie, co od niego usłyszałaś.

Niewiele myśląc, kładę się na plecach obok Bena.

– Boże, to była katastrofa. Powiedział, że ma dowody twojej winy. Naprawdę je ma? Zrobiłeś to, Ben? – pytam szeptem.

– Oczywiście, że nie. Przecież wiesz.

– Wyglądał na naprawdę przekonanego i powiedział, że gdy tylko zidentyfikuje pozostałe dwa wzorce odcisków palców, to będzie mógł przeprowadzić aresztowanie – wzdycham.

Kręci głową, chyba w końcu się tym zainteresował.

Zerkam na niego niespokojnie.

– Jest źle, Ben. Martwi mnie to.

Podpiera się na łokciu i nagle jestem dobitnie świadoma, że leżę na plecach w jego łóżku, a on jest pod kołdrą kompletnie nagi. Spuszcza wzrok na moje usta, jakby doznał tego samego olśnienia.

– Nie chcę teraz rozmawiać o Ericu – mruczy.

Patrzę na niego i czuję, jak krew zaczyna mi szybciej krążyć w żyłach. Przez chwilę wyobrażam sobie jego usta na mojej skórze, po czym przękam ślinę przez ściśnięte gardło i odwracam wzrok.

– Myślałem o tym, co powiedziałaś... – kontynuuje, a ja marszczę czoło. – Spróbujmy – szepcze.

– Czego? – pytam, znów na niego spoglądając.

– No, tej przyjaźni.

– Teraz chcesz się przyjaźnić? – rzucam, zaskoczona.

– Cóż, na pewno nie chcę się z tobą kłócić.

Patrzę mu prosto w oczy i z jakiegoś głupiego powodu jestem rozczarowana, że tak łatwo odpuścił.

– Wyszliście gdzieś wczoraj w nocy po weselu? – pytam, bo ciekawi mnie, czy jak zwykle wyskoczyli z Cameronem na panienki.

– Owszem – odpowiada, przez co zaczynają strzelać między nami iskry.

Nachyla się nade mną, a moje serce zaczyna łomotać, gdy wyczuwam jego bliskość.

– Dobrze się bawiłeś? – wzdycham, rozkojarzona.

– W porządku, ale mogło być znacznie lepiej.

– Jak to? – szeptam.

Ponownie spogląda na moje usta, aż muszę zacisnąć uda.

Jest taki wielki, silny i nachyla się nade mną w łóżku... Przecież to jest jakaś tortura, do cholery.

– Co masz na myśli? – pytam ponownie.

Kurczę, sama proszę się o kłopoty. Wiem o tym, ale nie potrafię się powstrzymać.

Ben wysuwa język z ust i oblizuje wargi.

– Chcesz usłyszeć przyjacielską wersję czy prawdziwą?

Obserwuję, jak jego język przesuwają się po wargach, i czuję ucisk w kroczu.

*Chcę wersję ze rżnięciem.*

– Poproszę o przyjacielską – szepczę.

Uśmiecha się.

– Byłem zmęczony, a kluby to już nie moja bajka – mówi, po czym spogląda na moje piersi i dalej na nogi.

– A prawdziwa? – pytam cicho.

*Dlaczego daję się wciągać w te jego gierki?*

Kładzie dłoń na moim brzuchu i oddech więźnie mi w płucach.

– Prawda jest taka, że całą noc myślałem o tobie.

Patrzemy sobie w oczy.

– O czym myślałeś?

– Wyobrażałem sobie, że mam cię w tym łóżku. – Zsuwa dłoń na moje krocze i lekko je poklepuje. – Że jesteś naga, że leżysz pode mną.

Powietrze uchodzi mi z płuc.

Ben nachyla się jeszcze bardziej, a ja na niego patrzę. Jego usta zwisają nad moimi i przez chwilę wydaje mi się, że czas się zatrzymał.

Nagle słyszymy pukanie do drzwi, a gdy te się otwierają, odskakujemy od siebie, wystraszeni.

W nogach łóżka staje Joshua.

– Stanton, kurwa mać! – krzyczy Ben.

Joshua wytrzeszcza oczy, zszokowany, po czym unosi ręce.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Mam złe wyczucie czasu. – Krzywi się.

Ben kręci głową, jest rozdrażniony.

Ja siadam, zawstydzona.

*Boże, jaka ze mnie szmata. Co ja wyprawiam?*

– Mam problem – stwierdza Joshua.

– Co ty nie powiesz? – odcina się Ben.

– Eric przyszedł.

Wybałuszam oczy.

– Co? Tutaj?! – Wyskakuję z łóżka. – Gdzie jest?

– Na dole. Z drugim gliniarzem. Przyszli do ciebie, Ben.

Zaczynam panicznie machać rękami.

– Boże, na pewno widział moje auto przed domem, a zabronił mi się do was zbliżać.

– Co takiego?! – rzuca w złość Joshua. – Do mnie też? – pyta, po czym wskazuje na Bena. – Do niego, rozumiem, ale dlaczego do mnie też?! – gorączkuje się.

– A niby to dlaczego rozumiesz, że do mnie? – syczy Ben, wychodząc z łóżka.

Joshua wskazuje na niego dłonią.

– Leżysz goły w łóżku z Bridget. Gdyby była moją dziewczyną, też nie byłbym wniebowzięty.

– Tak, a ktoś bardzo chamsko mi przerwał... – mówi Ben, kręcąc głową i rozglądając się za jakimś ubraniem.

Łapię się za głowę, zaczynam się pocić.

– To wszystko jest popieprzone – szepczę. – I wcale nie leżał ze mną nago. Tylko rozmawialiśmy – dodaję, spanikowana. – Czego Eric chce?

Joshua wykonuje wymowny gest rękami.

– Nie wiem, ale zakładam, że zastanie cię w łóżku z nagim Benem nie figuruje na czele listy jego priorytetów.

– Zamknij się już, kurwa – warczy na niego Ben, wciskając się w dżinsy. – Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– No, widzę – odcina się cierpko Joshua.

– Wie, że tu jestem? – pytam.

– Nie wiem. Jeśli zauważył twój samochód, to nic nie powiedział.

– Bridget, wracaj do łóżka i czekaj tu na mnie – burczy Ben, zakładając T-shirt.

– Byłbyś zachwycony, co? Przyprowadzisz go tu, żeby mnie przyłapał? – cedzę wściekle.

Ben przewraca oczami.

– Zostawię was, moi dyskutanci, żebyście mogli przekomarzać się w spokoju – prycha Joshua.

– Joshua, odpierdol się! Jesteśmy tylko przyjaciółmi – mówię podniesionym głosem.

– Okej – odpowiada i wychodzi. – Skoro tak twierdzicie – dodaje z przedpokoju.

Podnoszę jakiś brudny T-shirt z podłogi i chłosczę nim Bena.

– Co mu powiesz?

– Coś w stylu: „Spierdalaj mi stąd, jestem zajęty” – odpowiada cwaniacko.

Otwieram szeroko oczy.

– Nie wygadasz, że tu jestem, prawda? Proszę cię, nie mów mu.

Marszczy czoło i bierze się pod boki.

– Bridget, zaczynasz mnie wkurzać.

– Ja ciebie?! To ty mnie wkurzasz! – syczę wściekle.

– Ach tak?

– Och, leżę sobie spokojnie, ociekając seksownością... Nie dam się na to złapać, Ben.

– Leżałem w jebanym łóżku i pilnowałem swoich spraw – odpowiada.

– Tak, i oczywiście musiałeś być goły i machać fiutem – szepczę, popychając go w stronę drzwi. – Cóż za zbieg okoliczności.

Ben zaczyna rechotać, a ja dostaję hiperwentylacji.

– Złaz na dół i pozbądź się go, ale nie mów, że tu jestem – mówię cicho.

– A co, jeśli zechce przeszukać mój pokój?

– Co?! – piszczę, wytrzeszczając oczy. – Kurwa, Boże drogi...

– Żartuję – parska śmiechem.

– Rany boskie, Ben, to poważna sprawa. Mógłbyś choć na chwilę przestać się wygłupiać?

Odwraca się do mnie twarzą. Nagle wygląda jak najbardziej poważnie.

– Czekał tu na mnie... W moim łóżku. – Jego głos jest głęboki i władczy.

Do cholery, wiem, co się stanie, jeśli tu zaczekam.

Posyła mi ostatnie spojrzenie, wychodzi i znika na schodach, a ja zamykam cicho drzwi i zaczynam łazić w tę i we w tę.

*Co teraz?*

Siadam na łóżku i czekam na niego dziesięć minut. Rozglądam się. Wącham poduszkę.

*Cholera... jak on ładnie pachnie.*



Zaciągam się głęboko i wtedy zauważam jego aktówkę w garderobie.

*Ciekawe, co w niej trzyma.*

Wchodzę tam, zapalam światło i zamykam drzwi.

*Hmm, kosmetyczka.*

Otwieram ją ostrożnie, czując się jak jakaś złodziejka.

Dezodorant, pasta, szczoteczka, woda kolońska...

Odkręcam ją i wącham.

*Hmm, to ona tak pachnie.*

Gumki... *Kurwa*. Wielka paka. Czytam napis na opakowaniu: „Ekstra rozkosz dla większych facetów”.

Mrużę oczy.

*Kurde, jak on mnie wkurwia. Dlaczego musiał zostać tak hojnie obdarzony?*

Zauważam, że paczka jest jeszcze zafoliowana. Pewnie ma też skrytkę na gumki w portfelu.

*A właśnie, gdzie jego portfel?*

Wracam do pokoju i rozglądam się za zgubą. W łazience na posadzce leżą dzinsy, w których na pewno wyszedł wczoraj wieczorem. Wchodzę tam i przeszukuję kieszenie.

*Bingo! Portfel znaleziony.*

Otwieram go i moje serce na moment przestaje bić.

W przegródce na fotografii jest moje zdjęcie. Przyglądam mu się, próbuję sobie przypomnieć, gdzie zostało zrobione. No tak. W szpitalu, gdy moja babcia umierała. Siedzę na szpitalnym krześle i uśmiecham się do Bena. Mam na sobie białą sukienkę. Jeszcze nie byliśmy wtedy razem. Pamiętam ten dzień.

*Dlaczego nosi to w portfelu?*

Sprawdzam tylną przegródkę i...

*Jasne! Trzy gumy. Kurwa, nienawidzę facetów.*

Wysuwam jego kartę kredytową i czytam: „Ben Statham”. Wysuwam drugą i czytam: „Ben Statham”. Wysuwam trzecią: „Jake Martin”.

*Kto to jest Jake Martin i czemu Ben ma jego kartę kredytową?*

Wysuwam następną: „Jake Martin”.

*Co? Dwie karty na inne nazwisko? Z różnych banków? Kto to jest?  
On? Czy Ben to w ogóle jego prawdziwe imię?*

– Co ty robisz? – warczy za moimi plecami.

Podskakuję, przestraszona, i przyłapana na gorącym uczynku.

– Ja... Och... – bełkoczę. – Kto to jest Jake Martin?

Wrywa mi portfel.

– Korzystam z tego nazwiska, gdy pracuję pod przykrywką.

– Pod przykrywką? – dziwię się.

– Bridget, jestem prywatnym śledczym – mówi i wybałusza oczy, jakby rozmawiał z kretynką. – Od zawsze. Mogłabyś przestać węszyć?

Wraca do sypialni.

– Czemu nosisz moje zdjęcie w portfelu? – wypalam.

Odwraca się do mnie przodem.

– Jestem pewien, że potrafisz rozgryźć tę zagadkę, Einsteinie.

Siada na łóżku i zaczyna zakładać buty. Jest wyraźnie rozdrażniony moimi dociekaniem.

– I jak poszło na dole? Dokąd się wybierasz? – pytam niepewnie.

– Muszę jechać na komisariat złożyć oświadczenie.

– Co takiego? – Łapię się za głowę. – O, nie. – Zaczynam nerwowo chodzić. – A tak w ogóle po co ci taka wielka paka kondomów? – pytam i Bóg jeden wie, dlaczego chcę znać odpowiedź na to pytanie właśnie teraz.

Zamiera i patrzy na mnie wściekle.

– Robię z nich dmuchane zwierzątka na dziecięcych przyjęciach.

A co myślałaś?

– Mądrała – pryham.

Sznuruje buty ze złością.

– Tak czy siak, nie powinnaś się przejmować, z kim sypiam. Na dole czeka twój gówniany chłopaczek – cedzi złośliwie.

Ściągam brwi. Racja. Zapomniałam o nim. Wyginam palce dłoni.

– Co się stanie na posterunku?

– Nic. Złożę oświadczenie i wrócę do domu.

– Zadzwonisz opowiedzieć, jak poszło? – pytam proszącym tonem.

– Czemu nie zapytasz swojego chłopaka? – odszczekuje się, wstając.

– Nie rozmawiam z nim, wkurza mnie – szepczę.

– Nie tak jak mnie, zapewniam – rzuca.

Gdy znika na korytarzu, wracam do nerwowego dreptania, trzymając się za głowę.

*Pierdolona katastrofa.*

\*\*\*

Przez kwadrans czaję się za zasłoną, podglądając przez okno, jak Ben, Joshua, Eric i drugi policjant idą podjazdem. Nie widzę, co robią na ulicy.

*Do którego auta wsiedli? Czy Ben został aresztowany? Czy Eric widział mój samochód? Boże, moje biedne serce tego nie zniesie.*

Drzwi się otwierają i do środka wpada Natasza.

– Boże, ja jebię! Joshua poszarpał się na dole z Erikiem.

– Co takiego?! – piszczę.

– Eric zachowywał się jak kutas, przypieprzył się do Joshui, że jest taki dziany, że Ben jest jego chłopcem na posyłki, no i wszystko wymknęło się spod kontroli. Joshua chyba chciał go uderzyć.

Chowam twarz w dłoniach.

– A Ben?

– Jak to Ben: stał i zgrzytał zębami.

– Ja pierdołę. Co jeśli oskarżą go o morderstwo? Czy Ben to zrobił?

– pytam, drżąc ze strachu przed odpowiedzią.

– Nie, nie zrobił.

– Myślisz, że Joshua by ci powiedział, gdyby to była prawda?

– Pewnie nie.

– Co my teraz zrobimy? – pytam, rozdygotana.

Tasza obejmuje mnie i siadamy razem na łóżku.

– Nie wiem – wzdycha. – Ale nie mogę powiedzieć, bym była w tej chwili wielką fanką Erica.

Zamykam oczy i wypuszczam powietrze z płuc.

*Totalny koszmar.*

\*\*\*

Czwarta po południu. Ben nie odzywał się cały dzień. Nie zadzwonił, a ja do niego zadzwonić nie mogę, bo może nadal jest na posterunku. Natasza pojechała na jakiś głupi lunch charytatywny, więc nawet nie wiem, czy chłopaki wróciły do domu.

Nie stresowałam się tak od lat i możliwe, że wydeptałam już dziurę w dywanie.

Dzwoni domofon, więc podbiegam do drzwi i patrzę na obraz z kamerki.

Eric.

*Kurwa mać.*

Wciskam guzik.

– Wejdz – wzdycham.

Nie mam ochoty go oglądać. Jest ostatnim człowiekiem, z którym chciałabym teraz rozmawiać.

Wchodzi i uśmiecha się na mój widok.

– Cześć, maleńka.

– Cześć – odpowiadam, krzyżując ramiona na piersiach. – Gdzie byłeś?

– W pracy – odpowiada, rzucając marynarkę na oparcie kanapy.

– Pracowałeś w nocy, więc czemu musiałeś pracować też dziś?

– Bo miałem ważną sprawę.

– Gówno prawda. Uwzięłaś się na Bena w złości za wczoraj, prawda?

Patrzy mi w oczy, po czym pyta:

– Dzwonił i nawciskał ci jakichś bajeczek, co?

Mrużę oczy.

– Nie, rozmawiałam z Nataszą i opowiedziała mi, jak chamsko potraktowałeś dziś Joshuę.

Eric zadziera podbródek.

– Cóż, nie lubię go.

– Nawet go nie znasz – warczę.

– I nie chcę znać. Nie lubię bogatych chłoptasiów.

– Wynoś się.

– Co takiego? – Marszczy brwi.

– Słyszałeś. Wynocha. Nie chcę mieć nic wspólnego ani z tobą, ani z twoimi uprzedzeniami.

– Wstawiasz się za nim?

– Oczywiście, że się wstawiam. Jesteśmy rodziną.

– Bridget, on kryje mordercę.

– Bzdury. Wpieniłeś się, bo Ben obwieścił na głos, że chce mnie odzyskać, i zamiast zmierzyć się z rywalem jak normalny człowiek, mierzysz się z nim jako pierdolony glina, szukając czegoś, co nie istnieje.

– Czyli uważasz, że Ben jest niewinny?

– Ja to wiem! – krzyczę.

– A ja wiem, że jest winny. I wiem, że pierdolony Joshua Stanton łże jak pies.

– Dość tego. Wynocha! – wrzeszczę.

Przygląda mi się, jakby coś kalkulował.

– Czy ty miałaś z tym coś wspólnego, Bridget? Ile wiesz? – pyta i robi to zdecydowanie zbyt spokojnie.

Ściągam brwi, strach wpełza mi pod skórę.

– Co? Przestań bredzić. Odpierdala ci.

– Nigdzie stąd nie idę – oświadczam.

– Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Smutnieje, ale szybko się otrząsa i mruży oczy w złości.

– Zrywasz przez to ze mną? Bridget, na tym polega moja praca.

Patrzę na niego, a w mojej głowie szaleje tornado emocji.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki mówisz o mojej rodzinie. Nie podobają mi się twoje oskarżenia i groźby, że mam się do nich nie zbliżać. Akurat na tym twoja praca na pewno nie polega. Po prostu się mścisz i nie zamierzam tego tolerować.

– Nie będę stawał na drodze sprawiedliwości – obwieszcza, patrząc na mnie groźnie.

Przewracam oczami.

– Zadzwoń z przeprosinami, gdy już dowiodę, że to oni – rzuca, podnosząc marynarkę.

– Nie czekaj na mój telefon – syczę.

Wychodzi, trzaskając za sobą drzwiami.

Oddycham głęboko i padam na kanapę.

*Super. I co teraz?*

\*\*\*

Jest środa. Jestem w drodze do pracy, wychodzę właśnie z metra. Godzina ósma, piękny, słoneczny poranek, ale trudno być mi teraz samej w domu. Już wolę pracować, niż zadrećczać się myślami.

Moje myśli straciły większość sensu.

Właśnie zerwałam z chłopakiem, a jednak potrafię myśleć tylko o Benie, zachodzić o głowę, dlaczego do mnie nie zadzwonił, żeby opowiedzieć, co się działo na posterunku. Wiem, że jest małomówny, że miewa problemy z komunikacją, ale powiedział, że zadzwoni. Ja nie chcę dzwonić, bo będzie wiedział, że czekam z utęsknieniem na każde jego słowo. Nie chcę już być tą dziewczyną. Nie chcę znowu całkowicie na nim polegać, bo gówniana rzeczywistość wygląda tak, że nie mogę na niego liczyć. Nie chcę cofać się w przeszłość, a tak by było, gdybym mu zaufała.

Przez ostatnie trzy dni nieustannie myślę o Benie, o naszym zerwaniu, o jego przylocie, o tym, że nagle zapragnęłam posłuchać, co ma do powiedzenia. Ale teraz już tego nie chcę, nie obchodzi mnie to... Nie będę do niego dzwoniła.

Co gorsza, Joshua też nie powiedział Taszy zbyt wiele ponad to, że wszystko gra i nie ma się czym martwić. Przez cały tydzień organizujemy z Abbie i Taszą kryzysowe narady w tej sprawie. Ja już wychodzę z siebie.

Do budynku, w którym pracuję, prowadzą trzy kamienne stopnie. Są tutaj cztery piętra, a recepcję na dole obsługujemy na zmiany. Ja pracuję w dużym biurze podróży, które organizuje wyjazdy dla klientów korporacyjnych i biznesowych. Praca jest fantastyczna, koledzy świetni, ale szefowa to prawdziwa suka. Nie wiem, czy przechodzi menopauzę, czy co, ale bez przerwy urządza nam piekło na ziemi. Pracownicy zwalniali się jeden za drugim i szczerze mówiąc, ja również czuję, że mój czas w tej firmie się kończy. A szkoda, naprawdę lubię tę robotę.

Drzwi są już otwarte, więc wchodzę na pierwsze piętro.

Moje biurko zostało umieszczone przy oknie, skąd mam widok na ruchliwą ulicę. Na blacie stoi biała lilia w jasnej marmurowej doniczce, a obok zdjęcie siostrzeńca i siostrzenic w srebrnej ramce.

Rozpakowuję śniadanie, uruchamiam komputer i zasiadam za biurkiem.

Niby wolę pracowanie od zadręczania się myślami, ale jak już tu dotarłam, uświadamiam sobie, że to ostatnie miejsce, w którym mam ochotę być.

\*\*\*

Jest jedenasta. Właśnie czekam na połączenie z jedną linią lotniczą, bo próbuję zarezerwować klientowi lot.

Dzwoni do mnie Bethany z recepcji.

– Bridget?

– Hej, Beth – mówię, nacisnąwszy guzik interkomu.

– Eee... – zawiesza głos. – Didge, chyba powinnaś tu zejść.

– A co się dzieje? – Wzdycham, ciągle czekając na połączenie z linią lotniczą.

– Pewien cholernie seksowny facet coś dla ciebie zostawił.

– Że co? Jaki facet? – dziwię się.

– Nie wiem – szepcze. – Ale był zbudowany jak ceglany mur i miał czapkę na głowie.

– Co takiego? – Wstaję i wyglądam na ulicę.

– Po prostu tu zejdz! – Rozłącza się.

Przez chwilę gapię się na słuchawkę telefonu. Walić oczekiwanie na linię. Zadzwonię do nich za chwilę.

Schodzę na parter i idę do recepcji.

– Co się dzieje? – pytam.

Beth wzrusza ramionami, po czym podaje mi kawę i papierową torebkę. Zaglądam do środka.

Ekler z czekoladą.

Uśmiecham się.

*Ben.*

Gdy moja babcia leżała w szpitalu, kupował mi czekoladowe eklery codziennie, bo wiedział, jak bardzo je lubię.

- Dokąd poszedł? – pytam.
- Wyszedł frontem i skręcił w lewo.
- Nie chciał się ze mną widzieć?

Zaprzecza ruchem głowy.

- Nie. Ale proszę cię, powiedz mi, że się z nim dymasz.

Wybiegam przed budynek i patrzę w lewo. Ulica tętni życiem, dlatego wyciągam szyję, by spojrzeć ponad tłumem.

*Cholera jasna.*

Idę kawałek, ale nigdzie go nie ma.

*Kurczę.*

Obracam się, by wrócić do pracy, i... oto jest! Opiera się o mur, ma na sobie biały T-shirt, džinsy i czarną czapkę. Gdy do niego podchodzę, patrzy mi w oczy i lekko się uśmiecha.

- Cześć.
  - Cześć – odpowiada pogodnie.
- Serce zaczyna mi łomotać, przełykam szybko ślinę.
- Dlaczego tak się przy nim denerwuję?*
- To ty przyniosłeś mi poranną kawę?
  - Ja – przytakuje.
  - Dlaczego? – pytam, patrząc mu prosto w oczy.
  - Pomyślałem, że możesz mieć na nią ochotę.



# Rozdział 6

## Bridget

Gapię się na niego przez dłuższą chwilę i nie wiem, co powiedzieć, bo z jednej strony to takie urocze, a z drugiej naprawdę chciałabym się na niego choć trochę pogniewać. Ostatecznie dobre wychowanie bierze górę.

– Dziękuję.

Kiwa głową i przygryza dolną wargę.

– Nie zadzwoniłeś – stwierdzam.

– Chciałem.

Patrzę na niego pytająco, lecz zaraz spuszczam wzrok.

*Co tu się dzieje?*

– Mam mieszkanie – wypala nagle.

Spoglądam na niego, zaskoczona.

– Naprawdę?

– Mogę ci pokazać, jeśli chcesz. – Wzrusza ramionami z udawaną nonszalancją. – Może dziś wieczorem? – Patrzy mi w oczy, wydaje się nerwowy. – To znaczy nie mam jeszcze mebli ani nic... ale...

– Pewnie – wchodzę mu w słowo. – Chętnie. – Marszczę czoło i długo zastanawiam się nad następnym zdaniem. – Przyjdę jako przyjaciółka.

– Naturalnie – mówi, kiwając lekko głową.

Gapimy się na siebie przez chwilę.

*Dlaczego rozmowy ze mną idą mu tak mizernie?*

– Odbiorę cię o siódmej. Może coś przekąsimy?

Nieznacznie się uśmiecham i wiem, że absolutnie nie powinnam się zgadzać, ale... walić to. Odpowiadam więc:

– Okej.

Przygryza wargę, żeby ukryć uśmiech.

– No to... do zobaczenia wieczorem?

Kiwam głową i cofam się o krok, ale nie potrafię oderwać oczu od jego pięknej twarzy.

– Na razie, Ben.

Nie pamiętam powrotu za biurko. Nie pamiętam ostatnich dwóch godzin pracy. Czuję natomiast, choć nie powinnam, kosmiczną wręcz ekscytację.

Może dziś wieczorem w końcu porządnie porozmawiamy.

*Co mam na siebie włożyć, do jasnej cholery?*

\*\*\*

Piję trzeci kieliszek wina.

Jest za dziesięć siódma.

Kolejny raz analizuję własne odbicie w lustrze. Nie chciałam, żeby wyszło, że za bardzo się staram, odpuściłam więc seksowną sukienkę i założyłam obcisłą czekoladową spódnicę o bezpiecznej długości za kolana i białą bluzeczkę bez ramion. Mam rozpuszczone włosy i delikatny makijaż.

Piekielnie się denerwuję. Sączę wino i nerwowo poprawiam szminkę.

*Boże, nie mam bladego pojęcia, co się dziś wydarzy. Może być tak, że za godzinę wrócę do domu.*

Sygnał domofonu sprawia, że moje serce wywija salto w piersi. No to zaczynamy.

## Ben

Wciskam guzik domofonu i czekam.

– Halo? – odpowiada słodki głos Bridget.

– Cześć – mruczę.

– Wejdz.

Wchodzę do środka i dalej po schodach. Nie mam dziś cierpliwości, żeby czekać na windę.

Przyjaciele. Ona chce się przyjaźnić.

*Graj po przyjacielsku, napominam się w duchu.*

Wiem od Nataszy, że Bridget nie układa się z chłopakiem. Taz sądzi nawet, że mogli zerwać – co byłoby dobre, wręcz świetne – ale wiem też, że jeśli to prawda, Didge potrzebuje czasu.

Ze mnie natomiast pięć lat rozłąki wycisnęło resztki cierpliwości do ostatniej kropli.

Wbiegam na górę, przeskakując po dwa schody na raz. Staję przed drzwiami, biorę głęboki wdech i zamykam oczy.

*Tylko przyjaźń.*

Drzwi się otwierają i Bridget staje przede mną w obcisłej spódnicy. Uśmiecha się tymi pięknymi pełnymi ustami, na co natychmiast mi twardnieje.

Przełykam ślinę przez ściśnięte gardło.

*Dajże spokój.*

– Cześć, Didge.

– Cześć. Wejdz. – Zaprasza mnie gestem do środka.

Kiwam głową, wchodzę do jej mieszkania i rozglądam się. Tak jak sądziłem – jest nieskazitelne pod każdym względem, wypełnione luksusowymi meblami, żyrandolami, utrzymane w ziemistej, ciepłej tonacji. W pokoju stoi wielka skórzana kanapa w czekoladowym odcieniu, a na podłodze leży zabytkowy dywan. Na przeciwległej ścianie znajdują się podwójne, składane drzwi wychodzące na wielki taras z widokiem na ocean. Na tarasie stoją grill i komplet wypoczynkowy, a do tego wszędzie są świece.

Gdy Joshua powiedział, że Natasza i Bridget są właścicielkami tego mieszkania na spółkę, wiedziałem, że w ten sposób dba o luksusowe warunki życia swojej szwagierki. Taki właśnie jest Joshua – bardzo hojny.

– Ładnie tu – mówię z uśmiechem, nadal się rozglądając. – Bardzo w twoim stylu.

Odwzajemnia uśmiech.

– Oprowadzić cię?

Kiwam głową.

– To główna łazienka.

Zaglądam do pomieszczenia wyłożonego białym marmurem z szarymi elementami, wyposażonego w wielką, wolnostojącą wannę

i kabinę prysznicową z dwiema deszczownicami. Krany są pokryte modną obecnie miedzią.

– A to pokój gościnny. – Wskazuje na kolejne pomieszczenie.

Ma białe ściany, na łóżku leży z tysiąc poduszek w pastelowych kolorach, a obok stoją oszklone szafki nocne, pasujące do lustra nad łóżkiem.

– Poduszkowy fetysz ci nie minął? – parskam.

– Ty masz gorszy fetysz – odpowiada z uśmiechem.

Patrzemy sobie w oczy i powietrze zaczyna pulsować.

*Przyjaciele...*

Odrywam od niej wzrok i próbuję okiełznać myśli.

– A gdzie twoja sypialnia?

Prowadzi mnie korytarzem do przestronnego pomieszczenia. Na środku stoi wielkie łóżo, przykryte płową aksamitną pościelą, a poduszki w różnych odcieniach różu leżą rozmieszczone w strategicznych punktach. Do wazonu przy łóżku włożono bukiet świeżych różowych kwiatów. Bridget zawsze trzyma żywe kwiaty w sypialni – ma fioła na tym punkcie. Jedną ścianę pokoju zajmują wychodzące na balkon okna, przy których wiszą ciężkie białe zasłony – zgodnie z obecną modą nieco za długie. Druga ściana to jedno wielkie lustro.

Pokój jest wyjątkowo kobiecy. I taki... Bridgetowy.

Zerkam w głąb i zauważam luksusową łazienkę, bardzo podobną do poprzedniej.

W sypialni nawet pachnie Bridget. Wyobrażam ją sobie na mnie, nagą, i czuję, jak mój fiut od razu zaczyna puchnąć.

*Przyjaciele...*

– Bardzo ładnie. – Kiwam głową z uznaniem, a potem mijam Bridget i wracam do części dziennej mieszkania.

Muszę wyjść z tej sypialni, żeby nie myśleć o tygodniowym maratonie rżnięcia.

Drapię się po potylicy, niepewny, co teraz powiedzieć.

– Jedziemy?

– Pewnie.

– Najpierw podskoczmy zobaczyć mieszkanie, bo rezerwacja na kolację jest dopiero na ósmą.

– Okej – mówi z uśmiechem, łapiąc torebkę i zakiet.

Ja stoję jak słup soli i gapię się na nią. Jest tak kurewsko piękna. Pragnę ją pocałować. Muszę ją pocałować. Czuję to każdą cząstką ciała. Ścisza mnie jednak w klatce piersiowej. To chyba znak, że byłby to kiepski pomysł. Wszystko bym tym spierdolił.

– O co chodzi? – pyta, jakby czytała mi w myślach.

– O nic... – mówię, kręcąc głową, ale po chwili dodaję: – Pięknie wyglądasz.

Od razu smutnieje, a ja mam ochotę wymierzyć sobie kopa w tyłek.

*Kurde.*

*Przyjaciele. Trzymaj się, kurwa, programu.*

– Dzięki. – Uśmiecha się nieśmiało.

Zjeżdżamy windą w milczeniu.

Muszę trzymać łapy w kieszeniach, żeby mimowolnie nie złapać jej za rękę.

Muszę się trzymać planu gry. To bardzo ważny wieczór.

## Bridget

Serce łomocze mi gorączkowo w piersi. Chyba nie oddychałam, odkąd Ben przekroczył próg mojego mieszkania.

Energia emanująca z jego postawnej sylwetki ogarnia przestrzeń i wywołuje w moim mózgu jakieś napędzane hormonami zamroczenie. Przez te ciemne dżinsy, wielkie bary i głębię spojrzenia mam ochotę wylizać go całutkiego.

Zamykam oczy z żalem.

*Co ja wyprawiam?*

Ben wydaje się nerwowy. Może nie aż tak, jak ja, ale jednoznacznie wyczuwam jego niepokój.

Wychodzimy na ulicę i prowadzi mnie do granatowego audi z przyciemnionymi szybami. Naciska guzik przy kluczykach i światła dwukrotnie mrugają.

– Czyje to auto? – dziwię się. Na pewno nie Joshui, bo wszystkie jego samochody są czarne.

Omiata wzrokiem ulicę, potem znowu patrzy na mnie i otwiera mi drzwi.

– Kupiłem je dziś.

Ściągam brwi, patrząc mu w oczy.

*Co? Kupił samochód?*

– Aha. – Siadam na nisko osadzonym fotelu i się rozglądam. Wnętrze jest wykończone płową skórą i czuć wokół ten piękny zapach nowego samochodu. – Bardzo ładny – stwierdzam.

Ben obchodzi pojazd i wsiada na miejscu kierowcy.

– Uznałem, że koniec z ociążaniem się i czas wziąć sprawy w swoje ręce – odpowiada rzeczowym tonem.

– Sprawy? – pytam niepewnie.

– Tak, no wiesz... Mieszkanie, auto i tak dalej – wymienia, włączając się do ruchu.

Przytakuję, patrząc na niego, i mój umysł wpada w amok.

*Więc on naprawdę chce tu zostać. Co to znaczy?*

Zastanawiam się przez chwilę.

– Obejrzałeś to mieszkanie czy... – pytam.

– Dziś podpisałem umowę.

Zerkam to na niego, to na jezdnię.

– Na jak długo?

– Dwanaście miesięcy.

– Gdzie jest?

– O, tu.

Zatrzymuje się przy krawężniku, a ja unoszę brwi, kompletnie zaskoczona.

– Dwie ulice od mojego mieszkania? – pytam.

Kiwa głową, zerka na mnie z ukosa i uśmiecha się pod nosem.

– Zbieg okoliczności.

– Zapewne... – mruczę.

Gdy parkuje tyłem w ciasnym miejscu, studiuje jego twarz.

No dobra, jestem totalnie zaskoczona, mój mózg paruje. Kupił samochód i zamieszkał rzut beretem ode mnie. Może naprawdę nigdzie się w najbliższym czasie nie wybiera.

Wysiadamy i wchodzimy do przypominającego magazyn budynku. Wielka podwójna drewniana brama rozsuwa się i moim oczom

ukazuje się bardzo modne podwórko, na środku którego rośnie drzewo otoczone bujną roślinnością i ławkami. W zasięgu wzroku mam sześćcioro drzwi – troje po lewej i troje po prawej. Wkopane w ziemię świetliki oświetlają drzewo od dołu.

– Wow... – szepczę z podziwem. – Ale tu ładnie.

Ben uśmiecha się i otwiera drugie drzwi po prawej. Witają nas ściana z niebieskiego kamienia i modna metalowa klatka schodowa.

*Kurczę, to naprawdę jest coś.*

– Ile mieszkanie ma sypialń?

– Trzy, ale jedną przerobię na gabinet. – Wchodzi po schodach. – Druga będzie zarezerwowana dla nocujących przyjaciół.

Patrzę mu w oczy i pytam:

– Planujesz często przyjmować gości, co?

– W takim dużym mieście nigdy nie wiesz, kiedy ci się poszczęści... – odpowiada, nie odrywając ode mnie ciemnych oczu.

Przygryzam dolną wargę, żeby stłumić durnowaty uśmiech. W takim razie – teoretycznie – skoro jestem jego przyjaciółką, to... Nocowanie u przyjaciół już nigdy nie będzie takie samo.

Mam ochotę podjąć grę i zrewanżować się flirtem, ale się opanowuję.

*Przestań!*

Idziemy na górę i aż wzdycham na widok rozległej otwartej przestrzeni. Jedna ściana jest w całości wykonana z rustykalnych cegieł, w lewym narożniku znajduje się podobnie rustykalna kuchnia. Nad wielkim drewnianym blatem zwisają nisko miedziane lampy. Podłogę pokrywają zabytkowe ciemne, szerokie deski, a w tylnej ścianie widnieje pięć łukowato zwieńczonych okien.

Rozglądam się z niekłamanym podziwem.

– Ben, tu jest pięknie. Nigdy nie widziałam takiego mieszkania. Jak w jakimś filmie.

Rozglądam się dalej, podpierając się rękami o kuchenny blat.

Choć przestrzeń jest rustykalna, to jednak modna, nawet kurki w kuchennym zlewie są wielkie – jak w restauracjach.

– Jak znalazłeś to miejsce? – pytam z uśmiechem.

Rzuca kluczyki na blat.

– Znaleźliśmy je ze Stanem w poniedziałek. Szukaliśmy cały dzień, a tu trafiliśmy na samym końcu.

Nie potrafię się pozbyć głupkowatego banana z twarzy.

– Oprowadź mnie.

Ruszamy korytarzem i Ben pokazuje mi łazienkę ze ścianami wyłożonymi sporymi połyskującymi czarnymi kafłami oraz podłogą pokrytą kafelkami w malutkie mozaiki. Jest w niej biała wolnostojąca wanna, wyglądająca na zabytkową, a pod ścianą umywalka na nodze, natomiast po drugiej stronie stoi prysznic z szeroką ławką.

– Bosko... – szepczę.

Idziemy korytarzem dalej i Ben pokazuje mi duży pokój z pluszowym szarym dywanem na podłodze i welwetowymi zasłonami.

– To dla przyjaciół.

Uśmiecha się łobuzersko, a ja mijam go i wchodzę do środka, żeby dokładnie się rozejrzeć.

– Jestem pewna, że twoi przyjaciele będą tu nocowali z wielką przyjemnością.

Nasze oczy się spotykają i obydwójce znowu czujemy chemię między sobą. Nagle Ben marszczy czoło i odrywa ode mnie spojrzenie.

– Mój pokój jest zaraz obok – zmienia temat.

Idziemy dalej korytarzem, aż docieramy do podwójnych ciężkich drzwi z drewna – przypominają drzwi do stodoły.

Ben zaczyna je rozsuwać.

– Jasny gwint... – wyduszam, rozdziawiając gębę.

Ściany wykonano z postarzanymi cegłami, sufit jest wysoki jak w katedrze, pod powałą znajdują się drewniane bele. Łazienkę otwartą na sypialnię, bez choćby skromnego przepierzenia, w całości pokrywają czarne kafelki. Do pokoju przylegają dwie garderoby.

– Boże, Ben, jak tu jest pięknie.

– Też mi się podoba. – Uśmiecha się dumnie.

W rogu leży dmuchany materac na palecie, a także kilka poduszek i koców – wszystko wciąż nierozpakowane.

– A to po co? – dziwię się.



– Och... – Rzuca okiem na rzeczy na podłodze. – Nie chciałem dłużej pomieszkiwać u Stana. Nie chcę go wykorzystywać. Śpię już tutaj.

– Ale nie masz jeszcze mebli... – stwierdzam, zdziwiona.

– No, ale w weekend już na pewno coś tam kupię.

– Więc dziś będziesz spał na podłodze?

Nie chcę, żeby spał na podłodze.

– Tak, to nic. Mam materac. Sypiało się w znacznie gorszych warunkach.

Rozglądam się po pokoju, a potem patrzę na jego piękne oblicze i ogarnia mnie dezorientacja. Mówi wszystko, co trzeba, zachowuje się jak każdy porządny przyjaciel podczas wyjścia na kolację, a jednak chciałabym, żeby wyjął swoje serce i położył je na stoliku, bym mogła dokładnie obejrzeć każdy jego skrawek.

*O czym myślisz?*

*Ale – co ważniejsze – dlaczego mnie to obchodzi?*

– Ben – mówię, wciąż się rozglądając. – Dlaczego tu jesteś? – Pokazuję ręką na to piękne pomieszczenie. – Dlaczego... – zawieszam głos, próbuję dobrać właściwe słowa. – Po co przyleciałeś do Australii? Dlaczego wynająłeś tu mieszkanie i kupiłeś auto?

Patrzy mi głęboko w oczy.

– Ja... – waha się. – Chcesz się przyjaźnić, ale ta rozmowa według mnie nie zapowiada się zbyt przyjacielsko.

– Ben... – Wzdycham, odsuwając lekko zasłonę i patrząc na ulicę w dole. – Przyjaciele rozmawiają otwarcie. – Staję do niego przodem i widzę, że przygląda mi się przez chwilę, a potem spuszcza głowę, nic nie mówiąc. – Ben, rozmawiaj ze mną. Dlaczego tu przyleciałeś? Ale tak naprawdę.

Przełyka głośno ślinę i patrzy mi w oczy, rozważając pewnie, czy powinien udzielić odpowiedzi. Po kilku chwilach w końcu się odzywa:

– Chcę drugiej szansy.

– Dlaczego?

– Bo za pierwszym razem zjechałem i chcę to naprawić – mówi, patrząc mi w oczy.

– Gdy mówisz o drugiej szansie... co to dokładnie znaczy?

Zastanawia się ze zmarszczonym czołem, nie odrywając ode mnie oczu.

– Chcę na ciebie patrzeć i widzieć, że ty patrzysz na mnie jak dawniej.

– Czyli jak? – pytam szeptem.

– Jakbym był idealny.

Wyrzuty sumienia walą mnie prosto w żołądek, gula pęcznieje mi w gardle. Przez długi czas myślałam, że jest idealny, wówczas oddałabym wszystko, by wrócił do mojego życia. Ale... dojrzałam i wiele się zmieniło.

– Bridget, przy tobie jestem lepszym człowiekiem. – Szuka w moich oczach choć odrobiny przebaczenia, ale wiem, że tam tego nie znajdzie. – Przy tobie wszystko wydaje się takie... jak powinno być – dodaje szeptem.

Patrzę na niego i mózg mi eksploduje.

– I wiem, że przyjaciele nie powinni gadać takich rzeczy... – mamrocze, rozglądając się, by jakoś rozładować powagę chwili.

– Ben – mówię ze smutnym uśmiechem. – Ben, jesteś dla mnie kimś więcej niż przyjacielem, a chowasz przede mną swoje tajemnice, jakbym była twoim wrogiem.

Patrzy na mnie, jakby się bał, że zaraz ucieknę.

– Chcę tylko, żebyś ze mną porozmawiał – kończę cichym głosem. Spuszcza ciężko głowę.

– Próbowałem, Didge, to mnie zgasiłaś i spławiłaś.

– Wcale nie próbowałeś rozmawiać – odpowiadam, krzywiąc się ze zdziwienia. – Przyleciałeś, zaczęłeś rzucać głupimi tekstami i zażądałeś drugiej szansy. Ja już nic o tobie nie wiem.

Gdy ujmuje moje dłonie, spoglądam na nie z góry, a kiedy mnie dotyka, moje serce robi salto.

– Wiesz to, co naprawdę ważne – odpowiada czule.

Podnoszę wzrok, by spojrzeć mu w oczy.

– Nie wiem, dlaczego mnie zostawiłeś.

Marszczy czoło.

– I czuję się jak jęcząca gówniara, gdy bez przerwy o tym mówię, ale tak się czuję. Gdy myślę o tobie, przychodzi mi na myśl właśnie to, jak bardzo mnie skrzywdziłeś. Nachodzi mnie wtedy gniew. Nie

mogę po prostu wrócić do punktu wyjścia, do miejsca, w którym kiedyś byliśmy. Ciągle czekam na najgorsze, na nieuniknione. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie wrócić do tego, co było.

– Już nigdy ci tego nie zrobię.

– Będziesz musiał mi to udowodnić.

Na jego twarzy pojawia się cień nadziei.

*Boże, po co ja to powiedziałam? Mam zasranego chłopaka i w tej chwili powinnam próbować naprawiać nasz związek. Bridget, musisz zakończyć tę rozmowę, natychmiast! Przestań mu dawać złudną nadzieję... Przestań dawać ją sobie.*

Patrząc mi w oczy, unosi moją dłoń i ją całuje, a ja obserwuję to z poskręcany z nerwów żołądkiem.

– Czy przyjaciele się całują? – pyta szeptem.

Kręcę leciutko głową.

– Ja... – *Ach, Boże, szkoda, że tego nie robią.* – Nie.

– Och. – Wybałusza oczy i puszcza moją dłoń, jakby parzyła.

– Posłuchaj... – zawieszam głos, bo nie wiem, czy postępuję słusznie, ale będzie, co ma być. – Może spędźmy razem trochę czasu jako przyjaciele, nie rzucając się z tym w oczy...

– Nie rzucając się w oczy... – powtarza za mną.

– Chcę przyjaźni, ale nie chcę być tematem plotek i dyskusji. Nie chcę wszystkim rozgłaszać, że spędzamy razem czas. To tylko i wyłącznie nasza sprawa.

– Chcesz się spotykać po kryjomu, ale po przyjacielsku?

Uśmiecham się, bo gdy wypowiedział to na głos, rzeczywiście zabrzmiało dziwnie.

– Coś w ten deseń.

– Może być – mówi z uśmiechem.

– Tak sądziłam, że ci się spodoba.

Opuszcza ramiona, jakby ciężar spadł mu z barków.

– Chcesz już jechać coś zjeść?

– Owszem.

Idziemy na dół i wracamy do samochodu.

Ben rzuca mi kluczyki.

– Chcesz prowadzić?

– Pewnie!

Otwieram szerzej oczy w ekscytacji, siadam za kierownicą i włączam się do ruchu. Samochód prowadzi się gładziutko, jest naprawdę luksusowy.

– Wow, ale super wózek. – Ciągłe przesuwam dłońmi po skórzanej kierownicy i rozglądam się dookoła, podczas gdy Ben przygląda mi się z zachwytem w oczach.

W tym momencie w mojej torebce dzwoni komórka.

– Możesz ją wyjąć? – pytam, skupiona na drodze.

Ben grzebie w torebce i w końcu wyciąga mój telefon. Na ekranie widnieje imię „Tasza”.

– Mógłbyś odebrać na głośnomówiącym? – proszę, na co on przesuwa kciukiem po ekranie i włącza głośnik.

– Hej, mała – witam się.

– Gdzie jesteś? – rzuca ostro w odpowiedzi.

Marszczę czoło i zerkam z ukosa na przysłuchującego się nam Bena.

– W pracy – odpowiadam.

– O, świetnie. Jest w pracy – burczy do kogoś Natasza.

– A co? Gdzie ty jesteś? – dopytuję.

– Jesteśmy z Abbie u ciebie.

– Kaź jej zapierdalać do domu – warczy w tle Abs.

– Co się dzieje? – pytam.

– No... Ben poszedł z kimś na randkę – rzuca Natasza.

Uśmiecham się i spoglądam w bok, a Ben kręci lekko głową i łapie się dwoma palcami za nasadę nosa.

– Co takiego? – pytam. – Skąd wiesz?

– Bardzo się wystroił, a gdy zapytałam, dokąd idzie, ściemnił, że ma jakąś robotę.

– Może naprawdę ma jakąś robotę – mówię, skupiając się na jezdni.

– Nie ma! – drze się w tle Abbie.

– Dzwoniłam do Brocka – odpowiada Natasza. – Nie mają dziś żadnej roboty.

Przygryzam dolną wargę, żeby nie parsknąć śmiechem, a Ben przewraca oczami.

- A co powiedział Joshua? – pytam.
- Powiedział, że nie ma jebanego pojęcia, gdzie łązi Ben, i że bym przestała wściubiać nos w nie swoje sprawy.
- Ben uśmiecha się szeroko i kiwa głową z uznaniem.
- No cóż, Ben jest dorosły. Może robić, co chce – stwierdzam.
- Wcale nie! – warczy Natasza. – Abs, kurwa, znajdźże mi jakieś wino, bo Didge odbija.
- Słyszę, jak Abbie otwiera drzwi lodówki i mamrocze:
  - Jest tylko takie...
  - Czemu trzymasz w lodówce takie gówniane wino? – pyta Natasza.
  - Bo nie mam, kurwa, piwniczki na wina – odwarkuję. – Mogłybyście się wynieść z mojego mieszkania?
  - Nie. Czekamy tu na ciebie! – krzyczy Abbie.
- Przewracam oczami, a Ben uśmiecha się półgębkiem.
- No, wiem, jakim autem pojechał. Postalkujmy go – proponuje Natasza.
  - Załatwimy dziwkę – dodaje Abbie.
- Ben otwiera usta z przerażeniem, a ja powstrzymuję się z całych sił, żeby nie wybuchnąć śmiechem.
- Boże, zaraz wygadają przed nim wszystkie moje sekrety.*
  - Nie jesteśmy parą i Ben może się spotykać, z kim zechce – stwierdzam kategorycznie.
  - Nie jesteś teraz z Erikiem, prawda? – pyta Natasza. – O Boże, ona jest z Erikiem... – szepcze do Abbie, która wyrywa mojej siostrze telefon.
  - Nie prowokuj mnie, bo zrobię ci krzywdę. Nie waż się wracać do tego młota. Chce nas wszystkich pozamykać w pierdłu, pamiętasz?
- Wybucham śmiechem.
- Boziu, jakie to są kretyнки.*
  - Nie wtykajcie swoich ciekawskich nosków w moje sprawy. Kończę.
  - Lepiej zadzwoń do Bena – mówi Natasza, odzyskując telefon.
  - Nie będę dzwoniła do Bena. – Zerkam na niego i widzę, że przysłuchuje się tej rozmowie z zachwytem w oczach.

– On po ciebie wraca, a ty zgrywasz trudną do zdobycia. Przecież to, kurwa, śmieszne. Uważaj, bo przegapisz okazję.

Przewracam oczami.

– Aha, mogę pożyczyć na jutro twoją różową kieckę? Na tę imprezę firmową – pyta Abbie.

Marszczę czoło, a Ben wskazuje na ulicę, w którą powinniśmy skręcić.

– Nie oddałaś mi jeszcze tej czarnej.

– Oddałam.

– Kiedy?

– Teraz.

Przewracam oczami.

– Dobra, bierz, tylko mi jej nie zniszcz.

– Postaramy się ustalić z Abbie, z kim spotyka się dziś Ben. Wracamy do mnie i przesłuchamy Joshuę – informuje mnie Natasza.

– Masz w domu porządne wino? – pyta Abbie w tle.

– Mam świetne wino – burczy Tasza. – I chipsy, i salsę.

– O to chodzi! – rozlega się w tle radosna odpowiedź Abs.

Chichoczę na myśl o nieszczęsnym Joshu, który będzie musiał znosić pytania tego duetu, i to podpitego.

– Pa, dziewczynki! – wołam.

– Do jutra. Aha... – Natasza zawiesza głos. – Zamierzam zaprosić Bena na niedzielną kolację u mamy. Ty też idziesz.

– Nie kłopot się... – mamrocę.

– Już go zaprosiłam! – woła i natychmiast się rozłącza, żebym nie zdążyła jej zrugać.

Ben chowa moją komórkę do torebki i patrzy przez przednią szybę, uśmiechając się pod nosem.

Zerkam na niego z uśmiechem.

– Ani słowa – burczę.

Unosi obie ręce i szczerzy się od ucha do ucha.

– Gdzieżbym śmiał.

\*\*\*

Dziesięć minut później zatrzymujemy się przed położoną na uboczu włoską knajpką. W tym momencie dzwoni telefon Bena. Wyciąga go z kieszeni, a zerkając na niego, uśmiecha się półgębkiem. Pokazuje mi ekran. „Natasza”.

Wybucham śmiechem i kręcę głową. Dziewczyny nie dają za wygraną. Co one znowu wykombinowały?

Ben odbiera i przełącza na głośnomówiący.

– Hej, Tasza.

– O, cześć, Ben – odpowiada słodkim głosikiem moja siostra. – Dzwonię zapytać, czy chciałbyś wpaść w niedzielę wieczorem na kolację do mamuni?

Ben uśmiecha się szeroko.

– Jasne, dziękuję. Na którą?

– Jaaakoś... na siódmą. Powiedz mi jeszcze, widzimy się wieczorem? Wracasz do nas na noc?

Ben robi chmurną minę.

– Oj, nie. Przenocuję dziś w nowym mieszkaniu.

– Ale przecież nie masz jeszcze mebli...

Kręcę głową i uśmiecham się szeroko, a Ben przewraca oczami.

– To nic, obejdę się bez mebli. Wpadnę do was jutro.

– Wiesz, akurat jesteśmy z Abbie w okolicy. Mogłybyśmy wpaść obejrzeć to mieszkanie? – kontynuuje Tasza.

Zakrywam usta dłonią, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Próbuję wyniuchać, gdzie jest. Koszmarny pokaz szpiegostwa.

– Nie ma mnie w domu... – odpowiada z namysłem. – Wyszedłem ze starym kumplem z roboty.

– Którym? – pyta bez wahania Natasza.

*Na serio, moja siostra nie ma grama wstydu.*

– Nie znasz.

– Aha... – Milczy przez chwilę, a Ben uśmiecha się szeroko. Przyzwyczał się do jej popisów przez te wszystkie lata.

– To widzimy się jutro? – pyta.

– Hmm... – mruczy Natasza. W tym momencie słyszymy w tle szept Abbie i siostra pyta jeszcze: – A widziałeś się z Bridget?

Ben nie wytrzymuje i parska śmiechem.

– Nie, nie widziałem.

Zaciskam powieki z zażenowania. Dziewczynom naprawdę odbija.

– No dobrze... – rzuca Natasza, jakby coś jeszcze chodziło jej po głowie. – To do zobaczenia jutro.

– Pa, pa, Tasza – żegna się Ben i przerywa połączenie. – Szkoda mi Stana... – mamrocze pod nosem.

– Mnie też – mówię ze śmiechem. – Mnie też.

\*\*\*

W restauracji jest ciemno, wręcz ponuro. Siedzimy w rogu przy ustronnym stoliku dla dwojga i czekamy na desery. Rozmawiało nam się swobodnie, wesoło, jakby ktoś zdjął nam brzemię z barków. Miło tak pogadać. Może właśnie tego oboje potrzebowaliśmy: odrobiny prywatności i braku presji.

– Opowiedz mi o sobie coś więcej – zachęcam go z uśmiechem.

Ben ściąga brwi i prostuje plecy.

– Nie mam wiele do powiedzenia. – Upija łyk piwa. – Ty opowiedz mi o pracy. Długo jesteś w tej firmie?

Przyglądam mu się, sącząc wino. Cały Ben. Gdy tylko zadaję jakieś pytanie dotyczące jego życia, zmienia temat.

– Cóż, mam świetną pracę – odpowiadam, unosząc brwi.

Popija piwo i bacznie mnie obserwuje.

Zapomniałam, że taki jest. Gdy mówię, naprawdę mnie słucha. Pamiętam nasze poważne rozmowy o moich nadziejach i marzeniach. Zawsze trwały do późnej nocy. Ciekawe, czy wtedy też tylko ja gadałam. Mam wrażenie, że zna każdy szczegół na mój temat, a ja nie wiem o nim prawie nic.

– Ale moja szefowa to totalna suka – dodaję.

Uśmiecha się zawadiacko i unosi pytająco brew, na co kręcę głową.

– Sama nie wiem... Może kobieta ma jakiś ciężki czas. W jednej chwili jestem jej najlepszą pracownicą, w drugiej ląduję na liście ludzi do zgnojenia.

Zaciska usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Tylko ciebie nienawidzi? – pyta.

Zaprzeczam ruchem głowy.



– A skąd! Wszystkich naprzemiennie. Marzymy o tarczy do rzutek z jej zdjęciem na środku.

Tym razem śmieje się w głos.

– Praca jest świetna i mogę podróżować po świecie – kontynuuję, wzruszając ramionami – więc po prostu spuszcza głowę i robię swoje. – Uśmiecham się w kieliszek wina. – Mam nadzieję, że lada dzień upoluje ją jakaś większa, konkurencyjna agencja. Albo pigmeje ludojady – dodaję cierpko.

Ben unosi piwo i stukamy się szkłem.

– Opowiedz mi o swojej rodzinie – proszę, patrząc mu w oczy.

– Nie ma wiele do opowiedzenia – odpowiada poważnie, wzruszając ramionami.

– Gdzie mieszkają?

Jestem bardzo ciekawa jego bliskich, często o tym myślę. Czekam przez chwilę, ale w końcu marszczę czoło, zaniepokojona.

Ben wbija wzrok w stół. Cały czas milczy i widzę, że toczy jakąś wewnętrzną walkę.

– Co się stało?

– Nic... – Wymusza uśmiech.

– Ben...

– Możemy zmienić temat? Nie lubię rozmawiać o rodzinie.

– Dlaczego?

Nie odrywa oczu od rozłożonej na stole serwety.

– Ben. – Łapię go za rękę nad stolikiem. – Musisz ze mną rozmawiać. Gadaliśmy o tym, prawda?

Ledwie zauważalnie kiwa głową.

– Więc jak mam cię poznać, skoro nic nie chcesz powiedzieć? – pytam bardzo łagodnie.

– Po prostu... – urywa.

– Po prostu co?

– Spojrzysz na mnie przez to inaczej.

Ściskam jego dłoń i czekam, aż zacznie kontynuować.

*Do czego zmierza? Boże, ten facet to jedna wielka enigma.*

– Nic nie może sprawić, że spojrzę na ciebie inaczej – szepczę zachęcająco. – Skąd w ogóle ten pomysł?

Patrzą mi w oczy i wiem, że pragnie w to uwierzyć.

– Ben, to jeden z tych momentów, w których musisz się otworzyć i wpuścić mnie do środka. Jak mam cię poznać, skoro nie chcesz mi nic o sobie powiedzieć? – uśmiecham się łagodnie i ściskam go za rękę.

Przygląda mi się przez chwilę, widzę jego wewnętrzną bitwę z samym sobą.

– Moja siostra umarła w wieku dwunastu lat – mówi w końcu, a mnie rzędzie mina. – Została porwana – dodaje smutno.

*Co takiego?*

*O mój Boże.*

– Och, Ben... – szepczę. – Tak mi przykro. – Ściskam go za rękę. – Ile miałaś wtedy lat?

– Dwanaście.

Marszczę czoło, zdając sobie sprawę, co to oznacza.

– Byliśmy bliźniętami – dodaje cicho.

Oczy zachodzą mi łzami.

*Dobry Boże.*

– Rok później tata się zabił. Obwinił się i nie zniósł życia w takim poczuciu winy.

Ściskam jego dłoń nieco mocniej, bo nie wiem, co powiedzieć.

Ben milczy.

– A matka? – pytam w końcu.

– Zapisała mnie do wojska, gdy skończyłem piętnaście lat.

– Tak młodo?

Patrzy mi w oczy.

– Umierała na raka i wiedziała, że armia o mnie zadba.

Mrugam, by powstrzymać łzy. Wyobrażam sobie piętnastoletniego chłopca, który został na świecie sam. Wzruszenie tak mocno ściska mnie za gardło, że ledwo wytrzymuję.

– Skarbie, tak mi przykro... – szepczę przez łzy.

Ponownie wbija wzrok w stół.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, a ja próbuję przyswoić to, co właśnie usłyszałam. *Co mam powiedzieć?*

– Dziękuję, że się tym ze mną podzieliłeś – mówię w końcu. Chciałam poznać jego historię, lecz teraz mam wyrzuty sumienia, że przeze mnie musiał ponownie się z nią mierzyć.

Kiwa głową, ale nie podnosi wzroku.

Obserwuję, jak ten wielki, piękny, władczy mężczyzna walczy, i nagle widzę go bardzo wyraźnie. Widzę tego wystraszonego piętnastolatka. Serce pęka mi na myśl, że nie powiedział mi wcześniej. Powinnam zmienić temat, ale jestem zbyt wstrząśnięta.

Patrzy na mnie, jakby oczekiwał, że zaraz ucieknę.

Nerwowo szukam w torebce chusteczek.

– Kto o tym wie? – pytam.

Kręci głową.

– Nikt.

– Nikt? W sensie... dosłownie nikt?

– Nie chcę, by ludzie wiedzieli.

Ponownie łapię go za rękę i patrzę mu głęboko w oczy. Czuję w tej chwili taką bliskość z tym mężczyzną, że mam ochotę wejść mu na kolana i go pocieszyć.

– Cóż... – zawieszam głos. – Twoja mama byłaby dumna, widząc, na jakiego człowieka wyrosłeś.

Spuszcza głowę, a ja pośpiesznym ruchem wycieram krnąbrną łzę, która wyrwała się na mój policzek.

Ben milczy, więc wiem, że muszę zmienić temat.

– Potrzebujesz pomocy przy dmuchaniu tego materaca? – pytam, a on patrzy mi w oczy i uśmiecha się kącikiem ust. – Bo tak się składa, że jestem pełna gorącego powietrza. – Unoszę brwi zachęcająco.

Jego usta rozciągają się w zapierającym dech uśmiechu i czuję, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi.

– Prawdopodobnie.

Wskazuję palcem na mój talerz.

– To teraz zjem to ciasto czekoladowe, a potem nadmucham ci łóżko.

– O ile Natasza z Abbie nie włamały się do mojego mieszkania i same tego nie zrobiły – parska.

Przewracam oczami.

– Znając je, to całkiem możliwe – cedzę cierpko.

Ben śmieje się w głos i ten śmiech jest dla mnie niczym narkotyk.

Patrzymy sobie w oczy dłuższą chwilę i aż boli mnie serce, bo między nami zawisł żal.

*Dlaczego nie opowiedział mi o tym wcześniej?*

Pragnę go przytulić i zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale nie mogę. Nie mogę leczyć jego serca, składając w ofierze własne. Nie jestem już głupia.

Wiem natomiast, że niestety – mogę to już oficjalnie przyznać – nadal jestem w nim zakochana. Kocham każdy kawałeczek jego poturbowanej tożsamości.

Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że dla nas jest już za późno, że nie mogę przyjąć go z powrotem, choć spoglądając na niego nad stolikiem, wyraźnie czuję tę od początku łączącą nas bliskość. Współczucie, przyjaźń i nieuchronnie złamane serca.

Besztam się w duchu za to, że sama postawiłam się w tej sytuacji.

*Wracaj do domu i nie oglądaj się za siebie, Bridget.*

# Rozdział 7

## Bridget

Korytarz prowadzący do mojego mieszkania jest długi.

Ben nie zgodził się, bym nadmuchała mu materac, więc pojechaliśmy prosto do mnie. W tym momencie nie mam bladego pojęcia, co robię. Jestem rozgrzanym wrakiem. Dezorientacja to pestka przy tym, co właśnie czuję. Mój umysł nieustannie przerabia wszystko od początku i od początku, a ja nie wiem, jak to rozszyfrować.

*Powinam zaprosić go do środka?*

*Nie... stanowczo nie.*

Niezdarnie szukam w torebce kluczy.

– Są – mówię z nerwowym uśmiechem, gdy w końcu je znajduję.

Ben stoi nieruchomo z rękami w kieszeniach.

Marszczę czoło na myśl, że wraca samotnie do tego pustego, odludnego mieszkania i samotnie dmucha sobie łożko.

Informacje na jego temat, które dziś poznałam, osłabiły mnie emocjonalnie. Nie zniosę tego. Nie mogę sobie wyobrazić, że stracił całą rodzinę, zanim skończył piętnaście lat. Nic dziwnego, że ma problemy z komunikacją międzyludzką. Gdy jego najbliżsi jeszcze żyli i mogli nauczyć go, jak rozmawiać z ludźmi, był za mały, żeby to zrozumieć, a jestem pewna, że w armii nie uczyli go o emocjach.

Chcę zaprosić go do środka. Ale wiem, że nie mogę.

*Ja pierdolę, dlaczego tak trudno go odtrącić?*

Otwieram drzwi, a on staje za mną. Blisko. Zbyt blisko.

Zamykam oczy, bo czuję ciepło jego ciała. Jego oddech na moim karku sprawia, że dostaję gęsiej skórki. Moje serce bije coraz szybciej.

*Przestań, przestań, przestań.*

Odwracam się gwałtownie.

– Dzięki za kolację.

Na jego twarzy pojawia się zdziwienie, którego nie zdążył zamaskować, ale od razu uśmiecha się sztucznie i kiwa głową.

– Więc... – zawieszam głos, ponieważ naprawdę chcę zaprosić go do środka, ale... – zobaczymy się w niedzielę u mamy? – pytam z nadzieją.

Przytakuje i odsuwa się o krok.

Moje ciało wrzeszczy, rozwścieczone zwiększającą się między nami odległością.

– Pewnie – odpowiada.

Patrzę mu w oczy i wiem, że chcemy tego samego.

*Przestań!*

– Pa, pa, Ben – wyduszam z trudem.

– Pa, Didge – szepcze. Posyła mi jeszcze jedno długie spojrzenie, po czym odwraca się i odchodzi korytarzem.

Patrzę za nim, dopóki nie znika mi z oczu. Połowa mnie pragnie za nim biec, pójść razem z nim. Ale druga połowa...

Komu ja ściemniam? Cała chcę za nim biec.

Szkoda.

*Bridget, wylecz się z niego. On nie przyniesie ci niczego dobrego.*

\*\*\*

Siedzę w pracy za biurkiem i gapię się przez okno. Ben mocno zaprzęta mi głowę. Moja komórka tańczy na blacie, więc obracam ją ekranem do góry i zauważam imię „Eric”. Zamykam oczy z poczuciem winy i nie odbieram. Dzwonił dziś do mnie pięć razy, jakby wyczuł, że wyszłam wczoraj z Benem.

Źle mi z tym, że nie odbieram, ale nie wiem, co mam mu powiedzieć, i nie wiem, co się ze mną dzieje, do cholery. Dzwoni do mnie idealny facet, a ja nie odbieram, za to bez przerwy myślę o mężczyźnie, który jest dla mnie niewłaściwy na każdej możliwej płaszczyźnie. Patrzę tępo w przestrzeń.

Nie powinno się wyrastać z takich pierdół po skończeniu osiemnastki?

Mam dwadzieścia siedem lat. Powinnam już w miarę zebrać się do kupy. Powinnam już wiedzieć, co dla mnie dobre i czego chcę od życia.

Zjadłam trzy pączki i dwie babeczki, wypiałam cztery kawy. Operacja „Odchudzanie” została skreślona i wywalona do kosza. Udaję, że szukam dogodnego miejsca na wyjazd dla jednego z klientów, ale tak naprawdę za chuja nie mogę skupić się na pracy. Wciąż słyszę w głowie słowa Bena. Mdli mnie na samą myśl o tym, co mu się przydarzyło, i nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jaki to musiał być koszmar.

Wracam do historii jego rodziny i ogarnia mnie smutek. Jego los łamie mi serce. Był tylko małym chłopcem. Jego ukochana siostra bliźniaczka. Wiem, jak to jest stracić siostrę, ale bliźnięta łączy wyjątkowa więź.

Marszczę czoło w namyśle, stukając długopisem w biurko. Nachodzą mnie złe przeczucia.

O, nie. O Boże.

Odsunął się ode mnie, gdy moja siostra zaginęła. To samo spotkało jego siostrzyczkę. Jego siostra umarła.

Prostuję się na krześle, kiedy doznaję olśnienia. Włoski na moim karku stają na baczność.

Dlatego zniósł to wówczas tak ciężko, bo musiał ponownie zmierzyć się z własną stratą. Wspomnienia okazały się zbyt silne.

Wyobrażam sobie, co musiał przez cały ten czas przeżywać samotnie. Rozdziera mnie to na strzępy. Nikt nie wiedział, przez co przechodzi, a on obwiniał się o zaginięcie mojej siostry. A może obwinia się za porwanie własnej?

My wszyscy bez przerwy byliśmy tacy rozgorączkowani... To jasne, że nie opowiadał nam wtedy własnej historii i jej smutnego zakończenia.

Łapię się za głowę.

Boże jedyny, przecież to przełom. Straszliwy przełom.

Przez cały czas myślałam, że się ode mnie odsunął, bo mu nie zależało, tymczasem okazuje się, że może... zależało mu za bardzo.

Moje oczy wypełniają się łzami.

*Ben, do kurwy nędzy, dlaczego po prostu ze mną nie porozmawiałeś? Mogliśmy pomóc sobie nawzajem.*

– Nie zapomnij o dzisiejszym wieczorze – mówi z uśmiechem mijająca mnie Louisa.

– Co? – dziwię się. – A co jest wieczorem?

– Idziemy opić pożegnanie Marci, pamiętasz?

– Ach, tak. Kompletnie zapomniałam – przyznaję z krzywą miną.

– Nawet o tym nie myśl – mówi, wymierzając we mnie palec. – Masz być. Prawie wszyscy się już wykręcili, zostało nas tylko sześcioro. Żal mi jej, musisz przyjść. Marci bardzo się cieszy na to wyjście.

– Eeech... – Drinki ze współpracownikami to ostatnie, na co mam teraz ochotę. – No dobra – burczę.

– Podwożę cię, żebyś mogła się napić – proponuje dla dodatkowej zachęty Louisa.

Przewracam oczami i wzdycham głęboko.

– Okej, super. Kac jutro w pracy wszystko naprawi... – mamrocę pod nosem.

Louisa unosi zawadiacko brew i znika za swoim biurkiem.

– Idziesz na lunch? – pyta Mary. – Im szybciej wrócisz, tym szybciej ja będę mogła iść.

Zerkam na zegar na monitorze.

*Kurczę, ten dzień toczy się jak za mgłą.*

– Tak, tak, już idę... – mówię, rozkojarzona, i zbieram rzeczy z biurka. – Wracam za godzinę.

Łapię torebkę i schodzę po schodach. Mam totalny mętlik w głowie. Szczerze mówiąc, tak napchałam się pączkami, że lunch nie jawi się jako kusząca perspektywa, ale przynajmniej na chwilę wyjdę z firmy. Tak naprawdę potrzebuję wypadu do baru z Adrianem, Taszą i Abs i długiej dyskusji nad dużą ilością alkoholu.

Oni widzieliby, co robić... Może.

*Nie! Nie wciągaj ich w to.*

Ta sprawa dotyczy wyłącznie mnie. I może Bena. I może trochę Erica. I może trochę całej mojej przeszłości.

*Kurwa mać, co za pierdolnik.*

Macham Bethany w recepcji i wychodzę na ulicę.



Ben czeka na mnie, opierając się o mur przy samych drzwiach. Ma na sobie białą koszulkę, czarne dżinsy i oczywiście czarną czapkę z daszkiem.

Oddech grzęźnie mi w płucach.

Cóż za wspaniały przedstawiciel rodzaju męskiego. Zaraz zemdleję jak jakaś porażona miłością nastolatka.

– Cześć. – Uśmiecham się do niego i nachodzi mnie to uczucie w głębi podbrzusza, będące mieszanką nerwów i ekscytacji.

Jego łagodny uśmiech przeszywa mnie do szpiku kości.

– Hej, Didge. – Trzyma w dłoni papierową torebkę.

Myślę nad jakąś inteligentną odpowiedzią, ale w głowie mam pustkę.

– Co ty tu robisz? – pytam.

Przygryza dolną wargę, jakby chciał coś powiedzieć, ale uznał, że lepiej się powstrzymać, i wyciąga do mnie torebkę.

– Przyniosłem ci popołudniową herbatkę.

Przyjmuję podarunek, zaglądam do środka i widzę czekoladową eklerkę. Uśmiecham się do Bena.

– Roztyję się, jeśli bez przerwy będziesz mi je kupował.

– I tak byłabyś idealna, niezależnie od rozmiaru. – Patrzy mi w oczy i czuję, jak skuwający moje serce lód zaczyna topnieć.

*Nie bądź uroczy, nawet się nie waz.*

– To bardzo uprzejme z twojej strony, bardzo uprzejme.

Dobre maniery biorą górę i obejmuję go przelotnie, ale on nagle łapie mnie w ramiona i mocno przyciąga. Jest ciepły, wielki i silny. Ależ mi przyjemnie.

Trwamy w uścisku przez dłuższy czas. Mam zamknięte oczy i, cholera jasna, na świecie nie ma lepszego miejsca niż jego objęcia.

*Przestań.*

– Skąd wiedziałeś, że mam teraz lunch? – pytam, wysuwając się z jego ramion, lecz on natychmiast łapie mnie za rękę.

*O, nie, jest dziś strasznie przytulaśny. Jak niby mam się oprzeć przytulaśnemu Benowi?*

– Mówiłaś wczoraj, że masz przerwy o trzynastej.

Unosi moją dłoń i ją całuje. Przyglądam się temu i czuję, że moje serce wpada w amok.

*Dlaczego musi być tak kurewsko boski?*

– Chcesz zjeść ze mną lunch? – pytam bez namysłu.

– Chcę robić z tobą wszystko.

*O rany.*

Przyciąga mnie do siebie, więc patrzę mu w oczy.

*Pocałuj mnie. Pocałuj mnie. Zrób to, zrób to, zrób to.*

Jego usta biorą moje bardzo łagodnie, jego ręka zakrada się na moją talię. Odsuwa się, by na mnie spojrzeć, i delikatnie pieści kciukiem mój policzek.

Czuję przez dzinsy, że mu stanął. Nie mogę oddychać.

– Co chcesz zjeść, aniele? – szepcze.

*Ciebie... Ciebie chcę zejść. Całego. Tutaj. Natychmiast.*

Uśmiecha się, jakby czytał w moich myślach, i nasze usta ponownie się spotykają.

*Och, ten pocałunek jest zbyt dobry.*

Moje ciało zaczyna się rozpalać od podniecenia.

– Ty chuju jebany – warczy ktoś.

Oboje podnosimy głowy. Z przerażeniem dostrzegam Erica.

*Mój Boże.*

Odskakuję od Bena i bąkam:

– Ee... Eric...

Popycha Bena z całych sił i ten zatacza się do tyłu.

– Ostrzegałem cię, kurwa! – krzyczy.

– A ja nie kryłem przed tobą swoich zamiarów. Wypierdalaj już – warczy Ben.

Eric ponownie go popycha i wtedy Ben, jakby stracił nad sobą panowanie, rzuca się naprzód i rewanżuje się tym samym.

Rozglądam się i dociera do mnie, że jesteśmy na chodniku pod moją firmą.

*Co ja sobie wyobrażałam?! Pocałowałam Bena! W miejscu publicznym!*

– Przestańcie, proszę... – szepczę, rozglądając się z przeraźliwym poczuciem winy.

Eric uderza Bena i ten wpada w grupę przechodniów.

Zakrywam usta dłońmi.

*Tylko nie to.*

Ben odzyskuje równowagę i postępuje naprzód.

– Uderzyłeś mnie pierwszy i ostatni raz, chuju zajebany – cedzi, a gdy Eric uderza go drugi raz, dodaje z przekąsem: – Tylko na tyle cię stać, pizdo?

Wytrzeszczam oczy ze strachu.

*O, nie. Eric prosi się o śmierć.*

– Ben... – szepczę. – Proszę, nie. Po prostu odpuść.

Ale już za późno.

Ben łapie Erica za gardło i wali go z całej siły w twarz.

Eric pada na ziemię.

– Przestańcie! – krzyczę. – Dość tego, proszę! – błagam.

Ericowi odbiło z gniewu. Wpada na Bena całym ciałem i obala go na chodnik. Ich ciała uderzają o beton z głośnym łupnięciem.

Znów zakrywam usta.

*Mój Boże.*

Moje oczy zachodzą łzami.

– Przestańcie! – krzyczę i podnoszę wzrok na budynek.

Bethany i wszystkie dziewczyny z biura na parterze przyglądają się tej scenie przez okna, jakby oglądały jakiś mecz.

Zwolnią mnie przez to z roboty. Eric podpisał na siebie wyrok.

*Co robić? Co robić?*

Zrobili się naprawdę brutalni, jakby chcieli się pozabijać.

Eric rozerwał Benowi koszulkę.

Rozglądam się wokół i zauważam ochroniarza w sklepie trzy numery dalej. Biegnę do niego.

– Proszę mi pomóc. Biją się! – wołam błagalnie.

– Kto się bije? – pyta, chmurząc się.

– Dwóch moich byłych. Proszę, musi ich pan rozdzielić. – Łapię go za rękę, wywlekam na chodnik i wskazuję na dwóch zjebów okładających się na samym środku głównej ulicy miasta.

Ochroniarz biegnie ku nim, a ja wykrzywiam twarz w płaczu, z moich oczu tryskają łzy. Cofam się o krok od tego wszystkiego.

Oczywiście Ben ma przewagę, Eric jest już w kiepskim stanie.

Biedny. Nie zasłużył sobie na takie potraktowanie.

Ból ściska mi serce... Widział, jak się całujemy. Jestem złym człowiekiem. Skrzywdziłam go, a teraz Ben robi mu realną krzywdę.

– Przestań! – wrzeszczę. – Ben, przestań!

Ale biją się dalej, a Eric wpada w prawdziwy szal.

Nie mogę na to patrzeć. Muszę stąd uciec, muszę uciec od nich.

Obracam się, biegnę ulicą, wpadam do jakiejś restauracji i siadam w kącie. Przerażona, wycieram spływające po twarzy łzy. Oddycham głęboko, żeby napełnić powietrzem płuca, żeby choć trochę się uspokoić. Nie wierzę w to, co się właśnie stało.

Chowam się za kartą dań.

– Zdecydowała już pani? – pyta kelnerka, która właśnie do mnie podeszła.

– Och... – Uśmiecham się sztucznie, próbuję opanować oddech. Jestem tak rozgorączkowana, że nawet nie wiem, co to za restauracja. – Mmm. Poproszę colę light i jeszcze kilka minut na przejrzanie menu, jeśli to nie problem.

– Jasne, za chwilę wrócę. – Uśmiecha się i znika w kuchni.

Moja komórka zaczyna tańczyć na stole, na ekranie ukazuje się imię Bena.

Zakrywam usta dłonią, moje oczy ponownie zachodzą łzami.

*Nie mogę tego zrobić Ericowi. Nie jestem taka.*

Odrzucam połączenie, zaciskam usta i myślę. Gdy telefon znowu dzwoni, ponownie odrzucam połączenie. Spoglądam na ulicę – Ben z komórką w ręku właśnie mija restaurację szybkim krokiem i szuka mnie spojrzeniem.

Czym prędzej chowam się za menu.

Telefon ponownie się odzywa, tym razem Ben przysłał SMS.

### **Gdzie jesteś? Odbierz.**

Zsuwam się na krzesło, jakbym chciała się schować pod stołem. Jestem zrozpaczona.

*O Boże. Odejdź. Odejdź, proszę. Wszystko rozpierdalasz.*

Telefon dzwoni jeszcze raz, chowam twarz w dłoniach. Nie dam rady borykać się z tym całym gównem.

– Po prostu zostaw mnie w spokoju – szepczę.

Przez jakieś pięć minut patrzę tępo w przestrzeń i próbuję przyswoić ostatnią dobę mojego życia.

*Gdzie jest Eric? Nic mu nie jest? Przeżył to w ogóle? Pewnie musieli go zawieźć do jebanego szpitala.*

Muszę sprawdzić.

Dzwonię do niego, ale po chwili odzywa się poczta głosowa. Odrzucił.

Łapię się za głowę.

Przecież to jedna wielka, pierdolona katastrofa.

\*\*\*

Jest siedemnasta trzydzieści, a ja mam za sobą najgorszy dzień w życiu.

Ben nieustannie do mnie wydzwaniał, za to Eric nie odbiera moich telefonów. Na szczęście za dziesięć minut widzę się z Taszą i Abs w knajpie U Oskara. Muszę spuścić parę. Bardzo bym chciała wyjść z nimi na cały wieczór, ale mam to zakichane spotkanie z ludźmi z pracy, więc muszę się zadowolić szybką kawą.

Wychodzę na chodnik przed budynkiem.

– To odbiorę cię o ósmej, tak? – upewnia się Louisa, wpychając do ust babeczkę czekoladową.

– Na to wychodzi – wzdycham. – Przypomnisz mi, gdzie idziemy?

– Do Amigos.

Unoszę brwi.

– Przynajmniej mają tam dobre margarity – wzdycham ponownie i ruszam wzdłuż ulicy.

– O, wrócił – szepcze Louisa.

– Kto? – dziwię się.

– Ten w czapeczce. – Wskazuje na drugą stronę drogi.

Podnoszę wzrok – Ben opiera się o mur budynku naprzeciwko naszego biurowca.

Mrużę oczy ze złością.

– Może tam sobie, kurwa, stać. Mam go dość. Rzuć mu babeczką w łeb. – Biorę ją pod rękę. – Chodźmy stąd.

Ruszam szybkim krokiem, ale Ben odpycha się od muru, przechodzi przez jezdnię i wychodzi nam na spotkanie.

– Po prostu idź i go miń – szepczę.

- Odjechało ci?! – odpowiada. – Przecież jest boski.
- Jest też pierdoloną pizdą. Po prostu idź.
- Co z tego, że jest pizdą, skoro możesz oglądać go nago?

W najgorszym razie zaklej mu gębę taśmą.

Spuszczam głowę, żeby ukryć uśmiech. To nie czas na heheszki.

- Zamkniesz się już? – szepczę. – Idź przed siebie.
- Bridget – warczy Ben, gdy się do niego zbliżamy.
- Odejdź! – rzucam, gdy go mijamy.
- Nie! – woła zza naszych pleców.
- Idź dalej – syczę do Louisy.
- Muszę? – pyta, odwracając głowę, żeby na niego spojrzeć. –

Wykurwiste ciasteczko...

Próbuje mnie wyhamować, ciągnąc za rękę, więc odsuwam się od niej i odwracam do niego. Nie wiem, czy kiedykolwiek byłam równie wściekła. Zaraz popłaczę się ze złości. Ale jeszcze bardziej zła jestem na siebie, bo przejmuję się tym palantem, niewidzącym niczego poza czubkiem własnego nosa.

– Musiałeś go uderzyć? – pytam, kręcąc głową. Moje oczy zachodzą łzami. – Poczuleś się dzięki temu jak naprawdę duży, duży chłopczyk, Ben?

Zaciska zęby.

– Uderzył mnie pierwszy.

Unoszę brwi, zdumiona.

– Bo się całowaliśmy! – krzyczę. – Czego oczekiwałeś?!

Patrzy mi pytająco w oczy, a Louisa zerka to na mnie, to na niego.

– Momencik... Chwilka... Całowaliście się? – pyta, wytrzeszczając oczy. – O tym nie wspomniałaś.

Ben piorunuje ją wzrokiem i Louisa natychmiast kurczy się w sobie, po czym wskazuje kciukiem w przeciwnym kierunku.

– To może ja już pójdę – mówi, patrząc na nas.

– Dobry pomysł – cedzi Ben, nie odrywając ode mnie spojrzenia.

– Nie waż się być chamski dla moich znajomych – warczę, celując w niego palcem.

Ben przewraca oczami, a Louisa czmycha w swoją stronę.

– Paaa! – woła przez ramię. – A tak przy okazji, jestem Louisa. Miło było poznać – dodaje, machając z głupkowskim uśmiechem.

Ben przez chwilę za nią patrzy, po czym znów wbija wzrok we mnie. Przez moment stoimy w ciszy.

– Nie chciałem go uderzyć – mówi w końcu.

– Ale uderzyłeś.

Ponownie zaciska zęby.

– Mówiłaś, że zerwaliście.

Kręcę głową. Czy on naprawdę jest upośledzony emocjonalnie?

– Czy ty w ogóle wiesz, co to jest empatia? – pytam, na co ściera brwi, zdezorientowany. – Zerwaliśmy w tym tygodniu, Ben. I to przez ciebie. – Oczy zachodzą mi łzami, ponieważ wyznanie tego na głos boli. – Jak mógł się poczuć, gdy zobaczył nas całujących się? Jak sądzisz?

Boże, nie mogę znieść tej myśli.

Na jego twarz wstępuje furia.

– Nie wciskaj mi takich rzeczy, Bridget. Doskonale wiem, jak to jest patrzeć, gdy całujesz innego. Kurewsko boleśnie! – krzyczy.

Ściska mnie w dołku i krzywię się mimowolnie, bo jakimś cudem ten koszmar stale się pogłębia.

– Ben... – Kręcę głową i cofam się o krok. Muszę się od niego odsunąć. – Musisz odejść. – Wycieram wściekle łzy. – Spóźniłeś się. Miałeś swoją szansę i mnie odrzuciłeś!

– Nieprawda! – ryczy. – Nigdy bym tego nie zrobił!

Przyglądam mu się przez chwilę. Wyrzuty sumienia ciążą mi w żołądku.

– Koniec z nami, Ben. Basta. Myślałam, że możemy się przyjaźnić, ale ewidentnie nie. – Spuszczam głowę, wycieram nos wierzchem dłoni. – Nie zniosę tego. Nie chcę ponownie przeżywać tego gówna. Dwa tygodnie temu miałam normalne życie.

– Bridget... – Stawia dwa dynamiczne kroki i już jestem w jego ramionach. – Nie mów tak, maleńka. To nie może być nasz koniec... – szepcze wściekle tuż przy mojej skroni.

Moją twarz wykrzywia ból. Jest mi przy nim tak ciepło, tak bezpiecznie. Chcę zostać w jego ramionach, ale przypominam sobie o biednym Ericu i jego złamanym sercu i natychmiast wyrrywam się z objęć Bena.

– Nie dotykaj mnie. Proszę. Po prostu... zostaw mnie. Ja tak nie mogę.

Patrzę na niego ostatni raz, po czym odwracam się i biegnę ulicą. Tuż przed skręceniem w przecznicę oglądam się przez ramię i widzę, że Ben nadal stoi w tym samym miejscu ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach.

Wygląda jednocześnie na wściekłego i smutnego.

Czyli jest nas dwoje.

\*\*\*

Dwadzieścia minut później wchodzę do knajpy U Oskara i widzę siedzące na ławce w rogu sali Abbie i Taszę. Podchodząc do ich stolika, kładę dłoń na ramieniu Maksa i daję mu buziaka w policzek.

– Cześć, Max.

– Hej, Didge – mówi z uśmiechem i przykrywa moją dłoń swoją.

Idę dalej i padam ciężko na ławkę.

– Cześć – witają mnie radośnie Tasza i Abbie.

– Cóż, moje życie to pierdolona klęska – wzdycham i wyrywam Abbie menu. – Dawać mi tu wszystkie ciasta czekoladowe, jakie mają w karcie – warczę, opierając się wygodnie.

Abbie i Tasza wymieniają się spojrzeniami.

– Co się stało? – pyta moja siostra.

– Och, od czego by tu zacząć? – pryham, wyrzucając ręce w powietrze. – Wczoraj wieczorem wyszłam z Benem na kolację.

Obydwie wywalają na mnie gały.

– Na serio? – pyta podekscytowana Tasza i zaczyna walić dłońmi w stolik, jakby grała na perkusji.

– Zerznęłaś go? Proszę, powiedz, że tak – wtrąca Abbie.

– Nie, nie zerznęłam go, Abbie. Mój świat nie kręci się wokół rżnięcia, bo nie jestem szmatą! – Z frustracji łapię się za nasadę nosa.

Abbie przewraca oczami.

– Boże, ale dziś dramatyzujesz.

– No to co się stało? – pyta uradowana Tasza.



– Nic. Zjedliśmy, podrzucił mnie do domu i było super. – Kręcę głową. – Lepiej niż super.

Obie robią zdezorientowane miny.

– Więc w czym problem? – drąży Tasza.

– Dziś rano przyszedł do mnie do pracy, oczywiście w chuj seksowny i tak dalej. Przyniósł mi eklera czekoladowego, no i pocałowaliśmy się na ulicy. Chwilę później zjawił się Eric i musiał na to wszystko patrzeć...

Dziewczyny ściągają brwi.

– O, nie... – szepcze Tasza.

– No i Eric wyzwał Bena od chujów, Ben Erica od pizd, a potem zaczęli okładać się pięściami na środku chodnika, przed moją firmą.

Tasza wytrzeszcza oczy i zakrywa usta dłonią.

– Tarzali się po pierdolonym chodniku. – Kręcę głową z niedowierzaniem. – Koszmar.

– Z Erikiem wszystko dobrze? – pyta cicho Natasza.

– Nie wiem, bo nie odbiera moich telefonów. – Ukrywam twarz w dłoniach. – Oficjalnie mnie znienawidził.

– Cholera... – szepcze siostra.

– A co z Benem? – pyta Abbie. – Bo on póki co chyba cię nie nienawidzi.

– Z Benem? Ben to zafajdany kretyn. Chciałabym, żeby mnie znienawidził. Przylazł po mnie po pracy, chciał przytulać i prawie znowu mnie na to złapał. Zamienia mnie w królową ulicznych wywłok.

Zjawiają się nasze kawy, więc każda bierze w dłoń kubek.

Upijam łyk i kręcąc głową, stwierdzam:

– Ja nie zdradzam.

– Bycie królową wywłok jest świetnie. A poza tym zerwaliście, pamiętasz? Technicznie rzecz ujmując, nie byliście już parą – wtrąca Abbie.

– To prawda – wtóruje jej Tasza.

– Powinnyście zobaczyć jego minę – odpowiadam cicho. – Było mu tak przykro.

Tasza robi smutną minę.

– Biedny Eric. Do bani. – Kręci głową, zde gustowana. – Coś ty sobie myślała, do cholery? – pyta.

– Oj tam, przejdzie mu. Pewnie wbił się już po same jajca w jakąś dziwkę – stwierdza swobodnie Abbie, dmuchając kawę.

– Zamkniesz się wreszcie? – ruga ją Natasza. – Ani trochę nie pomagasz.

– Aleście dziś delikatniutkie i wrażliwe. Weźcie sobie coś na odprężenie – odpowiada Abs, sącząc kawę.

Opieram czoło o dłonie.

– A teraz muszę iść na debilne wyjście z pracy i udawać, że dobrze się bawię, choć tak naprawdę chciałabym sprawdzić, co z Erikiem.

Abbie marszczy czoło.

– Gubię się. Więc który tak naprawdę ci się podoba?

– Tu się z nią zgadzam – przytakuje jej Tasza. – Eric czy Ben?

– Boże! – Ukrywam twarz w dłoniach. – Chciałabym, żeby to był Eric. – Siorbię kawę smutno. – Jest dla mnie idealny.

– Ale ci się nie podoba? – pyta siostra.

– Ben to taki palant... – burczę pod nosem.

– Nie o to pytałam.

– Który cię kręci fizycznie? – dopytuje Abbie. – No wiesz, który przyprawia cię o gęsią skórkę?

Patrzę na nią z mordem w oczach.

– No, o którym myślisz przed snem? – naciska Tasza.

Przewracam oczami.

– Na tym właśnie polega problem! Nie chcę o nim myśleć. – Wzdycham z rezygnacją. – Wczoraj opowiedział mi co nieco o swojej przeszłości, przez co jestem teraz wrażliwa i bezbronna.

– Co ci powiedział? – pyta za interesowaniem Tasza.

Rozglądam się z poczuciem winy.

– Nie możecie się wygadać, bo chyba nawet Joshua nie wie.

– Obiecujemy.

Obie nachylają się nad stołem.

– Miał siostrę bliźniaczkę i zamordowali ją, jak miała dwanaście lat, a rok później jego ojciec się zabił.

Obie zachłystują się powietrzem z wrażenia.

– A jak miał ledwie piętnaście lat, to matka zapisała go do armii, bo umierała na raka.

– O Boże... – szepcze Tasza.

– Ja cię nie pierdolę... – mamrocze pod nosem Abbie.

– Wiecie, chciałam spędzić z nim trochę czasu, ale po tym, jak uderzył Erica... Naprawdę chcę trzymać się od niego jak najdalej.

– A niby dlaczego? – pyta Abbie. – Zastanów się. Spędzałybyś z nim czas, gdybyś nie miała Erica na sumieniu?

Wzruszam ramionami bez animuszu.

– Ale mam go na sumieniu – stwierdzam i biorę łyk kawy. – I jak by na to nie spojrzeć, Ben jest emocjonalnie zjebany. Pewnie znowu uciekłyby w środku nocy. Musiałabym być głupia, żeby do niego wrócić.

Obie słuchają, kiwając głowami.

– To prawda – ustępuje Abbie.

Wszystkie siedzimy w ciszy i zastanawiamy się, sącząc kawę.

– Wiecie, Ben ma problemy. Głęboko zakorzenione. I nie wiem, czy da się je naprawić. Być może będzie taki już zawsze. Naprawdę powinnam wiązać się z kimś tak pokiereszowanym emocjonalnie jako dwudziestosiedmiolatka? – Wzruszam ramionami. – Zasługuję na kogoś lepszego niż na faceta, który zjawia się po pięciu latach i domaga się drugiej szansy, a potem leje mojego chłopaka... Nawet jeżeli weźmiemy pod uwagę jego trudną przeszłość.

Obie zgodnie mi przytakują.

Wzdycham ciężko i chowam twarz w dłoniach.

– Trzy tygodnie temu byłam szczęśliwa, stopniowo się zakochiwałam, a teraz... – urywam.

– Wcale nie byłaś szczęśliwa, Didge – mówi Abbie. – Eric nie dawał ci szczęścia, a tylko bezpieczeństwo. To duża różnica.

Oczy zachodzą mi łzami, bo wiem, że ma rację. Nienawidzę się za to, że pozwoliłam, by Eric się we mnie zakochał.

Łapię się za głowę.

– Na moje oko powinnaś trzymać się z daleka od nich obu – sugeruje Tasza, ze współczuciem głaszcząc mnie pod stołem po nodze. – Niech pył opadnie.

– Chyba masz rację. – Przytakuję i biorę łyk kawy. – Dlaczego niewłaściwi faceci są tacy pociągający? – wzdycham.

– Bo są świetni w łóżku. Spójrzmy prawdzie w oczy, mili goście nie wiedzą, jak wydupczyć cię do nieprzytomności. Zamartwiają się, że zrobią ci krzywdę – wyklada Abbie, unosząc kubek jak do toastu.

Uśmiecham się smutno i unoszę swój.

– Za złych facetów i ich wielkie, złe kutasy! – woła z uśmiechem Abbie.

Śmieję się i kręcę głową, gdy wszystkie trzy stukamy się kubkami.

– Jesteś niemożliwa, Abbie. Niemożliwa.

\*\*\*

Dwudziesta pierwsza, jesteśmy w barze Amigos. Zwlekłam się tu, ale jestem totalnie wypompowana. Eric nadal nie odebrał, Ben nadal wydzwania.

Wracają do mnie słowa Abbie: *Eric nie dawał ci szczęścia, a tylko bezpieczeństwo. To duża różnica.*

Ma rację. Chyba nigdy nie zakochałabym się w Ericu, choć bardzo mi na nim zależy. Smuci mnie to. Smuci mnie fakt, że jestem zakochana w Benie. Chyba kocham go od pięciu lat i może właśnie dlatego nie potrafię zaangażować się w związek z kimś innym. Moje serce jest już zajęte. Do bani, bo Ben nie jest typem faceta, któremu mogę powierzyć przyszłość. Choć rozpaczliwie bym chciała.

Wciąż krąży mi po głowie ten pocałunek na ulicy. Poczułam się wtedy, jakby moje ciało na nowo ożyło. Nie czułam się tak od bardzo dawna. Gdybym chciała być ze sobą w stu procentach szczerą, musiałabym przyznać, że nie czułam się tak, odkąd Ben mnie zostawił.

– Idziesz potańczyć? – pytają dziewczyny, wyrывая mnie z zadumy.

– Nie, przycupnę sobie tam, na tamtej ławce, i dopiję drinka, ale za kilka minut dołączę do was na parkiecie – kłamię.

*Boże, jestem za trzeźwa na tańczenie.*

Siadam przy małym okrągłym stoliku, sączę drinka i patrzę na dziewczyny. Czuję vibracje komórki w kieszeni, SMS od Bena.

**Cześć**

Uśmiecham się smętnie i odpisuję.

**Cześć.**

Czekam na odpowiedź, wpatrując się w ekran. Ta nie przychodzi od razu, więc kładę komórkę na stoliku, ale w końcu słyszę sygnał SMS-a.

**Zaraz oszaleję.**

Odpisuję:

**Dlaczego?**

Odpowiedź:

**Bo nie potrafię przestać o Tobie myśleć.**

Uśmiecham się smutno.

**No to jest nas dwoje.**

Czekając na odpowiedź, wpatruję się w telefon.

**Bridget, Ty wciąż należysz do mnie. A ja do Ciebie.**

Moje oczy wypełniają się łzami, spuszczam głowę. Czuję dokładnie to samo.

Odpisuję:

**Ben, to strasznie pogmatwane.**

Na co on pisze:

**Wiem, ale pozwól mi to wyprostować.**

Wpatruję się w telefon zamglonym wzrokiem, po chwili łzy całkowicie przysłaniają mi obraz. Wycieram je, odkładając komórkę. Mam nadzieję, że w półmroku nikt nie zauważył, że płaczę.

Boże, to były dwa dni pełne emocji. Poznanie przeszłości Bena, przekonanie samej siebie, że nie kocham Erica... I że nie pokocham nikogo, dopóki nie uporam się z uczuciem do Bena.

Mój piękny Ben... Moje piekło i moje niebo.

Nie jestem w stanie dłużej hamować łez. Spływają strumieniem, choć staram się je wycierać. Mam nadzieję, że koleżanki z pracy mnie nie widzą.

Przychodzi jeszcze jedna wiadomość.

**Nie płacz, maleńka.**

Odpisuję:

**Nic na to nie poradzę. Ben, tak mi smutno. I jestem na Ciebie taka wściekła.**

Na co on pisze:

**Wiem. Mnie również jest smutno.**

Odkładam telefon i niezdarnie szukam w torebce chusteczek. Wydmuchuję nos i myślę. Chwileczkę... Skąd on wie, że płaczę? Rozglądam się po innych stolikach i... zauważam go w mroku, głęboko z tyłu. Siedzi sam i mnie obserwuje. Uśmiecha się delikatnie i teraz już naprawdę nie wytrzymuję. Wykrzywiam twarz w płaczu i mimowolnie do niego idę, a on wstaje.

– Co ty tu robisz? – pytam szeptem.

– Przyszedłem do mojej dziewczyny.

Patrzę na niego. W moim mózgu następuje jakieś zwarcie.

– Śledziłeś mnie?

– Tak.

Powoli bierze mnie w ramiona i całuje, a moje łzy rosą jego policzki.

Takiego mam właśnie jebanego pecha, że Ben musiał mnie zobaczyć beczącą jak dziecko.

Jego język krąży delikatnie pomiędzy moimi wargami, jego ręka zakrada się na moje plecy.

– Bridget... – szepcze, trzymając mnie mocno w ramionach.

To zbyt wiele. Łączące nas uczucie to zbyt wiele... Więcej, niż powinno być.

Całujemy się jeszcze raz i jeszcze raz, a za każdym razem, gdy jego usta odsuwają się od moich, pragnę więcej. Czuję przez spodnie jego erekcję, kiedy przyciska mnie do siebie, łapiąc za tyłek.

W ciemności jesteśmy coraz bardziej zdesperowani, rozgorączkowani, jakbyśmy byli tu sami. Nasze podniecenie wskazuje na nowy poziom.

Ben ciągnie mnie na swój taboret w zaciemnionym kątku knajpy. Siada na nim, a mnie ustawia między swoimi nogami, wtuloną w jego twardego fiuta.

Nasze usta są cały czas złączone.

Nie widzę wyraźnie, nie wspominając nawet o przejrzystym myśleniu.

Jego dłoń sunie w górę mojego uda pod spódnicę i spoczywa na moim tyłku, a wtedy ściskam pośladki i biorę głęboki wdech.

– Moja dziewczynka... – szepcze.

Ciepło jego dotyku jest niczym prąd, a moje podniecenie zaczyna pulsować głęboko w kroczu. Z każdym ruchem jego języka jego dłonie poruszają się w dół i w górę moich pośladków.

Musi mnie dotknąć... tam, więc w ramach zaproszenia unoszę jedną nogę i opieram ją o taborecik, na co on uśmiecha się przy moich wargach.

– Bridge, jesteś tak kurewsko przyjemna w dotyku. Czekałem na to, na ciebie... – warczy cicho tuż przy moim karku.

*Jasna cholera...*

Przymykam oczy z rozkoszy.

Jego ręce krążą po wnętrzach moich ud, palce zaczynają zataczać kręgi na moim kroczu przez majtki. Jego język tańczy w moich ustach.

Jestem mokra. Tracę kontrolę. Pragnę go. Całego. Same pieszczoty jego palców mi nie wystarczają.

– Dotknij mnie... – szepczę.

Jego palce wślizgują się pod moje majtki, w cieknącą wilgocią cipkę. Ben wydaje z siebie gardłowy jęk i przyrzekam, że sam ten dźwięk niemal doprowadza mnie do orgazmu.

Zaciskam nogi, żeby go opanować.

Ben bierze ostry, nierówny wdech, jego pocałunki stają się gorączkowe.

– Bridget... – szepcze z zamkniętymi oczami. Powoli wsuwa we mnie palec i oboje jęczymy.

*Och, jest mi zbyt dobrze. Kurwa.*

Dodaje drugi palec i kompletnie odlatuję, bo zaczyna mnie nimi nieśpiesznie pompować. Jego oddech drży w głębokim podnieceniu.

Zaciskam się wokół jego palców, Ben wykrzywia twarz.

– Musimy jechać do domu, bo zaraz spuszczę się w spodnie – warczy.

Kiwam głową, próbując kontrolować oddech, lecz na to już za późno. Muszę dojść natychmiast.

– Daj mi to... – dyszę.

Jego oczy błyszczą z podniecenia, zaczyna poruszać palcami w rytmie, który mogę opisać słowami: „O mój, kurwa, Boże”.

Wokół nas wibrują odgłosy mojego mokrego podniecenia.

*Cholera... jestem w pierdolonym klubie i ujeżdżam jego palce.*

Przygryza moją szyję, masując mój punkt „G” i... już!

Zaciskam się.

Spadam.

*Kurwa.*

– Ben – jęczę, gdy orgazm przejeżdża przeze mnie z impetem pociągu towarowego.

Ben obserwuje mój odjazd z otwartą buzią, a mnie oczy uciekają w tył głowy. Potem mnie całuje. Miętko, czule, z miłością.

Łapię się go, jakby zależało od niego moje życie. I może rzeczywiście zależy.

Niespiesznie wyciąga palce z mojego ciała i wkłada je sobie do ust. Oblizując je, patrzy na mnie mrocznym wzrokiem. Na koniec



poprawia moje majtki.

– Jedźmy do domu, aniele – szepcze mi do ucha.

Kiwam głową, bo odpowiedzieć nie jestem w stanie. Intensywność orgazmu, który Ben mi zapewnił, prawie się nie wysilając, wstrząsnęła mną do szpiku kości.

Bierze mnie za rękę i prowadzi przez lokal.

Zauważam Louise, macham i wskazuję na drzwi, a jej szczęka opada do samej ziemi. Potem pokazuje mi dwa frajersko uniesione do góry kciuki.

Jedziemy do mnie w całkowitym milczeniu. Ben trzyma moją dłoń na swojej nodze, więc czuję przez spodnie jego naprężonego fiuta.

Muszę przyznać, że nieco się denerwuję. Minęło sporo czasu. Czy nadal będzie między nami taki żar jak dawniej?

Ben zerka to na mnie, to na jezdnię.

– O czym myślisz? – pyta.

– O przyjemności, gdy byłeś we mnie – odpowiadam, patrząc mu prosto w oczy.

– To nawet nie był wstęp – mówi, kładąc moją dłoń na swoim kutasie.

Kwadrans później taranujemy drzwi mojego mieszkania jak para wariatów. Wpadamy do środka tyłem, nie odklejając od siebie ust.

Ściągam sukienkę przez głowę, zrzucam szpilki.

– Goła. Masz być goła... – dyszy ciężko.

Jego usta opadają na moją szyję i gryzie mnie mocno.

Jęczę głośno.

– Aaa! – krzyczę.

Zdejmuje mój stanik, zsuwa majtki. Jego wzrok nieśpiesznie opada na moje ciało i wręcz parzy.

– Kurwa, nadal idealna... – szepcze.

Podnosi mnie i kładzie na blacie kuchennego stołu.

– O Boże – skamlę.

Zrywa koszulę przez głowę, kilkoma kopnięciami pozbywa się butów oraz skarpet. Wodzę wzrokiem po jego ciele, po tym szerokim torsie upstrzonym ciemnymi kępkami włosów. Ma muskularne ramiona, wyrzeźbione ręce. Widzę każdy mięsień na jego brzuchu.

– Zdejmij wszystko – szepczę.

Ben patrzy mi w oczy i powolnym ruchem rozpina rozporek, po czym zsuwa z siebie dzinsy razem z bokserkami.

Gruby kutas zwisa ciężko między jego nogami. Na czubku widać pierwsze kropelki podniecenia.

*Dobry Boże, jestem w niebie.*

Nagle schyla się i jego język dopada moją cipkę. Jęczy we mnie, a moje nogi samoistnie unoszą się nad stołem i zaciskają. Łapie mnie ramionami za uda i mocarnym gestem przyciąga je z powrotem do blatu.

– Wpuść mnie – warczy.

Zaczyna mnie ssać, coraz mocniej i mocniej, ocierając się o mnie swoim krótkim zarostem.

Kładę dłonie na jego głowie.

Ma oczy zamknięte w rozkoszy, chyba jeszcze nie widziałam go tak podnieconego. Unosi ramiona, na których leżą moja uda, po czym odsuwa się, a ja walę mocno tyłkiem o stół.

*Boże, on nad sobą nie panuje.*

– Ben... – kwilę.

Ponownie we mnie jęczy, a wtedy z moich ust wyrywa się krzyk.

*Ja pierdolę.*

Wyginam się na blacie w łuk, gdy Ben agresywnie wpycha we mnie cztery palce.

– Aaa! – krzyczę.

Zapomniałam, jak to jest z nim sypiać. Jest taki ostry, że seks przypomina jakąś krwawą dyscyplinę sportu.

– Patrz na mnie – rozkazuje.

Unoszę się lekko na łokciach i przyglądam się, jak wylizuje mnie do ostatniej kropli. Sama już nie wiem, co jest bardziej podniecające: sam fakt, że mi to robi, czy to, jak bardzo to uwielbia.

Tak czy owak, szczęśliwa ze mnie suka.

Odsuwa się, żeby popatrzeć, jak moje ciało zмага się z jego czterema palcami.

Plecy mam wygięte, słysząc głośny odgłos zasysania.

– Tak jest, maleńka, ujeżdżaj mnie. Przygotuj się na mojego kutasa.

Niespiesznie ujmuje fiuta w dłoń i zaczyna robić sobie dobrze, nie odrywając oczu od palców taranujących moje krocze.

*Kurwa, jest zbyt dobrze.*

– Teraz Ben! – jęczę. – Potrzebuję cię natychmiast. Nie chcę dojść na palcach.

Patrzy mi w oczy i oblizuje wargi.

– Dojdiesz na tym, co ci, kurwa, ofiaruję... – warczy.

Zamykam oczy i odrzucam głowę w tył. Tak to jest z Benem. Dostanę, ile mi da.

Ale syczy przez zęby i wiem, że sam już ledwie wytrzymuje z podniecenia. Wchodzi na stół. Całuje mnie, a ja unoszę biodra, wychodząc mu na spotkanie.

– Potrzebuję cię... – łkam.

– Wiem, maleńka, zadbam o ciebie – mamrocze tuż przy mojej cipce, a potem zaczyna wsuwać grubego kutasa pomiędzy moje nogi.

*Ja pierdolę. Kurwa...*

Robi to długo, przez cały ten czas mnie całując, jakby próbował się uspokoić.

Rozkoszuję się każdą sekundą pocałunku. Nie chcę, by się skończył. Jego idealne pocałunki. Jego ciało przy moim. Nawet nie potrzebuję seksu. Sama bliskość z Benem jest dla mnie jak narkotyk.

Unosi jedną z moich nóg, przytrzymuje ją na przedramieniu i wbija się głębiej jednym płynnym ruchem.

Oboje otwieramy szeroko usta.

Jest taki wielki... I jest tak bardzo głęboko.

– Ben... – skamle.

*Kurwa, czy nasz seks zawsze był taki świetny?*

Powoli się wysuwa i wchodzi z powrotem.

– Och, do diabła, Bridget... – jęczy, a jego usta opadają na moją szyję.

Daje mi jeszcze trzy wolne pchnięcia, a potem pieprzy mnie mocniej, aż wybija mi powietrze z płuc. A potem mnie ujeżdża. Ostrymi, długimi, głębokimi pchnięciami, aż zaczynam się obawiać, że zaraz rozniesiemy mój stół. Zarzuca sobie na ramię moją drugą nogę i ustawia się w pozycji jak do robienia pompek.

*Boże jedyny, to najlepsza noc w moim życiu.*

Cała drzę, jęczę coraz głośniejsze. Nie wytrzymam.

– Zaczekaj na mnie – warczy.

– Nie dam rady – zawodzę.

– Bridget, masz, kurwa, poczekać.

Krzywię się, zaciskam powieki, a wtedy Ben naprawdę podkręca tempo na maksa, różnie mnie ostro... Tak ostro.

– Och, Ben! – krzyczę.

Wkłada przede mną rękę, żeby unieść mnie na swoje biodra...

*O Boże... Tak, to jest to miejsce...*

Oczy uciekają mi w głąb czaszki. Tracę kontrolę. Zaciskam się i wrzeszczę.

On zamyka oczy i dochodzi.

Nasze usta się stykają i nagle znowu jest łagodny. Całujemy się powoli i czule, uśmiecham się przy jego wargach.

– Witaj w domu, maleńka. Witaj w domu.

\*\*\*

Wchodzę do domu mamy tuż po siódmej. Planowałam być wcześniej, ale jak zawsze się spóźniłam. To pożegnalna kolacja Camerona, bo jutro wraca do Ameryki.

– Cześć – witam się z wszystkimi.

Jordy i Ella biegną do mnie, więc schylam się, żeby je przytulić.

– Witajcie, moje ulubione maluchy – mówię radośnie.

Blake też do mnie raczkuje, biorę go na ręce.

– Och, mogłabym cię schrupać. – Nachylam się i udaję, że zjadam jego brzuszki. Słucham, jak piszczy przy tym z zachwytem.

Mam za sobą najlepszą noc w życiu. Ben prawie ze mną nie wychodził, niezależnie od tego, czy był twardy, czy miękki. Wzięliśmy wspólną kąpiel, śmialiśmy się. Miałam wrażenie, że nigdy się nie rozstaliśmy. Rano znowu się kochaliśmy i jeszcze więcej śmialiśmy. Wiedziałam, że wieczorem znowu się spotkamy, i nie mogłam się doczekać. Postanowiliśmy, że na razie nikomu o nas nie powiemy. Że to zostanie między nami.

Abbie i Tazja siedzą na wysokich krzesłach przy kuchennej ladzie i popijają wino, a mama gotuje.

– Hej, dziewczyny. – Wchodzę do kuchni z szerokim uśmiechem na ustach.

– Dzień dobry, kochanie. – Mama całuje mnie w policzek. – Wyglądasz cudnie.

Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów.

Zerkam na podwórko za domem; Joshua, Brock, Cameron, Max i Ben stoją wokół grilla z piwami w dłoniach. Uśmiecham się.

Max zawsze przyjeżdża do mamy w roli gościa, nie jest tu na służbie. Mama nie była skłonna zaakceptować innego rozwiązania. Na przestrzeni lat bardzo się z nim zżyła.

– Cześć, chłopcy! – wołam do nich.

– Cześć.

Uśmiechają się do mnie, a Joshua podchodzi i całuje mnie w policzek.

Ben unosi wzrok, patrzy mi w oczy i posyła seksowny uśmiešek.

Czuję, jak mój żołądek robi salto, i również się uśmiecham.

– Didge, podjechałaś po moje piwo? Przywiozłaś je? – pyta Brock.

Przewracam oczami.

– Tak, mam to głupie piwo. Czemu sam nie mogłeś po nie podjechać?

– Bo bym się spóźnił, a mówiłaś, że jedziesz jeszcze po wino.

Prycham pod nosem.

Brock zaczyna się przyzwyczajać, że załatwiam jego sprawy, nawet od czasu do czasu nazywa mnie swoją asystentką. Niech mnie w tyłek cmoknie.

Natasza napełnia mi kieliszek, gdy przysiadam się do niej i Abbie. W kuchni pachnie smażonym ryżem, który przygotowuje mama.

– Jak minął dzień? – pytam z uśmiechem.

Abbie się nachyla i szepcze konspiracyjnie:

– Ben spędził z kimś noc. Musiał być wściekły przez tę kłótnię.

– Co takiego? – Zerkam na niego przez okno. *Ach tak, z kimś spędził... Ze mną.* – Skąd wiesz? – szepczę.

Rozmawialiśmy o tym z Benem. Na razie nie chcemy, żeby ktokolwiek o nas wiedział. Wolę uniknąć powtórek z katastrofy z Erikiem.

Natasza rozgląda się niepewnie.

– W drodze zajechałyśmy zobaczyć jego mieszkanie.

– I jak?

– Odjebane – odpowiada Abbie.

Uśmiecham się kącikiem ust.

*Owszem, jest świetne.*

– No i?

– Nawet nie nadmuchał materaca – wyjaśnia Natasza.

Marszczę czoło, próbując zachować powagę.

– Jak to? O co ci chodzi? – pytam, zerkając na podwórko.

– Ma dmuchany materac.

– Co zrobił z meblami? – pytam niewinnie.

– Jeszcze nie kupił.

Zerkam na Bena, zaciskając usta.

Stoi na szeroko rozstawionych nogach, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Jego szczeka jest jeszcze bardziej kwadratowa niż zwykle, a wielkie, muskularne ramiona i ręce aż wrzeszczą: „Chodź mnie natychmiast zerznąć”.

*Mniam, pyszności.*

Uśmiecham się półgębkiem i patrzę z powrotem na dziewczyny.

– Nie rozumiem.

– U nas też nie spał. Siedziałam do późna i wiem, że nie przyjechał na noc – szepcze Natasza, a mnie coraz trudniej utrzymać powagę.

– No tak – odpowiadam, marszcząc mocno czoło.

– W nowym mieszkaniu też nie spał – dodaje Abbie, otwierając szerzej oczy. – Nie trzeba geniusza, żeby dodać dwa do dwóch.

– Och... – Kiwam głową.

Mama wychodzi do chłopców i pyta uprzejmie:

– Czy mogłabym prosić jednego z was o przysługę? Trzeba wymienić żarówkę w piwnicy, dla mnie jest za wysoko.

– Ja to zrobię – proponuje Max.

– A ja mogę pomóc – dodaje Ben i we dwóch obchodzą z mamą dom, po czym idą razem do piwnicy.

Brock wchodzi do kuchni i chowa piwo do lodówki.

– Czy Ben kogoś wczoraj wyrwał? – pyta bez ogródek Natasza.

– Nie – odpowiada, zdziwiony.

– A skąd wiesz? – drąży Abbie.

Brock zerka na nas po kolei i przewraca oczami.

– Bo wiem.

– Skąd? – nie ustępuje Natasza.

– Bo ma bzika na punkcie Didge. Na pewno nikogo nie wyrwał.

– W takim razie gdzie spał? – pyta moja siostra, mrużąc oczy.

Brock wzrusza ramionami, otwiera piwo i bierze głęboki oddech.

– Nie wiem, ale... – Kolejne wzruszenie ramion, kolejny łyk. – Nie uprawiał seksu od miesiący. Przylatywałyby do Australii, żeby wyrwać jakąś przypadkową laskę?

Przygryzam wargę, żeby banan nie zakrył mi połowy twarzy.

Podchodzi do nas Joshua. Bierze garść chipsów i wrzuca je sobie do ust.

*Chwileczkę, czy ja się nie przesłyszałam?*

– Jak to nie uprawiał seksu od miesiący? – pytam, ściągając brwi.

Brock patrzy na Josha pytająco.

– Jak on to mówił...?

– Nie pamiętam, opowiadał jakieś frajerskie bzdury – burczy mój szwagier, niezbyt zainteresowany tematem.

– Kiedy o tym opowiadał? – pytam.

– Ostatnio, jak wyskoczyliśmy na miasto. Powiedział, że myśli tylko o jednej i żadna inna nie robi mu roboty. I że to trwa od miesiący – odpowiada, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami.

Głupkowaty, tępy wyszczerz niemal rozcinając mi twarz w poprzek.

Brock wskazuje palcem na Joshuę.

– To dziwne, ale... tak mówił, nie? W sumie to jest robota. Każda potrafi ją wykonać.

– Też tak myślałem – prycha Joshua.

Natasza spogląda na niego z mordem w oczach.

– Cóż, być może twoje roboty już do końca życia pozostaną niewykonane.

Mąż posyła jej zadziorne oczko, na co Natasza przewraca oczami z niesmakiem.

Chichoczę i zauważam, że Ben wraca z Maksem i mamą przez podwórko. Moje serce nieznacznie przyspiesza. Nadstawiam ucho i słyszę, co mama mówi do Camerona.

– Cameron, kim była ta piękna dziewczyna, z którą przyszedłeś na wesele?

– Och, to April – odpowiada.

– Była boska – zachwyca się mama.

– No, całkiem niezła. – Wzrusza ramionami Cameron. – Ale nie zostanie panią Stanton.

Joshua wychodzi na zewnątrz akurat na czas, by usłyszeć słowa brata, i prychnął pod nosem.

– Cameron... – Kręci głową. – Nigdy nie znajdziesz nikogo na tyle dobrego, by została panią Stanton. Wszystkim czegoś brakuje.

Puszczą mi zawadiackie oczko.

– Kiedy ją poznam, będę wiedział – mówi, po czym wali Beną dłonią w plecy. – Hej, Ben?

Ben kręci głową, a ja uśmiecham się szeroko. Gdy zerka na mnie z ukosa, czuję mrowienie w podbrzuszu.

– Przepraszam bardzo – mówi z uśmiechem Ben, po czym wchodzi do domu i znika w korytarzu.

*No! W końcu mogę go złapać na osobności.*

Odczekuję kilka chwil i ruszam go poszukać. Drzwi do łazienki są zamknięte, więc czekam dalej w głębi korytarza, w moim dawnym pokoju. Kilka sekund później przechodzi obok, więc łapię go, wciągając do pokoju i zatrzaskuję drzwi.

Uśmiecha się, biorąc mnie w ramiona.

– Witaj, piękna – szepcze, całując mnie w usta. – Bawisz się w chowanego, co?

Uśmiecham się do niego jak zakochana nastolatka. Naprawdę powinnam choć spróbować grać trudno dostępną.

– Jak ci minął dzień? – szepczę, głaskając jego plecy i muskularne ramiona.

– Cóż, bez ciebie, więc się dłużył. – Tuli mnie mocno, a potem podnosi.

Chichoczę, rozbawiona jego siłą.

– Zobaczymy się wieczorem? – pyta szeptem, całując mnie jeszcze raz.

– Tak – odpowiadam z głupkowskim uśmiechem.

Całuje mnie ponownie i czuję motylki w brzuchu.



– Jak tu skończymy, to wrócę do siebie po rzeczy i przyjadę. Jutro mam pracę z samego rana.

– Okej.

Patrzymy na siebie, a ja gładzę palcami jego dwudniowy zarost.

– Ben... – szepczę.

– Tak? – odpowiada, wpatrując się we mnie uważnie.

– Cieszę się, że po mnie wróciłeś.

Uśmiecha się i myślę, że chyba jeszcze nigdy nie obdarzył mnie bardziej czarującym uśmiechem. Całuje mnie znowu.

– Ale nie tak, jak ja, Didge.

Ben wędruje dłonią po moim tyłku i zakrada się nią pod spódnicę, po czym łapie mnie za nagie ciało. Nachyla się i szepcze mi na ucho:

– A teraz tam wracaj, bo jak nie, to zaraz zostaniesz zerżnięta od tyłu na podłodze w domu własnej matki.

Oblizuje rozchylone wargi, a moje podniecenie zaczyna pulsować.

– Jedźmy do domu już. Możesz mnie zerżnąć na mojej podłodze – dyszę. Kiepsko to zabrzmiało.

Jego oczy zachodzą mrokiem.

– Nie kuś mnie... – Wyswobadza się z moich objęć, otwiera drzwi i pokazuje gestem, żebym się wynosiła.

– Ty pierwszy – szepczę.

– Jest tylko jeden mały problem – odpowiada, wskazując na kutasa.

Spuszczam wzrok, dostrzegam pod dzinsami jego ogromną erekcję i aż chichoczę.

– To coś bynajmniej nie jest małe.

Przewraca oczami, wypycha mnie z pokoju i zamyka drzwi.

Wygładzam sukienkę, prostuję ramiona. Wszystko gra. Najpierw trzeba zjeść kolację, żeby zasłużyć na deser.

\*\*\*

Ktoś dzwoni do drzwi, więc podchodzę do domofonu. Na ekranie pojawia się twarz Bena.

Wysłałam od mamy przed godziną. Ben podskoczył do siebie po rzeczy i miał przyjechać prosto do mnie.

Otwieram mu.

– Nie śpieszyłeś się – stwierdzam, stukając palcem w tarczę zegarka.

Uśmiecha się seksownie, a jego oczy lśnią z ekscytacji.

– Cierpliwość popłaca.

Uśmiecham się od ucha do ucha. Ma dziś ten swój chłopięcy urok.

– A co to za słodka minka? – pytam.

Wchodzi do środka, rzuca swoją torbę na podłogę, po czym bierze mnie w ramiona.

– Słodka minka?

– Tak, słodka, podekscytowana minka. – Wyciągam dłoń i ujmuję jego policzek. Przez cały wieczór tylko czekałam, żeby go dotknąć.

– Cóż... – Całuje mnie jeszcze raz. – Spędziłem bez ciebie zdecydowanie zbyt dużo czasu, ale w końcu jesteśmy razem. – Jego dłonie ześlizgują się na mój tyłek. – I widzę, że założyłaś to seksowne maleństwo, żeby godnie mnie przywitać, a przy okazji doprowadzić do szaleństwa.

Strój, o którym mówi, kupiłam dziś w drodze z pracy. To biała, satynowa koszula nocna na cieniutkich ramiączkach, która opina się na mnie w odpowiednich miejscach. Kupiłam ją, bo wiedziałam, że go zachwyci.

– Podoba ci się? – szepczę tuż przy jego ustach.

– Jest cudowna – dyszy, ściskając mnie za tyłek.

Wodzę dłońmi po jego rozległym torsie i czuję, jak wszystko w środku mnie mrowi.

Jego spojrzenie pada na moje wargi.

Spoglądam mu w oczy i obejmuję go rękami, na co on w odpowiedzi mocno mnie tuli i trwamy w swoich ramionach przez dłuższy czas.

Czy on też to czuje? Tę bliskość? Jest wszechogarniająca.

Oblizuje wargi i patrzy na mnie z góry.

– Sprawa wygląda tak: mógłbym uderzyć w jakiś *small talk* i udawać, że mam na to ochotę. Ale tak naprawdę chcę tylko wejść na ciebie w łóżku.

Bierze mnie na ręce, przerzuca sobie przez ramię i niesie korytarzem, a potem rzuca na łóżko, aż odbijam się wysoko od

materaca. Zapala lampkę, wyłączając główne światło. Nastrój w sypialni natychmiast robi się bardziej zmysłowy.

Leżę na plecach, a on zaczyna się niespieszenie rozbierać. Nieprzerwanie patrzymy sobie w oczy. Najpierw znika koszula, potem spodnie i bokserki.

Zasycha mi w ustach.

*Ożeż kurwa, ja pierdolę.*

Mój wzrok pada na potężne, atletyczne mięśnie jego ud. Widzę niesamowity tatuaż na jego ramieniu. Patrzę z uznaniem na ten mięsień w kształcie V, który biegnie od bioder do pachwin. Cudownie przykuwa moją uwagę, naprowadzając ją na krótkie, schludnie przyszczyżone ciemne włoski łonowe i najdoskonalszego penisa, jakiego widziałam, kurwa, w życiu. Jest tak gruby i długi, że aż ślinka cieknie. Oddech więźnie mi w płucach.

*Serio... Jak to możliwe, ja się pytam?*

Trudno sobie wyobrazić lepszy widok. Ma ciało doskonałe.

Wskakuje do łóżka i bierze mnie w ramiona.

Całujemy się długo, aż w końcu wsuwa mi rękę pod głowę, jakby chciał najpierw spędzić ze mną trochę czasu.

Podoba mi się ta zmiana tempa. Tak bywało dawniej, gdy spotykaliśmy się potajemnie. Spędzaliśmy nago w łóżku całe godziny, rozmawiając pomiędzy seksem.

– Jesteś dziś inny – mówię i uśmiecham się.

– Ty też – szepcze.

Zerkam na niego w półmroku.

– Jak to?

– Chodzi mi o to, jak patrzyłaś na mnie przy kolacji.

– Jak patrzyłam? – pytam, zaciekawiona.

Delikatnie całuje mnie w usta.

– Jak dawniej.

Turlam się na moją stronę łóżka i podpieram głowę na łokciu.

– Jak patrzyłam dawniej? – dopytuję.

Ben zajmuje podobną pozycję naprzeciwko mnie i się uśmiecha.

– Jakbyś mnie lubiła.

Unoszę brew i uśmiecham się zawadiacko.

– Bo cię lubię.

– Liczę na to.

Przygryzam dolną wargę, żeby stłumić durnowaty uśmiech.

– Kiedy ostatnio... z kimś byłeś? – pytam.

Nie jestem pewna, co sądzić o dzisiejszych rewelacjach Brocka. Nie wyobrażam sobie, żeby Ben mógł się obyć bez seksu. Nie dałby rady. Jest zdecydowanie zbyt seksualny. Każda komórka jego organizmu domaga się regularnego i ostrego dymania.

– Jakiś czas temu – odpowiada, patrząc mi w oczy.

– Czyli kiedy?

– Kilka miesięcy temu – przyznaje, wzruszając ramionami.

– Jak to możliwe?

Wyciąga rękę i ujmuje moją pierś przez koszulę nocną.

– Cóż... – zawiesza głos. – Z tym jest trochę tak, jak z jedzeniem na mieście. Jak z bufetem.

Uśmiecham się i unoszę pytająco brew.

– Z bufetem?

– No wiesz, gdy pierwszy raz wychodzisz do knajpy z otwartym bufetem, jest kupa zabawy. – Śmieję się cicho, ale ja słucham bez komentarza. – Jesz rzeczy, których normalnie nawet byś nie spróbował... – urywa, by z fascynacją popieścić kciukiem mój sutek. – I zdecydowanie za bardzo się objadasz wszystkim, co mają w ofercie.

Patrzę na niego, zaciskając usta w rozbawieniu.

– Żarcie cię wypełnia – szepcze, spoglądając na moje wargi. – Daje ci paliwo, ale nigdy tak naprawdę nie spełnia twoich oczekiwań. – Ścisza sutek tak mocno, że aż zachłystuję się powietrzem. – Po pewnym czasie staje się nijakie, pozbawione smaku. Przynajmniej dla mnie.

Przyglądam mu się badawczo.

– W końcu pewnego dnia wybrałem się do wyspecjalizowanej restauracji i zamówiłem dokładnie to, na co miałem ochotę.

– I co to było? – pytam z uśmiechem.

Przesuwa palcem wskazującym po mojej klatce piersiowej i stuka mnie w żebro.

– Pierwszorządne żeberka.

Chichoczę.

– Ale wykopali mnie z tej restauracji – kontynuuje.

– Wyszedłeś z niej dobrowolnie – poprawiam go.

Uśmiecha się i ujmuje moją pierś w dłoń.

– Zapewniam cię, że nie wyszedłem dobrowolnie.

Marszczę lekko czoło.

– I wtedy musiałem wrócić do tego śmierdzącego bufetu... –  
Mruży oczy. – I zostać w nim naprawdę długo...

Skreca mnie na myśl, że spędził w tym bufecie aż tyle czasu, ale i tak nachylam się i delikatnie go całuję.

– Co się wtedy stało? – pytam cicho.

– Po tamtejszym jedzeniu zaczęło mnie mdlić.

Przesuwam dłonią w dół i w górę po jego klatce piersiowej. Muszę go dotykać, nic na to nie poradzę.

– I po pewnym czasie sama myśl, że będę musiał zjeść coś, na co nie mam ochoty, wykręcała mi żołądek. – Całuje mnie lekko. – Już wolałem głodować, niż jeść takie rzeczy.

Nasze spojrzenia się spotykają.

– A co byś zjadł, Ben? – szepczę.

– Ciebie. – Patrzy mi w oczy. – Chcę już jeść tylko ciebie. –  
Ponownie muska mnie ustami. – Nie zniosę konieczności powrotu do tego bufetu, Bridget.

Uśmiecham się przy jego wargach.

*Boże, to najlepsza opowieść o jedzeniu, jaką słyszałam.*

Całuje mnie, a ten pocałunek jest miękki, czuły, dokładnie taki, jak zapamiętałam. Całujemy się dalej i dalej, jego ciało stopniowo na mnie napiera, aż w końcu leżę pod nim cała. Ocieramy się o siebie w poszukiwaniu spełnienia. Rozkładam nogi, a on wchodzi we mnie z idealnie wyważoną ostrością.

Ujmuję jego twarz i delikatnie całuję wydatne, piękne wargi, patrząc mu głęboko w oczy.

*Jakim cudem znowu tak szybko poczułam z nim bliskość? Jakby tej rozłąki wcale nie było.*

– Ben, jesteś jedynym gościem, któremu chcę serwować dania w mojej restauracji – szepczę.

Wybuchając śmiechem i obraca mną tak, że nagle jestem na górze.

– Podwieź mnie do domu, Didge. Przypomnij mi, za czym tak tęskniłem.

# Rozdział 8

## Ben

Dzwoni moja komórka. Zerkam na ekran – to Bridget. Ma właśnie przerwę na lunch. Patrzę z ukosa na Brocka, gdy idziemy razem ulicą.

*Pierdolę, odbieram.*

– Hej.

– Cześć – odpowiada mi słodkim głosem. Śmieje się.

Muszę przygryźć dolną wargę, bo inaczej też bym się uśmiechnął.

– Co porabiasz? – pytam.

– Dzwonię zapytać o plany na wieczór.

Ponownie zerkam na Brocka, który udaje, że wcale nie słucha.

– Cóż, to zależy.

– Od? – drąży Bridget, a ja milczę, więc w końcu wybucha śmiechem i pyta: – Jesteś z Brockiem?

– Mhm.

– Możesz przekazać mojemu braciszкови, że Bridget nie może dziś wysiedzieć w pracy, bo wielki, zły Ben porządnie ją wygrzmocił.

Z całych sił hamuję śmiech i ponownie patrzę na przyjaciela.

– Tak, przekażę.

Brock wchodzi do sklepu, a ja zatrzymuję się na zewnątrz.

– Chcesz skoczyć po pracy na plażę? – pytam.

– Eee... – waha się.

Pewnie zastanawiając się, mruży oczy. Nie jest pewna, bo boi się, że możemy wpaść na Erica.

– Pojedziemy gdzieś indziej. Może do Bondi? – dodaję.

– Okej, brzmi ekstra. Możemy tam też zjeść kolację.

– Odbiorę cię z firmy o piątej – mówię.

– Okej, kochanie, do zobaczenia... – Znowu się waha, jakby chciała coś dodać, więc czekam.

– Jak bardzo jesteś obolała? – pytam w końcu.

– Powiedzmy, że nie wybieram się w najbliższym czasie na jazdę konną.

– Pragnę zaznaczyć, że jesteś znakomitym jeźdźcem. Wyboisty teren to twoja specjalność.

Parska śmiechem.

– A ty jesteś pierdolonym maniakiem seksualnym. Do widzenia, Ben.

– Pa, pa – parskam i rozłączam się.

– Bridget dzwoniła? – pyta Brock, wychodząc ze sklepu.

Ściągam brwi i chowam komórkę do kieszeni.

– Skąd ten pomysł?

– Widziałem, jak się wczoraj wymykaliście. Jestem prywatnym detektywem, to chyba jasne, że dostrzegam takie rzeczy.

Wyrzucam pusty kubek po kawie do kosza i ruszam żwawo przed siebie.

– W takim razie trzymaj gębę na kłódkę. Zależy jej, żeby się z tym nie afiszować.

– Czemu? Przez Erica? – pyta.

Przewracam oczami.

– Tak. I wkurwia mnie to! Pizda.

– Ciągłe do niej wydzwania?

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami. – Ale pobiliśmy się pod jej biurkiem.

– Kiedy? – dziwi się.

– Kilka dni temu. Widział, jak całowałem się z Bridget, i mu odwaliło.

Brock prychnął pod nosem.

– Naprostowałeś go?

– A jak ci się wydaje? – Unoszę brew, na co przyjaciel uśmiecha się szeroko.

Idziemy dalej, ale w końcu muszę zadać to pytanie.

– Kochała go?

– Nie wiem, stary – odpowiada, krzywiąc się i wzruszając ramionami. – Ale wątpię, że wróciłaby do ciebie tak szybko, gdyby kochała jego.



Zaciskam szczękę ze złości. Rośnie we mnie niepokój. Liczyłem na inną odpowiedź.

*Przestań... Wracaj do pracy.*

\*\*\*

Siedemnasta. Czekam w samochodzie i obserwuję, jak zbliża się do mnie w podskokach. Włosy ma upięte w wysoki kucyk. Przechodzi przed maską auta i unosi lekko rąbek sukienki, żeby ze mną poflirtować i pokazać mi kawałek tyłeczka.

Unoszę brew i uśmiecham się. Oto ona. Moja mała wiedźma.

– Jedziesz w moją stronę? – pyta zalotnie przez otwarte okno.

Uruchamiam silnik i patrzę w jej dekolt.

*Kurwa, ależ ona ma świetne cycki. Najlepsze.*

– Wsiadaj, suko – pryham.

– Och, wulgarny język. W takim razie wsiadam. – Wskakuje na fotel pasażera i daje mi buziaka. – Jak tam mój mężczyzna? – pyta z uśmiechem.

Mam ochotę odpowiedzieć, że napalony, ale gryzę się w język. Dziś muszę dać sobie nieco na wstrzymanie. Bridget tak mnie rozpala, że przestaję trzeźwo myśleć.

– Lepiej, odkąd się zjawiałaś – odpowiadam wesoło.

Włączam się do ruchu, zawracając, a ona wsuwa dłoń pod nogawkę moich szortów.

– Musimy podskoczyć do mnie po strój kąpielowy.

– Popatrz na tylne siedzenie – odpowiadam.

– Hę? – Sięga do tyłu po papierową torbę i otwiera ją. – Och, co tam kupiłeś? – Wzdycha z zachwytem, wyciągając strój z torby. Z jej dłoni zwisa skąpe złote bikini i pasujący sarong. Przykłada wszystko do ciała i uśmiecha się szeroko. – Boziu, dziękuję. Cudowny. Miło, że pomyślałeś. – Wyciąga ręce i pomimo że prowadzę, przyciąga moją głowę do siebie i cmoka mnie w policzek. – Choć nie jestem pewna, czy będzie pasował na moje cycuszki – mówi z namysłem, przykładając stanik do piersi.

– Tych cycków nic nie okiełzna... – mamroczę do siebie. Przypominam sobie, jak wczoraj podskakiwały, gdy mnie ujeżdżała,

na co od razu mi twardnieje i muszę poprawić go w spodenkach.

*Przestań.*

– Ty całkiem nieźle je poskramiasz... – mówi seksownie.

Zerkam to na jezdnię, to na nią.

Didge dla lepszego efektu oblizuje usta.

– Mogłabyś przestać być tak kurewsko seksowna? Próbuję się nastawić na brak seksu dzisiejszej nocy. Daję ci jedną noc wolnego.

Z zachwytem w oczach zbliża twarz do mojego krocza.

– Ben, ale nie mów, że nie dostanę nic. Wiesz, że tym więcej będę chciała... – Dmucha na mojego kutasa przez spodenki.

*Ciepłe powietrze jest takie przyjemne.*

– Bridget... – szepczę, rozglądając się niepewnie.

Wokół nas trwa typowy dla godzin szczytu ruch.

– Chcę tylko troszkę posmakować... – mruczy.

*Ja pierdolę.*

Zmieniam pas, podczas gdy ona zsuwa mi szorty. Kładę dłoń na jej ramieniu. Gdy bierze go do ust, zaciskam zęby i zamykam oczy. Akurat mamy czerwone światło.

– Bridget, kurwa...

Chichocze z moim fiutem przy ustach, a ja patrzę, speszony, na kierowców wokół, którzy są zajęci swoimi sprawami.

– Rozbiję pieprzone auto... – syczę.

– Cóż by to była za piękna śmierć.

Głaszczę ją po głowie, a ona zaczyna wchodzić w miarowy rytm. O kurwa. Opieram głowę na zagłówek, a kiedy jej język tańczy na mojej końcówce, otwieram usta, zdumiony.

*Jasna cholera... Chryste...*

Patrzę, jak jej głowa podskakuje, i całe moje ciało zaczyna pulsować.

Światła się zmieniają, obok nas przejeżdża ciężarówka i kierowca trąbi, pokazując mi uniesiony kciuk.

– Farciarz! – krzyczy przez okno.

– Bridget, gościu z ciężarówki nas zobaczył. Przestań... – błagam.

Ponownie chichocze.

– Przestaną, jak spuścisz mi się w usta.

*Ja pierdolę, jaka ona jest gorąca.*

– Skąd ci się wziął ten, kurwa, nastrój? – pytam. – Sama wiesz, że jestem maniakiem seksualnym – wyduszam z trudem.

– To przez tego wielkiego, pięknego fiuta... – mamrocze, ponownie wyciągając go z ust.

Pomaga sobie ręką i moje nogi samoistnie rozjeżdżają się na boki. *Kurwa*. Muszę zjechać na pobocze, bo zaraz naprawdę spowoduję wypadek. Zauważam zjazd na parking.

Bridget ściąga moje szorty niżej i idzie na całego. Długie, głębokie zassania przy równoczesnej pracy ręką.

Trzymam obie dłonie na jej głowie, kompletnie odlatuję.

– Daj mi to... – szepcze.

Koniec... Oto mój punkt krytyczny. Mężczyzna ma ograniczoną wytrzymałość. Odrzucam głowę w tył, wykrzywiam twarz i dochodzę w jej ustach. A ona, niczym bogini seksu, którą jest, spija mnie do ostatniej kropli i wylizuje do czysta.

Leżę na oparciu fotela, nasycony na tylu płaszczyznach, że nawet nie wiem, od czego zacząć.

Bridget prostuje się i oblizuje usta z zawadiackim uśmieszkiem.

– A teraz chciałabym popływać.

Wybucham śmiechem, przyciągam ją do siebie i całuję. Nachodzi mnie straszna, choć bynajmniej nie nowa myśl – jeżeli znowu się rozstaniemy, to tym razem mnie to, kurwa, zabije.

## Bridget

Leżę na plecach na plaży Bondi. Minęła dwudziesta pierwsza. Mamy gorącą, typową dla Sydney noc. Dokładniej rzecz ujmując, jest trzydzieści osiem stopni. Pływaliśmy i śmialiśmy się przez całe popołudnie. Zjedliśmy rybę z frytkami na plaży, a teraz pijemy piwo.

Jestem odprężona, nie pamiętam, kiedy byłam równie szczęśliwa.

Ben leży tuż obok, wspiera głowę na łokciu i trzyma dłoń na moim brzuchu w geście troski. Raz za jakiś czas nachyla się w moją stronę i lekko całuje.

– Widziałaś się z Erikiem? – pyta.

Marszczę czoło.

*Oj. Nagła zmiana tematu.*

– Próbowałam się do niego dodzwonić.

Patrzy na mnie groźnie i unosi pytająco brew.

– Chciałam sprawdzić, czy wszystko u niego w porządku po tamtej bójce.

– Nic mu nie jest. Ledwo go, kurwa, tknąłem – warczy, przewracając się na plecy.

– Denerwuje cię, że próbowałam do niego dzwonić? – pytam, siadając prosto.

Zasłania oczy przedramieniem i nie odpowiada.

Odciągam tę rękę, bo chcę zobaczyć jego twarz.

– Ben, nie czuję do niego tego, co do ciebie... – mówię, a on przygląda mi się uważnie. – Ale zależy mi na nim.

– Kochałaś go?

Kręcę głową ze smutkiem.

– Nie... – zawieszam głos. – Ale on uważa, że mnie kochał. – Wodzę opuszkami palców po piasku, próbując wyartykułować uczucia. – Wiesz, dopiero co z nim zerwałam, a kilka dni później musi patrzeć, jak się całujemy. – Spuszczam głowę. – Wstydzę się tego, jak go potraktowałam. – Kładę się i opieram głowę na jego torsie. – Dlatego na razie nie chcę, żeby ktokolwiek się o nas dowiedział. Chcę, żeby najpierw sprawa z Erikiem ucichła. Nawet mama... Jak jej wyjaśnię, że tak szybko zmieniłam partnera?

– A dlaczego to zrobiłaś? – pyta.

Namyślam się chwilę, ale muszę to powiedzieć bez ogródek.

– Bo nigdy się z ciebie nie wyleczyłam, Ben. – Całuję go delikatnie. – Wcale nie mam wrażenia, że zaczynamy od nowa... Czuję się, jak gdyby tej naszej rozłąki w ogóle nie było.

Uśmiecha się łagodnie, jakbym już całkiem go udobruchała.

– No cóż, jesteś moją dziewczyną. – Nasze usta się stykają. – I byłaś nią przez cały czas. – Obejmuje mnie mocniej, a ja uśmiecham się przy jego wargach. – Nie chcę, żebyś do niego dzwoniła.

Odchylam się i marszczę czoło.

– Nie możesz mi tego zabronić.

– Owszem, mogę. Właśnie ci zabroniłem.

– Ben... – zaczynam poważnym tonem.

– Bridget, nie kłóć się ze mną o to. Mówię poważnie. Eric odszedł. Raz na zawsze.

Piję piwo, a on mi się przygląda. Toczmy niemy spór.

Ben ma dwa odmienne oblicza: pięknego, uroczego mężczyzny, który o mnie dba, i apodyktycznego dupka, który zawsze musi postawić na swoim. Niestety ten drugi jest tak kurewsko seksowny, że często tracę dla niego głowę.

W końcu postanawia zmienić temat.

– Wracajmy do domu i wyłuskajmy cię z ciuchów – szepcze, spoglądając wymownie na moje wargi. Wodzi palcem po mojej piersi.

Wstaję, rozdrażniona, i wytrzepuję piach z ręcznika.

Ben, wyczuwając moje zdenerwowanie, też się zrywa i staje za mną. Obejmuje mnie i ssie skórę na moim karku.

– Aniele, czas, bym się zrewanżował za przysługę, którą mi wyświadczyłaś. Teraz należysz do mnie... – szepcze mi na ucho i dostaję gęsiej skórki.

To oświadczenie jest złe na tak wielu płaszczyznach, ale kurwa... Mam totalnie przesrane. Dorwał mnie i dobrze o tym wie.

Zawsze chciałam do niego należeć.

\*\*\*

Budzi mnie delikatny deszcz pocałunków, spadający na moje ramię. Uśmiecham się łagodnie. Wiem gdzie i z kim jestem, nawet nie muszę otwierać oczu.

Ben potrafi organizować najlepsze pobudki na świecie. Zachowuje się, jakby nie do końca ufał rzeczywistości, w której znowu jesteśmy razem, i musiał się o tym upewniać, dotykając każdego skrawka mojej skóry. Jego dłonie krążą od mojej szczęki przed brzuch, aż do tyłka, skąd zsuwają się na nogi, po czym wracają na piersi, a stamtąd znów zeskakują na biodra.

– Dzień dobry – mówię z sennym uśmiechem.

– Dzień dobry – szepcze, całując czule moje usta.

Jego dłoń zatrzymuje się nieco dłużej na mojej żuchwie. Całujemy się przez chwilę. To miękki, nieśpieszny pocałunek, ale na nodze już czuję jego erekcję.

– Jak spałeś? – pytam.

– Jak kamień.

Przewraca się na plecy i ciągnie mnie za sobą.

Całuję jego tors, głaszczę go dłonią, jego usta spoczywają na mojej skroni. Mam z tyłu głowy uporczywą myśl, która nie chce mnie opuścić. Dręczyła mnie całą noc, a nie powinna. Wyobrażam sobie, że najpierw powinnam usłyszeć wszystkie niezbędne odpowiedzi, a dopiero potem możemy od nowa się poznawać. Najpierw powinnam rozwiązać niedające mi spokoju problemy, a dopiero potem dopuścić go do mojego ciała. Lecz Ben potrafi ze mną postępować i jakbym się nie starała, nie umiem utrzymać go na dystans.

Marszczę czoło, próbuję dobrze dobrać słowa.

– Ben?

– Hmm? – mruczy z uśmiechem i całuje mnie w czoło.

– Wtedy, przed laty... powiedziałaś coś. I nie potrafię pozbyć się tego z głowy. – Czuję, jak się pode mną napręża, ale nic nie mówi. – Powiedziałaś, że masz przeszłość, która nie może mnie dopaść. Co miałeś na myśli? – pytam, patrząc mu w oczy.

Marszczy czoło.

– Sam nie wiem, tak mi się powiedziało. Może chodziło mi o armię?

Siadam, zbita z tropu.

– Nie pamiętasz, że tak mówiłeś?

Ciągnie mnie z powrotem w swoje ramiona.

– Nie odsuwaj się – mówi, trzymając mnie mocno, i ponownie całuje w czoło.

– Naprawdę zapomniałeś, co mówiłeś tej nocy, której mnie opuściłeś?

Och, jakie to dobijające. Jak to możliwe? Ja przez pięć lat codziennie powtarzałam w myślach tę rozmowę.

Wzrusza ramionami.

– Ben, to proste pytanie. Tak czy nie? – pytam, mierząc go wzrokiem.

– W takim razie nie.

Nadal leżę w jego ramionach, a usta Bena błędzą po moim czole.

I nadal czuję, że potrzebuję odpowiedzi, a jeśli nie dostanę jej dziś, to może już nigdy. Nie chcę, żebyśmy mieli przed sobą tajemnice. Nie mogę żyć z człowiekiem, który nie potrafi otwarcie ze mną rozmawiać. Muszę wyjaśnić ten temat.

– Dlaczego mnie wtedy opuściłeś, Ben?

– Nie rób tego.

– Czego? – pytam, marszcząc brwi i ponownie siadając.

– Nie wywlekaj przeszłości.

Przyglądam mu się przez moment, mój mózg próbuje zrozumieć jego słowa.

– Ale czuję niepokój. Mój umysł zaprzętają nierozwikłane problemy. Muszę uciszyć te myśli, a jeśli mamy żyć razem, muszę mieć pewność, że nie zostawisz mnie drugi raz.

– Nie zostawię. Już ci mówiłem. W innym wypadku w ogóle bym nie wracał.

– Dobrze, w takim razie porozmawiamy o tym, co się wtedy stało. Dlaczego powiedziałeś, że nie wszystko o tobie wiem?

– Bridget, kurwa, zostaw to – warczy i wyskakuje z łóżka.

*Co tu się dzieje, do cholery?*

– Nie, nie zostawię. Chcę wiedzieć. – Wkurzam się. – Dlaczego sądziłeś, że jeśli przy mnie zostaniesz, może stać mi się krzywda?

– Skoro tak cię to męczy, to czemu nie wywlekłaś tego wcześniej? – burczy.

– Cóż... – Kręcę głową, bo to bardzo celne pytanie. – Opowiedziałeś mi o swojej rodzinie i kompletnie zapomniałam o tym wszystkim.

– Myślałaś o mojej pierdolonej rodzinie, gdy się ze mną... – Dodaje dwa do dwóch. – Czyli ostatnie trzy dni to było co? Rypanie z litości?! – rzuca zjadliwie.

– Nie.

– Więc, kurwa, co, Bridget?! – ryczy.

– To... nie miało tak zabrzmieć – bełkoczę, próbując wrócić na właściwy tor rozmowy. – Nie to miałam na myśli i wcale tak nie powiedziałam.

Kręci głową, zde gustowany, i zaczyna się rozglądać za swoimi ubraniami.

– Gdzie idziesz? – pytam.

– Do domu. Muszę pracować.

– Bzdura, po prostu chcesz się wymigać od tej rozmowy.

– Bridget, do kurwy nędzy, zostaw przeszłość w przeszłości! To już nieważne!

Mina mi rzednie.

– W taki sposób żyjesz, Ben? – pytam, a on zatrzymuje się i patrzy mi w oczy. – Zostawiając przeszłość samą sobie, nigdy się z niczym nie borykając, po prostu ruszając naprzód, w górę, byle dalej przed siebie?

Pośpiesznie zapina dzinsy.

– Bo tak jest najlepiej. Dłubanie w przeszłości nigdy nie przynosi nic dobrego. – Zapina rozporek. – Wiem tyle, że mieliśmy kilka idealnych dni, a ty wszystko psujesz gównem sprzed pięciu lat. I po co?

Patrzę, jak się ubiera.

– Czy ty... rozmawiałeś kiedyś... ze specjalistą?

Wykrzywia twarz z wściekłości.

– Aha, czyli nagle jestem czubkiem, bo nie pamiętam jakiejś jebanej rozmowy sprzed pięciu lat? – Kręci głową, zniesmaczony. – Czy ty się w ogóle słyszysz?

– Przepracowałeś śmierć siostry?

– Nie mieszaj w to mojej siostry! – ryczy i wymierza we mnie palec, jakby całkowicie stracił panowanie nad sobą.

W pokoju zapada cisza.

Ben spuszcza głowę, wyraźnie zawstydzony tym, że pokazał mi, jak naprawdę jest wrażliwy.

Dobry Boże, niesie na swoich barkach więcej problemów, niż sądziłam.

Wstaję i obejmuję go.

– Ben, dopuść mnie do siebie.



Wsuwa mi palec pod brodę, żebym spojrzała mu prosto w oczy.

– Didge, jestem tutaj – szepcze. – I nigdzie się nie wybieram.

– Ben, chcę cię całego, z całym bagażem, a nie tylko te elementy, które postanowisz mi pokazać.

Nasze spojrzenia się spotykają i widzę, że się zastanawia.

– Niektórzy mają cięższy bagaż niż inni – wzdycha smutno, uwalniając się z moich objęć.

– Kolejna zagadka. Naprawdę? Podsuwasz mi kolejną zagadkę?! Po prostu mów, co masz, kurwa, na myśli, Ben! – warczę, tracąc resztki cierpliwości. Mam wrażenie, że wszedł w jakąś rolę, którą wcześniej dokładnie przećwiczył.

– Chciałem powiedzieć, że... nie pamiętam, co powiedziałem w noc rozstania. Moja siostra nie ma z tym nic wspólnego i mam wrażenie, że szukasz powodów do kłótni. – Wychodzi do salonu, a ja podążam za nim, choć wciąż jestem naga. – Teraz idę do pracy. Do zobaczenia wieczorem, o ile uznasz, że warto porozmawiać o przyszłości, zamiast babrać się w przeszłości.

– A jeśli nie?! – rzucam, biorąc się pod boki.

– To chyba „do zobaczenia kiedyś” – odpowiada, posyłając mi lodowate spojrzenie.

– Co? Żartujesz sobie? Chcę tylko porozmawiać! To chyba nie jest zbyt wygórowane żądanie, Ben?

*Nie wierzę w to, kurwa.*

– Bridget, przestań się doszukiwać czegoś, czego nie ma. Po prostu odpuść! – Posyła mi ostatnie spojrzenie, po czym wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Wpatruję się w nie z sercem mocno łupiącym w piersi.

*Co tu się, kurwa, wydarzyło?*

\*\*\*

Jedenasta. Wzięłam dziś wcześniejszą przerwę na lunch, bo muszę przedzwonić do Adriana. Muszę z kimś o tym pomówić, a nie chcę, żeby inni wiedzieli. Napisałam mu maila, więc wiem, że czeka na telefon. U niego, w Stanach, minęła właśnie osiemnasta poprzedniego dnia. Irytują mnie te strefy czasowe, bo nie mogę do

niego dzwonić, kiedy mam ochotę. Gdy ja jestem w domu, on akurat pracuje albo śpi, i odwrotnie.

Łapię lunch, wychodzę do parku, gdzie będę mogła swobodnie porozmawiać, i w telefonie wybieram jego numer.

Odpowiada po pierwszym sygnale.

– Hej, Didge.

Sam dźwięk jego głosu sprawia, że opuszczają mnie siły.

– Och, Adrian, jak dobrze cię słyszeć.

– Co się stało, maleńka? – Jest wyraźnie zaniepokojony.

– Cóż... – Wykrzywiam się, bo wiem, że zrobi mi wykład. – Spotykałam się potajemnie z Benem.

– Naprawdę?

Kiwam głową, choć mnie nie widzi.

– Tak. I... – zawieszam głos, bo to zabrzmiałoby fatalnie.

– Co z Erikiem? – pyta.

Przewracam oczami.

– Długa historia, ale zerwaliśmy.

– I już ruszyłeś dalej?

Wzruszam ramionami.

– Mówiąc szczerze, chyba nigdy nie wyleczyłam się z Bena.

– To prawda – odpowiada. – Wszyscy o tym wiedzieliśmy.

– Sypiam z nim od trzech dni.

– A jak długo się potajemnie spotykacie?

– Tydzień – przyznaję, a na linii zapada cisza. – Jesteś tam?

– Wyrwał ci serce, podeptał je, potem sobie wraca, a ty po dwóch dniach padasz przed nim na kolana. Co ty wyrabiasz, do cholery?!

– Tak, wiem. – Krzywię się. – Źle to brzmi, gdy wypowiadasz to na głos...

– Jak to brzmi? Jak prawda, no nie?

Przewracam oczami.

– W każdym razie dziś rano...

– Tak przy okazji... Jak było? – wchodzi mi w słowo.

– Dobrze. – Otwieram szerzej oczy. – Świetnie, epicko. – Kręcę głową. – Zapytałam dziś, czemu mnie wtedy zostawił i dlaczego powiedział, że jego przeszłość może mnie dopaść.

– I co ci powiedział?

– Cóż, zaczął się wściekle bronić i powiedział, że nie pamięta, co wtedy mówił, a potem mi zarzucił, że szukam powodów do kłótni.

– Okej... – odpowiada w końcu Adrian, po czym chwilę się zastanawia. – I nie przyszło ci do głowy, żeby odbyć tę rozmowę, zanim wskoczyłaś mu na chuja?

Krzywię się.

– Przyszło, ale mleko się rozlało.

W wyobraźni widzę, jak przewraca oczami po drugiej stronie linii.

– Okej, a potem co się stało?

– Cóż, to skomplikowane, ale on ma pewne problemy...

– Fuj, tłumaczysz go. Jakie problemy?

– Jego siostra bliźniaczka została zamordowana w wieku dwunastu lat, a jego rodzice zmarli niedługo później.

– Kurwa... – szepcze.

– Nigdy z nikim o tym nie rozmawiał, więc myślę, że przez to zamiata wszystko pod dywan.

– Czemu tak myślisz?

– Bo zapytałam, czy rozmawiał o śmierci siostry z fachowcem, a on się wtedy wydarł i zabronił mi ją w to mieszać.

– Hmm.

– Na koniec oświadczył, że jeśli chcę pomówić o przyszłości, to widzimy się wieczorem, ale jak wolę się kłócić o przeszłość, to zobaczymy się przy okazji...

Adrian milczy.

Kręcę głową, bo opowiedzenie tego wszystkiego na głos tylko podkreśliło fakt, że jestem kretynką.

– Co mam robić? Ulec i nie pytać o nasze zerwanie ani o jego przeszłość, skupić się na wspólnej przyszłości?

– Ale skąd będziesz wiedziała, czy gdy przyjdzie co do czego, to wszystko się nie powtórzy? Czy nie będzie się wycofywał za każdym razem, gdy pojawią się przeszkody, o których trudno mu rozmawiać?

– Nie... Nie wiem... – bełkoczę. – Też tak myślę.

– A co z twoimi potrzebami? Musisz zamknąć temat tego zerwania, nawet jeśli ostatecznie wam się nie ułoży. Nawet gdybyś chciała układać sobie życie z kimś innym, to musisz się uporać z tamtą sprawą.

– Wiem, próbowałam mu to wyjaśnić.

– I co on na to?

Oddycham ciężko i próbuję sobie przypomnieć.

– Wciskał mi, że szukam powodów do kłótni, czy jakąś inną pierdołę.

– Jebać go – warczy Adrian. – To samolubny palant. Jeżeli nie rozumie, że chcesz zamknąć temat tamtego zerwania, zanim będziecie się tarzali pod kołdrą, to rzeczywiście ma gość, kurwa, problemy.

Słucham go ze smutkiem.

– No i... – kontynuuje. – To on wrócił i zażądał drugiej szansy, pamiętasz? Nie odwrotnie. Jeżeli naprawdę wiąże z tobą przyszłość, to powinien się ogarnąć.

– Myślisz, że tak jest? – pytam z nadzieją w głosie.

– Tak. No, mam nadzieję. Nie lecisz na drugi koniec świata, żeby się z kimś raz czy dwa podupczyć, prawda?

– Jestem nieziemską w łóżku, więc wszystko możliwe – mówię wesoło.

– To się rozumie samo przez się – rechocze. – Myślę, że musisz mu dać trochę czasu do namysłu. Jeżeli zataja przed tobą informacje, jak oboje podejrzewamy, to robi to świadomie i będzie sprawdzał, czy ujdzie mu to na sucho.

Słucham go i myślę.

– Traktowanie, na jakie pozwolisz na wczesnym etapie związku, ustanowi standard na przyszłość. Jeżeli dasz sobie wciskać kit teraz, będzie ci wciskał kit już zawsze – mówi dalej.

– A co, jeśli jest poważnie pokrzywdzony i potrzebuje mojej pomocy, żeby pokonać te przeszkody? – pytam.

– To ci powie, że potrzebuje czasu. Nie ma prawa cię zbywać i traktować jak jakąś królową dramy. Nie szanuje twoich uczuć, Bridget. Myślę, że nie pozostawił w tym względzie wątpliwości już wtedy, gdy przyleciał. Zażądał drugiej szansy i zaczął strzelać obleśnymi tekstami. Didge, chcesz faceta, z którym możesz rozmawiać o uczuciach. To nie liceum.

Oddycham głęboko.

– Masz rację. – Zastanawiam się chwilę i mówię: – Nie zadzwonię do niego. Jeżeli chce się spotkać, niech się postara.

– Dobrze. Kiedy masz ten wyjazd?

– Za dwa tygodnie.

– I na jak długo wyjeżdżasz?

– Na trzy.

– Wie o tym?

– Nie mam pojęcia – odpowiadam, wzruszając ramionami.

– Szczerze? Dlaczego posłaś z nim do łóżka tak szybko? Coś ty sobie myślała, do cholery? – wzdycha.

Ściska mnie w gardle.

– Bo za nim tęskniłam i mi na nim zależy. Ciągnie mnie do niego jak do nikogo innego... – zawieszam głos. – Czuję, że jest złamany.

– Och, Didge... – Adrian wypuszcza powietrze z płuc. – W tydzień wróciłaś do miejsca, w którym byłaś pięć lat temu, prawda?

Kiwam głową, płacząc.

– Chciałabym po prostu... – urywam.

– Czego?

– Poczuć do kogoś normalnego to samo, co czuję do niego.

– Wiem, malutka. Nie możemy wybierać, kogo pokocha nasze serce.

Wycieram wściekle łzy.

– To niedorzeczne. Nawet oficjalnie do siebie nie wróciliśmy, a ja już jestem w proszku. Trzy noce i spójrz na mnie.

– Czemu nie powiedziałaś Taszy i Abs?

Wzruszam ramionami.

– Chciałam najpierw sprawdzić, czy nam się ułoży. Postanowiliśmy, że przez jakiś czas nie będziemy rzucali się w oczy.

– Powiedz im.

– No, zastanowię się. Ale ty ani słowa! – przypominam mu.

– Obiecuję.

Uśmiecham się, bo dzięki Adrianowi zawsze czuję się lepiej... albo gorzej. Zawsze mówi mi prawdę.

– Nie dzwoń do niego, Didge. Chcesz się zakochać w mężczyźnie, a nie w niedostępnym emocjonalnie dziecku, które nie ma ochoty mierzyć się z własnymi problemami.

– Tak, wiem – mówię smutno.  
– Zobacz, co się stanie. Może wieczorem zjawi się u ciebie i wyzna ci dozgonną miłość.

Przewracam oczami.

– Tak, pewnie. Chciałabym.  
– Cóż, powinien zrozumieć, o co chodzi, a jeśli nie da ci tego, czego potrzebujesz, to może choć okaże się na tyle męski, że da ci święty spokój.

Na samą myśl ściska mnie w dołku.

– Jeżeli odpuścisz, to już zawsze będziesz myślała o tych odpowiedziach, których ci nie udzielił, i ta sprawa zawsze będzie waszą kością niezgody. Będzie wyłaziła przy każdej kłótni. Jeżeli teraz nie daje ci spokoju, to będzie tylko gorzej.

– Masz rację. Jesteś jak stara, mądra sowa – oświadczam z uśmiechem.

– Wobec wszystkich, tylko nie wobec siebie – odpowiada, śmiejąc się w głos.

– U ciebie wszystko gra? – pytam. – Cały czas gadam tylko o sobie.

– Ucieszę się, gdy Joshua już tu przyleci.

– A racja, przylatuje na tydzień, prawda?

– I dzięki Bogu.

Zerkam na zegarek.

– Muszę wracać do pracy. Dziękuję. Zawsze wlewasz mi odrobinę oleju do głowy.

– Nie łam się, Didge. Jeżeli naprawdę wrócił po ciebie, to w końcu przystanie na twoje warunki.

Kiwam głową, przepojona nową determinacją.

– Tak, masz rację. Kocham cię, pa.

– Ja ciebie też. Pa, pa.

\*\*\*

Jest po godzinie dwudziestej. Właśnie wróciłam do domu z siłowni – robię dziesięć kilometrów na bieżni, żeby pozbyć się stresu. Jestem zmęczona. Zamartwianie się potrafi człowieka wycieńczyć.

Sprawdzam telefon – brak nieodebranych połączeń. Wygaszam ekran, zdegustowana. Nie dzwonił i wiem, że nie zadzwoni. Po co tu w ogóle wracał, skoro nawet nie chce zadzwonić?

Robi mi się niedobrze, bo jestem już tak zmęczona tą ciszą, że sama mam ochotę do niego zadzwonić. Wrócił do mojego życia przed tygodniem, a ja już jestem jak chory z miłości szczeniak. Nie znoszę tego.

Zgoda na jego warunki i odgrywanie szczęśliwej rodzinki naprawdę brzmi lepiej niż siedzenie tu w samotności i przerabianie wydarzeń sprzed pięciu lat.

Czy jestem głupia? Czy jestem królową dramy? Czy Ben ma rację?

Podchodzę do okna i patrzę na ulicę w dole, licząc rozpaczliwie, że dostrzegę jego samochód. Ale nie dostrzegam.

Wlokę się pod gorący prysznic, przygotowuję sobie tost na kolację i idę spać, bo jak szybko nie zasnę, to pęknię, zadzwonię i będę go błagała, żeby do mnie przyjechał.

\*\*\*

Wpatruję się w ciemność, przeczesuję wzrokiem sufit i łzy spływają mi do uszu.

Zerkam na zegarek – trzecia nad ranem.

Bycie silną boli. Zeszły tydzień ciągnął się w nieskończoność. Ten jest takim samym koszmarem. Nie widziałam Bena od niemal dwóch tygodni. Od dwunastu dni, by być dokładną. Od dwunastu dni bez przerwy przetwarzam w głowie naszą ostatnią rozmowę. Od dwunastu dni wiem, że mam rację, lecz kołyszę się na krawędzi przebaczenia, byle tylko znów mieć go w ramionach.

Nasz problem polega na tym, że szczyty są idealne. Wjeżdżamy tak wysoko, że wolałabym nigdy nie wracać w dół. Trzy dni, które spędziliśmy razem, były pełne szczęścia, miłości i wszystkiego, czego potrzebuję w związku. Ale doły... są naprawdę mroczne i ponure. Nie życzyłabym najgorszemu wrogowi stanu, w jakim teraz jestem.

Wczoraj widziałam się z Erikiem. Wpadłam na niego w sklepie i nie poczułam nic. Jakbym już go nie znała. Może rzeczywiście nigdy nie

znałam? Gdy teraz patrzę na to z perspektywy czasu, chyba nigdy nie dałam mu szansy. Cały czas byłam zakochana w Benie i tylko udawałam, że jest inaczej. Grałam w pojebaną grę „wyleczyłam się z byłego”. Grę, w którą popisowo przegrywam.

\*\*\*

Siedzę w barze z Taszą, Joshua i Abs i znowu udaję... Udaję szczęśliwą, udaję normalną... Choć marzę tylko o tym, by pojechać do Bena i błagać go, żeby wrócił.

Gapię się w lustro w toalecie. Wszystkie dziewczyny naokoło poprawiają szminkę.

Potem znów patrzę na siebie.

Coś musi się zmienić, bo mam, kurwa, dość cierpienia z powodu złamanego serca przez tego faceta. Muszę się z niego wyleczyć. Muszę odnaleźć w sobie tę silną dziewczynę, którą byłam, zanim się poznaliśmy.

Nawet nie pamiętam, jak miała na imię. Ben ją zabił.

Moje odbicie jest puste, wydrążone.

Wiedźma zdechła.

\*\*\*

Telefon dzwoni na biurku. Odbieram pośpieszenie i niezdarnie. Gdy widzę, że to nie on, ściska mnie dołku.

– Hej, Didge – mówi Brock.

– Witaj, szanowny bracie. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Co mogę dla ciebie uczynić? – pytam ironicznie.

– Hej, wyluzuj trochę – mówi ze śmiechem. – Chciałbym cię zabrać na lunch.

– Tak? – Zerkam na zegarek. – Właśnie się wybieram, za pół godziny.

– Dobra, super. Spotkajmy się w kafejce, bo jestem już w mieście.

– Okej, świetnie. Ale Bethany nie ma dziś na recepcji – ostrzegam.

– Cholera... – Wzdycha.

– Tylko dlatego po mnie wpadasz? Żeby ją deprawować?



– Oczywiście, ale myślę, że mnie rozumiesz.  
Rozłączam się z uśmiechem.  
Szkoda, że Bethany ma chłopaka. Trudno. Lunch. Miło zająć  
czymś myśli.

\*\*\*

Kelnerka podaje nam drinki.

– Dziękujemy.

Brock próbuje swojego i pyta:

– No, to co zrobiłaś Benowi?

– S-słucham? – pytam z niedowierzaniem.

– Słyszałaś. Co zrobiłaś Benowi?

– A co z nim? – pytam, marszcząc brwi.

– Cóż, przez tydzień jest w idealnym nastroju, a potem... – Kręci  
głową z namysłem. – Z jakiegoś powodu gość nagle przestaje się  
odzywać, następnie robi się zupełnie nieznośny, a wczoraj  
myślałem, że kogoś zabije. Dziś natomiast jestem już pewien, że to  
zrobi.

Patrzę na niego i wiem, że nie dam rady kłamać. Wypuszczam  
powietrze z płuc.

– Skąd pomysł, że to ma jakiś związek ze mną?

– Bo tylko ty potrafisz tak zaleźć mu za skórę. – Przygląda mi się  
uważnie. – I wiem o was. Powiedział mi kilka tygodni temu.

Podpieram się na łokciach i chowam twarz w dłoniach.

– Brock, to jest jeden wielki burdel.

– Co się stało? – pyta, wzdychając.

Nabieram powietrza w płuca.

– Nie powiem ci, bo mu powtórzysz.

– Nie powtórzę... – Przygląda mi się przez chwilę. – Obiecuję.

Upijam łyk drinka.

– Więc... – Przewracam oczami. – Spędziliśmy razem parę dni.  
I poprosiłam o kilka odpowiedzi, wiesz? Po prostu chciałam  
porozmawiać o pewnych sprawach...

– Na przykład o jakich?

– O naszym ostatnim zerwaniu – odpowiadam, wzruszając ramionami.

– To przeszłość.

– Typowo męski tekst. Żadna, kurwa, przeszłość. Chcę jakichś gwarancji, że to się nie powtórzy.

Brock przewraca oczami.

– Na przykład jakich? Pierdolonego pierścionka zaręczynowego? Do tego zmierzasz?

– Nie, debilu – odszczekuję. – To ostatnia rzecz, na której mi zależy.

Przygląda mi się bacznie.

– Ben jest... – Kręcę głową, próbując wyartykułować myśli. – On jest inny, Brock. Nic mi o sobie nie mówi. Muszę się prosić o każdą informację, jakbym sprawiała mu wielki kłopot, bo chcę się czegokolwiek dowiedzieć.

– Po prostu jest powściągliwy – odpowiada, marszcząc brwi.

– Czaję. Wszyscy ciągle powtarzają, że Ben taki jest, ale mam dwadzieścia siedem lat i nie chcę spotykać się z kimś, kto nie potrafi ze mną rozmawiać. To już nie jest pierdolone liceum.

– On się nikomu nie zwierza.

– Cóż, mnie to tym razem nie wystarczy – stwierdzam spokojnie.

– Nie ustąpię. Gdy ostatnio się spotykaliśmy, dałam mu czas, żeby się otworzył. Zyskałam na tym tyle, że zakochałam się po uszy, a on mnie zostawił bez słowa wyjaśnienia.

– Powiedziałaś mu to?

– Tak. Zbył mnie i powiedział, że dramatyzuję.

– A dramatyzujesz?

– Może? – odpowiadam, wzruszając ramionami.

Pojawiają się nasze dania i przez chwilę jemy w milczeniu.

– A tak w ogóle, to jak tam z nim w pracy? – pytam.

Tym razem to mój brat wzrusza ramionami.

– Jest po prostu cichy. Gniewny. Wściekły, dokładnie rzecz ujmując.

Ściska mnie w dołku.

– Pytałeś go, co się stało?

– No – przytakuje.

– I co powiedział?

Brock patrzy na mnie i prycha.

– A jak sądzisz?

– No i widzisz? O to mi właśnie chodzi – mówię, przewracając oczami. – Jest taki irytujący.

Brock patrzy na mnie i mówi:

– Didge, to dobry człowiek, jeden z najlepszych, jakich znam. I kocha cię.

Wypuszczam z dłoni widelec, który uderza o talerz z głośnym brzękiem.

– Powiedział ci tak? Bo mnie nie.

– To oczywiste.

Przewracam oczami.

– Nie dla mnie. – Zastanawiam się przez chwilę. – Wiesz, kto idealnie by do niego pasował?

– Kto?

– Jakaś jasnowidzka. Jakaś jebnięta w głowę jasnowidzka, która potrafiłaby czytać mu w myślach – rzucam, a Brock rechocze pod nosem. – Jutro wyjeżdżam na trzy tygodnie – dodaję.

– I on o tym wie? – pyta Brock, mrużąc oczy.

– Wątpię. – Wzruszam ramionami. – Nie wydaje mi się, żeby on w ogóle słuchał, co mówię.

Brock przewraca oczami.

– Rzeczywiście, kurwa, dramatyzujesz. Słucha każdego twojego słowa.

– Dzięki – odpowiadam ze sztucznym uśmiechem.

– Zasadniczo rozpoczyna pracę dopiero w przyszłym miesiącu. Przyleciał wcześniej, żeby mi pomóc w kilku kwestiach. Jutro rano lecę na Malediwy, pamiętasz?

– Racja. Nieźle się zabawisz – mówię z uśmiechem.

– Byłbym znacznie szczęśliwszy, gdybyście przed moim wylotem ogarnęli ten swój burdel.

Wypuszczam powietrze z płuc i napycham usta jedzeniem.

– Brock, tym razem nie ustąpię. – Upijam łyk drinka. – Trwam przy swoim. Ben wie, gdzie mnie znaleźć.

\*\*\*

Minęła dwudziesta pierwsza. Położyłam walizkę na kuchennym stole, bo dopakowuję ostatnie rzeczy. Przed chwilą wyszłam spod prysznic, więc mam na sobie szlafrok. Lecę dopiero jutro wieczorem, ale na szczęście dostałam wolne od rana, żeby wszystko pozająłtwiać.

Czuję ten paskudny niepokój w brzuchu i nie mogę przestać myśleć o Benie.

*Jest sam w mieszkaniu?*

Nie znoszę tego.

Wyobrażam go sobie jako samotnego, wystraszonego piętnastolatka, podrzuconego do najbliższej jednostki wojskowej, i serce mi krwawi. W wieku, w którym był najbardziej wrażliwy, w czasie, gdy był najbardziej smutny, gdy potrzebował wzorców życiowych, trafił w najgorsze możliwe środowisko. Nic dziwnego, że jest, jaki jest.

*Po prostu się z tym pogódź.*

Jeśli tak zrobię i ustąpię, to w praktyce poświęcę się dla jego potrzeb. Natomiast muszę przyznać, że w tej chwili czuję się tak, że mam gdzieś własne pragnienia. Z drugiej strony wiem, że Adrian miał rację i jeżeli ma nas czekać wspólna przyszłość, w której będę mogła zaufać Benowi, to muszę myśleć głową, a nie głupim sercem. To sukowate serce zawsze daje mi w kość, gdy tylko chodzi o Bena. Przez większość nocy jestem jakaś nadwrażliwa. Zbierało mi się na płacz nawet przy oglądaniu wiadomości.

Trzy tygodnie temu wiodłam uporządkowane życie, nad którym miałam kontrolę. Teraz nie mam żadnej kontroli ani porządku. Czuję się, jakby ktoś wrzucił mnie do blendera. Nie mam pojęcia, które emocje we mnie dominują. Pragnę Bena, ale równocześnie boję się go i boję się o niego... Chcę o niego zadbać. Jestem przerażona, że być może nigdy się z niego nie wyleczę. Nie wiem, co się ze mną, kurwa mać, dzieje. I jestem wściekła. Na niego, bo to przez niego tak się czuję. Na siebie, bo pozwalam, by tak na mnie działał.

Nagle słyszę pukanie do drzwi.

Kto to?

Pewnie, któryś z sąsiadów, bo domofon nie dzwonił. Patrzę przez wizjer w drzwiach i widzę Bena. Bez namysłu otwieram drzwi.

Patrzy mi głęboko w oczy i przełyka ślinę.

– Ben? – pytam.

Wpatruje się we mnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł tego z siebie wydusić.

– Mogę spróbować – szepcze.

Ma udręczoną twarz, wygląda tak smutno, że łapię go w ramiona i trzymam z całych sił.

– O nic więcej nie proszę, skarbie. – Ściskam go jeszcze mocniej. – O nic więcej nie proszę.



# Rozdział 9

## Bridget

Obejmuję jego szerokie barki, a on tuli mnie mocno i zanurza twarz w mojej szyi. Trzymamy się mocno w objęciach, jakbyśmy oboje tonęli, aż w końcu on delikatnie mnie całuje.

Potem całujemy się drugi raz, a Ben wprowadza mnie tyłem do mieszkania i kopniakiem zamyka za sobą drzwi.

– Nigdy nie zostawiaj mnie w kłótni – mówię. – Nie lubię tego.

Kiwa głową, lecz nie odpowiada. Usta na powrót scala z moimi, dłońmi wodzi w górę i w dół mojego tyłka. Przyciąga mnie do siebie bliżej.

Nasz pocałunek staje się rozpaczliwy.

Wiem, że mnie kocha. Czuję to. Naprawdę myśli, że mogłabym tego nie wyczuć?

Odsuwam się i patrzę na niego.

– Ben, jeśli nie potrafisz ze mną rozmawiać, to mi pokaż.

Patrzy mi pytająco w oczy i już wie, że to gałązka oliwna. Że wyciągam ku niemu pomocną dłoń, wychodzę mu naprzeciw i chcę, by był w stanie ze mną rozmawiać.

Całujemy się ponownie, a potem Ben przekręca zamek w drzwiach i prowadzi mnie do sypialni.

Stajemy w nogach łóżka.

Ben trzyma mnie w ramionach.

– Tęskniłem za tobą – szepcze, poszukując wzrokiem moich oczu, które już zachodzą łzami.

– Ja za tobą też, skarbie.

Nasze usta się stykają i, mój Boże, to najdoskonalszy pocałunek w moim życiu... Całujemy się ciągle i ciągle. Cały czas mam wrażenie, że chcę być jeszcze bliżej niego.

Powoli rozwiązuje sznurek mojego szlafroka i rozchyła go. Jego wygłodzony wzrok pada na moje ciało, a on sam oblizuje wargi.

– Bridget... – szepcze, ujmując w dłoń moją pierś.

Kiedy jest podniecony, ma wyraźniejszy akcent, jakby wracał do swojej pierwotnej tożsamości i zapominał o wszystkim, czego nauczył się na przestrzeni życia.

Oddech mi drży, próbuję zamaskować fakt, jak wielki wpływ wywiera na mnie Ben. Ledwie mnie dotknął, a boję się, że zaraz stanę w ogniu.

– Moja piękna Bridget – dyszy, zsuwając szlafrok z moich ramion, który rozlewa się kałużą wokół moich kostek.

Stoję przed nim naga i bezbronna, a on odsuwa się i omiata mnie wzrokiem, zapamiętuje każdy skrawek mojego ciała.

– Gdzie mam zacząć? – pyta mrukliwie.

Zamykam oczy i wstrzymuję oddech. Ja chcę rozpocząć, nie mogę się powstrzymać. Padam przed nim na kolana bez zbędnych słów i widzę, że w jego oczach lśnią iskry podniecenia.

– Grzeczna dziewczynka... – dyszy, głaszcząc mnie po głowie.

Całuję jego krocze przez dzinsy, a jego członek się napręża. Uśmiecham się, gdy Ben powoli rozpina spodnie, a potem nachyliam się, by go pocałować, ale on się odsuwa.

– Czekaj – rzuca władczo.

Zamykam oczy i próbuję okiełznać rozedrgany rytm serca.

Ben panuje nad całą sypialnią. Zawsze panował – od naszego pierwszego spotkania.

Nigdy nie miałam świadomości, że potrzebuję, by mężczyzna nade mną dominował, lecz on to we mnie dostrzegł. Odsłonił stronę mojej osobowości, do której inni mężczyźni nigdy nie dotarli. Seks zawsze był seksem, dobrym seksem. Ale nie wiedziałam, że może się w nim kryć coś znacznie więcej. Seks z Benem odmienił moje życie. Jestem całkowicie w jego władaniu.

Niespiesznie ściąga dzinsy i odkopuje je na bok, a potem, równie wolno, zdejmuje koszulę przez głowę.

Moje ciało zaczyna tętnić podnieceniem.

Jego jest tak silne i piękne. Stworzone dla mnie i dla mojej rozkoszy.



Cały czas powoli pieści swojego fiuta od dołu do góry, a ja patrzę i posłusznie czekam na moją kolej.

Robił tak już wcześniej, czasami sam doprowadzał się do orgazmu i nawet nie pozwalał mi się tknąć palcem. Lecz teraz nieśpiesznie wkłada go w moje usta, a ja zamykam oczy i smakuję.

Biorę głęboki wdech. Ben ma swój zapach – męski, kurewsko seksowny, doprowadzający mnie do szału. Przysięgam, że gdyby udało mi się zrobić z niego perfumy, zarobiłabym fortunę.

Liżę końcówkę, a Ben patrzy na mnie z seksownym uśmiechem. Ostrożnie łapie mnie za włosy i lekko ciągnie, gdy biorę go głęboko w gardło. Syczy w dowód uznania.

– O, tak, aniele – szepcze, a ja biorę go jeszcze głębiej. – O to chodzi, maleńka. – Uśmiecha się mrocznie.

Łapie mnie za włosy obiema rękami, a wraz z jego podnieceniem rośnie też siła tego uścisku. W końcu trzyma moje włosy w obu garściach i ujeżdża moją twarz długimi, ostrymi pchnięciami.

Nauka przyjmowania go w taki sposób zajęła mi sporo czasu. Musiałam zapanować nad odruchem wymiotnym.

Przy innych facetach pobawisz się trochę końcówką i już są zadowoleni, szczęśliwi, że zasłużyli na tę odrobinę uwagi. Ben chce wsadzić ci w gardło całego kutasa i nie zadowoli się czym innym. Jego brzuch napina się wraz z każdym pchnięciem, na ośmiopaku pięknie lśni cienka warstewka potu.

Jakie to, kurwa, seksowne.

Przesuwam dłońmi w dół i w górę jego atletycznych, jędrnych ud, zapuszczam się na tyłek.

Jego oddech przyśpiesza, czuję, że się nakręca, bo odchyła głowę i patrzy w sufit.

– Ja pierdolę... – szepcze, po czym wyciąga go z moich ust i rzuca mnie na łóżko.

Kłęka przy krawędzi i przyciąga mnie do siebie. Zakłada sobie moje nogi na barki i spuszcza głowę.

Moje serce przestaje bić, wstrzymuję oddech, kiedy całuje mnie tam tak delikatnie, że ledwie to czuję. Otwieram luźno usta i czekam.

Znowu mnie całuje, i jeszcze raz, leciusieńko, bym wiedziała, że to tylko obietnica.

Boże drogi, nie mogę oddychać.

I wtedy całuje mnie szeroko otwartymi ustami, aż cała drzę.

Czuję, jak się uśmiecha.

– Podoba ci się to, maleńka? – pyta szeptem.

Kiwam głową i łapię go za potylicę, bo odpowiedzieć nie jestem już w stanie.

Liże coraz głębiej i głębiej, a potem przygryza i naciąga moją łechtaczkę.

Prawie spadłam z łóżka.

Ben zanosi się niskim rechotem i czuję wibracje tego śmiechu głęboko w ciele.

O Boże.

Unosi dłoń, rozchyła mnie i wsuwa do środka dwa palce, na co chciałabym odruchowo zacisnąć nogi, lecz on mi na to nie pozwala. Dodaje kolejny palec, potem jeszcze jeden, a potem... zaczyna mnie ujeżdżać tak mocno, że aż łóżko wali o ścianę.

– Aaa! – krzyczę.

Dźwięki mojego śliskiego podniecenia odbijają się echem.

Pochyla się, by znowu mnie wylizać, i zamyka oczy w ekstazie.

– Będziesz mnie musiała dotknąć, aniele. Jestem zbyt wygłodzony, za długo pościłem, skrzywdziłbym cię.

Odpycham go i krzyczę:

– Teraz, Ben! Natychmiast!

Śmieje się i pada na łóżko, a ja podnoszę się i zarzucam na niego nogę. Podtrzymuje mnie ręką, żebym się nie przewróciła. Unosi się lekko na łokciach i spokojnie naprowadza moje biodra, pomagając im opaść. Przechyliłam się w bok, próbuję się nieco rozluźnić. Przez chwilę nie jestem w stanie się na niego nabić. Masuje moją łechtaczkę okrężnymi ruchami kciuka i w końcu się przed nim otwieram, zapraszam go do siebie.

Oboje wydajemy z siebie głośny jęk.

Och, jak dobrze... Zbyt dobrze. Jest ogromny.

Wyciąga rękę i patrząc na mnie mrocznie, łapie mnie za pierś, podczas gdy ja ostrożnie unoszę się w kolanach i opadam. Ben syczy

z uznaniem.

Wchodzę w szybki rytm.

Kurczę, powiedział, że może mnie skrzywdzić, ale przy takim tempie zaraz sama zrobię sobie krzywdę. Ciągle mam poczucie, że nie jestem dość blisko, że nie wchodzi we mnie dość głęboko.

– Kurwa, Didge... – wydusza z siebie, zamykając oczy i wiem, że próbuje nie dojść od razu.

– Daj mi to – skamle.

Ułamek sekundy później rzuca mnie na plecy i zakłada sobie moje nogi na barki. Uderza mnie potężnymi, głębokimi, brutalnymi pchnięciami.

Moje ciało nie może tego znieść i gdy orgazm nadjeżdża z impetem pociągu towarowego, drgam i się rozpadam.

Krzyczę na cały głos:

– Kurwa, kurwa, kurwa!

On warczy gardłowo, pieprząc mnie szybko i ostro.

Chyba nie wytrzymam. Zamykam oczy i wtedy on zamiera, trzęsie się i wydaje z siebie zwierzęcy warkot.

Oboje dyszymy, walczymy o oddech.

Czuję, jak moje krocze pulsuje bólem po tym rżnięciu. I wtedy Ben mnie całuje, czule i delikatnie, a ja uśmiecham się i muskam jego szczękę dłonią. Puszczą moje nogi, które bezwładnie opadają na boki tak, że może się między nimi położyć.

Całujemy się tkliwie, jakbyśmy musieli nadrobić całą wieczność bez pocałunku.

Uśmiecha się przy moich wargach i przetacza tak, że znowu ląduje na nim.

Próbuję się odsunąć, ale mnie przytrzymuje.

– Zamierzam w tobie zostać na znacznie dłużej, aniele – szepcze przy moich wargach.

– Ben, byłeś we mnie cały czas – wyznaję, patrząc mu w oczy.

Pokój rozświetla tylko moja lampka przy łóżku, a my leżymy, patrząc na siebie. Nasze ciała są dogłębnie zaspokojone. Kochaliśmy się wiele godzin.

Dłonie Bena błędzą po moich biodrach i piersiach, kiedy tak leżę w fałdach koca.

– Nie chcę rozmawiać o powodach naszego zerwania... – mówię i na jego czole pojawia się zmarszczka zdziwienia. – Jednakże...

Parska pod nosem i przewraca oczami. Wiedział, że tak łatwo nie odpuszczę, bo chcę go poznać znacznie lepiej.

– Opowiedz mi o swojej pierwszej dziewczynie – szepczę.

Zanurza twarz w moje piersi i z uśmiechem potrząsa głową.

– Nie? – pytam, marszcząc brwi.

– Chodzi mi to, że nie było dziewczyny.

– Co? – Podpieram się na łokciu, żeby na niego spojrzeć. – Nigdy nie miałaś dziewczyny?

Kręci lekko głową, cały czas wodząc dłonią po moim ciele.

– Ale... – waham się. – Skoro tak, to jakim cudem jesteś tak doświadczony w łóżku...? A... Dobra nie odpowiadaj na to pytanie – burczę, ściągając brwi.

– Pewnie lepiej będzie nie odpowiadać – parska, po czym nachyla się i daje mi buziaka. – Poszedłem do wojska młodo i... – zawiesza głos, wspomina – ...nie za bardzo miałem jak randkować. To znaczy... – Unosi brew. – Raczej nie chcesz zapraszać dziewczyny na kolację do koszar.

Słucham go, przesuwając palcem po jego dwudniowym zarostcie. Każdy strzępek informacji jest dla mnie niczym wygrany los na loterii.

– A później armia przerzucała mnie z jednego zakątka świata na drugi, więc nigdzie nie zagrzałem miejsca na dłużej. Ja chyba nigdy... – urywa, marszczy czoło w zadumie.

Przerywam mu pocałunkiem.

– Ben – szepczę. – Będziesz ze mną chodzić?

– Że co? – dziwi się.

Przemykam palcami przez włoski na jego torsie.

– Będziesz ze mną chodzić? – powtarzam z uśmiechem i daję mu buziaka. – Zostaniesz moim chłopakiem? – pytam figlarnie.

Przygryza dolną wargę, by zamaskować durnowaty uśmiech.

– Jeżeli będziesz grzeczna.

Przewracam go na plecy i się nad nim nachylam. W jego oczach płonie uczucie i wiem, że to wiele dla niego znaczyło.

– A co dokładnie musi robić taki chłopak? – pyta, mrużąc oczy.

– Wykonywać brudną robotę – mówię. – Robotę, której nikt inny nie może się podjąć – szepczę.

Całuje mnie i czuję na biodrze, że znowu dostaje erekcji.

– Z przyjemnością będę załatwiał twoją brudną robotę – mówi z łobuzerskim błyskiem w oku.

– To świetnie. Moje brudy są w pralni. Będą ze trzy pełne pralki. – Uśmiecham się przy jego ustach.

Śmieje się głośno i przerzuca mnie tak, że znów ląduję pod nim. Oplata się moimi nogami w pasie.

Przysmykam oczy, gdy wślizguje się z powrotem do bazy.

– Pozwól, że dokończę tę brudną robotę, zanim zabiorę się za następną. – Wchodzi we mnie mocno. – Może mi tu chwilkę zejść.

\*\*\*

Siedzimy w kafejce, właśnie skończyłam śniadanie. Jest wpół do dziewiątej, moje biuro mieści się po drugiej stronie drogi. Musiałam wpaść po kilka rzeczy do firmy przed popołudniowym wylotem. Wczoraj byłam tak rozkojarzona, że zostawiłam na biurku laptopa i ładowarkę, a są mi potrzebne.

Przyglądam się, jak Ben dojada ostatniego naleśnika. Muszę wkładać tyle energii w powstrzymywanie uśmiechów, że aż bołą mnie policzki.

Poczyniliśmy wczoraj postęp, potężny postęp.

Nie zdobyłam żadnych informacji, ale zdobyłam jego zobowiązanie, choć musiałam obchodzić się z nim wyjątkowo ostrożnie. Postanowiłam, że pozwolę mu opowiedzieć wszystko w komfortowym dla niego tempie.

To jakieś szaleństwo. Jest tak doświadczony seksualnie, a emocjonalnie zupełnie zielony. Nie potrafi nikomu zaufać, nie ma pojęcia o związkach. To ja będę go tego uczyła i nie zamierzam się spieszyć. Ma tyle czasu, ile potrzebuje, by swobodnie się przede mną otworzyć.

W tej chwili chciałabym tylko go spać... Całego, każdą kropelkę. Czuję przy nim rzeczy, o których istnieniu nie miałam pojęcia.

Zamierzam iść na całość i zrobię wszystko, co będzie trzeba. Chcę tylko jego, tego już jestem pewna.

– Leć ze mną – mówię z uśmiechem.

– Co? – dziwi się.

– Wsiądź dziś ze mną do samolotu. Uporam się z wycieczką i zrobimy sobie własne trzytygodniowe wakacje.

Uśmiecha się, jakby naprawdę to rozważał.

Łapię go za rękę nad stolikiem.

– Możemy pojechać do Szkocji i do Walii, i... – Marszczę czoło, bo przypominam sobie tę historyjkę o potworze z Loch Ness, która tak rozbawiła ich z Camem.

– No co?

– Twoja opowieść o potworze z Loch Ness wszystko psuje.

Rechocze nad kubkiem kawy, a ja przewracam oczami.

– To opowieść Camerona. Wiesz, że nie potrafi zachować powagi nawet na chwilę.

– Szczera prawda – zgadzam się, popijając kawę. – Polecisz ze mną?

Marszczy brwi.

– Mogę przylecieć na ostatni tydzień, ale muszę w końcu domknąć temat mieszkania. Chcę zrobić wrażenie na takiej jednej dziewczynie... – Mruga do mnie seksownie.

– Ach tak? – Uśmiecham się.

Kiwa głową i mam okazję zaobserwować, jak wysuwa, by oblizać dolną wargę. Przypominam sobie, co wyczyniał nim minionej nocy, i moje krocze samo się zaciska.

– Jaka ona jest? – pytam.

Podoba mi się ta gierka.

– Wyjątkowa – odpowiada.

– Wyjątkowa? – powtarzam, unosząc brew. – Jak to?

Wbija wzrok w stół i widzę, że z trudem go podnosi, by spojrzeć mi w oczy.

– Sam nie wiem. – Wzrusza ramionami. – Czuję się przy niej jak w domu.

Serce szaleje mi w piersi, kiedy nasze spojrzenia się spotykają. Uśmiecham się czule.

– Dom. Miło być w domu – szepczę.

Kiwa nieśmiało głową, jakby zawstydzony, że powiedział to na głos.

– W takim razie pozałatwiał wszystko z mieszkaniem dla swojej wybranki i przyleć do mnie do Szkocji za dziesięć dni.

– Umowa stoi – rzuca radośnie.

Do naszego stolika podchodzi dwóch mężczyzn i na ich widok z twarzy Bena znika całe rozbawienie.

– Dzień dobry. – Kiwają głowami.

Ben zerka na mnie niepewnie.

– To moi przyjaciele, John i Sam – przedstawia ich.

– Dzień dobry – witam ich z uśmiechem.

– To Didge.

– Dzień dobry – odpowiadają uprzejmie.

To dogodny moment, żeby skoczyć do biura po rzeczy.

– Właśnie wychodziłam, więc proszę, siadajcie... – Uśmiecham się, wstaję i patrzę na Bena. – To widzimy się za jakieś pół godziny? – pytam jeszcze.

Kiwa głową, ale jest jakby rozkojarzony.

Uśmiecham się do jego przyjaciół.

– Miło było poznać. – Wyfruwam przez drzwi jak na skrzydłach.

Jestem dziewczyną i domem Bena. Wszystko wygląda coraz lepiej.

\*\*\*

Pięć godzin później przyklejam się do niego, choć oblewa nas potok przechodniów. Ben podrzucił mnie na lotnisko.

– Na pewno nie możesz lecieć ze mną od razu? – pytam.

– Jeszcze nie, maleńka, muszę załatwić sporo spraw. – Całuje mnie. – Widzimy się za nieco ponad tydzień – dodaje, odgarniając mi włosy z czoła.

Kiwam głową...

Na miłość boską, zachowuje się... Nie szalej.

– Dasz tu sobie radę sam?

Rechocze pod nosem i kręci głową.

– Umiem o siebie zadbać, Bridget. Mam w tym wprawę.

– Tak, wiem. – Przewracam oczami. – Tyle że nie masz jeszcze mebli i... – urywam w połowie zdania. Tak, to świetny pomysł. Wygrzebuję z torebki klucze do mojego mieszkania i wręczam mu je. – Zatrzymaj się u mnie, dopóki twoje gniazdko nie będzie gotowe.

Spogląda na klucze i uśmiecha się półgębkiem.

– To zachęta, żeby nieco zaniedbać przygotowania własnego mieszkania...

Przygryzam dolną wargę, żeby nie wypalić: „To olej je! Wprowadź się do mnie!”.

Co jest ze mną nie tak? Boże, muszę nabrać trochę dystansu. Kompletnie zgłupiałam przez tego faceta.

Rozlega się ostatnie wezwanie na mój lot, więc spoglądam na Bena.

– Będziesz tęskniła? – pyta.

– Szczerze mówiąc, nie mogę znieść myśli o rozłące na choćby jedną noc – wyznaję szeptem, patrząc mu w oczy.

Uśmiecha się łagodnie, a potem nasze usta się spotykają.

– Możliwe, że w tym tygodniu wrócę do Ameryki spakować kilka rzeczy.

– Okej, ale obiecaj, że przylecisz, żebyśmy spędzili razem choć tydzień.

– Obiecuję – mówi, otwierając szerzej oczy w irytacji.

Uśmiecham się, zażenowana, bo wymusiłam na nim tę obietnicę przynajmniej dziesięć razy w ciągu ostatniej godziny. Jestem jak małe dziecko.

Całujemy się raz jeszcze.

– Pa, Ben. – Ostatni raz przesuwam palcami po jego krótkim zaroście.

Patrzemy sobie przeciągle w oczy i czuję tę nieodpartą chęć, by wyznać mu miłość. Wie o tym, bo mam wrażenie, że chciałby na to odpowiedzieć.

– Pa, aniele. – Trzyma mnie mocno w potężnych ramionach, lecz w końcu naprawdę muszę iść.

Żegnaj go ostatnim spojrzeniem i przechodzę przez bramki, po czym siadam na krześle i czekam.

Czyli koniec. Dziesięć dni bez Bena.



Chce mi się płakać.

\*\*\*

Jesteśmy w powietrzu od trzech godzin. Obok mnie po jednej stronie siedzi starsza pani, a po drugiej śmierzący facet. Nie znoszę komercyjnych lotów. Pieprzony Joshua i jego prywatny odrzutowiec zepsuli mnie na zawsze. Kilka rzędów z tyłu siedzi kobieta z dwójką małych dzieci, które bardzo głośno rozmawiają i ciągle o coś jęczą. Słucham muzyki na słuchawkach, żeby choć trochę je zagłuszyć. Wyciągam komórkę, żeby sprawdzić maile, potem uruchamiam Spotify.

Momencik. Co to znów za cholerna cyferka na dyktafonie? Ten telefon zaczyna mnie na serio wkurzać.

Klikam na nią i odsłuchuję nagranie. Pewnie przypadkowo zarejestrował jakąś moją zwyczajną rozmowę.

Słyszę stłumione głosy.

Hę? Co to?

Próbuję rozpoznać te głosy. Ben.

Kiedy to było? – zastanawiam się, wciąż słuchając. To nasza poranna rozmowa w kawiarence. Przypadkiem zostawiłam telefon pod serwetką. Na szczęście, gdy pół godziny później sobie o nim przypomniałam, nadal tam leżał. Skupiam się na jego słowach.

„Dzień dobry”.

O, to ci jego kumple.

„To moi przyjaciele, John i Sam” – mówił Ben.

A potem mój głos: „Dzień dobry. Właśnie wychodziłam, więc proszę, siadajcie. To widzimy się za jakieś pół godziny? Miło było poznać”.

Po moim wyjściu na kilka sekund zapada cisza, a potem się zaczyna.

„Co wy tu, kurwa, robicie?!” – warczy Ben.

Hę? Co to ma znaczyć, do cholery? Myślałam, że to jego przyjaciele.

Prostuję się w fotelu i koncentruję, żeby usłyszeć, o czym mówili.

„Mamy dla ciebie robotę” – odezwał się jeden z nich.

„Skończyłem z tym, wypełniłem sześć lat kontraktu, dobrze o tym wiecie”.

Wytrzeszczam oczy.

O czym on mówi? Sześć lat kontraktu?

Jestem zdezorientowana. Rozglądam się, speszona, mam nadzieję, że nikt się nie przysłuchuje.

„Musieliśmy lecieć aż do Australii, żeby z tobą pogadać, Buzz?” – rzuca jeden z nich.

„Spierdalaj. Wychodzę. Skończyłem”. Następuje pauza, a potem Ben kontynuuje: „Jak śmiecie zbliżać się do mojej rodziny? Powinienem rozwalić was na miejscu”.

Co tam się działo, do cholery? Buzz... Co za Buzz?

„Ach, tak, ta mała Marksówna?” – odpowiada jeden z nich.

Wybałuszam oczy, przerażona.

Mówią o mnie? Skąd o mnie wiedzą, dlaczego nazywają mnie „małą Marksówną”?

Słucham dalej, obgryzając paznokcie.

„Nie waż się wymawiać jej nazwiska, bo cię zabiję” – grozi Ben.

Co, do chuja?!

„Została ci jedna robota do wykonania, potem możesz sobie wić gniazdko z małą Marksówną” – odpowiada mu ten facet.

„Wiję sobie gniazdko już, więc wypierdalać”.

Co?

„Została ci jedna robota. Kierownictwo specjalnie nas tu wysłało. Jason Steele, amerykański dyplomata, sprzedaje pewnej komórce terrorystycznej nazwiska i adresy żołnierzy sił specjalnych. W zeszłym tygodniu żona jednego chłopaka z piechoty morskiej zginęła na oczach własnych dzieci” – kontynuuje mężczyzna.

Moje serce zaczyna pompować krew szybciej, zasłanianiam usta dłonią ze zgrozy.

„Ja pierdolę...” – szepcze Ben.

Słyszę szelest kartek.

„Jesteś zameldowany w pokoju numer dwieście siedemdziesiąt osiem w Hyacie w Pradze”.

Zapada cisza, którą przerywa w końcu Ben:

„Kiedy?”

„Dwudziestego ósmego. Ma spotkanie w ratuszu po drugiej stronie ulicy, wyjdzie z niego o dwudziestej. Wystawka, banalna robota”.

„To za trzy dni” – warczy Ben.

„Broń będzie czekała w torbie w pokoju hotelowym. Masz rezerwację na nazwisko Taylor. W pokoju znajdziesz też kluczyki do wynajętego samochodu”.

Słysząc na nagraniu, jak Ben ciężko wzdycha.

Oczy niemal wyskakują mi z orbit, rozglądam się po współpasażerach.

„Załatw to i możesz rozpocząć nowe życie, zakończysz służbę”.

„Czekałem na nowe życie wystarczająco długo, kurwa!” – cedzi Ben.

Słyszę jakiś ruch, więc Ben chyba wstawał.

„Dobra. Wylecę dziś w nocy. Nie zbliżajcie się, kurwa, do mojej dziewczyny”.

Zamieniam się w słup soli, jestem wstrząśnięta.

Co to, kurwa, było? Na czym polega praca Bena, do cholery?

Serce wali mi jak oszalałe, nie mogę w to uwierzyć. Do rzeczywistości przywracają mnie głosy tych dwóch mężczyzn. Zaczęli rozmawiać po wyjściu Bena.

Co? Nagranie jeszcze się nie skończyło?

„Samochód zorganizowany?” – pyta jeden.

„Tak, wszystko ustawione. Kolumna kierownicy i hamulce. Auto czeka na parkingu”.

Wybałuszam oczy.

„Buzz Astral spotka swego stwórcę i nikt się nie zorientuje. Problem z głowy”.

„Tragiczny wypadek” – dodaje drugi.

Obaj wybuchają śmiechem, a ja zasłaniam usta dłońmi.

Strach wypełnia każdą komórkę mojego organizmu, pot aż piecze mnie pod pachami.

Ja pierdolę, oni chcą go zabić.

# Rozdział 10

## Bridget

Co robisz z informacją, jeśli jej nie rozumiesz?

Tkwię w jednej pozycji od czterech godzin. Nie wiem, czy to prawda, mistyfikacja czy jakiś popieprzony film.

*To przecież...*

Kręcę głową z niedowierzaniem.

*Głupie.*

Wciskam „play” i odsłuchuję nagranie dziesiąty raz. Po każdym takim razie coraz bardziej się boję. Zaraz rozładuje mi się bateria i będę mogła ją naładować dopiero po wylądowaniu.

Patrzę przez okno i myślę. Szczerze mówiąc, nie wiem, co gorsze. Wiedza o tym, czym najwyraźniej Ben się zajmuje, czy świadomość faktu, że nie ściemniał, naprawdę miał poważny powód, żeby zostawić mnie przed laty.

Tak naprawdę najstraszniejsze jest to, że za kilka dni może być martwy. Łapię się za głowę. To nie może być prawda.

*Boże, niedobrze mi.*

*O to mu chodziło, gdy mówił, że jego przeszłość nie może mnie dopaść? Kim są ci mężczyźni? Na czym, kurwa, polega jego praca?*

Chyba znam odpowiedzi, ale wolę nie dopuszczać ich do mojego umysłu.

*Nie Ben. Nie mój Ben. Kochany, proszę, niech to nie będzie prawda.*

*Proszę, proszę, proszę. Dobry Boże, nie pozwól, żeby to była prawda, modlę się w myślach.*

Wiedziałam, że ma związek z jakimiś poważnymi wojskowymi sprawami, ale czegoś takiego się nie spodziewałam. Żałuję, że to usłyszałam. Chciałabym cofnąć się w czasie o sześć godzin i martwić się tylko tym, że będzie samotny pod moją nieobecność, bo teraz

martwię się o jego życie i nawet nie wiem, czy te nagrane bzdury to prawda.

Zaczynam rozglądać się w panice. Mam atak klaustrofobii, wrażenie, że samolot zamyka się wokół mnie. Muszę z niego wysiąść. Muszę natychmiast wysiąść z tego pierdolonego samolotu.

Nie mogę nic zrobić. Nie mogę do niego zadzwonić.

Zerkam na zegarek, sfrustrowana, bo zostało jeszcze dwadzieścia godzin podróży i jedna przesiadka.

*Ja pierdolę.*

*Czy to naprawdę się dzieje?*

To wszystko wydaje się bardzo dziwaczne. Ponownie wciskam „play”.

„Jesteś zameldowany w pokoju numer dwieście siedemdziesiąt osiem w Hyacie w Pradze”.

„Kiedy?”

„Dwudziestego ósmego. Ma spotkanie w ratuszu po drugiej stronie ulicy, wyjdzie z niego o dwudziestej. Wystawka, banalna robota”.

„To za trzy dni”.

„Broń będzie czekała w torbie w pokoju hotelowym, masz rezerwację na nazwisko Taylor. W pokoju znajdziesz też kluczyki do wynajętego samochodu”.

„Załatw to i możesz rozpocząć nowe życie, zakończysz służbę”.

„Czekałem na nowe życie wystarczająco długo, kurwa!”

„Dobra. Wylecę dziś w nocy. Nie zbliżajcie się, kurwa, do mojej dziewczyny”.

Powiedział o mnie, że jestem jego dziewczyną.

Przechodzi mnie nieoczekiwany dreszcz. Te słowa nie powinny aż tak wiele dla mnie znaczyć. Z irytacją wrzucam telefon do torebki. Oficjalnie mi odjebuje.

*Co się ze mną dzieje, do cholery?*

Kilka koszmarnych przesiadek i trzydzieści bezsennych godzin później wlokę się do lady obsługi na lotnisku. Myślałam przez cały lot, naprawdę cały, i jestem jeszcze bardziej zdezorientowana. Więcej – jestem totalnym wrakiem. Mogłabym zadzwonić do Bena i ostrzec go o ich planach, ale możliwe, że mają jego komórkę na podsłuchu. Wtedy sama znalazłabym się w niebezpieczeństwie, bo

widziałam twarze tych facetów. Kimkolwiek są. Ściągam brwi i myślę dalej. Gdybym musiała, może dałabym radę ich zidentyfikować. Muszę zapisać, jak wyglądali, zanim zapomnę.

Tak, właśnie tak postąpiłby mądry szpieg. Kupię notes i długopis w pierwszym sklepie.

Moje myśli przeskakują na Bena. Nie mogę zadzwonić.

Jedynymi osobami, które mogłyby wiedzieć, są Joshua i Brock. Mój brat jest na Malediwach, a Josh właśnie leci do Los Angeles, więc obaj nic nie działają.

Gapię się w przestrzeń, moje myśli zasuważą z prędkością światła.

Skoro nie mogę do niego zadzwonić, to nie mogę go ostrzec przed samochodem, przy którym ta dwójka majstrowała.

*Co jeśli rzeczywiście polecą do Pragi?*

*Co jeśli zginie?*

*O Boże...*

Powiedział im, że polecą. Czy dlatego mnie powiedział, że wyskoczy na kilka dni do Stanów? Okłamał mnie, żeby zakamuflować tę robotę?

*Kurwa!*

A co, jeśli zginie, a ja będę żyła ze świadomością, że mogłam go ostrzec, że mogłam temu zapobiec?

Wykręca mi żołądek, dostaję mdłości.

*Nie ma prawa umrzeć. Nie mogę na to pozwolić. Dopiero co do mnie wrócił.*

Ale czy ja w ogóle chcę go mieć przy sobie, gdy już wiem, czym się zajmuje? Kurwa, mam taki mętlik w głowie. Przeczesałam włosy dłońmi, pali mnie w brzuchu.

Co jeśli to jedna wielka ściema i po prostu robili sobie ze mnie jaja? Kogo ja oszukuję? Przecież nie wiedzieli, że mój pieprzony telefon ich nagra. Sama tego nie wiedziałam. Może mogłabym się dowiedzieć, czy ta rezerwacja jest prawdziwa?

Zastanawiam się przez chwilę i wpisuję w Google: „Park Hyatt Praga”.

Wyskakuje numer telefonu.

Namyślam się, stukając nerwowo stopą.

*Rusz szarymi komórkami, Bridget, obmyśl jakiś plan.*

Rozglądam się, rzucam okiem na tłum.

*Wiem!*

Klikam w numer, a po chwili odzywa się recepcjonistka.

– Dobry wieczór, z tej strony hotel Park Hyatt w Pradze, przy telefonie Desiree – mówi z wyraźnym akcentem.

*Cholera.*

Otwieram szerzej oczy.

– Dzień dobry. Zastanawiam się, czy może mi pani powiedzieć, czy mój mąż zameldował się już w hotelu. Mój lot się opóźnił, a nie chcę go budzić. Mówił, że może zamelduje się wcześniej – mówię, cała się krzywiąc. *Co ja wyprawiam, do cholery?* – Pokój numer dwieście siedemdziesiąt osiem. Nazwisko Taylor – dodaję.

– Oczywiście, chwileczkę. – Słyszę stukanie klawiatury. – Tak, mamy taką rezerwację, ale małżonek się jeszcze nie zjawił. Bardzo mi przykro.

Ścisną mnie w żołądku, przymykam oczy.

*Do jasnej cholery, Ben.*

Zakrywam usta dłonią, serce łomocze mi w piersi. Wyobrażam sobie, jak melduje się w tym hotelu, nie mając pojęcia, co go czeka.

*Co robić?! Myśl, szybko!*

– Zapomniał drugiego klucza, mogłaby pani zostawić na recepcji jeden dla mnie? – pytam z nadzieją w głosie.

– Tak, naturalnie. – Znowu słychać klawiaturę.

– Następnym! – woła dziewczyna w hali przylotów.

Patrzę, zaskoczona, bo kolejka przede mną jakimś cudem zniknęła.

*Cholera.*

– Dziękuję – odpowiadam dziewczynie przez telefon, rozłączam się i podchodzę do lady.

Obsługuje mnie śliczna blondyneczka i mam nadzieję, że ma dziś ochotę pomóc kobiecie w potrzebie.

– Jak się pani miewa? – pyta z uśmiechem.

– Dobrze – odpowiadam, również się uśmiechając, i podaję jej paszport. – Natomiast zaszła u mnie pewna zmiana planów.

Zerka na mnie znad monitora.

– Jak to?

- Muszę zmienić loty – stwierdzam z nadzieją w głosie.
- Oczywiście. Dokąd chce pani lecieć?
- Do Pragi.

## **Siedem godzin później**

- Może pan jechać szybciej, proszę?

Taksówkarz patrzy na mnie pochmurnie w tylnym lusterku.

- Szybciej – powtarzam wyraźnie i wykonuję gest, mający pokazać, o co mi chodzi.

Kiwa głową i dodaje gazu.

Jest dziewiętnasta, to właśnie dziś Ben ma zrobić to... co ma zrobić.

Nie jestem pewna, czy zdążę. Jestem natomiast pewna, że istnieją trzy rzeczy, których nigdy, przenigdy nie należy robić w swoim życiu.

Po pierwsze, przebukowywać lotów w ostatniej chwili i latać z Sydney do Pragi, bo nie ma bezpośredniego połączenia. Miałam dwie przesiadki, w Bangkoku i w Wiedniu. Nie leżałam w łóżku od trzydziestu dwóch godzin. Zaraz zacznę majaczyć, nie wspominając o tym, że moja nerwowość osiąga nienotowane wcześniej poziomy.

Po drugie, w toku wspomnianego wyżej lotu nie należy usadawiać się obok osobnika, którego ciało wydziela odór trolla. Dodajmy do tego, że nie spałaś trzydzieści dwie godziny i musiałaś skonsumować trzy drinki, żeby jakoś zablokować ten aromat, ale ostatecznie i tak wyszłaś na jędzę, bo w końcu poprosiłaś go, żeby poszedł się spsikać dezodorantem. Teraz facet mnie nienawidzi, ale nie mam z tym problemu.

*Ja mam czyste sumienie, brudny śmierdzielu.*

Po trzecie, nie należy posiadać telefonu nagrywającego przypadkowe pierdoły. Pierdoły, których nie powinny słyszeć osoby postronne.

Byłam cała w skowronkach, pilnowałam swoich malutkich spraw, a potem usłyszałam rozmowę, co do której realności nadal mam wątpliwości i jeśli się okaże, że wybrałam się w tę podróż z piekła rodem na darmo, to życiu Bena naprawdę zagrozi niebezpieczeństwo



– z mojej strony. Nie będę się cackała z żadnymi samochodami pułapkami. Po prostu wsadzę mu kulkę między oczy.

Jedziemy ulicami Pragi, moje serce bije szybciej. Jest ciemno, nic nie widzę, choć i tak na niczym nie potrafię się skupić.

*Co jeśli dotrę do hotelu i nie zastanę go w pokoju? Co jeśli czekają tam na niego ci dwaj faceci?*

Otwieram szerzej oczy.

*Co jeśli Ben już nie żyje?*

Nikt nie wie, że tu jestem. Pracuję jako agentka w biurze podróży i doskonale wiem, że nie należy tak postępować, że popełniam jedną głupotę za drugą.

Samochód zwalnia i wjeżdża na okrężny podjazd.

– Proszę, panienko. – Kierowca uśmiecha się ze swojego fotela.

– Och, dziękuję – szepczę i krew odpływa mi z twarzy.

Patrzę przez okno na hotel, który wygląda całkiem bezpiecznie. Szkoda, że taki nie jest.

*Co ja wyprawiam, do cholery?*

Nerwowo podaję taksówkarzowi kartę kredytową, on przeciąga nią przez czytnik, a potem wyciąga z bagażnika moje bagaże.

Wita mnie konsjerż.

– Mogę wziąć bagaże, proszę pani?

– Eee... – Nie chcę, żeby bagaże dotarły do hotelu przede mną. – Nie, dziękuję, nie trzeba. – Zaciskam dłonie na uchwytach walizek nieco mocniej i zmierzam do recepcji.

*Zachowaj spokój. Zachowaj spokój. Zachowaj pierdolony spokój.*

Uśmiecham się do dwóch recepcjonistek.

– Dzień dobry, mogłabym zabrać drugi klucz do mojego pokoju? Dzwoniłam wcześniej w tej sprawie – mówię z walącym w piersi sercem.

– Który numer pokoju, proszę pani?

– Dwieście siedemdziesiąt osiem, na nazwisko Taylor.

Kobieta wpisuje coś do komputera i czeka na wyniki. Uśmiecha się i przygotowuje drugi klucz.

Czuję ulgę.

– Szóste piętro, po prawej. – Uśmiecha się, podając mi klucz.

– Dziękuję.

Przemierzam lobby w drodze do windy i czekam na nią, rozglądając się nerwowo.

*Są tutaj? Obserwują mnie?*

*Dobry Boże, proszę cię, spraw, żeby to wszystko dobrze poszło, bo nie mam szczególnej ochoty dziś umierać.*

Z nerwów obficie się pocę.

Docieram do pokoju, zatrzymuję się przed drzwiami, podłączam słuchawki do telefonu i przygotowuję nagrywanie.

Może naoglądałam się za dużo *NCIS*<sup>2</sup>, ale obmyśliłam plan. Szlifuję go od wielu godzin. Unoszę klucz, biorę głęboki wdech i przesuwam nim przez czytnik.

Drzwi od razu się otwierają.

Ben stoi przy oknie.

Od razu przykładam palec do ust, dając mu w ten sposób znak, żeby się nie odzywał.

– Co ty tu robisz?! – warczy.

– Obsługa! – wołam głośno i z akcentem, na wypadek gdyby pokój był na podsłuchu. Niech myślą, że weszła pokojówka.

Ben aż krzywi się ze złości. Podbiegam do niego z palcem przy wargach, pospiesznie wkładam mu słuchawkę w ucho i puszczam nagranie.

Chce ją sobie wyrwać, ale energicznie kręcę głową.

– Słuchaj... – przekazuję mu bezgłośnie.

Słucha, a potem się marszczy. Kręci głową, naciska „play” ponownie, odsłuchuje całość drugi raz.

– Co? – pyta bezdźwięcznie.

Ale ja tylko nerwowo wzruszam ramionami i kręcę głową.

Stoi nieruchomo, jak wryty, i słucha jeszcze raz.

– Mógłby pan wyjść ze mną na korytarz po ręczniki z wózka? – pytam.

– Tak, naturalnie – odpowiada wyraźnie.

Wychodzimy, po czym od razu łapie mnie za rękę i odciąga w głąb korytarza.

– Co ty tu, kurwa, robisz?! – szepcze wściekle.

– Ratuję ci życie i nie ma za co, tak przy okazji! – odpowiadam, wrywając się z jego uścisku.

– Przestań mi wciskać te bzdury. – Wciąga mnie do toalety przy windach i zamyka drzwi na zamek. – Jak to zdobyłaś?

– Mój... Mój telefon nagrywa przypadkowe rzeczy, pamiętasz? – wypalam. – Nie wiedziałam, co robić. Tak się bałam. Zabiją cię.

Słucha nagrania ponownie i kręci głową, a potem wybiera jakiś numer na własnej komórce.

Połączenie zostaje odebrane już po pierwszym sygnale.

– Tutaj Buzz 11046 – mówi bezbarwnym tonem.

Stoję i słucham w ciszy, choć mam wrażenie, że zaraz dostanę zawału. Kładę dłoń na sercu, próbując uspokoić je siłą woli.

– Jak mogę pomóc? – odpowiada głęboki męski głos.

Bardzo wyraźnie słyszę, co mówi mężczyzna po drugiej stronie linii.

– Złamanie systemu bezpieczeństwa.

– Kto? – warczy męski głos.

– 1702 i 9067.

– Dowód?

Ben mruży oczy i kręci głową, patrząc na mnie ze złością.

– Nagranie na... – cedzi.

*Boże, jaki on jest wściekły.*

– Nagranie na...? – powtarza za nim męski głos.

Unosi moją komórkę i odtwarza nagranie, mężczyzna po drugiej stronie słucha w milczeniu.

Ja też słucham, wstrzymując oddech.

*Czy to gliny? Ben zadzwonił na policję?*

*Z kim rozmawia?*

*Przyjadą nas uratować? Jesteśmy w niebezpieczeństwie?*

*Cholera, ale się dzieje.*

Przykładam dłoń do serca. Może jednak nieco zwolni, bo za chwilę będę potrzebowała karetki.

– Zaczekaj chwilę – mówi głos. – Trwa lokalizacja aktualnego położenia wymienionych agentów.

Wybałuszam oczy.

Oboje słuchamy stukania klawiatury.

– Obaj są w Pradze – rozbrzmiewa w końcu odpowiedź.

Ben zaciska zęby ze złością i pyta:

– Zgoda na zlikwidowanie zagrożenia?

*O. Mój. Kurwa. Boże.*

# Rozdział 11

## Bridget

– Odmawiam – odpowiada gwałtownie głos. – Zabezpiecz miejsce pobytu do czasu, aż ustalimy ich dokładne położenie. Muszę się skonsultować z kimś na wyższym szczeblu.

Ben patrzy z irytacją w sufit.

– Ile to zajmie?

– Będziemy mieli dokładną lokalizację i odpowiedź w ciągu dziewięćdziesięciu minut – odpowiada głos.

*Dziewięćdziesiąt minut. Dziewięćdziesiąt? Przecież to półtorej godziny.*

Zasłaniam usta dłońmi w przerażeniu i próbuję unormować oddech.

– Znajdźcie ich albo sam to zrobię – warczy Ben i się rozłącza.

– I co teraz? – szeptam, podnosząc na niego wzrok.

Nie odpowiada, jego czoło przecina głęboka bruzda.

– Ben, co teraz?

– Myślę – szceka.

Panicznie przeczesuję włosy dłonią.

– O Boże... – szepczę pod nosem.

– Bridget, na chuj tu, kurwa, przyleciałaś? – cedzi wściekle.

Kręcę głową, ponieważ cała logika nagle mi umknęła i sama się nad tym zastanawiam.

– Pytam naprawdę poważnie – dodaje.

– Ben, oni chcieli cię zabić – wyjaśniam cicho. – Więc co niby miałam, kurwa, robić?

– Zadzwoń. Zadzwoń, kurwa. A nie narażać się na takie niebezpieczeństwo.

– Pomyślałam, że mogą mieć pluskwę w twojej komórce, więc i tak bym się narażyła – wypalam, spanikowana.

Kręci głową i zastanawia się przez chwilę.

– W tej chwili obserwują mnie, nie ciebie. Nie wiedzą, że tu jesteś... Jeszcze... – Ściąga brwi, myśli intensywnie. – Chyba że już nas zauważyli. – Zerka na zegarek. – Jest dziewiętnasta trzydzieści pięć, więc jeszcze nie wiedzą, że ich plan nie wypali. Dowiedzą się dopiero po dwudziestej. – Zastanawia się, przesuwając dłonią po dwudniowym zaroście. – Wracamy do pokoju.

– Co takiego? – dziwię się.

– Wrócimy do pokoju, zbierzesz swoje kłamoty i udasz się do tego hotelu. – Przesuwa kilka razy palcem po ekranie komórki i pokazuje mi hotel. – Jedź do Mayfair on Ridge, mam tam rezerwację na nazwisko Jones.

Wyciąga portfel, a z niego kartę kredytową, z której odczytuje nazwisko: „Marcus Jones”.

– Zatrzymałeś się tam? – pytam, robiąc zdjęcie ekranu jego telefonu własną komórką.

– Nie, ale zawsze bukuję drugi hotel na nagłe wypadki. Będziesz potrzebowała tej karty, żeby się zameldować.

Krew odpływa mi z twarzy.

– To nagły wypadek?!

Patrzy na mnie z kamienną miną.

– Można tak powiedzieć.

– Tak, okej, okej... – bełkoczę, kiwając gorączkowo głową. – A potem co?

– Zaczekasz tam.

– Dlaczego? – pytam, wytrzeszczając oczy. – A co ty będziesz robił?

– Zostanę tu jako przynęta.

– Co takiego?!

Otwiera zamasyżycie drzwi i wyprowadza mnie na korytarz. Muszę podbiegać, żeby za nim nadążyć.

– Nie, nie chcę, żebyś tu został – szepczę, maszerując w stronę pokoju. – Jedź ze mną. – Łapię go za rękę. – Ben, musisz jechać ze mną.

Zatrzymuje się nagle.

– Zrobisz, co ci każę, i natychmiast pojedziesz bezpiecznie do tego hotelu – cedzi.

– A co się z tobą stanie?

– Nic. Dam sobie radę. Dotrę tam, gdy będę mógł.

– Czyli kiedy?

– Nie jestem pewien. Jeżeli zauważysz, że ktoś śledzi twoją taksówkę, poproś kierowcę, żeby zabrał cię na najbliższy komisariat policji, wpadnij tam głównymi drzwiami i napluj w twarz pierwszemu napotkanemu policjantowi.

– Słucham?

– Zaaresztują cię i do jutra będziesz w pełni bezpieczna. Wyciągnę cię stamtąd.

– O Boże, ja pierdolę... – szepczę, rozmasowując skronie palcami.

*To jakiś wariacki sen.*

Docieramy do pokoju i Ben łapie mnie za rękę, ścisza ją mocno w milczącym pożegnaniu.

Naprawdę nie mam bladego pojęcia, co będzie dalej.

Otwiera drzwi szybkim ruchem.

– I jeszcze minibarek jest pusty, mogłaby go pani uzupełnić? – mówi głośno i wyraźnie.

– Oczywiście, proszę pana – odpowiadam ze zmyślonym akcentem.

Otwiera lodówkę i zaczyna stukać głośno buteleczkami dla odwrócenia uwagi, wchodzi do łazienki i włącza prysznic, a potem wraca do pokoju.

Podnoszę walizkę najciszej, jak umiem. Patrzymy na siebie z Benem ostatni raz, po czym wychodzę i cichutko zamykam za sobą drzwi.

*Ja pierdolę. A co, jeśli oni tu są? Co wtedy zrobię?*

*Kopniesz ich w jajca.*

*Okej, to potrafię.*

Podchodzę do windy, trzykrotnie wciskam guzik i rozglądam się, spłoszona. Czekam na windę całą wieczność.

*Proszę, proszę. No przyjeżdżaj, przyjeżdżaj.*

Rozglądam się po pustym korytarzu. Kwas z palącego żołądka podchodzi mi do gardła.

*Boże, nie chcę go tu zostawiać.*

*Durny zjeb. Jakim cudem wlaźł w takie gównno?! Zabiję go własnoręcznie, jak tylko dotrze do tego hotelu.*

Dzwonek obwieszcza zjawienie się windy, drzwi rozsuwają się powoli. Zauważam z ulgą, że jest wypełniona ludźmi. Dzięki Bogu, wszyscy wyglądają na normalnych.

Zjeżdżamy na parter w grobowej ciszy, lecz mnie serce łomocze w piersi. Na dole przemierzam szybko foyer i wychodzę na okrężny podjazd.

– Taksówkę? – pyta konsjerż z uśmiechem.

– Poproszę.

Wychodzi na jezdnię i podnosi rękę, a taksówka podejżdża natychmiast.

Kierowca wysiada, chowa moją walizkę do bagażnika, a ja siadam, skulona, na tylnej kanapie.

– Gdzie jedziemy? – pyta, wskakując za kierownicę.

– Och... – Pośpiesznie szukam w telefonie właściwego zdjęcia. – Mayfair on Ridge.

Kiwa głową, zawraca i włącza się do ruchu.

Siedzę z tyłu, w ciemności. Nie wiem, czy przeżyję tę podróż. Serce wali cholernie mocno. Obracam się i patrzę przez tylną szybę, jak hotel znika za nami.

Oczy zachodzą mi łzami.

*Zobaczę go jeszcze?*

Nogi aż mi podskakują, próbuję opanować nerwy. Rozglądam się niespokojnie, wszędzie dookoła roi się od samochodów.

*Skąd niby mam wiedzieć, czy ktoś mnie śledzi, do jasnej cholery?*

Przez moją głowę przemykają słowa Bena: „Napłuj w twarz pierwszemu napotkanemu policjantowi. Zaaresztują cię i do jutra będziesz w pełni bezpieczna. Wyciągnę cię stamtąd”.

Słabo mi. Nawet nie wiem, czy potrafię kogoś opluć. Przecież nigdy nie ćwiczyłam plucia w twarz drugiemu człowiekowi.

Kręcę głową z niedowierzaniem. Nie wymyśliłabym takiego pierdolnika, nawet gdybym próbowała. Ponownie patrzę przez tylną szybę i zauważam, że tym razem jadą za nami inne samochody.



Żaden niczym się nie wyróżnia, choć nie powiem, bym widziała je dokładnie.

Składam ręce na wysokości ust, jak do modlitwy, i myślę. Będę mogła się zorientować, czy ktoś nas śledzi, gdy już dotrzemy pod hotel.

*Co mam robić, jeśli okaże się, że tak? Wskoczyć z powrotem do taksówki i zażądać kursu na posterunek policji?*

*Tak.*

Kiwam głową, jakbym chciała podnieść się na duchu.

*Napluć w twarz, tyle wystarczy. W areszcie jest bezpiecznie.*

Marszczę czoło, gdy dociera do mnie, jak niedorzeczna jest ta teza.

*Ja pierdołę, w areszcie wcale nie jest bezpiecznie. Tam też ktoś może mnie zamordować.*

*Kurczę, co za kurewska katastrofa.*

Taryfa wjeżdża na okazały okrężny podjazd eleganckiego hotelu.

Siedzę z tyłu i zerkam przez okna, podczas gdy kierowca wyciąga moje bagaże. Nie widzę niczego podejrzanego.

*Cholera. Wysiadać?*

Patrzę w lewo, patrzę w prawo.

Żaden samochód za nami nie zjechał, a na głównej drodze panuje zbyt duży ruch, by ktokolwiek mógł się tam zatrzymać. Chyba czysto.

Wysiadam więc, płacę, wchodzę do foyer i idę prosto do recepcji. Rozglądam się jak wariatka, wypatruję czegokolwiek niecodziennego. Patrzę na zegarek – jest dziewiętnasta pięćdziesiąt.

*O, nie. Już za dziesięć minut zorientują się, że ich plan nie wypalił.*

– Dobry wieczór – wita mnie z uśmiechem recepcjonistka.

– Dobry wieczór. – Wyciągam kartę, którą dostałam od Bena, i przesuwam ją po ladzie w stronę kobiety. – Mam rezerwację na nazwisko Jones.

– Oczywiście. – Uśmiecha się i wstukuje coś na klawiaturze.

Ja tymczasem rozglądam się po szpanerskim wnętrzu.

*Ile kosztuje noc w tym miejscu?*

Kobieta przygotowuje klucz i wręcza mi go.

– Pokój numer dwieście czterdzieści sześć na czwartym piętrze.

– Dziękuję. Za jakiś czas dojedzie mój mąż, odbierze sobie drugi klucz.

– Dobrze, dziękuję za informację, zanotuję sobie.

Idę do windy, wjeżdżam na czwarte piętro i ruszam szerokim korytarzem.

*Ależ tu luksusowo, to miejsce jest nie z tego świata.*

Docieram do pokoju, przesuwam kartą kluczem przez czytnik, wchodzę do środka i od razu zamykam się na zamek.

*Dzięki Bogu. Udało się.*

Przez kilka chwil stoję z plecami opartymi o drzwi, przepełniona ulgą i wdzięcznością, że dotarłam tu cała. Próbuję złapać oddech. Mam wrażenie, że wstrzymywałam go od kilku godzin. Biorę się w garść i rozglądam.

Pokój jest wielki, biały, bardzo elegancki. Zasłony z granatowego aksamitu sięgają samej podłogi – pasują barwą do pościeli. Podobnie jak do dwóch bujanych foteli i otoman przy kominku.

Łazienka również jest cała biała, z mosiężnymi wykończeniami, a w ogromnej kabinie prysznicowej wisi potrójna deszczownica. Ściana po lewej to jedno wielkie lustro – od podłogi po sam sufit. Na okrągłym mahoniowym stolyczku stoi kompozycja ze świeżych kwiatów.

*Wow, ale tu bajerancko.*

Podchodzę do okna i odsuwam zasłonę, chcąc spojrzeć na intensywny ruch w dole, ale widzę głównie ciemność.

*Co się teraz dzieje w drugim hotelu?*

Wyobrażam sobie Bena walczącego z dwoma mężczyznami, ale potrząsam głową, by odegnać tę wizję.

*Przestań, nic mu nie będzie.*

Podchodzę do drzwi, by jeszcze raz sprawdzić zamek, a potem wracam do łazienki. Pilnie potrzebuję prysznic. W gruncie rzeczy jeszcze pilniej potrzebny mi sen, ale w najbliższej przyszłości się go nie spodziewam.

Gorący prysznic, gorący posiłek i będę jak nowa.

## Ben

Jest punkt dwudziesta, a ja stoję przy oknie i obserwuję z góry ulicę, czekając, aż pojawi się John Steele.

*Dlaczego chcą jego śmierci?*

Mnie chcą zabić, żeby zatrzeć wszelkie ślady własnego związku z tą sprawą. Czyli to zlecenie nie zostało zatwierdzone przez górę.

*Kim jest i dlaczego postanowili go zabić?*

Wyciągam komórkę i wpisuję w wyszukiwarce: „John Steele, dyplomata amerykański”, po czym czekam, aż strona się załaduje.

Pojawia się zdjęcie, któremu dokładnie się przyglądam.

Ciemne włosy, około trzydziestu pięciu lat, nieźle wygląda.

Klikam odnośnik do Wikipedii:

**John Steele, lat 37, to amerykański dyplomata posługujący się pięcioma językami. Kształcił się na Harvardzie, gdzie ukończył inżynierię, fizykę oraz biochemię.**

Czytam z uwagą.

Dyplomata i naukowiec? Dziwne połączenie. Dyplomaci są zazwyczaj po naukach politycznych.

Moje dociekania przerywa sam pan Steele, który pojawia się w asyście dwóch ochroniarzy.

Obserwuję ich z okna.

*Dlaczego otacza się taką ochroną?*

Wsiada do czarnej limuzyny, przed i za którą czekają samochody ochrony.

Przyglądam się, jak powoli odjeżdżają, a potem patrzę na okoliczne budynki i krew się we mnie gotuje.

Gdyby Bridget mnie nie powstrzymała, zatańczyłbym do ich melodii. Nie miałem powodów do zakwestionowania ich motywacji i rozkazów.

Teraz już wiedzą, że ich plan nie wypalił.

Zerkam na zegarek – dwadzieścia po ósmej.

Didge powinna już być bezpieczna.

Ja pierdołę, nie mogę znieść myśli, że tu jest, upaprana tym gównem. Spełnia się mój najgorszy jebany koszmar.

Piszę do nich, udaję niewiniątko.

**Nie miałem możliwości strzału. Zabezpieczyć następną lokalizację, żebym mógł dokończyć misję.**

*Muszę się stąd wynosić.*

Chowam pistolet pod marynarkę i biorę torbę z karabinem.

Najpierw muszę się tego pozbyć. Wychodzę na korytarz i wrzucam torbę do zsypu na pranie. Wracam do pokoju, zabieram walizki i schodzę do recepcji. Rozglądam się czujnie za ludźmi, którzy mnie zwiedli. Wychodzę na zewnątrz i pakuję walizki do bagażnika taksówki.

– Może pan zawieźć moje walizki do Mayfair on Ridge i poprosić, żeby przechowali je na recepcji do mojego przyjazdu? – pytam spokojnie.

– Tak, oczywiście.

Wręczam mu sto euro.

– Nie wracaj tu dziś wieczorem i nie mów nikomu, że ci o tym powiedziałem.

Kierowca uśmiecha się szeroko, zadowolony z sutego napiwku.

– Dobrze, proszę pana.

Odjeżdża pośpiesznie, jakby się bał, że się rozmyślę.

Wracam do hotelu i z najwyższym trudem hamuję gniew. Mogłem już nie żyć. Skurwiele mi za to zapłacą.

Wsiadam do windy i zjeżdżam na parking.

Powinni tam czekać, aż wsiądę do samochodu i odjadę. Ciekawe... Planowali za mną podążyć i dobić mnie na miejscu kraksy?

Furia we mnie buzuje.

*Zobaczmy, kto tu kogo wykończy.*

Zjeżdżam dwa poziomy niżej, niż się spodziewają, i wychodzę na zaciemniony parking. Idę za ostatnim rzędem zaparkowanych samochodów, trzymając rękę na pistolecie pod marynarką. Wchodzę rampą na poziom, na którym miał czekać na mnie wóz.

Omiotam parking wzrokiem, szukam zdrajców.

Słyszę podwójne piknięcie otwierającego się w oddali samochodu, przywieram do filaru, serce zaczyna mi mocniej bić.

Pojawia się młoda parka, trzymająca się za ręce. Śmieją się, są pogrążeni w rozmowie. Wsiadają do samochodu i odjeżdżają.

Zaciskam dłoń na rękojeści pistoletu i wchodzę rampą na kolejny poziom. Nie jestem pewien, gdzie stoi samochód, ale wiem, że na tym poziomie. Zakładam, że skoro czeka już jakiś czas, to będzie bliżej wind. Zatapiam się w ciemności pod tylną ścianą parkingu i obserwuję.

Jest.

Czarny SUV.

Zazwyczaj wynajmujemy właśnie takie auta. Blachy: HC 6000.

Przyczajam się w mroku za filarem i czekam. Mija dziesięć minut, w końcu przyjeżdża samochód, z którego wysiadają obaj.

Obserwuję ich z bronią w gotowości.

Rozglądają się, jakby mnie szukali, i kusi mnie, żeby wyskoczyć z kryjówki, a potem rozwalić obu tych chujków na miejscu.

*Nie masz jeszcze zgody* – napominam się w duchu.

Zaciskam dłoń, korci mnie, by pociągnąć za spust.

Jeden z nich wyciąga długi nóż i rozcina opony.

Co?

*Co on wyprawia?*

Przyglądam się, jak masakruje wszystkie cztery opony. Samochód nie nadaje się już do jazdy.

Obaj wracają do swojego auta i opuszczają parking.

*Co tu się wyprawia, do cholery?*

Gapię się w ciemność i myślę.

Nie zależy im na mojej śmierci. Przede wszystkim chcą dorwać tego Steele'a. Chcą utrzymać mnie przy życiu, dopóki nie skończę roboty.

*Kurwa mać, kim jest Jason Steele?*

## Bridget

Wykręcam dłonie z nerwów i miotam się po pokoju. Jestem tu już trzy godziny, a Ben nadal się nie pojawił.

*Gdzie on się, kurde, podziewa?*

Słyszę z oddali policyjne syreny, więc podbiegam do okna i zamaszystym ruchem odsuwam zasłonę.

*Co się dzieje? To on? Stało się coś tam w dole, na ulicy?*

Dobry Boże, moje serce tego nie zniesie.

Dzwoni moja komórka, a ja podskakuję, wystraszona, po czym sięgam po nią rozedrganymi rękami.

Na ekranie ukazuje mi się imię „Eric”.

Cholera. Noż do kurwy nędzy, już nie miał kiedy do mnie oddzwonić. Przecież nie będę się z nim teraz użerała. Z drugiej strony wyobrażam go sobie po drugiej stronie linii, jak próbuje się do mnie dobić, i dopadają mnie wyrzuty sumienia.

Odbieram bez dalszych dywagacji.

– Halo?

– Cześć, Bridget.

Na linii zapada cisza.

Gapię się w dywan, bo nie mam pojęcia, co mu powiedzieć. Jestem w obcym kraju i czekam na innego mężczyznę, który prawdopodobnie jest kryminalistą i leży już martwy w hotelu, w którym zameldował się pod fałszywym nazwiskiem.

Świat Erica chyba nie mógłby znajdować się dalej.

Kogo ja oszukuję? To nie powinien być niczyj świat, a już na pewno nie mój.

– Tęsknię za tobą... – szepcze.

Zamykam oczy z poczucia winy. Gdy widzieliśmy się ostatnio, udawaliśmy uprzejmych i nie rozmawialiśmy o niczym konkretnym, ale teraz trzeba to już wyjaśnić.

– Eric, posłuchaj... – zawieszam głos, by mieć chwilę na właściwe dobranie słów. – Przykro mi z powodu tej bójki i przykro mi, że tak wyszło – ciągnę, a on milczy. – Nie chciałam tego wszystkiego.

Przepełnia mnie smutek, bo to ja go na to naraziłam. Zasługuje na znacznie lepszą dziewczynę, ja byłam gówniana. Od zerwania nawet o nim nie myślałam, bo tak bardzo skupiłam się na Benie.

I w tym właśnie momencie Ben wpada przez drzwi. Jest wściekły.

– Muszę kończyć.

– Z kim rozmawiasz?! – krzyczy.

Zakrywam głośnik dłonią i kręcę głową.

– Do widzenia. – Rozłączam się. – Jaja sobie robisz?! – krzyczę na Bena. – Gdzieś ty był?! Zamartwiałam się na śmierć!

Wpada do łazienki i zatrzaskuje drzwi.

*Co jest?*

Nie wierzę w to. Wparowuję tam za nim.

– Ben, co się, kurwa, dzieje?!

– Nic. Wyjdź.

Oczy prawie wypadają mi z orbit.

– Nie wyjdę, dopóki mi nie powiesz, co się dzieje.

Nachyla się i włącza prysznic.

– Jesteś kretynką. Tyle się dzieje.

Szczeka mi opada.

– Za kogo ty się uważasz, do cholery? Dopiero co ocaliłam ci życie i tak mi dziękujesz?!

Stawia krok w moją stronę.

– Nie, dopiero co naraziłaś własne, nie myśląc o konsekwencjach... To życie, które starałem się chronić przez te wszystkie lata! – wydziera się na mnie.

– Przestań dramatyzować. Zabijasz ludzi? Na tym polega twoja...  
– pokazuję palcami cudzośćłów – ... praca?

– Wynocha! – wrzeszczy.

– Nie. Nigdzie nie idę. Ben, na czym polega twoja praca, do chuja?

Moja komórka znowu dzwoni.

– Z kim ty, kurwa, rozmawiałaś? – warczy, wchodząc pod prysznic, po czym namydla ciało. Całkowicie ignoruje moje pytanie.

– Czyżbyś zmywał krew z rąk? – pytam z przekąsem.

Patrzy na mnie lodowatym wzrokiem, od którego nieznacznie kurczę się w sobie, ale zadzieram buntowniczo podbródek.

– Nie boję się ciebie, Ben.

– Wynocha... – powtarza bezgłośnie.

Moje oczy zachodzą łzami, nie mogę w to uwierzyć.

– A więc to dlatego, co? – wyrzucam z siebie, żywo gestykułując. – Dlatego mnie zostawiłeś? – szepczę, wykrzywiając twarz. – Wolałeś zabijać, niż być przeze mnie kochanym?

Mina mu rzednie, spuszcza głowę, zawstydzony.

Zabolało go, ale nie dbam o to. Łzy spływają mi po policzkach.

– Nie płacz... – szepcze. – Nie płacz... proszę cię.  
– Nie płacz?! – wrzeszczę, tracąc nad sobą kontrolę. – Ben, nie mogę z tobą być. Nie mogę być z człowiekiem, który robi takie rzeczy.

Kręci głową.

Pomieszczenie wypełnia para.

– Nie... Bridget, nie odchodź. – Ponownie kręci głową, lecz tym razem w jego geście widać panikę. – Nie zostawiaj mnie. Kocham cię.

Odsuwam się.

To zbyt wiele. Muszę się stąd wydostać.

Czy w ogóle jestem przy nim bezpieczna?

– Mówiłaś, że mnie kochasz... – mruczy, patrząc mi w oczy.

Słyszę jedynie wodę wpływającą w odpływ.

Patrzę na niego przez chwilę, a potem wyszeptuję przygnębiającą prawdę:

– Ja cię nawet nie znam.



# Rozdział 12

## Bridget

Odwracam się i wbiegam do sypialni. Zaczynam zbierać walizki i pakować swoje rzeczy.

*Pierdolę to.*

Nie wiem, dokąd pójde, ale muszę od niego uciec.

*Nie wierzę w to, kurwa.*

Nikt inny nie potrafi mnie tak zranić.

Słyszę, że wyłączył prysznic, i nagle ogarnia mnie panika. Nie wypuści mnie. Muszę uciekać. Szybko!

Rozglądam się, upewniam się pośpiesznie, że zabrałam wszystko, co ważne, otwieram drzwi i wybiegam na korytarz. Kieruję się w stronę windy.

Drzwi za mną się otwierają.

– Bridget! – warczy ostro.

Przyspieszam, wykrzywiając twarz z wysiłku. Ledwo widzę przez łązy.

*Boże, proszę, niech ten koszmar się skończy.*

Ben mnie goni i gdy dobiegam do windy, łapie mnie i obejmuje mocno.

– Puść mnie! – krzyczę, waląc go pięściami w tors.

– Nie mogę – szepcze mi we włosy, mocno mnie trzymając. – Kocham cię. Pozwól mi wyjaśnić, proszę. Wróć do pokoju i pozwól mi wyjaśnić.

– Zostaw mnie! – szlocham, a raczej wyję w jego pierś, bo ten szloch wstrząsa całym moim ciałem. *Jak to możliwe, że jest takim człowiekiem? Jak mogę być zakochana w takim człowieku?* – Nie dasz rady tego wyjaśnić, Ben – szepczę. – Nie jesteś w stanie powiedzieć nic, co mnie przekona.

Patrzy mi w oczy, odgarnia włosy z mojej twarzy i próbuje wymyślić najwłaściwsze w tej sytuacji słowa.

– Daj mi godzinę. Oboje nie spaliśmy ponad dobę. Sama nocą nie będziesz tu bezpieczna.

*Co? Jest niebezpiecznie? Ja pierdolę, co za pojebana sytuacja.*

Zerkam na korytarz, w stronę naszego pokoju. Chcę usłyszeć wyjaśnienie, choć wiem, że ono już nic nie zmieni. Lecz jeśli nie dostanę odpowiedzi teraz, to może nie dostanę ich już nigdy i jestem pewna, że w przyszłości będę tego żałowała. Wrócę do pokoju, ale tylko ze względu na bezpieczeństwo. Walić Bena. Nie jest już w stanie nic mi wyjaśnić.

– Dobra. Masz godzinę, potem wychodzę.

Wracam do pokoju, a on idzie obok w tym samym tempie. Dopiero teraz zauważam, że ma na sobie tylko biały ręcznik zawiązany w pasie i nadal ocieka wodą.

– Gdzie masz ubrania? – burczę na niego.

– W łazience, na podłodze.

Przewracam oczami – włącza mi się standardowa zmęczeniowa żółzowatość.

Gdy docieramy pod drzwi, Ben drapie się po głowie.

– Otwieraj – mówię.

– Nie mam klucza. – Naciska kłamkę, ale jest zamknięte.

Patrzę na niego z mordem w oczach.

– Zatrzasnąłeś drzwi, nie mając klucza?

Unosi brew, ma bardzo poważną minę.

– Byłem zajęty.

– Co z ciebie za szpieg? Pierdolony Maxwell Smart<sup>3</sup>?

Przez jego twarz przemyka cień uśmiechu.

– Nie waż się myśleć, że to zabawne, bo skończysz na dole klatki schodowej ze złamanym karkiem – warczę, wskazując na niego palcem. – Nie żartuję, Ben.

Unosi dłonie w geście kapitulacji.

– Znajdę klucz i sugeruję, żebyś potem coś zjadła i się zdrzemnęła, bo musisz się uspokoić.

Rozgląda się po korytarzu i myśli, a ja mierzę go wzrokiem spod przymrużonych powiek.

– Nie. Jedyne, co muszę, to zakochać się w kimś, kurwa, normalnym.

Przygryza dolną wargę, żeby nie parsknąć.

Cholera. Właśnie przyznałam, że jestem w nim zakochana.

*Zamknij się, zamknij się, zamknij się.*

– Za godzinę wychodzę. Stój tak sobie dalej i odstawiaj swój słodki numer z ręcznikiem, ale zegar tyka, palancie.

Tym razem nie wytrzymuje i na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

Podciągam walizkę pod same drzwi i siadam na niej.

– Pospiesz się. Idź szukać cholernego klucza – warczę, krzyżując ręce na piersi. – Jak nie wrócisz za dziesięć minut, spadam stąd.

– Dobra.

Wzdycha ciężko, mierząc wzrokiem samego siebie, a ja muszę przygryźć policzek, żeby nie parsknąć. Gdybym była miłą osobą, sama bym poszła po ten klucz. Szkoda, że nie jestem.

– No na co czekasz? Jazda! – szczekam na niego i obserwuję, jak kroczy korytarzem w samym ręczniku.

*Głupi fiut.*

Chwilę później wraca z kluczem i otwiera drzwi.

Wchodzę do środka, a on wnosi moją walizkę, po czym zamyka za nami.

Siadam na łóżku i znowu krzyżuję ramiona. Bulgocze we mnie złość.

– Więc, Ben... – zaczynam ze sztucznym uśmieszkiem. – Wyjaśnij mi, proszę, co się dziś, do cholery, stało.

Bierze głęboki wdech i zaczyna spacerować przy nogach łóżka.

Czekam, aż zbierze się w sobie.

W końcu odpowiada:

– Pracuję dla WNZ.

*Hę? Momencik... Że jak?*

Gapię się na niego przez chwilę. Jestem tak zmęczona, że trudno mi się skupić na tym, co mówi.

– Wu co? – pytam.

– Wywiad Narodów Zjednoczonych.  
– Pracujesz dla rządu? – dopytuję, ściągając brwi.  
Ostrożnie kiwa głową.  
– Działam w Elitarnym Zespole Sił Specjalnych.  
– Co? – pytam z krzywą miną. – Zespole? A ile osób liczy ten zespół?  
– Dwadzieścia cztery.  
Łapię się za nasadę nosa. Niewiarygodne, kurwa jego pierdolona mać.  
– I co robisz dla WNZ?  
Patrzy mi w oczy i cały się napina, jakby przygotowywał się na moją reakcję.  
– Rozprawiam się z zagrożeniami dla bezpieczeństwa narodowego.  
Unoszę brew.  
– Czyli zabijaniem ludzi?  
– Tak.  
– Wow – wyduszam, piorunując go wzrokiem.  
– Podpisałem kontrakt trzy miesiące przed tym, jak się poznaliśmy.  
– Kontrakt? – pytam, zdziwiona. Znowu nic nie rozumiem.  
– Podpisujesz pięcioletni kontrakt, tak samo jak w armii. – Kręci głową. – Propozycja dołączenia do zespołu to był zaszczyt.  
– Zaszczyt... – Zachłystuję się powietrzem. – Zabijanie to żaden zaszczyt, Ben.  
– Ochrona ludności cywilnej to zaszczyt! – odwarkuje, tracąc nad sobą kontrolę. – Bridget, jestem przede wszystkim żołnierzem. Nie wszystkie wojny toczą się na frontach! – krzyczy.  
Oczy zachodzą mi łzami.  
– I żołnierz robi takie rzeczy...? – pytam, zszokowana jego podejściem do sprawy.  
Spuszcza głowę.  
– Robię, co konieczne. Jak wszyscy żołnierze.  
Patrzę w dywan. Przetacza się przeze mnie tornado emocji, lecz jakimś cudem milczę. Brak mi słów. Co w ogóle można na to odpowiedzieć? Moją krew ścina chłód, jakby ktoś podał mi dożylnie

lodowatą wodę. Całe ciepło i miłość, jakie czułam do Bena, stopniowo zamarzają. Czuję ten proces, on łamie mi, kurwa, serce.

Rozdymam nozdrza, próbując opanować łzy.

– Zostawiłem cię, bo nie chciałem cię mieszać... – kontynuuje. – Nie chciałem cię okłamywać przy wyjeździe na każde zadanie. – Pada na łóżko obok mnie. – Nie chciałem, żebyś wyczekiwała mnie w domu, bo mogłem nie wrócić.

Delikatnie zakłada mi za ucho kosmyk włosów.

Wzrok zachodzi mi mgłą, ucisk w gardle zaczyna sprawiać realny ból.

– Bridget, zrobiłem, co musiałem. Miałem dług u armii... Wojsko się mną zaopiekowało.

*Co, kurwa?!*

Zrywam się gniewnie.

– Pieprzysz. Nie byłeś im nic winien! – krzyczę. – A co z długiem wobec mnie? – Kręcę głową, bo słowa nie są już w stanie oddać moich uczuć. – Pięć lat temu całkowicie złamałeś mi serce...

– Sobie też – wchodzi mi w słowo, wstając z łóżka.

Wyczuwam, że traci nad sobą panowanie. Odpycham go mocno.

– Okłamałeś mnie na lotnisku. Załedwie wczoraj, powiedziałeś, że polecisz do Ameryki podomykać niezłałatwione sprawy, choć już wiedziałeś, że lecisz do Pragi kogoś zabić. I co by się stało, gdybyś dał się zabić? Nawet bym nie wiedziała...

– Owszem, wiedziałybyś. Dowiedziałybyś się jako pierwsza – odwarkuje.

– Niby jak, do cholery?! – krzyczę.

– Podałem cię jako najbliższą krewną.

Opadam na łóżko i kręcę głową.

*Dobry Boże.*

Ben mi się przygląda.

– Jak daleko sięga twoje oszustwo, Ben? – pytam, podnosząc na niego wzrok. – Jak mam jeszcze zaufać twoim słowom? – Ściągam brwi, bo nachodzi mnie bolesna myśl. – Naprawdę masz na imię Ben? – szepczę.

– Oczywiście, że tak – odpowiada łagodnie, biorąc moją dłoń w swoją. – Chcę rozpocząć z tobą nowe życie. – Patrzy mi pytająco

w oczy. – Chcę żyć z tobą w Sydney jak normalny człowiek. Zostawiłem to wszystko za sobą.

Moje oczy wypełniają się łzami, bo naprawdę chcę mu wierzyć. Rozpaczliwie pragnę mu wierzyć.

– Wziąłem urlop na czas nieokreślony – mówi, kręcąc głową.

– Dlaczego? – szepczę. – Dlaczego nie odszedłeś całkowicie?

– Bo jeśli między nami nie wypali... – urywa.

– To co?

– Jeśli nam się nie uda, to armia nadal będzie moim jedynym domem.

Ściska mnie w dołku, oczy mam mokre.

*Boże, co za bałagan. On myśli, że armia jest jego domem.*

Spuszczam głowę i ponownie patrzę w dywan, wycierając wściekle łzy.

*To jest popierdalone.*

Nagle wycieńczenie bierze nade mną górę. Zamartwiałam się do nieprzytomności przez ponad trzydzieści godzin. Dłużej nie dam rady. Jestem przytłoczona, zaraz się rozsypię. Nie dam sobie z tym rady. Nie mam pojęcia, co myśleć. Chcę odejść, ale jest późno i nie mam dokąd iść.

Odgarniam kołdrę i wchodzę pod nią resztkami sił.

– Nie spałam od ponad trzydziestu godzin. Jestem głodna i wściekła na ciebie. Rano wyjeżdżam – oświadczam.

– Pozwól, że przyniosę ci coś do jedzenia – mówi łagodnie.

– Nie chcę pierdalonego jedzenia.

Milczy, może boi się odezwać.

– Idę spać – obwieszczam.

Uśmiecha się łagodnie i kiwa głową, jakby mu ulżyło.

– Dobrze, aniele. – Podchodzi, żeby mnie pocałować, ale odwracam głowę.

– Nie! – warczę, na co łapie mnie za rękę i ją ściska. Przymykam oczy. – Nie lubię cię – mamroczę.

– W porządku, Didge – mówi czule, odgarniając mi włosy z twarzy.

– O ile tylko mnie kochasz.

Odsuwam głowę od jego dłoni.

– Nie przeciągaj struny, Ben. Nie tylko ci dwaj faceci mają ochotę cię dziś zabić.

Uśmiecha się pod nosem, wstaje i podchodzi do drzwi, żeby przekręcić zamek. Patrzy mi w prosto w oczy z drugiego końca pokoju.

– W twoich ramionach umarłbym szczęśliwy.

Kręcę głową na poduszce.

– Opuść sobie. Jeszcze jedno słowo i z tobą skończę.

Podchodzi, jakby chciał się położyć po drugiej stronie.

– Nie waż się wchodzić do tego łóżka – warczę. Szczerze mówiąc, chciałabym, żeby poszedł sobie jak najdalej.

Mina mu rzędzie, a ja tymczasem okrywam się kołdrą po samą szyję. Mam dość na dziś.

Koniec, odpływam.

Budzi mnie odgłos kółek wózka na korytarzu. W pokoju panuje półmrok.

Która godzina?

Marszczę czoło i siadam. Rozglądam się po pokoju.

Gdzie Ben? O, jest, widzę go. Leży zwinięty w kłębek na ziemi. Ma pod głową poduszkę z krzesła, nie jest niczym przykryty. Śpi twardo w poprzek drzwi.

*Dlaczego akurat tam?*

Dziwne. Ale nagle rozumiem.

*O, nie.*

Śpi tam, żeby nie mogła wyjść, nie budząc go.

Wstaję, idę do łazienki, wracam, siadam na łóżku i obserwuję Bena w ciemności. W pewnym momencie zauważam drugi koc na moim łóżku i smutek jednak bierze górę.

Mógł go użyć, a jednak przykrył nim mnie, a sam położył się na podłodze nieprzykryty.

*By cię piekło pochłonęło, Ben. Choć raz zadbaj na pierwszym miejscu o siebie.*

Zeskakuję z łóżka, biorę ten koc i okrywam go.

Ben się wierci, ale nie budzi.

Wracam do łóżka, biorę komórkę i piszę do mamy oraz Taszy.

## **Doleciałam bezpiecznie. Zadzwonię później. Jet lag<sup>4</sup>.**

Siadam prosto, patrzę na Bena i mój umysł zaczyna pracować. Jestem jego najbliższą krewną. Osobą, na której najbardziej mu zależy. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, lecz przez te wszystkie lata był ze mną równie związany, jak ja z nim.

Kładę się na plecach i przez pół godziny gapię w sufit, a łzy spływają mi do uszu. Jestem więcej niż zdruzgotana. Mogło być nam razem tak dobrze. Najbliższy krewny powinien trwać przy rodzinie, ale ja przy nim nie wytrwam. Nie wytrwam przy tym, czym się zajmuje... Nie wytrwam przy tym, co wojsko mu zrobiło. Wyprali mu mózg i teraz czci tę instytucję jak jakiegoś bohatera.

„Bridget, jestem przede wszystkim żołnierzem”.

Jak dotąd armia była jego jedyną rodziną. Rozumiem to, naprawdę... Ale dopiero co do mnie wrócił i nagle dowiaduję się o tym wszystkim...

*Dlaczego po prostu mi nie powiedział?*

Chowam twarz w dłoniach.

*Ponieważ wiedział, jak byś zareagowała* – wyjaśniam sama sobie.

Wiedział, że bym go zostawiła – na myśl o tym przepełnia mnie smutek. Przegapił i poświęcił dla tego kraju tak wiele. Naprawdę mogłabym go teraz zostawić?

Wyciągam słuchawki, wsadzam je w uszy i przeszukuję playlisty. Muszę pomyśleć, więc puszczam coś w tle, żeby myśli miały w czym utonąć.

*Baby, I am right here.  
Baby, I am right here,  
I'll hold you when things go wrong.  
I'll be with you from dusk till dawn.*

Wsluchuję się w słowa.

Czyj to utwór? Nigdy wcześniej go nie słyszałam.

Sprawdzam – nazywa się *Dusk Till Dawn*, wykonują go Zayn i Sia.

Uśmiecham się smutno. Idealnie pasuje do sytuacji.



Przez pół godziny siedzę i patrzę na samotnie śpiącego na podłodze Bena. Przez pół godziny szukam w głębi serca odpowiedzi na pytanie, co powinnam zrobić. Cały czas słucham tej piosenki.

Życie Bena ułożyło się źle, naprawdę koszmarnie. Zostawił mnie, bo próbował mnie chronić. Robi to, co robi, bo kraj go o to prosi. Nie wiedział, że do niego wrócę. Nie wiedział, że dam się w to wciągnąć.

Jestem jego najbliższą krewną, więc powinnam zacząć się tak zachowywać.

Podchodzę i patrzę na niego przez chwilę, a potem bez namysłu kładę się obok niego na zimnej podłodze. Wchodzę pod koc i oplatom rękami jego szeroką pierś.

*I'll be with you from dusk till dawn.  
You'll never be alone<sup>5</sup>.*

– Jestem tu, kochany... – szepczę. – Jestem.

## Ben

Wiercę się i czuję obejmujące mnie od tyłu ciepłe dłonie. Odwracam się gwałtownie i widzę, że leży przy mnie moja dziewczyna. Na ten widok ściska mnie w dołku. Biorę ją w ramiona i mocno tulę. Zamykam oczy i całuję jej włosy. Przy niej wszystko wydaje się na swoim miejscu.

Zeszłej nocy musiałem ją tu zatrzymać za wszelką cenę. Krzyczała i płakała, a ja mogłem tylko bezczynnie patrzeć. Byłem przerażony, że ucieknie i zostawi mnie na zawsze. Wczoraj nie mogłem zapewnić jej bezpieczeństwa, ale teraz muszę.

Biorę głęboki wdech i szykuję się na to, co zamierzam zrobić. Już raz od niej odszedłem i jeśli tylko tak zapewnię jej bezpieczeństwo, odejdę ponownie.

Wpatruję się w sufit i słucham jej miarowego, sennego oddechu.

Kto by pomyślał, że taki prosty dźwięk może być moim lekarstwem?

Bridget śpiąca w moich ramionach, oto Święty Graal szczęścia.

Wróciło to przeraźliwe uczucie.

Wracam wspomnieniami do wczorajszego wieczoru. Do tego, co mogłoby się stać, gdyby zależało im przede wszystkim na mnie, a nie na drugim celu. Zabiliby ją, gdyby stanęła im na drodze?

Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z agentami, którzy zeszedli na złą stronę. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać, ale wiem, że cokolwiek się dzieje, jest źle.

Zawdzięczam Bridget życie... i to na wielu płaszczyznach.

Muszę wrócić do Waszyngtonu i sprawdzić, co tam się odpięrdala.

Didge wierci się w moich ramionach i wiem, że nadszedł czas... Czas, żeby ją wypuścić.

Przymykam oczy, tulę ją jeszcze minutę, a potem wstaję i idę do łazienki. Zamykam się w środku. Biorę prysznic, ubieram się. Potem podnoszę Bridget z podłogi i kładę z powrotem na łóżku, delikatnie przykrywając kołdrą i kocem.

Jest wyczerpana.

– Śpij, aniele – szepczę.

Całuję ją w czoło i kładę się obok. Przyglądam się jej, podpierając się na łokciu.

Jej miodowe włosy leżą rozrzucone na poduszce. Nadal ma na sobie wczorajsze ubrania, bo była zbyt zmęczona, żeby przebrać się w piżamę. Ciemne rzęsy kładą się wachlarzami na idealnie oliwkowej skórze.

Wędruję wzrokiem na jej piersi, na jej drobne palce. Nie umiem się powstrzymać, ujmuję jej dłoń.

Powiedziała, że nie może być z kimś, kto zajmuje się takimi rzeczami.

Zamykam oczy, przepęlnia mnie żal.

*Właśnie dlatego ci nie powiedziałem. Nie chciałem, żebyś się dowiedziała o tym gównie.*

Nie zaakceptuje tego. Nigdy. Dlaczego miałyby to zrobić?

Porusza się i powoli otwiera oczy, więc uśmiecham się łagodnie.

– Dzień dobry – mówię cicho.

Patrzy na mnie, ściągając brwi, po czym rozgląda się po pokoju.

– Ben? – szepcze.

– Jestem. – Ściskam jej dłoń.

– Proszę, powiedz mi, że miałam skrajny przypadek jet lagu i to był tylko koszmar.

– Chciałbym. – Uśmiecham się smutno i przełykam ślinę przez ściśnięte gardło.

Ujmuje mój policzek w dłoń i patrzy mi głęboko w oczy.

– Co się dzieje? – pyta szeptem.

Odrywam od niej oczy, nie mogę znieść tego, że wie, co czuję.

– Nic.

*Wstawaj. Wstawaj i zrób to.*

Biorę głęboki wdech, próbując wstać z łóżka.

– Rozmawiaj ze mną – prosi.

– Powinniśmy wyjść na śniadanie, aniele – mówię ze sztucznym uśmiechem.

– Chcę porozmawiać o wczorajszej nocy – stwierdza, marszcząc czoło.

– Porozmawiamy. Ale najpierw musisz coś zjeść. Od kilku dni mało co jadłaś.

Przez chwilę leży nieruchomo, jakby rozważała moją propozycję, ale w końcu wstaje i znika w łazience.

Zapinam moją torbę i podsuwam ją bliżej drzwi. Oszczędzi mi to później trochę czasu.

Teraz zaboli bardziej niż poprzednio... Już to wiem. Tym razem to będzie pożegnanie... na zawsze.

# Rozdział 13

## Ben

Przyglądam się, jak Bridget zajada jajka w koszulce na tostach.

– Naprawdę nie chcesz jeść? – pyta.

– Nie jestem głodny – odpowiadam i biorę łyk kawy.

Siedzimy w małej restauracji kilka przecznic od hotelu.

– Więc to ta praca, co do której byłeś taki skryty?

– Tak. – Biorę kolejny łyk kawy, a potem unoszę dłoń, prosząc obsługę o drugą filiżankę.

– Jak długo to robisz?

– Sześć lat.

– Ilu ludzi zabiłeś?

Patrzę jej w oczy.

– Straciłem rachubę – odpowiadam bezbarwnym tonem.

Robi zmartwioną minę i spuszcza głowę.

– Bridget, w porządku – wyduszam z najwyższym trudem.

– Co jest w porządku? – dziwi się, patrząc mi w twarz.

– Wiem, że nie rozumiesz.

– Czyżby? – pyta, marszcząc czoło.

– I nie oczekuję, że zrozumiesz.

Mruży oczy, przygląda mi się bacznie.

– Powiedziałeś wczoraj, że mnie kochasz.

Przygryzam dolną wargę i wbijam spojrzenie w stół.

– Spójrz na mnie – żąda, a ja z trudem podnoszą na nią wzrok. –  
Więc?

– Naprawdę cię kocham – mamrocę.

– Dlaczego mówisz mi to tylko wtedy, gdy dzieje się coś złego?

Pierwszy raz wyznałeś mi miłość, gdy mnie porzucałeś – wyjaśnia.

Przełykam ślinę. Moje gardło jest jakby wyłożone papierem ściernym.

– Wczoraj wyznałeś mi miłość, bo myślałeś, że cię zostawię – mówi Bridget, a ja patrzę na nią uważnie i upijam łyk kawy. – Ben? Biorę głęboki wdech.

– Co mam powiedzieć, Didge? Wybierzmy się do Klubu Myszki Miki na planszówki? – Kręcę głową ze złością. – Mówiłem ci już wcześniej... Jesteśmy różni.

Patrzy mi w oczy.

– Nie o to pytałam. Ale skoro zachowujesz się jak Goofy, to rzeczywiście możemy spotkać się w Klubie Myszki Miki. I uduszę cię tam. Dlaczego nie wyznajesz mi miłości, gdy się kochamy albo gdy przeżywamy szczęśliwe chwile?

Spoglądam na nią chmurnie.

– O chuj ci chodzi? Kogo to obchodzi, kiedy wyznaję ci miłość?

– Mnie, Ben.

Przewracam oczami.

– To już i tak nieważne... – mamroczę pod nosem.

– Niby dlaczego?

Wzruszam ramionami.

– Sama wiesz. Zeszła noc była początkiem naszego końca.

Kręci lekko głową.

– Ach tak? – Ze złością zarzuca włosy za ramię. – Dlaczego tak mówisz?

– Nie możesz żyć z kimś takim jak ja. – Unoszę ironicznie brew. – To twoje własne słowa, nie moje – dodaję.

– Ben, byłam w szoku.

Nachylam się nad stołem.

– Pierdolisz, kurwa. Wiedziałaś, co robię. Udawałaś, że nie wiesz, nie wnikałam, czy świadomie, czy nie, ale wszystkie fakty leżały przed tobą na stole. Ostrzegałam, że mam przeszłość, w którą nie chcę cię wciągać.

Krzyżuje przed sobą ręce.

– Och, czyli teraz to moja wina, tak? – cedzi. – Masz, kurwa, tupet. Mówiłeś, że jesteś żołnierzem.

– Bo jestem, kurwa, żołnierzem – warczę.

– Jesteś wspieranym przez władzę zabójcą – odparowuje, również nachylając się nad stołem.

Opadam na oparcie krzesła, uśmiecham się i kręcąc głową, wyciągam rękę.

– No i proszę, wyszło szydło z worka. Będziesz mi tym rzucała w twarz do końca życia.

Mina jej rzednie, ale nadal patrzy mi prosto w oczy.

Nachylam się i mówię:

– Posłuchaj mnie uważnie, Bridget. Niczego nie żałuję. Niczego. Pracuję dla Wywiadu Narodów Zjednoczonych i dbam o bezpieczeństwo narodowe. Jeżeli nie potrafisz żyć z tym, kim jestem i co zrobiłem, to powinnaś odejść. Teraz.

Zagryza dolną wargę, jakby dumiała nad moimi słowami.

– Mówiłeś, że odszedłeś z armii.

– Bo odszedłem. Wiesz o tym. Wystawienie cię na niebezpieczeństwo tak, jak wczoraj, to ostatnia rzecz, jaką bym zrobił.

– Ty... mogłeś zginąć – wypala.

– No to bym zginął. Taka praca. Nie wtrącaj się.

– Ben, twoje życie jest dla mnie ważniejsze niż bezpieczeństwo narodowe. Mam w dupie narodowe bezpieczeństwo, jeśli przez nie mogę cię stracić – szepcze wściekle.

Spuszczam głowę i wzdycham.

– Bridget... ja rozumiem inaczej. Nie mieszam w to prywatnych potrzeb. Każdy, kto wstępuje w szeregi służb ochrony kraju, o nich zapomina. Jednoczymy się dla wyższego dobra. Nikt nie chce opuszczać rodzin dla walki, ale robimy, co musimy.

Jej oczy wypełniają się łzami. Marszczy czoło i łapie mnie za rękę.

– Ale ja chcę, żebyś walczył za mnie.

Cofam dłoń.

– Naprawdę? Naprawdę tego chcesz, Didge? Zastanów się. Porządnie.

Patrzy na mnie, jakby nie rozumiała, więc uśmiecham się smutno, wzdycham ciężko i udzielam jej bolesnej odpowiedzi:

– Nie oczekuję, że zrozumiesz. Nie każdy może służyć.

– Dlaczego akurat teraz mi o tym mówisz? – pyta.

– Ponieważ chcę, żebyś była bezpieczna. Ponieważ nie wiem, co się odpiędała w Waszyngtonie. Muszę tam wrócić i się dowiedzieć.

– Do czego zmierzasz? Chcesz mnie zostawić, żebym była bezpieczna?

Patrzę jej głęboko w oczy.

– Tak. Dokładnie do tego zmierzam.

Kręci głową.

– Może i na polach bitew jesteś odważny, Ben, lecz gdy chodzi o mnie, jesteś cholernym tchórzem. – Mierzy mnie groźnym wzrokiem. – Mówiłeś, że odszedłeś, że chcesz normalnego życia. Tak czy nie? – warczy.

– Tak – odszczekuję.

– Od początku to planowałeś?

– Wiesz, że nie – odpowiadam, mrużąc oczy.

– Kochasz mnie czy nie?

– To w chuj głupie pytanie – burczę, kręcąc głową.

– Sprawa jest czarno-biała. Albo polecisz, dowiesz się, co się dzieje, a potem wrócisz do mnie do domu, albo polecisz i zostaniesz w wojsku już na stałe.

– To wcale nie jest czarno-białe, natomiast czarno-białe jest co innego – cedzę, tracąc cierpliwość. – Albo jesteś żoną wojskowego i w pełni wspierasz WNZ, albo nie.

Opiera się na krześle i krzyżuje ramiona na piersiach.

– A jeśli jestem, to co?

– To polecisz ze mną do Waszyngtonu, żebym mógł posprzątać ten bajzel.

– A jeśli nie jestem?

– To wrócisz do domu i zapomnisz o mnie raz na zawsze, bo nie mogę żyć z kimś, kto nie wierzy w moje ideały. Jestem, kim jestem. Nie zmienię przeszłości. Nie chcę jej zmieniać.

– Ale skoro i tak odchodzisz z armii... – mówi cicho.

– Jeżeli mnie w tym nie popierasz – wchodzę jej w słowo – to będziesz wyciągała to gówno przy każdej kłótni. Wiesz, że tak będzie.

Przewraca oczami.

– Wracam do pokoju – oświadczam, a ona robi zaskoczoną minę. – Wylatuję do Waszyngtonu za cztery godziny, więc spokojnie się zastanów, czego tak naprawdę chcesz od mężczyzny. – Patrzę jej

głęboko w oczy. – Jeśli szukasz pogodnego, popularnego wśród znajomych gościa, to się pomyliłaś, bo ja nim nie będę. – Wzruszam ramionami z rezygnacją, a ona znowu przewraca oczami. – Wszystko albo nic, Bridget. Bierzesz mnie całego albo wcale. Nie wstydę się tego, kim jestem.

Odsuwam krzesło i rzucam serwetkę na stolik, a Bridget rozgląda się nerwowo po restauracji.

– Mogę tu bezpiecznie zostać sama?

– Ci dwaj są już w samolocie do Stanów. Naprawdę myślisz, że pozwoliłbym ci wyjść z hotelu, gdybym nie był pewien, że jesteś bezpieczna?

Ukrywa twarz w dłoniach.

– Ben, ja nie mam pojęcia, co się, kurwa, dzieje. Nie sądziłam, że obudzę się na planie thrillera. Przecież takie rzeczy ogląda się tylko w telewizji.

Na mojej twarzy gości szeroki uśmiech. Oto i ona. Zgryźliwa jędrza.

Przyglądam się jej przez chwilę, a potem pochylam się, by dać jej buziaka.

– Kocham cię, Bridget – szepczę. – Bardziej niż kogokolwiek na świecie. Wiem, że powinienem mówić takie rzeczy częściej. – Patrzę jej w oczy. – Pracuję nad tym. Pracuję, by stać się człowiekiem, na jakiego zasługujesz.

Zarzuca mi ręce na szyję.

– Powiedz, że wszystko będzie dobrze.

Zanurzam twarz w jej szyi, trzymając ją w ramionach.

– Tego nie wiem, maleńka.

– Nie mów tak, Ben... – wzdycha smutno.

– Zastanów się na spokojnie, Didge. Jeżeli odejdziesz, nie będę miał ci za złe, jak najbardziej zrozumiem. Ale musisz podjąć tę decyzję samodzielnie.

– A co by było, gdybym nie dowiedziała się o tym wszystkim? – pyta cicho.

Kręcę głową.

– To zawsze miałbym przed tobą tajemnice. Szczerze mówiąc, cieszę się, że tak wyszło. Teraz już wiesz. Oto ja. Taki jestem.

Spuszcza głowę i na powrót ukrywa twarz w dłoniach.



– Do zobaczenia za kilka godzin – wzdycham. – Albo nie.

Ściska mnie w dołku, mam ochotę paść na kolana i błagać, ale spuszczam głowę, dotykam jej ramion i wychodzę z lokalu. Nie obejrzę się za siebie.

*Nie oglądaj się za siebie.*

\*\*\*

Gapię się na zegar w cichym pokoju.

Cztery godziny minęły. Cztery długie, milczące godziny.

Bridget nie wróciła.

Wstaję i patrzę przez okno na ulicę. Wzdycham, przygnębiony. Okazało się, że to dla niej za wiele. To jasne.

*W porządku, będzie dobrze.*

Próbuję się uspokoić. Bywałem w gorszych sytuacjach.

*To tylko zerwanie – napominam sam siebie. Miliony ludzi borykają się z tym każdego dnia.*

W takim razie skąd poczucie, że to koniec świata?

Czuję ucisk w piersiach i mam wrażenie, że ściany wokół mnie się zamykają. Zaciskam powieki, próbuję odzyskać opanowanie. Nie wiem, dlaczego pozwoliłem sobie na zakochanie się w Bridget. Przecież od początku wiedziałem, że to się źle skończy. Wyobrażam sobie, jak leży na łóżku i się śmieje, patrząc na mnie, a potem czuję mdłości i pustkę. Już jej takiej nie zobaczę.

*Kurwa... Muszę stąd wyjść, bo zaraz mi odjebie.*

Oddycham ciężko i podnoszę walizkę.

*Powinienem po prostu zostać i błagać?*

*Nie.*

*Nigdy nie zaakceptuje tego, co robiłem.*

*Żyj dalej.*

Składam ubrania Bridget, które leżały na krześle, a potem, wbrew własnej woli, podnoszę jej koszulę i głęboko zaciągam się jej aromatem.

Zapachem Bridget.

Zamykam oczy w bólu.

*Kurwa, ogarnij się.*

Składam schludnie ubrania i chowam je do jej torby. Ostatni raz rzucam okiem na pokój, wychodzę na korytarz i zjeżdżam do lobby. Na dole rozglądam się smutno.

*Nie przyszła. Przestań jej szukać.*

Odnajduję w sobie nowe pokłady determinacji, wychodzę przed hotel, łapię taksówkę i wsiadam.

\*\*\*

Nie pamiętam zbyt wiele z drogi. Mam wrażenie, że pięć sekund później wysiadam na lotnisku i kieruję się do informacji.

– Do Waszyngtonu w jedną stronę, proszę.

Kobieta przygląda mi się dwukrotnie i uśmiecha się ze współczuciem.

*Wyglądam równie smętnie, jak się czuję?*

– Oczywiście – odpowiada. – Mam miejsce tylko na lot za dwie godziny, w klasie biznes. Z przesiadką na Heathrow. Może być, proszę pana?

– Obojętne – wzdycham, rozkojarzony.

Jak chcą, mogą mnie nawet przypiąć pasami do skrzydła.

Płacę, przechodzę przez bramki, kieruję się do *lounge*<sup>6</sup> i siadam przy barze.

– Witam – uśmiecha się do mnie przyjazny barman.

– Szkocką, proszę – wzdycham. – A jak wypiję, to następną.

\*\*\*

Taksówka zatrzymuje się przed moim apartamentowcem w Waszyngtonie. Spoglądam na ulicę. Mam wrażenie, że powrót do domu zajął całą wieczność, a gdy w końcu dotarłem do celu, wcale nie chcę tu być. W gruncie rzeczy chcę być jedynie w Australii z Bridget, zaczynać nowe życie z nią... i dla niej.

Kierowca wyciąga z bagażnika moją walizkę, a ja przeciągam dłonią po dwudniowym zarostcie. Muszę wziąć się w garść.

*Po prostu wysiądź z tego auta.*

Obserwuję, jak taksówka niespiesznie odjeżdża.

*Krok po kroku... Działaj.*

Wsiadam do windy. Mój umysł to zamglone trzęsawisko.

Otwieram drzwi, patrzę na skromne mieszkanie, po czym wchodzę do środka, rzucam walizkę na podłogę i ciężko wzdycham.

Wyglądam jeszcze raz na korytarz i zastanawiam się, czy nie uderzyć prosto do baru... albo zrobić coś innego, byle nie siedzieć samemu w tej norze. Dopada mnie klaustrofobia i wiem, że muszę się uspokoić. Podchodzę więc do domowego barku i nalewam sobie szkockiej. Potem idę do kuchni i przetrząsam szafki w poszukiwaniu jakichś pigułek nasennych. Nie dam rady zмагаć się z tym pierdolonym dniem.

Jestem jakby wypatroszony, słaby, wkurwiony jak jeszcze nigdy. Ten, kto to wszystko ustawił, niech lepiej spierdala, bo jak go dorwę, to będzie błagał o szybką śmierć.

Przypominam sobie minę Bridget, gdy mówiła, że nie może być z kimś, kto zajmuje się takimi rzeczami. Żal wali mnie prosto w bebechy. Nie musiała o tym wiedzieć. Nawet chciałem jej to wszystko wyznać, ale wiedziałem, że nie чуwałyby już do mnie tego samego co wcześniej.

Nie spałem od wielu dni. Próbowałem w samolocie, ale jak niby miałem się odprężyć, gdy odnosiłem wrażenie, że nie mogłem oddychać? Wytrząsam z buteleczki trzy pigułki nasenne, wrzucam je do ust i przepijam haustem szkockiej, przygotowując się do następnej rozmowy telefonicznej. Z Brockiem.

Wybieram jego numer telefonu.

Odbiera po pierwszym sygnale.

– Hej, stary.

Opieram rękę na biodrze.

– Rozmawiałeś z Bridget?

– Nie. A co?

– Możesz sprawdzić, co u niej?

Zaciskam zęby na myśl, że jest teraz gdzieś sama i smutna.

– A czemu? – pyta zdecydowanie zbyt szybko.

– Wie... – zawieszam głos. – Wie o wszystkim – wyznaję, a Brock milczy. – Zostawiła mnie.

– Kurwa, stary... Przykro mi.

Spuszczam głowę.

– Nie tak, jak mnie.

Brock wzdycha ciężko do słuchawki, a ja w tym czasie podchodzę do okna, odsuwam zasłonę i wyglądam na ulicę.

– Upewnij się, że jest bezpieczna. Była w Pradze. Nie jestem pewien, czy poleciała na tę wycieczkę do Szkocji, czy gdzie... – kontynuuję.

– Okej, dam ci znać.

Z całych sił marszczę czoło i z trudem przepycham przez usta następane zdania:

– No... nie dawaj. Odcinam wszystkie więzi. Tym razem na zawsze.

– Chłopie, przecież wiesz, że jest po prostu wściekła.

Zaciskam zęby, moją pierś przeszywają sztylety bólu. Waham się.

– Jest dla mnie za dobra, zawsze była. Obaj o tym wiemy. Po prostu... – Wzdycham. – Po prostu dbaj o nią dla mnie, proszę.

*Muszę się rozłączyć, bo dłużej tego, kurwa, nie zniosę.*

– Wszystko dobrze, stary? – pyta łagodnie.

Nie odpowiadam, bo gdybym chciał być całkiem szczery, musiałbym przyznać, że nie wiem.

– Do zobaczenia – odpowiadam. – Zadzwoń jutro, stary.

Rozłączam się i piszę SMS:

**Nie przyjmować żadnych zleceń. Mamy zdrajcę w obozie. Nikomu nie można ufać. Wyjaśnię wszystko, jak wrócę.**

Wpisuję nazwiska najbliższych przyjaciół i klikam „wyślij”. Odpowiedź od Brocka przychodzi szybko:

**Didge leci do domu. Mama i Tasha odbiorą ją z lotniska. Prześpij się trochę.**

Wyobrażam sobie, jak przylatuje samotnie do Australii, i ściska mnie w dołku. Wchodzę pod prysznic i sterczę pod gorącą wodą, oddychając głęboko, żeby się uspokoić.

Ostatni raz czułem się tak podle, gdy moja matka umarła.

Mroczny dzień.

\*\*\*

– Dajesz!!! – krzyczy.

Uderzam mocno i szybko. Dookoła rozchodzi się echo trafień moich rękawic bokserskich o tarcze treningowe. Leje się ze mnie pot.

Siłownie to moje jedyne wybawienie. Przez dwie minuty nawalam najmocniej, jak potrafię, aż nie mam siły na kolejny cios.

– Patrzcie, patrzcie, co za truchło przywlekl tu dziś kiciuś...

Podnoszę wzrok, ciężko dysząc, i pryham.

Thomo, jeden z moich najlepszych kumpli.

– Gdzieś ty się, kurwa, podziewał? – pyta.

Kręcę głową i kiwam trenerowi na znak, że czas na przerwę.

– Dość na dziś, Buzz, bo jeśli wyłapię jeszcze kilka tych twoich cepów, to padnę jebanym trupem – odpowiada trener, odpinając z rąk tarcze.

– Dzięki... Do jutra... – sapię.

Biedny gnojek. Daję mu wycisk przez cały tydzień.

– Na razie.

Odchodzi.

Podnoszę butelkę z wodą i piję.

– Gdzie bywałeś? – powtarza Thomo. – Wysłałeś nam ten gówniany SMS i zniknąłeś na dziesięć dni.

– Dopiero wróciłem. Wczoraj w nocy – kłamię, bo prawda jest taka, że nie byłem w towarzyskim nastroju.

Przysiadam na ławeczce do wyciskania, próbuję złapać oddech.

– Co się stało? – pyta.

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami. – W Australii odwiedziło mnie dwóch agentów, no i mówili, że mam ostatnią robotę do wykonania, w Pradze.

Thomo słucha z marsową miną.

– No to poleciałem, ale nie wiedziałem, że ta robota nie była zatwierdzona – opowiadam, choć nadal z trudem oddycham. – Kombinowali na własną rękę i podłożyli mi wynajęty samochód pułapkę. Chcieli mnie zabić, jak tylko załatwię cel, który mi wystawili.

Thomo analizuje moje słowa z poważną miną.

– Kierownictwo o tym wie?

Kiwam głową.

– Próbuja ich wyśledzić, ale jak dotąd ani śladu po tych facetach. Nie mam, kurwa, pojęcia, co się dzieje i kto ustawił tę robotę.

– Ja pierdolę. – Thomo myśli, obgryzając paznokiec kciuka. – Musimy zebrać chłopaków.

Osuszam butelkę wody i przytakuje.

– No, musimy.

– Wylatuję dziś na wesele, ale w niedzielę wracam. Spotkajmy się o piątej w barze U Jacka.

Kiwam głową i patrzę na zegarek.

– Dobra, to widzimy się.

Thomo zaczyna własny trening, a ja idę pod prysznic. Gdy kieruję się w stronę samochodu, dzwoni mój telefon. To Brock.

– Hej – witam go z uśmiechem. Stęskniłem się za tym tępym zebem.

– Hej, chłopie. Dzwoniłeś? Przepraszam, ale nie mogłem odebrać, bo usta miałem zaklejone sokiem z cipy.

Rechoczę, wyobrażając sobie, jak wylizuje jakąś laskę.

– Super, ale nie musisz tłumaczyć się tak drobiazgowo – odpowiadam.

– Była zbyt pyszna, żeby odbierać jakieś telefony. Ręczę ci – kontynuuje ze śmiechem.

*Ja pierdolę.*

– Możesz mi wyświadczyć przysługę? – pytam.

– Jasne.

– Mój samochód jest na długim parkowaniu na lotnisku w Sydney. Możesz kogoś po niego wysłać?

– Hmm... – zastanawia się przez chwilę – okej. Odstawić go pod twój lokal?

Ściągam brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Eee...

– Kiedy w ogóle wracasz do domu? – dopytuje.

– Nie wracam – odpowiadam, idąc przez parking i unosząc kluczyki, bo moje auto pojawiło się w zasięgu wzroku.

Brock milczy przez chwilę, po czym mówi:

– U Bridget ciężko – przyznaje, a ja zatrzymuję się gwałtownie. – Nie wychodzi z domu. Siedzi w pokoju, ryczy i w ogóle. Dziewczyny się przy niej kręcą, próbują jakoś poskładać ją do kupy.

Wbijam wzrok w asfalt pod stopami i zaciskam zęby. Nie powinienem był po nią wracać.

Milczę, czekam, co jeszcze Brock powie.

– Słyszałeś? Jest rozjebana. Zrobisz z tym coś? – burczy, lekko rozdrażniony.

– Powiedz jej, żeby wracała do Erica – odpowiadam sucho. – Takiego faceta jej trzeba.

– Co takiego?! – warczy. – Mówisz, kurwa, poważnie?! Rezygnujesz z niej? Odejdiesz sobie? Ot tak?

Przewracam oczami. Zaczyna buzować we mnie złość. Myśli, że chciałem, żeby tak się to skończyło?

– To ona mnie zostawiła. Ona zrezygnowała – syczę.

– Kocha cię...

– Jak widać, za mało – wchodzę mu w słowo. – Muszę kończyć. Załatw sprawę z samochodem i przyślij mi rachunek.

– Jesteś zjebany – warczy.

Kręcę głową z wściekłością i rozłączam się, zanim powiem o słowo za dużo i będę tego żałował.

*Ja jestem zjebany? Ja?!*

Krew się we mnie gotuje.

Brock nie ma pojęcia, co pierdoli. Zrobiłbym dla Bridget wszystko, ale nie mogę zmienić przeszłości. Gdybym mógł, zmieniłbym. Bez mrugnięcia okiem zrobiłbym wszystko, żeby ją zatrzymać.

Otwieram tylne drzwi i z wściekłością rzucam torbę na siedzenie. Wsiadam, zaciskam dłonie na kierownicy i wyobrażam sobie, jak moja piękna Bridget płacze ze złamanym sercem. Przeze mnie.

Zamykam oczy, czuję ból.

*Jestem zjebany.*

Do mojego układu krwionośnego zaczyna się sączyć paskudny posmak poczucia winy. Niczym trucizna. Naprawdę to czuję.

Skrećam i wypadam z parkingu, wciskając gaz do dechy. Kieruję się na autostradę. Może ucieknę przed tym wszystkim, jeżeli będę jechał dostatecznie szybko.

Gdyby to tak działało...



# Rozdział 14

## Bridget

Jest wtorek, minęła siódma wieczorem, a ja leżę na kanapie i gapię się na wiadomości w telewizji. Coś tam gadają, ale nie słucham. Wydaje mi się, że odkąd dziesięć dni temu zostawiłam Bena w Pradze, nie słyszę niczego z wyjątkiem jego głosu...

„Kocham cię...”

„Potrzebuję cię...”

„Zabijam ludzi”.

Wszystko staje się mętną mgłą i choć przerabiałam to już z Benem, tym razem jest gorzej. Tym razem wiem, że to koniec. Poprzednio przynajmniej miałam pytania, potrzebowałam odpowiedzi, zamknięcia. Tym razem znam wszystkie fakty i koniec jest jedyną opcją. Kochamy się, lecz miłość to za mało. On nie może zmienić tego, kim jest, a ja nie mogę go takim zaakceptować. Koszmarna sytuacja, w której nie ma zwycięzców, a najgorsza jest świadomość, że on też będzie cierpiał. Tyle że będzie musiał robić to w samotności, bo na pewno nikomu nie powiedział, co między nami zaszło. Będzie przesiadywał na siłowni albo w barze.

Uśmiecham się smutno, bo uświadamiam sobie, że znam go lepiej niż ktokolwiek. Umysł wie mnie w mroczne miejsca. Czy znalazł już pocieszenie w ramionach innej? Wyobrażam sobie, jak kocha się z inną kobietą, i zaciskam powieki, by odpędzić te wizje. Moje biedne serce cierpi.

– Ben... – szepczę, a oczy zachodzą mi łzami.

Wypłakałam tyle, że nie wiem, skąd we mnie jeszcze jakiegokolwiek płyny.

Wiem, że wróciliśmy do siebie tylko na trochę, ale kochałam go przez te lata rozłąki, więc ból serca jest jak po zakończeniu wieloletniego związku. Mogę to oficjalnie powiedzieć: to zerwanie

najgorszego rodzaju. Byłoby łatwiej, gdyby mnie oszukiwał albo rzuciłby mi w twarz, że już mnie nie chce. Wtedy przynajmniej mogłabym być wściekła, mogłabym się oburzać, że tak mnie potraktował, mogłabym wyjść na miasto, pić i się na nim odegrać. W samym piekle nie ma większej furii niż we wzgardzonej kobiecie.

Ale ja wiem, że siedzi w mieszkaniu sam.

Nawet jeśli towarzyszy mu jakaś kobieta, to jest sam, bo ona go nie zna. I nie pozna. Nie będzie wiedziała, jak idealnie przygotować jego ulubione naleśniki ani że robi się milczący, gdy coś go gryzie. Nie będzie wiedziała, jaki ma wzrok, gdy jest zakochany, i że nie umie wyrażać słowami miłości. Jestem pewna, że nie będzie potrafiła kochać go tak, jak ja, bo bardziej się nie da. Tego już nikt nigdy się nie nauczy.

Łzy spływają mi do uszu. Wraca mój towarzysz – ten ucisk w gardle, który nawiedza mnie w płaczu. Mam osłabiony organizm i dostałam zapalenia migdałków. Rozwinęło się na tyle, że musiałam brać antybiotyki. Cały ten miesiąc to jedna wielka klęska.

– Och, Ben... – szepczę smutno.

Wiedziałam lepiej niż ktokolwiek, jak miał w życiu ciężko, a jednak... nie zdołałam się przemóc. Bo jak bym mogła? Czy ktokolwiek by mógł?

Pukanie do drzwi.

Wypuszczam powietrze z płuc i składam głowę na kanapie.

*Zostawcie mnie już w spokoju.*

Tasz i Abbie zdecydowanie za bardzo nade mną skaczą. Dziś rano Joshua w końcu im powiedział, żeby dały mi spokój, bo widzi, że chcę zostać sama. Wiem, że dziewczyny chcą dobrze, ale bez przesady.

Zwlekam się z łóżka i idę otworzyć. W drzwiach stoi Brock.

– Wyglądasz jak gówno – burczy cierpko.

Patrzę na niego obojętnym wzrokiem.

– Przyjechałeś taki kawał, by stwierdzić oczywiste?

Pokazuje mi flaszkę Baileysa i uśmiecha się zawadiacko.

– Tak, kac, tego mi teraz trzeba...

Pokazuję gestem, żeby wszedł.

Idzie do kuchni, bierze dwa kieliszki, które wypełnia lodem i płynem barwy jasnej kawy.

Wracam na moją kanapę, a gdy Brock podaje mi kieliszek, upijam łyk.

On opada obok mnie.

– Mmm, mniam – mruczę, wpatrując się w szkło. – Nie piłam tego całe wieki.

– Pomyślałem, że ci się zrewanżuję.

– Jak to?

– Nie pamiętasz? Baileys, lekarstwo na cierpiące serce. Ty to wymyśliłaś.

Ściągam brwi, nie rozumiem.

– Alison Landers? – próbuje mnie nakierować.

Przykładam dłoń do piersi i chichoczę.

– O Boże. Nie słyszałam tego nazwiska od lat.

– No, ale mnie ta suka poharatała... – wzdycha, kręcąc głową, po czym unosi kieliszek i stuka nim o mój.

Śmieję się w głos.

– Upiekło ci się. To było suczysko nie z tej ziemi.

– Niemniej gorące suczysko, z gorącą waginą.

– Racja – chichoczę, sącząc likier. – Dzięki – mówię, szturchając go ramieniem. – Miło, że o mnie pomyślałeś.

– Dla mojej ulubionej asystentki wszystko!

– Tak jakbyś miał więcej kandydatek na to stanowisko...

Uśmiecha się i przez chwilę oglądamy telewizję w milczeniu.

– Cieszę się, że go zostawiłaś – stwierdza, nie odrywając oczu od ekranu.

Zerkam na niego z ukosa, biorąc kolejny łyk likieru.

– A skąd ta zmiana nastawienia?

– To słaby kutafon – odpowiada, wzruszając ramionami.

Czuję, jak włoski na karku stają mi dęba.

– Wcale nie, nie mów tak o nim – rzucam ostro. Tylko ja mogę psioczyć na Bena, nikt inny nie ma prawa powiedzieć o nim złego słowa.

– Cóż, gdybyś była moją dziewczyną, wróciłbym tu i o ciebie walczył.

– Ale nie jestem i to nie takie proste. – Jestem wkurzona, że zarzucił mi słabość. Co jak co, ale Ben na pewno nie jest słaby.

– Rozmawiałem z nim dzisiaj.

Przenoszę wzrok na brata.

– Wszystko u niego dobrze?

Wzrusza ramionami.

– Przecież wiesz, że i tak by mi nie powiedział, gdyby nie było dobrze.

Kiwam smutno głową, bo co racja, to racja.

– Dlaczego wróciłaś bez niego? – pyta.

– Wiesz dlaczego – mamroczę, gapiąc się w telewizor.

– Tak, ale chcę usłyszeć prawdę, a nie te bzdury, którymi faszerujesz dziewczyny. Wcale się nie pokłóciliście.

– Nie zamierzam z tobą o tym rozmawiać – oświadczam, nadal patrząc przed siebie.

– Dowiedziałaś się, co robi?

Piorunuję go wzrokiem.

– Brock, znasz, kurwa, odpowiedź na to pytanie. Nie zgrywaj debila.

Zaciska zęby i zastanawia się nad taktyką kolejnego ataku.

– Powiedz, Bridget... Co według ciebie robię w marynarce?

– Służysz w SEAL<sup>7</sup> – odpowiadam, marszcząc brwi.

– To zaszczytna służba, prawda?

Przygryzam dolną wargę.

– Tak, w rzeczy samej.

– A przynależność do Delty?

– Brock, daj spokój, dobrze wiesz, że to coś innego.

– Dlaczego?

– Bo on zabija ludzi! – warczę.

– Ja też.

Wykrzywiam twarz w złości.

– Odpierdol się. Nie odwracaj kota ogonem. Nie mogę się pogodzić z tym, co zrobił. I nigdy nie będę mogła.

Przygląda mi się przez chwilę, po czym mruczy cierpko:

– Wow. Proszę bardzo, twój rodzony brat wykonuje dokładnie tę samą pracę, a jednak go ubóstwiasz.

Przewracam oczami.

– Od kiedy cię niby ubóstwiam? Jestem z ciebie dumna, to wielka różnica.

– Bridget, wolność nie jest nam dana za darmo. Trzeba za nią zapłacić.

– Idź do domu. Wkurzasz mnie.

Osusza kieliszek i wstaje.

– Kazał mi przekazać, żebyś wracała do Erica.

– Co takiego?

*O, nie.*

– C-co jeszcze mówił?

– Że Eric to facet dla ciebie – odpowiada szybko Brock, a mnie rzednie mina. – I żebym o ciebie zadbał. – Zawiesza głos. – Odebrałem jego auto z lotniska i odstawiłem mu je pod chatę.

– Wraca, żeby wszystko pozalać? – pytam z nadzieją.

– Nie. I tym razem było inaczej.

Przyglądam mu się, marszcząc czoło, i pytam:

– Co masz na myśli?

– Powiedział, że odcina wszystkie więzi. Ja powiedziałem, że go kochasz.

Natychmiast podnoszę wzrok.

– I co on na to?

– Że kochasz go za mało. Powiedział, że kochasz go za mało, żeby z nim zostać. Powiedział, że z niego zrezygnowałaś.

*Za mało?*

Brock rusza do drzwi.

– No, to wracaj sobie do Erica i wiedz bezpieczne życie żonki z bogatego przedmieścia. Jestem pewien, że będziesz przeszczęśliwa u boku porządnego, schludnego mężusia.

Boli, gdy brat tak do mnie mówi. Zawsze stał po mojej stronie. W oczach wzbierają mi łzy.

– Spierdalaj... – szepczę.

Wychodzi, ale staje w progu i odwraca się przez ramię.

– Ale wyświadczyć mi przysługę, dobra? – kontynuuje, a ja patrzę na niego bez słowa. – Nie udawaj, że wspierasz moją robotę w marynarce, bo twoje podwójne standardy są, kurwa, żalosne. Bez przerwy opowiadasz, jaka to jesteś ze mnie dumna, ale gdy okazuje się, że facet, którego ponoć kochasz, robi to samo, nagle jest bandziorem. Ogarnij się, kurwa.

– Wynoś się – cedzę.

– Zadzwoń po Erica? – pyta sarkastycznie. – Ściągnę go tu w pół godziny. Pewnie jest w domu i układa znaczki w klaserze.

Trzaskam mu drzwiami przed nosem.

*Wypierdalaj.*

\*\*\*

Leżę w ciemności i gapię się w sufit.

Trzecia w nocy. Godzina wiedzim. Czas, w którym mam poczucie, że jeżeli nie znajdę sposobu, by znów znaleźć się w jego ramionach, to emocje mnie rozsądzą.

Ciekawe, co teraz robi. U niego jest dziesiąta rano. Poszedł do pracy? Mam przed oczami wyraźną wizję, jak ćwiczy na siłowni, i uśmiecham się w mroku.

Oto on...

Odkąd Brock wyszedł, męczy mnie niepokój. Trafił w czuły punkt... Nie jestem pewna, czy w ogóle chcę się w to zagłębiać. Doceniam nasze siły zbrojne i jestem bardzo dumna z brata pracującego dla Navy SEALs. Więc dlaczego nie potrafię tak samo podejść do Bena? Z powodu wstrząsu? Sposobu, w jaki się dowiedziałam? Gdybym się dowiedziała, że pojechał na wojnę jako snajper, to czułabym się inaczej? Tak. Na pewno. Snajper na wojnie to co innego niż snajper w pokojowym społeczeństwie.

Czyżby?

Przewracam się na bok, zdeglustowana miejscem, do którego prowadzi mnie własny proces myślowy.

Snajper na wojnie wykonuje rozkazy przełożonych i zajmuje się wrogiem. Czy Ben nie robi tego samego? Czy naprawdę jest jakaś różnica?

*Przestań! Masz natychmiast przestać.*

Zrywam się z łóżka i idę się napić wody. Piję nad zlewem.

Oczywiście, że jest różnica. Ben patrzy swoim ofiarom w oczy. Jest mordercą. Wyrachowanym zabójcą.

Przymykam powieki, bo choć to fakty, to wiem, że prawda wygląda inaczej.

Wracają do mnie słowa Brocka: „Ale wyświadczyć mi przysługę, dobra? Nie udawaj, że wspierasz moją robotę w marynarce, bo twoje podwójne standardy są, kurwa, żałosne. Bez przerwy opowiadasz, jaka to jesteś ze mnie dumna, ale gdy okazuje się, że facet, którego ponoć kochasz, robi to samo, nagle jest bandziorem. Ogarnij się, kurwa”.

Facet, którego ponoć kocham.

Marszczę czoło i przetrawiam te słowa.

*Facet, którego ponoć kocham.*

*Może ja go wcale nie kocham? Może kocham tylko ideę bycia w nim zakochaną? Może jest tylko facetem z przeszłości, którego czciłam jak bohatera, by mieć wymówkę, żeby odtrącać innych mężczyzn?*

Zastanawiam się, patrząc w ciemną przestrzeń.

*To możliwe.*

Wracam z wodą do pokoju. Muszę to wszystko przemyśleć, więc kładę się, nie zapalając światła, i szukam odpowiedzi we własnej duszy.

\*\*\*

Elizabeth czyta list, który jej przekazałam. Siedzi za swoim wielkim, eleganckim biurkiem, okulary wiszą na końcówce jej okazałego nosa.

Z nerwów pali mnie w żołądku.

– Rezygnujesz? – pyta, podnosząc na mnie wzrok.

– Tak.

– Dlaczego?

– Przeprowadzam się do Ameryki i nie wiem, kiedy wrócę.

– Kiedy chcesz skończyć pracę?

– Ze skutkiem natychmiastowym. Wylatuję dziś wieczorem.

Marszczy czoło.

– Ale twoja umowa wyraźnie stwierdza, że musisz mnie powiadomić z czterotygodniowym wyprzedzeniem.

– Jestem na urlopie – stwierdzam spokojnie. – Nawet nie musiałam tutaj przychodzić, ale uznałam, że tak wypada. – Spuszczam głowę. – Wyjazd nie zależy ode mnie i nie mogłam go przewidzieć. Przykro mi, że stawiam cię w takiej sytuacji, ale wiem, że w naszym dziale i tak jest przerost zatrudnienia – wypalam.

Elizabeth przygląda mi się spokojnie.

– Dzięki temu nie będziesz musiała już nikogo zwalniać w tym roku – dodaję.

Nachyla się i łączy dłonie nad biurkiem.

– Powiedz mi, Bridget... Przeprowadzasz się dla mężczyzny?

Patrzę jej prosto w oczy.

– Tak.

– Jest tego wart?

– Tak, jest tego wart – uśmiecham się spokojnie.

Wstaje zza biurka i wyciąga do mnie rękę.

– Powodzenia.

## Ben

Schodzę po trzech schodkach prowadzących do baru U Jacka i rozglądam się z uśmiechem. Moi kumple siedzą przy stole w głębi lokalu, więc ruszam do nich.

– Hej! – wołają i witają się ze mną po kolei.

Jest dwudziesta druga w niedzielę i knajpa jest rozgrzana do czerwoności.

Czuję, jak otula mnie spokój. Tęskniłem za nimi.

Jed, Rick, Ethan i Matt. Pracujemy razem i wszyscy mieszkamy w Waszyngtonie. Niewielu ludzi spoza naszego kręgu rozumie, czym się zajmujemy. Służymy razem od szczeniaka. Polegamy na sobie.

Z nas wszystkich tylko Rick jest żonaty. Jego żona, Ally, dba o każdego z nas. Biedna Franca. Jest w ciąży i musi się borykać z pięcioma wielkimi chłopami, którzy na nią chuchają i dmuchają. Ma termin za cztery miesiące. Nie mogę się doczekać.



Ethan i Matt są bywalcami bufetów „ruchaj, ile chcesz”, z kolei Jed ma stałą dziewczynę, która jest w chuj wkurwiająca. Cóż, przynajmniej dla mnie.

– Jak było w Australii? – pyta Jed, podając mi piwo.

– Dobrze – odpowiadam, siadając. Od razu biorę pierwszego łyka.

– Co porabialiście, chłopaki? Jak Ally? – Na koniec zwracam się bezpośrednio do Ricka.

– Dobrze! – Uśmiecha się szeroko. – Kurewsko rozgrzana. Mówię wam, seks w ciąży jest niezmierny. Ciągłe mi mało.

Wszyscy wybuchamy śmiechem, a Ethan marszczy czoło.

– Czemu jest taki dobry? Nie czaję tego, a słyszę o tym już nie pierwszy raz.

– Nie wiem, ale jest – odpowiada Rick, wzruszając ramionami.

– Masz inne doznania? – docieka Ethan. – Nie wiem, jest ciśnień czy coś?

Rick robi skupioną minę i próbuje ubrać swoje odczucia w słowa.

– Doznania są inne. Ona ma podkreścone zmysły, ale może chodzi po prostu o to, że moje uczucia względem niej się zmieniły. Rośnie w niej moje dziecko, więc stały się jeszcze głębsze.

Wszyscy słuchamy go uważnie.

– Taaak, do mnie to jakoś nie przemawia – krzywi się Matt. – Dziecko i ja w jednym łóżku. – Wydyma usta. – Nie wiem, czy będzie mi stawał, jeśli kiedyś będę miał żonę w ciąży. Chyba kupię jej wibrator od razu po pozytywnym teście... – mówi, unosząc brew w zamyśleniu.

– Nie musisz się martwić. Żadna nie będzie chciała za ciebie wyjść – odpowiadam cierpko.

– No, a wibrator, tak czy siak, spisywałby się lepiej od twojego fiuta. Byłaby zachwycona, że w końcu może sobie poszczytować – orzeka Jed.

Wszyscy rechoczą pod nosem, a Matt z zadziornym uśmiechem wznosi szklankę do toastu.

– A jak twoja dziewczyna? Przyleciała z tobą? – pyta mnie Rick i wszyscy kierują na mnie uwagę.

Milczę przez chwilę.

– No... nie wypaliło nam – wyznaję, a gdy nikt nie komentuje, biorę kolejny łyk piwa i dodaję: – Jest w Australii.

– Co się stało? – pyta Matt z troską.

– Nic. – Wzruszam ramionami i rozglądam się na boki, unikając ich dociekliwych spojrzeń. – Zmiana tematu – burczę.

Wszyscy czterej patrzą po sobie, a ja piję piwo i udaję, że tego nie zauważam.

– Więc co z tą robotą? – pyta nachmurzony Ethan.

– Siedzę sobie z Bridget w kawiarni, w Sydney, i nagle stają przede mną John i Ross.

– Chwileczkę. Przylecieli do Australii i nawiązali z tobą kontakt przy niej? – dziwi się Rick, a ja przytakuję.

– Co, do chuja? – szepcze Ethan.

– Oświadczyli, że muszę wykonać jeszcze jedną robotę, zanim na rozwiązaniu mojej umowy pojawią się podpisy – wyjaśniam, a wszyscy słuchają mnie uważnie. – No więc poleciałem do Pragi i przygotowywałem się do strzału.

– Cześć, Ben... – odzywa się seksowny głosik skryty za jednoznacznym uśmiechem i nagle czuję dłoń sunącą w górę mojego uda.

Obracam głowę i widzę Belinę, dawną znajomą.

Ona uśmiecha się i pochyła, żeby pocałować mnie w policzek.

– Nie widziałam cię całe lata.

Pod stolikiem jej dłoń zapuszcza się coraz dalej.

Patrzę jej w oczy. Poznaliśmy się na siłowni i różniliśmy się kiedyś. Ruchaliśmy się jak króliki.

– Chłopaki, to Belinda – przedstawiam ją kumplom.

Wszyscy czterej się gapią.

Belinda jest jedną z najseksowniejszych kobiet, jakie stąpają po tym świecie. Ma długie blond włosy, wielkie cycki i niesamowite ciało. Dziś założyła na siebie niewiarygodnie obcisłą czarną sukienkę z bardzo głębokim dekoltem, która w zasadzie niczego nie pozostawia wyobraźni.

– Cześć.

Wszyscy wstają, żeby uścisnąć jej rękę.

Przesiadam się na taboret, a ona zarzuca mi rękę na ramiona.

– Boziu, dobrze wyglądasz, Ben. – Poprawia kołnierzyk mojej koszuli. – Musimy nadrobić stracony czas.

Uśmiecham się z zaciśniętymi ustami i patrzę jej w oczy.

– No, może później, jestem teraz trochę zajęty – odpowiadam, w zasadzie ją spławiając.

Parska śmiechem, jej cycki podskakują tuż przed moimi oczami.

– Trzymam za słowo – mówi. Potem nachyla się i szepcze mi na ucho: – Wracasz dziś ze mną do domu... – Całuje mnie w policzek.

Czuję jej oddech na twarzy i zaraz pojawia się nieprzyjemne ukłucie. Biorę ostry wdech.

– Na razie – odpowiadam.

Obraca się, częstuje chłopaków uroczym machnięciem czubkami palców, po czym znika w tłumie, kręcąc biodrami.

Wszyscy odprowadzamy ją wzrokiem.

Ethan gwizdże cicho.

– Ja pierdołę, Buzz, zawsze wyrywasz najgorętsze laski.

Upijam piwo, jestem wyprany z jakichkolwiek emocji.

*Chcę tylko jednej laski.*

– Dobra, to na czym stanęliśmy? – wraca do tematu Rick.

Kręcę głową, bo wizyta kobiety z przeszłości wybiła mnie z rytmu.

– A, tak... No więc siedzimy z Bridget w kawiarni, a oni do nas podchodzą.

– Czyli jednak do ciebie wróciła? – dziwi się Jed.

– Przelotnie – wzdycham. – W każdym razie ona wyszła z tej kawiarni, a ci mi mówią, że mam jeszcze jedną robotę do załatwienia.

Wszyscy słuchają, popijając piwo.

– Poleciałem do Pragi, zameldowałem się w hotelu i postępowalem według standardowej procedury. – Biorę szybki łyk piwa. – I nagle pojawia się Bridget.

Chłopaki otwierają oczy, przerażeni.

– Wpada do mojego pokoju, udając obsługę, i puszcza mi jakieś nagranie ze swojej komórki.

Ethan marszczy czoło.

– Czekaj, pogubiłem się. Co ona robiła w Pradze?

– A dasz mi dokończyć?

Unosi szklanek w przeproszającym geście.

– Gdy siedzieliśmy w kawiarni, wtedy, gdy zlecili mi robotę, Bridget zostawiła na stoliku telefon. – Zerkam w bok i widzę, że Belinda tańczy seksownie z trzema koleżankami. Odrywam od niej wzrok. *Ja pierdolę, dziewczyna potrafi odwracać uwagę.* – No i... Eee... – Próbuję się skupić. – Jej komórka się zjechała i włącza nagrywanie, gdy nachodzi ją ochota.

– Jak to możliwe? – dziwią się wszyscy.

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami i drapię się po głowie. – W każdym razie usłyszała wszystko, jak zlecają mi skok, jak się zgadzam. Wszystko, kurwa.

Wytrzeszczają oczy.

– Kurwa mać... – szepcze Ethan.

– To nie jest najgorsze – kontynuuję. – Telefon nagrywał i po moim wyjściu.

– Gdzie leżał? – zaciekawiał się Matt.

– Pod serwetką, nikt go nie zauważył. Nagrał, jak mówią, że gdy już wypełnię misję, to będzie na mnie czekał podstawiony samochód, dzięki któremu spotkam się ze Stwórcą i nikt się nie zorientuje, co się stało. Planowali mnie zabić.

– Kurwa – szepcze Rick, odchylając się, wstrząśnięty. – I co zrobiłeś?

– Zadzwoiłem do centrali.

– Co powiedzieli?

– Że ich wyśledzą i się do mnie odezwą, więc odesłałem Bridget do bezpiecznego hotelu i udawałem, że nie miałem jak strzelać.

Ethan ściąga brwi.

– Zorientowaliby się, ty nigdy nie chybiasz.

– Chyba się nie zorientowali – mówię, wzruszając ramionami.

– Czemu tak myślisz? – pyta.

– Bo zszedłem na parking i widziałem, jak haratają opony w tym podstawionym aucie, żebym nie mógł odjechać.

– Nie rozumiem – mówi Jed. – Dlaczego zerwali się ze smyczy i dlaczego zależało im na twojej śmierci?

– Bo gdybym zginął, to nikt by się nie dowiedział, że zerwali się ze smyczy.

– Hmm... – Wszyscy nad tym dumają. – I co się dzieło później?  
– Musiałem przyjechać do centrali i złożyć formalne oświadczenie, a po tamtych dwóch ślad zagał. Więc albo nie żyją, albo się ukrywają. Muszę czekać na kontakt z ich strony. Jeżeli żyją, to wkrótce się odezwą.

Moi kumple ponownie otwierają szerzej oczy.

– Czyli Bridget o wszystkim wie? – pyta Jed.

Przytakuję.

– Zostawiła mnie w Pradze.

Nad stolikiem zapada cisza.

– Przykro mi, stary – wzdycha Rick, a reszta chłopaków kiwa głowami ze współczuciem.

Potem przez kilka chwil siedzimy w ciszy.

– Tym razem straciłem ją na dobre – dodaję.

Belinda łapie moje spojrzenie na parkiecie. Buja się seksownie i zagina palec, w geście „chodź do mnie”.

Prycham i kręcę głową.

– Cóż, mam nadzieję, że zabierzesz Złotowłosą do domu i wydupczysz z organizmu tęsknotę za Bridget – mówi Ethan, nie odrywając od niej wzroku. – Byłoby cholernie szkoda, gdyby takie ciało się dziś zmarnowało...

Piję piwo i patrzę, jak Belinda wije się seksownie w rytm muzyki.

*Może rzeczywiście tego mi trzeba?*

\*\*\*

Jest pierwsza w nocy, a ja scrolluję Instagram.

Chłopaki wyrwali jakieś dziewczyny, a my z Rickiem zostaliśmy przy stoliku sami.

– Zaraz zawijam do domu, stary – mówi.

– No, ja też – wzdycham.

Jesteśmy z Rickiem najbliżej. Znajduje się w położeniu nieco podobnym do mojego. Obaj jesteśmy w armii od piętnastego roku życia. Z nikim innym tak dużo nie rozmawiam.

– Zadzwonisz do niej?

– Nie ma sensu – odpowiadam, kręcąc głową.

– Chujowo, stary – stwierdza, rozglądając się po lokalu.  
– Owszem.  
– Ej, chcesz zanoćować u nas? Ally byłaby zachwycona, gdyby rano zastała cię w domu.  
Uśmiecham się.  
– Nie, dzięki, stary. Dopiję to piwo i jadę do siebie.  
Rick wstaje.  
– Siłka jutro? – Podaje mi rękę i patrzy w moją twarz nieco dłużej niż zazwyczaj.  
– Pewnie. – Uśmiecham się smutno.  
Poklepuje mnie po barku i zostawia samego przy stoliku.  
Wracam do scrollowania i zauważam, że Bridget opublikowała zdjęcie. Nie umieszczała niczego w mediach społecznościowych, odkąd się ostatnio widzieliśmy. Klikam w nie. To zdjęcia ptaka przelatującego nad kanionem, a podpis głosi: „Lataj swobodnie i wysoko”.  
Ściska mnie w żołądku. To wiadomość. Dla mnie.  
Jej pożegnanie.  
Spuszczam głowę i przez dłuższy czas gapię się w wykładzinę.  
Pojebane to. Nie znoszę tego uczucia.  
Muszę się stąd wydostać. Wstaję, chcę iść do łazienki, ale nagle wyrasta przede mną Belinda, tarasując mi przejście.  
– Hej, Ben – mówi i jej ręce od razu lądują na moim tyłku. Otacza nas tłum. – Zapomniałeś po mnie przyjść?  
Na moim obliczu pojawia się cień uśmiechu.  
– Zapomniałem.  
Gładzi mój tors dłońmi.  
– Boże, od wieków nie spędzaliśmy razem czasu.  
Patrzę na nią, a przez moją głowę przemyka milion myśli.  
– Owszem – odpowiadam automatycznie.  
– Nikt nie rżnie mnie tak, jak ty... – szepcze seksownie.  
Spuszczam wzrok na jej usta.  
– Potrzebuję prawdziwego faceta, żeby wziął mnie ostro, żeby zrobił mi dobrze.  
Moja dłoń zsuwa się na jej biodra.  
– Ach, tak? – szepczę.

# Bridget

Siedzę na walizce na schodach przed budynkiem Bena. Jest pierwsza w nocy, a on nie odbiera moich telefonów.

Kurwa jego mać. Chciałam mu zrobić niespodziankę i gównu z tego wyszło. Samolot miał opóźnienie, dotarłam na miejsce późno i nie mogę się z nim skontaktować. Poczekam jeszcze z pół godziny, a jak nie przyjdzie, będę musiała znaleźć jakiś hotel.

*Gdzie on jest?*

*Co jeśli nawet nie ma go Stanach?*

*Nie no, wiem przecież, że jest. Joshua dziś z nim rozmawiał... Nie, nie dziś, a wczoraj.*

*Moment, jaki mamy dzień?*

Patrzę na budynek. Pewnie po prostu śpi.

*Jasna cholera, przecież to pierdolona porażka.*

Na szczęście nie jestem zmęczona, bo u mnie w domu właśnie dzień budzi się do życia.

Wielkie, ciężkie drzwi się otwierają i pojawia się w nich ochroniarz.

– Mogę jakoś pomóc?

– Czekam na Bena Stathama. Mieszkanie dwieście jeden... – mówię z nadzieją w głosie.

– Oczekuje pani?

– Nie, chciałam mu zrobić niespodziankę, ale nie odbiera telefonu.

– Proszę pozwolić, że zadzwonię do jego mieszkania.

Uśmiecham się szeroko.

– Okej, dzięki.

Ruszam za nim, ale odwraca się i mówi:

– Przykro mi, ale do budynku może pani wejść jedynie w towarzystwie mieszkańca.

– Oj. – Przewracam oczami. *Trochę przesadzają, prawda?* – Dobrze, to zaczekam tutaj. – Siadam na walizce i stwierdzam, że ta niezniszczalna, twarda walizka to mój najlepszy zakup w życiu.

Ochroniarz wraca po kilku chwilach.

– Nie odbiera domofonu ani telefonu. Przykro mi, nic więcej nie mogę zrobić.

– W porządku. – Kiwam głową i patrzę na ulicę. – Zaczekam jeszcze kilka chwil, a potem sobie pójdę.

– Zamówić pani taksówkę?

– Nie, nie trzeba. Sama sobie zamówię, gdy już będę gotowa. – Gapię się na drogę, w ciemność.

– Jestem tutaj, gdyby mnie pani potrzebowała – mówi ochroniarz, po czym znika za drzwiami.

Gdy w ulicę skręca para reflektorów samochodowych, wstaję z walizki.

To taksówka.

Mój żołądek fika salto z ekscytacji, kiedy auto zatrzymuje się przed budynkiem i drzwi się otwierają.

Nikt nie wysiada, jakby pasażerowie o czymś rozmawiali.

Nagle ze środka wyskakuje Ben i uśmiecha się radośnie.

Och, chwileczkę... Nie jest sam.



# Rozdział 15

## Bridget

Ben podnosi wzrok i przez ułamek sekundy widzę w jego oczach nadzieję, ale mruga i kiwa głową w moją stronę.

Serce zaczyna mi walić w piersi.

Z kim przyjechał?

Odsuwa się i z taksówki wyskakuje roześmiany mężczyzna.

– Bridget! – woła ten facet.

Uśmiecham się. Mam ochotę rzucić się na Bena, ale nie chcę narobić sobie obciachu. Stoję więc cały czas w tym samym miejscu.

Tymczasem nieznajomy facet wbiega po schodkach i zaczyna się ze mną witać.

– Cześć, jestem Rick. – Łapie mnie w objęcia. – Jakże miło cię poznać. – Odsuwa się na długość ramion i przygląda mi się badawczo, a potem odwraca się i wali Bena pięścią w ramię. – A nie mówiłem, kurwa? – rzuca do niego ze śmiechem.

Zbiega z powrotem do taksówki, a na odchodnym odwraca się i woła:

– Jak już skończycie wyprawiać to, co zamierzacie, postarajcie się znaleźć czas na kolację ze mną i Ally.

Ben chowa ręce w kieszeniach dżinsów i patrzy za odjeżdżającą taksówką.

Gdy przenosi na mnie spojrzenie, lekko się kulę. Nie wygląda na szczególnie zachwyconego moim widokiem.

*Może to jednak był kiepski pomysł.*

*Kurwa.*

W mojej wyobraźni nasze spotkanie przebiegało jak w książce – rzucił się do mnie biegiem, potem całowaliśmy się namiętnie, wyznawał mi miłość do grobowej deski, opowiadał, jak ogromnie tęsknił.

Powinnam mieć dość oleju w głowie, by wiedzieć, że Ben nie ma w sobie nic z książkowego romantyzmu.

– Cześć – szepczę.

– Witaj, Bridget – odpowiada spokojnie i nie rusza się z miejsca.

Mina mi rzednie.

– Chyba nie cieszysz się na mój widok.

– Po co przyleciałaś? – pyta.

– Bo... – Przełykam ślinę przez ściśnięte gardło. – Przyleciałam, bo cię kocham.

Patrzy mi w oczy, ale nie odpowiada.

– Tęskniłam za tobą, Ben – szepczę, łapiąc go za rękę. – Przepracowałam to sobie i będzie dobrze.

Jego wzrok ląduje na naszych splecionych dłoniach.

– Nie dostanę nawet buziaka na powitanie? – mamroczę.

Patrzy na mnie chłodnym wzrokiem.

– Wejdźmy do środka.

Odwraca się po moją walizkę i wprowadza ją do budynku.

Wchodzę za nim, a moje serce jakby pikowało w przepaść.

*Jest zły.*

Gdy jedziemy windą w ciszy, czuję od niego alkohol.

– Wyszedłeś do miasta? – pytam.

– Tak.

Drzwi się rozsuwają i Ben wychodzi szybko na korytarz. Muszę niemal biec, żeby za nim nadążyć. Gdy otwiera drzwi do mieszkania, staję za nim i zaczynam się denerwować.

Całymi latami zastanawiałam się, jak mieszka. A teraz tu jestem i to wszystko wydaje się nierealne. Natomiast z całą pewnością nie sądziłam, że będę oglądała jego mieszkanie w takich okolicznościach.

– Jak długo tu mieszkasz? – pytam.

– Z dziesięć lat.

– Dziesięć lat w tym mieszkaniu? – dopytuję, próbując podtrzymać rozmowę.

– Nie, wcześniej mieszkałem gdzieś indziej w mieście. Tutaj z sześć lat. Może siedem.

– Przeprowadziłeś się tu, gdy pracowałeś dla Joshui?

– Tak, wtedy kupiłem to mieszkanie. – Zaciska usta, zastanawia się przez chwilę. – To on je znalazł. Wróciliśmy pewnego weekendu do miasta i je kupiłem.

– To Joshua tu był? – pytam, zaskoczona.

– Wiele razy – odpowiada i otwiera ostatni zamek kluczem.

– Och.

*A to nowość. Ciekawe.*

– Pewnie mam bałagan – mówi, wchodząc powoli do środka. – Nie spodziewałem się towarzystwa.

Foyer jest wielkie. Wisi w nim abstrakcyjny obraz w pięknej zielonej tonacji. Pod ścianą stoi niewielki wieszak na płaszcze.

– Nieźle... – szepczę.

Przechodzimy łukowatym przejściem, a mnie opada szczęka. Mieszkanie ma marokański klimat. Jest wielkie i kojarzy mi się z dawnym magazynem. Ściany są białe, pomieszczenia łączą łukowato sklepione przejścia. Kuchnia, cała czarna i metaliczna, z wielką kamienną wyspą pośrodku, znajduje się po lewej stronie. W części dziennej stoi wielka kanapa z czarnej skóry. Podłogi są wyłożone ciemnym drewnem, ale w wielu miejscach przykryte antycznymi dywanikami w zielonych odcieniach.

– Pięknie... – mamrocę, rozglądając się dookoła.

Meble pasują do klimatu mieszkania. Są wykonane z solidnego drewna i bardzo męskie, lecz przy tym wyjątkowo na czasie.

Ben wzrusza ramionami i wyciąga przed siebie rękę.

– To mój dom.

Odstawia moją walizkę pod ścianę i znowu na mnie spogląda. Bierze się pod boki, przyjmuje postawę obronną.

– Jesteś zły – szepczę.

Patrzy na mnie posępnie i zaciska zęby.

– Ben... Ja musiałam to sobie przepracować. Potrzebowałam czasu.

Patrzy na mnie lodowato.

– Nie chcę, żebyś musiała cokolwiek „przepracowywać”, aby mnie zaspokoić – cedzi.

– Ben... – Próbuję go dotknąć, ale się odsuwa.

– Nie dotykaj mnie – warczy. – Pokój gościnny jest po lewej. Rozgość się.

Wybiega korytarzem i trzaska za sobą drzwiami, a ja stoję w części dziennej, kompletnie wstrząśnięta.

*Co to było, do cholery? Ja pierdolę. Nie powinnam była tu przylatywać.*

Zamykam drzwi na zamek, po czym idę do kuchni poszukać szklanki i nalać sobie wody, a po drodze rozglądam się jeszcze po mieszkaniu. Potem ciągnę walizkę do pokoju, który wyznaczył mi Ben.

Oczywiście, że jest na mnie wkurwiony... Jebany palant. Zaraz też się wkurwię. Przecież powinien zrozumieć, że potrzebowałam czasu.

W tym momencie dociera do mnie, jak bardzo Ben różni się od Erica. Eric mi dogadza i traktuje mnie jak królową. Cacka się ze mną, znosi moje fochy bez mrugnięcia okiem... Z Benem to ja znoszę humory.

Zmarnowałam szansę?

Słyszę, jak w pokoju Bena włącza się prysznic.

Wzrasta we mnie gniew.

Przyleciałam do niego taki kawał, wyobrażałam sobie szczęśliwe, bajkowe pojednanie, a on mnie olewa?! Walić go.

Wchodzę do łazienki i rozglądam się.

Co to mają być za kolory?

– Twoja łazienka wymaga remontu! – krzyczę.

Nie odpowiada.

Puszczam wodę i wchodzę pod prysznic. Mój gniew pęcznieje z każdą chwilą. Jestem pewna, że białka moich oczu płoną już na czerwono.

Jest pierdolonym płatnym mordercą. Okłamywał mnie w tej sprawie i jeszcze ma czelność się wściekać? On na mnie?!

Ciśnienie ciepłej wody w mojej baterii słabnie. Wrrr. Przekręcam gałkę maksymalnie w prawo, żeby ciśnienie spadło w jego łazience.

*Masz, palancie.*

Ciśnienie wody znowu słabnie.

*Nie waż się odbierać mi wody!*

Odsuwam się spod strumienia i puszczam maksymalny wrzątek.

*Nie zadzieraj ze mną.*

Słyszę, jak wyłącza swój prysznic i uśmiecham się triumfująco. Potem jednak słyszę trzask drzwi jego pokoju.

*Ups.*

Wparowuje do mojej łazienki, przepasany ręcznikiem.

– Co ty wyprawiasz? – warczy.

Mrużę oczy.

– Zużywam całą ciepłą wodę. A na co ci to wygląda?

– Wiesz, że jestem na ciebie wkurwiony. Na twoim miejscu odpuściłbym dziś takie prowokacje.

– Ja na ciebie też! – krzyczę.

Wymierza we mnie palec i unosi brew.

– Ty na mnie?

– Tak, ja na ciebie! – wrzeszczę. – Powinieneś był powiedzieć, gdzie pracujesz. Nie dziwne, że byłam wstrząśnięta.

*Prycha.*

– Wstrząśnięci ludzie się kłócą, może mają ciche dni, a ty mnie zostawiłaś! – Warczy. – Jak dla mnie to nieco wykracza poza „wstrząs”, Bridget.

– Nie krzycz na mnie – rzucam.

– Będę cię traktował, jak chcę! – krzyczy.

Mierzymy się wściekłymi spojrzeniami, oboje jesteśmy rozjuszeni.

W tym momencie dociera do mnie, że jest w samym ręczniku. On chyba doznaje podobnego objawienia, bo spuszcza wzrok na moje nagie ciało.

Łazienka jest gorąca i zaparowana, a powietrze aż gęste od napięcia.

Ben podnosi na mnie mroczne spojrzenie.

– Do łóżka.

Wytrzeszczam oczy.

*Hę?*

– Co?

– Słyszałaś. Do łóżka, i na czworaka.

*Oj, oj...*

W aktualnej sytuacji to chyba nie jest najlepszy pomysł.

– C-co chcesz mi zrobić?

– Na cokolwiek najdzie mnie, kurwa, ochota.

Zrzuca ręcznik na posadzkę. Jest twardy jak skała i gotowy.

Spuszczam wzrok na jego fiuta i... nie mogę się powstrzymać... Oblizuję wargi. Spędziłam bez niego dwa długie tygodnie.

Patrzy mi prosto w oczy i wchodzi do mojej kabiny, pod strumień gorącej wody. Łapie garść moich włosów i szarpnięciem przysuwa moją twarz do swojej. Całuje mnie, mocno ssąc wargi, dominując.

Czuję, jak moje stopy odrywają się od podłogi.

– Ben... – kwilę w jego usta.

– Do łóżka. Musimy to przepracować.

Łapie moją dłoń i kładzie ją sobie na kutasie, więc posłusznie biorę go w garść.

Moje wnętrzości zaczynają się topić.

– Musimy porozmawiać... – szepczę, częściowo wystraszona jego zwierzęcym spojrzeniem.

Gryzie moją wargę, na co skamlę z bólu.

– Nie. Musimy się jebać. Ostro.

I nagle przygwaźdża mnie do ściany, a jego twardy fiut ślizga się po moim brzuchu. Jego usta są wszędzie – przesuwają się po mojej szyi, ssą sutki, gryzą, całują. Po chwili Ben podnosi mnie, opiera o ścianę, oplata się moimi nogami w talii i wbija się we mnie z impetem.

– Aaa, zrobisz mi krzywdę! – krzyczę.

Wbija się we mnie drugi raz i szarpnięciem za włosy odgina mi głowę, ponownie przybliżając moją twarz do swojej.

– Rewanżuję ci się za przysługę.

Rznie mnie ostro pod ścianą, a ja cały czas krzyczę.

*Kurwa... To takie złe, ale tak... przyjemne.*

– Jaką przysługę? Że cię skrzywdziłam? – pytam szeptem, a on unosi moje nogi wyżej na przedramionach, żeby wejść głębiej.

*Cholera, jest jak zwierzę.*

Nasze ciała obijają się o siebie z charakterystycznym odgłosem.

– Zamknij się, kurwa – warczy. Odkleja mnie od ściany i nie wychodząc ze mnie, wynosi mnie z kabiny.

Gdy docieramy do łóżka, całuje mnie i pozwala moim stopom opaść na podłogę.

*O, nareszcie... Jakaś namiastka czułości.*

Chwytam się jej z całych sił i odwzajemniam pocałunek. Ujmuję jego twarz w dłonie.

– Kocham cię – szepczę.

Ben tężeje i odzyskuje panowanie nad sobą. Obraca mnie tyłem i popycha na łóżko, aż ląduję na czworakach. Rozsuwa moje nogi szerzej.

– Na łokcie – rozkazuje.

Przebieram nogami i kuszę go, machając tyłkiem, za co daje mi ostrego klapsa.

– Aua! – skamle.

*Ja pierdolę, to naprawdę kiepski pomysł.*

Patrzę na niego między moimi nogami. Jego kutas wisi ciężko, na końcówce lśnią kropelki jego podniecenia, które chciałabym zlizać.

Zaczyna chodzić tam i z powrotem za moim tyłkiem. Wiem, że próbuje się uspokoić, żeby nie zrobić mi krzywdy. Ben właśnie tak działa – nie potrafi werbalizować myśli, więc potrzebuje kontaktu fizycznego.

Zwalcza instynkty, które chcą mnie skrzywdzić.

Obracam głowę i nasze spojrzenia się spotykają.

– Dawaj, maleńki. Skrzywdź mnie za to, że ja skrzywdziłam ciebie.

Patrzy na mnie ponuro, z zaciśniętymi zębami, a ja spuszczam głowę, żeby przygotować się na jego nawałnicę.

Lecz wtedy jego usta czule muskają dołeczek w moich lędźwiach. Obdarowuje mnie długimi, głębokimi liźnięciami, a ja unoszę się lekko nad łóżkiem, by wyjść mu na spotkanie. Jego dłonie lądują na moich zwisających piersiach i ugniatają je, jakby nie mogły się nasycić. Wędruje pocałunkami w górę, aż w końcu przygryza skórę na moim karku.

Czuję na tyłku jego kutasa. Czuję ślad wilgoci, jaki za sobą zostawia.

Niespodziewanie jego język ląduje na moim tyłku, zaczyna lizać tylne wejście, a mnie oczy uciekają w tył głowy.

*Ja pierdolę. Ben jest mistrzem analu.*

Nauczył mnie pieprzyć się w ten sposób i z nikim innym tego nie robiłam. To należy do niego, wyłącznie do niego.

Obserwuję go między moimi nogami, widzę ekstazę na jego twarzy, widzę wiszącego ciężko kutasa. Widzę, jak sama wiję się na jego ustach.

– Ben... – jęczę. Pot lśni na mojej skórze, włosy mam mokre po kąpieli.

Czuję, jak jego usta wyginają się w uśmiechu i sama uśmiecham się w poduszkę.

*Boże, jak dobrze.*

Kurwa, jest aż za dobry w te klocki. Takie panoszenie się w łóżku powinno być prawnie zakazane.

Wpycham mu tyłek w twarz.

*Kurwa, jak ja tego potrzebuję.*

Wstaje, łapie mnie za jedno biodro, po czym pochyla się i całuje mnie czule w lędźwie.

Uśmiecham się w poduszkę, a on wsuwa kciuk w mój tyłek. Jęczę, gdy zaczyna wykonywać nim powolne ruchy.

– Tak ciasno... – szepcze sam do siebie.

– Ben, ten tyłek jest tylko twój. Byłeś w nim tylko ty – mruczę w poduszkę.

Zamiera, a potem wydaje z siebie gardłowy jęk. Ruchy jego kciuka stają się szybsze. Nagle zatrzymuje się nade mną i pochyla. Całuje mnie delikatnie w łopatkę.

– Aniele, nie mogę cię tam dziś zerznąć. Zrobiłbym ci krzywdę... – szepcze.

– Nie... – skamlę – ...ale... ja chcę... – Pamiętam, jakie to intymne uczucie i właśnie tego mi dziś trzeba. – Ben... daj mi to... – sapię, niespiesznie ujeżdżając jego kciuk. – Proszę cię, Ben... Potrzebuję cię całego...

*Boże, jak ja pragnę połączyć się z nim w ten sposób.*

– Masz mnie całego – warczy. – I wiesz o tym, kurwa.

Wchodzi we mnie ostro, aż padam z impetem na materac.

*O Boże.*

Trzymając kciuk w moim tyłku i dłoń na moim biodrze, zaczyna mnie ostro posuwać. Wykonuje gwałtowne, karzące pchnięcia.

Nie mogę złapać tchu. Nic nie mogę, co najwyżej przetrwać.

Zaczyna ruszać też kciukiem i... *O Boże... O Boże... O kurwa...*



Krzyczę, wstrząsana najsilniejszym orgazmem w całym moim życiu. Moje ciało wiotczeje, ale on jedzie ostro i szybko. W mieszkaniu niesie się echo wilgotnych uderzeń ciała o ciało. Zamykam oczy i próbuję wytrzymać, ale Boże, jest taki nakręcony...

W końcu z głębi trzewi wydaje z siebie westchnienie i dochodzi we mnie. Jego kutas wsuwa się i wysuwa, powoli opróżniając się do ostatniej kropli. Wychodzi ze środka i kładzie mnie na plecach, z szeroko rozłożonymi nogami.

Wstrzymuję oddech, patrząc, jak powoli zaczyna pracować palcami w mojej cipce, jakby wpadł w podziw nad tym, co jego ciało tam zrobiło.

– Ben... – szepczę.

Pozostaje wpatrzony w moje krocze, ogląda ruchy własnych palców.

– Spójrz na mnie, proszę.

Patrzy, ale wiem, że niechętnie oderwał oczy od tamtego widoku.

– Kocham cię. Już cię nie zostawię – wyznaję cicho.

Obserwuje mnie bez emocji.

– Przysięgam.

Siadam, całuję go. Po chwili czuję, że jego mury upadają.

Porywa mnie w ramiona, mocno obejmuje i całujemy się; jego twarz wykrzywia się tuż przy mojej.

– Skrzywdziłaś mnie... – szepcze.

Moje oczy wypełniają się łzami.

– Wiem, maleńki. Wiem. Ale ty skrzywdziłeś mnie pierwszy.

Kładzie mnie na plecach i wsuwa się we mnie z powrotem – powoli, czule; znów stajemy się jednością.

W końcu zaczyna się moje pojednanie.

Jak z romansu.

\*\*\*

Budzę się przy wtórze jego oddechów. Śpi twardo na plecach. Przewracam się na bok i patrzę na niego z uśmiechem. Jest tak bardzo złożonym mężczyzną – silnym pod każdym względem samcem alfa, a jednak najbardziej kocham w nim wrażliwość.

Pochyłam się i całuję czule jego tors, pozwalam oczom błąkać się po jego ciele. Jest szeroki i muskularny, lecz jego kutas jest teraz miękki. Uśmiecham się. Powinnam pstryknąć mu zdjęcie. Przecież on zawsze stoi.

Boże, kocham go. Kocham w nim wszystko i kocham to, że poznałam go na tyle dobrze, że już potrafię czytać z niego jak z otwartej książki. Jeszcze wczoraj w nocy czuł się skrzywdzony. Dawna ja wdałaby się z nim w kłótnię, po czym trzasnęłaby drzwiami i odeszła.

Ale nowa ja została i walczyła.

Sunę palcem przez środek jego piersi, zjeżdżam na jego wyrzeźbiony brzuch i dalej wzdłuż prowadzącego do krocza szlaku z włosów. Muskam ustami jego ramię.

Ben wzdycha głęboko, obejmuje mnie ramieniem i przyciąga bliżej.

– Hej, maleńka – mruczy sennie, całując mnie w skroń.

– Hej. – Uśmiecham się i całuję go w usta. – Wszystko dobrze? – pytam troskliwie.

Wpatruje się w sufit i marszczy czoło, próbując skupić wzrok.

– Wczoraj prawie tu kogoś przywiozłem – mówi.

Mina mi rzednie.

– Co takiego? – Waham się przez chwilę. – Więc co cię powstrzymało?

Kręci lekko głową.

– Didge, ja dłużej tak nie dam rady. Nie mogę cię kochać i nie być z tobą. Nie mógłbym być z kimś innym. Już tego nie potrafię. Na myśl o nocy z inną kobietą robi mi się niedobrze.

Uśmiecham się i całuję go w usta.

– Och, Ben... – szepczę smutno.

– Musimy się ogarnąć, bo ostatnie dwa tygodnie były piekłem – mamrocze.

Głaszczę palcami jego dwudniowy zarost i się uśmiecham.

– Zwolniłam się z pracy – przyznaję, a on ściąga brwi. – Przyleciałam z tobą zamieszkać, a jak rozprawimy się tutaj ze wszystkim, wrócimy do Australii i wprowadzisz się do mnie. Postanowione, Ben. Koniec podchodów. Koniec bzdur. – Całuję go

czule. – I obiecuję, że jak się pokłócimy, to nie odejdę, ale musisz ze mną rozmawiać.

Przygląda mi się niepewnie.

– Jest jeden problem z tym planem – mówi.

– Jaki?

– Nie wprowadzam się do ciebie – rzuca, a gdy tym razem to ja marszczę czoło, on kontynuuje: – Ty wprowadzasz się do mnie.

– A co jest nie tak z moim domem? – pryham.

– Byłaś w nim z innym mężczyzną i nie zniosę tej myśli. Moje mieszkanie, nowy początek.

Uśmiecham się szeroko.

– Okej, w sumie może być. – Całujemy się z czułością. – A teraz opowiedz o tej dziewczynie, którą prawie tu przywiozłeś – mówię, unosząc ironicznie brwi.

– Blondyna, napalona, wielkie cyce – parska.

– Zastanów się nad każdym słowem... – ostrzegam, mrużąc oczy.

– I głupia jak but – dodaje.

Chichoczę.

– Tak czy inaczej, wygląd był bez znaczenia. Nie miała szans – mruczy i przewraca się na bok, żeby na mnie spojrzeć. Łapie moją pierś, pieści kciukiem sutek i zastanawia się.

– Dlaczego? – pytam cicho.

Podnosi wzrok i patrzy mi w oczy.

– Bo nie jest tobą – mówi, a potem nachyla się i czule mnie całuje.

Uśmiecham się i przetaczam na niego.

– Ben... – szepczę.

– Tak, Bridget? – pyta wesoło.

– Musisz natychmiast zabrać mnie na śniadanie, bo konam, kurwa, z głodu. Nie jadłam od dwóch tygodni.

Rechocze pod nosem i wiem, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Gdzie byś chciała iść?

– Obojętne, byle nie do bufetu „płacisz raz i jesz, ile chcesz”.

\*\*\*

Siedzimy w kawiarni i czekamy na śniadanie.

Chwytam Bena za rękę. Muszę dotrzeć do sedna sprawy, bo gnębi mnie to już dwa tygodnie.

– Opowiedz mi o tych facetach, którzy chcieli cię zabić.

Robi poważną minę i wzrusza ramionami.

– Szczerze mówiąc, sam niewiele wiem. Nie byłem ich zasadniczym celem, natomiast chcieli zabić człowieka bez wiedzy naszego rządu.

Ściągam brwi.

– Sprawdziłeś tego gościa, na którego polowali?

– Tak, dogłębnie.

Przyglądam mu się bacznie.

– I co się robi w takich sytuacjach? – pytam.

– Coś wymyślimy z chłopakami. Nie musisz się martwić.

– Z jakimi chłopakami?

– Mam tu czterech najlepszych kumpli. Pracujemy razem. Umówimy się na drinka, żebyś mogła ich poznać.

– I oni robią to samo co ty? – pytam, zdumiona.

– Tak – odpowiada spokojnie. – Polubisz ich. Dwóch służyło ze mną w wojsku, odkąd mieliśmy po kilkanaście lat. Ricka poznałaś wczoraj. Zdobywaliśmy razem szlify. Są dla mnie jak bracia i wiedzą o wszystkim.

– Co im o mnie mówiłeś? – dociekam.

– Że świetnie robisz gałę.

Rozdziawiam gębę w przerażeniu.

– Ben... – szepczę, spanikowana. – Co ty opowiadasz, do cholery?

Rechocze pod nosem.

– Nie, tego akurat im nie powiedziałem. Wspomniałem natomiast, że masz najbardziej podniecający tyłek w dziejach ludzkości.

– Na miłość boską, jesteś kretynem. – Przewracam oczami.

Unosi zadziornie brwi.

– To bardzo istotna informacja dla facetów, którzy wiedzą, jak zając się odpowiednio tyłeczkiem.

Robi sobie ze mnie jaja.

– Co naprawdę im mówiłeś? – pryham.

Uśmiecha się seksownie i zastanawia nad odpowiedzią.

– No? – popędzam go, unosząc brew. – Czekam.

– Nie muszę nic mówić – wyjaśnia, nagle poważniejąc. – Wiedzą, ile dla mnie znaczysz.

Próbuję się powstrzymać, ale nie daję rady i uśmiecham się głupkowato. Nachylam się i muskam palcami jego brodę.

– Podoba mi się ta nowa, bardziej rozgadana wersja Bena.

– Nie przyzwyczajaj się – szepcze.

Opieram się na krześle i patrzymy sobie w oczy. Powietrze między nami aż iskrzy.

– Szkoda, że nie jesteśmy sami – wzdycham.

Jego wzrok pada na moje usta.

– Co byś mi zrobiła?

– Chodzi o to, co ty zrobiłbyś mnie.

Ściąga brwi i się wierci. Chyba musi poprawić coś w spodniach. Wystarczą dwa moje zdania i już mu stoi. Mam nadzieję, że zawsze będę tak na niego działała.

Uśmiecham się, gdy Ben oblizuje wargi i spogląda na moje piersi.

Boże, jesteśmy jak zwierzęta, nie potrafimy się sobą nasycić. W ciągu ostatnich dwóch tygodni tak wiele przeszliśmy, że nie mam ochoty dzielić się nim ze światem nawet przez minutę. Chcę go całego tylko dla siebie.

Czar pryska, bo pojawiają się nasze dania.

– Dziękujemy.

Uśmiechamy się do kelnerki, kiedy stawia talerze na stoliku, po czym zabieramy się do jedzenia.

– Wiesz, tak się zastanawiałam... – kontynuuję, biorąc gryza. – Skąd wiedziałeś, że ci goście opuścili Pragę?

Ben wypełnia usta makaronem.

– Ich czipy wyskoczyły.

– Co to znaczy? – pytam, przeżuając.

– Wszyscy mamy mikroczipy – odpowiada rzeczowo. – Dowództwo zawsze wie, gdzie się znajdujemy.

Wytrzeszczam oczy i zamieram z otwartą buzią.

– Co takiego?

– Wszczepili nam je, gdy zaczynaliśmy robotę w WNZ.

Opieram się na krześle, jestem do cna zszokowana.

– Masz mikroczip, jak jakiś, kurwa, pies?! – szepczę wściekle.

Ben przewraca oczami.

– Masz natychmiast pozbyć się tego gówna – stwierdzam, łapiąc za telefon.

– Nie mam prawa. Zasady pracodawcy.

– Twoja umowa dobiegła końca. Ludzie mający dostęp do informacji z tego mikroczipa, próbują cię zabić. Ben, nie bądź głupi.

– Kręcę głową z niesmakiem. Przewijam listę kontaktów w moim telefonie i wybieram numer. – Dziwię się, że jeszcze tego, kurwa, nie zrobiłeś.

– Gdzie dzwoniisz? – warczy.

– Do Camerona. Wyciągnie to z ciebie. Studiował chirurgię.

– Przesadzasz. Wszystko gra – mówi, zirytowany.

– Tak, jasne – cedzę, rozzłoszczona. – Nigdzie z tobą nie chodzę, skoro te chuje przez cały czas znają twoje położenie. Ben, tutaj chodzi też o moje bezpieczeństwo. Nie bądź takim egoistą.

Patrzy na mnie z wyrzutem i kręci głową, przewracając oczami.

– Cameron Stanton. – Odbiera Cam.

Sam dźwięk jego głosu wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

– Hej, Cam, to ja.

– Didge – mówi radośnie. – Co tam słyszeć?

– Posłuchaj, chcę cię prosić o przysługę.

– Jaką?

Krzywię się, próbując coś wymyślić.

– Musisz mi wyciąć taki jeden kolczyk...

– Że co? – pyta.

Ben wali się otwartą dłonią w czoło, a ja zaciskam powieki, zażenowana. To najgłupsza zmyślona wymówka.

– O co dokładnie ci chodzi? – docieka rozbawiony Cameron.

Kręcę głową i wbijam wzrok w podłogę. Jeśli spojrzę na Bena, to wybuchnę śmiechem.

– No mam jeden kolczyk... I ta tylna część się coś popsuła... Nie możemy go zdjąć...

– Ja pierdolę, Bridget – parska śmiechem. – Jesteś niepodrabialna.

Muszę przyznać, że sama nigdy nie słyszałam bardziej niedorzecznej historyjki.

– Ale nie masz go w łechtaczce, co? – pyta nagle. – Bo na pewno nie będę ciachał łechtaczki.

Wybucham śmiechem. Biedny Cam.

– Nie, w pępku.

– Fuj.

– W każdym razie, lecę do LA na weekend... – kontynuuję.

– Och, nie będzie mnie.

– A gdzie będziesz?

– Lecę do Nowego Jorku.

– Po co?

– Lecę poszukać tej laski, którą poznałem w zeszły weekend w Vegas.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym mowa... Ale czy w takim razie mógłbyś się mną zająć jutro wieczorem?

– No, rzucę okiem.

– Cam... – zawieszam głos. – A możesz nikomu nie mówić, że przylatuję?

– A czemu nie?

– Cóż... – *Cholera, co tu wymyślić?* – Chcę zrobić niespodziankę Adrianowi, a jak inni się dowiedzą, to bankowo mu wyaplają.

– Co racja, to racja. W takim razie do jutra. Wracam z pracy koło dziewiętnastej.

– Dzięki, do zobaczenia.

– Pa, pa, Didge. – Rozłącza się.

– Widzisz, tak się załatwia tego typu sprawy – rzucam do Bena.

Kręci głową.

– Nie. Tak się w chuj ośmiesza historyjkami o zepsutych kolczykach. Czy kolczyki w ogóle mogą się tak zablokować?

– Nie mam pojęcia – odpowiadam wesoło.

– Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

Wzruszam ramionami.

– Ale musisz przyznać, że gdybyś naprawdę nie mógł zdjąć kolczyka, to byłoby nieciekawie.

– Bridget, przymknij się już i obiecaj, że nikomu więcej nie będziesz opowiadała baśni o kolczyku – mówi cierpko.

Wybucham śmiechem i kręcę głową.

– Nie będę. Najlepsze opowieści zachowam tylko dla ciebie i Cama.

\*\*\*

Zjedliśmy śniadanie i czekamy na kawę na wynos.

Ben stoi za mną, obejmując mnie opiekuńczo w talii, ja opieram się o niego plecami. Próbuję zarezerwować przez komórkę lot do LA.

– Kawa dla Bridget – woła dziewczyna.

Odbieram napój z uśmiechem i wychodzimy na ulicę. Nagle wpada na mnie jakiś rozpędzony facet i mój kubek wylatuje w powietrze.

– Uważaj, jak łazisz! – drze się na mnie.

Ben piorunuje go wzrokiem.

– Przepróż – rozkazuje.

– Spierdalaj, gościu – cedzi facet.

Ben błyskawicznie łapie go za kark i przydusza.

– Przepróż panią, natychmiast!

Wybałuszam oczy, przerażona.

– Ben, nic się nie stało... Serio... – dukam, rozglądając się niepewnie.

*Jasna cholera, przechodnie się na nas gapią.*

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – powtarza facet, już cały siny na twarzy.

– Pani prosi o cappuccino z jedną porcją cukru – informuje go Ben.

– Naturalnie – skrzeczy tamten, a gdy Ben go puszcza, mknie do kawiarni.

Uśmiecham się z zaciśniętymi ustami i wbijam wzrok w ziemię.

Facet wraca kilka chwil później i wręcza mi kawę.

– Dziękuję – mówię, kiwając głową.

Ben posyła mi jeszcze jedno mordercze spojrzenie, po czym zakłada mi rękę na ramię.

– Chodźmy.

Zawracamy i ruszamy chodnikiem.

Zerkam na niego z uśmiechem. Mój chłopak to prawdziwy twardziel.



# Rozdział 16

## Bridget

Pukamy do drzwi Camerona o wpół do dziewiątej następnego wieczoru. Lot trwał tylko sześć i pół godziny, ale samolot miał dwugodzinne opóźnienie, które przedłużyło się do czterech godzin. Potem rozhulał się wiatr, który dołożył jeszcze dwie godziny, a wliczając w to odprawę, spędziliśmy w podróży piętnaście godzin. Koszmar. Nawet nie zdążyliśmy zameldować się w hotelu, przyjechaliśmy prosto tutaj. Niestety nie mogliśmy przesunąć odwiedzin na jutro, bo Cameron leci do Nowego Jorku.

Muszę wziąć prysznic, zjeść coś dobrego i się zdrzemnąć... Zasadniczo więc potrzebne mi wszystko, poza braniem udziału w tej kiepskiej powieści szpiegowskiej.

Przez to wszystko jestem nieco nerwowa.

– I gdzie on jest? – warczę, zerkając do środka przez okienko obok drzwi. – Mam nadzieję, że sobie nie zapomniał – szepczę, ponownie pukając. – Na miłość boską, pewnie się właśnie obściskuje z jakąś zdzirowatą pielęgniarką.

– Wyluzuj, dobra? – wzdycha Ben.

– Ben, jestem zmęczona i głodna. Nie mam ochoty na takie komentarze. Gdybym była na twoim miejscu i chciała przeżyć ten wieczór, to bym się nie odzywała.

Uśmiecha się do mnie.

– No co?! – szczekam.

– Ta twoja niewyparzona gęba zostanie należycie ukarana.

Przewracam oczami.

– Przysięgam na Boga, że jeśli będziesz się dziś do mnie dobierał, to się pożegnamy.

Drzwi otwierają się nagle.

– Cześć! – Cam uśmiecha się i zamyka mnie w objęciach. Patrzy na Bena i wybuchając śmiechem, a potem kręci głową, spoglądając to na niego, to na mnie. – Wiedziałem, kurwa, że dymacie się jak króliki.

Otwieram usta w oburzeniu, ale Ben mruga do niego.

Wchodzimy za gospodarzem do kuchni.

– O co chodzi z tym kolczykiem, do cholery? – pyta, nalewając nam po kieliszku wina.

Piję, patrząc Benowi w oczy.

– Cóż... – Przełykam ślinę. – Potrafisz dochować tajemnicy, Cam? – pytam.

– Przecież wiesz – odpowiada, marszcząc czoło.

– Ben przez pewien czas pracował dla rządu, w takim jednym wydziale armii.

Przyjaciół słucha, unosząc wysoko brwi.

– I wszczępili mu mikroczip – mówi, patrząc to na mnie, to na niego.

– Dokładnie. Ale już opuścił wojsko, więc chcemy to usunąć.

Cam krzyżuje ramiona na piersiach i unosi brew.

– Czyżby?

Kiwam głową zdecydowanie zbyt szybko. Muszę się bardziej postarać, żeby historyjka zabrzmiała przekonująco.

– A teraz mówcie, kurwa, prawdę – żąda Cameron.

– Jakiś kutafon zdradził i chce mnie załatwić. Nie wiem, komu ufać, i nie chcę, żeby mogli wysledzić moje położenie – wyjaśnia Ben bez chwili wahania.

Camowi rzednie mina.

– Proszę, pomóż nam – błagam. – Naprawdę nie wiemy, komu możemy zaufać, a ty na pewno potrafisz wydostać to dziadostwo.

– Gdzie to masz? – pyta Bena.

– Z tyłu ręki.

– Pokaż.

Ben obraca się i podwija rękaw.

– Zdejmij koszulę – nakazuje Cameron.

Ben ściąga ją przez głowę i Cam przygląda się małej bliźnie. Naciska ją lekko.

– Duży ten czip?

– Jak mała fiołka. Chyba... W sumie to nie wiem. Nie widziałem, jak go wszczepiali.

Cam przesuwa po bliźnie kciukiem, próbując wyczuć urządzenie.

– Co się stanie, jak to wyjmę? Uruchomi się gdzieś alarm?

– Nie sądzę – odpowiada Ben, wzruszając ramionami.

– Nie sądzisz, kurwa? Mogę mieć za to na serio przejebane.

– Więc tego nie rób – odpowiada Ben.

Boże, Ben nienawidzi prosić o pomoc. Musiałam ciągnąć go tu siłą.

– Cameron, daj spokój, proszę cię – jęczę.

Bierze głęboki wdech i ponownie przygląda się bliźnie.

– Mam tu tylko słaby krem znieczulający. Nie zabrałem do domu innych tego typu środków.

– W porządku. – Ben kręci głową. – Rób swoje. Nie potrzebuję znieczulenia.

Cam unosi brew.

– Dobra, to chodź do mojego gabinetu, mam tam najlepsze światło.

Bierze torbę lekarską, leżącą obok drzwi wejściowych, i rusza w głąb domu, a my za nim. Na miejscu oświetla rękę Bena lampką biurkową.

– To trochę znieczuli... – mruczy, rozsmarowując na skórze Bena jakiś krem i wyciągając skalpel z opakowania ochronnego.

Z nerwów zakrywam usta dłonią.

Cam mocno się koncentruje i przykłada w pobliżu blizny kawałek gazy.

– Okej, teraz rozetnę skórę.

– Spoko – odpowiada spokojnie Ben.

– Będzie bolało? – pytam.

– Trochę – mamrocze Cam, zakładając gumowe rękawiczki. Jest całkowicie skupiony na zadaniu. Bada bliznę kciukiem, żeby ustalić dokładne położenie czipa. – Jak długo tonosisz?

– Sześć lat – wyjaśnia bez emocji Ben.

– Więc czemu chcesz się tego pozbyć akurat teraz?

– Już ci mówiłem – odpowiada Ben, zerkając na mnie z ukosa.

Cam podnosi wzrok i uśmiecha się szeroko.

– Czyli to tobie na tym zależy, Didge? – pyta.

– A żebyś wiedział, do cholery. Nie ufam temu szajsowi – wypalam.

Cam robi skupioną minę i nacina skórę Bena, spod której zaczyna sączyć się krew.

– Też bym wolał się tego pozbyć...

Tnie głębiej, a płynącą strumieniem krew wyciera gazą.

Robi mi się słabo, stopy zaczynają mnie mrowić. Kiepsko się czuję.

– Kurczę... – szepczę.

– Zaczekaj na zewnątrz – rozkazuje mi Ben.

Cam wyciąga długie szczypce i zaczyna gmerać nimi w ranie.

Ben się krzywi.

– Boli? – pytam szeptem.

Nie odpowiada, a Cam jest całkowicie skupiony na próbie wydobycia czipa.

– Nie mogę złapać... – mamrocze, próbując wyciągnąć urządzenie.

Słabo mi.

– Boże, to straszne – mówię.

Cam mruży oczy. Szuka już naprawdę głęboko w ranie.

Krzywię się, zamykam oczy.

*Mój biedny Ben.*

– Cholera – syczy Cam.

– Co?

– Chyba tego nie wyciągnę.

– Jak to? Czemu? – pytam w nerwach.

– Wydaje mi się, że przyczepili to do kości.

– No to odetnij – proponuje Ben ze stoickim spokojem.

*Że co?*

Przyglądam się temu wszystkiemu z szeroko otwartymi oczami.

*Odetnij? Co ma niby odciąć?*

Cam marszczy twarz i zanurza się jeszcze głębiej.

Ben przymyka oczy, krzywi się po każdym szarpnięciu Camerona. Krew wypływa mu z rany na rękę, a Cam wyciera ją, jakby robił coś najnormalniejszego na świecie.

Więcej krwi. Kolejne szarpnięcia. Kolejne...

*O rany...*

Krew sama spływa na gazę.

Cameron ponownie unosi skalpel i moje nogi zamieniają się w galaretę.

– Będę musiał poskrobać po kości, może trochę puści. Chcesz coś między zęby? – pyta Cam.

– Nie trzeba – odpowiada lakonicznie Ben.

Patrzę na ociekające krwią ostrze skalpela i robi mi się niedobrze.

*Cholera...*

Cameron wraca do dłubania w ranie, na co Ben zaciska mocniej zęby, ale patrzy prosto przed siebie.

– Wszystko dobrze? – pytam go szeptem.

– Pewnie – odpowiada, niewzruszony.

*Oczywiście, że tak. Nie jest takim mięczakiem jak ja, którego mdli na widok odrobiny krwi.*

Też zaciskam zęby. Chciałabym go jakoś wesprzeć.

– U mnie też dobrze – szepczę.

Ben spogląda mi w oczy i marszczy brwi.

– Na pewno, Didge?

– Tak... u mnie... wszystko dobrze – mówię cicho.

Cam unosi skalpel i wyciera ostrze gazą.

Przewraca mi się w żołądku.

*O dobry Boże.*

Czuję, jak cała krew odpływa mi z głowy, i pokój nagle zaczyna wirować.

– Bridget, zaczekaj na zewnątrz – żąda Ben.

Cam jest bardzo skupiony, tnąc ze znacznie większą siłą.

*Nic mi nie jest. Nic mi nie jest. Nic... mi... nie... jest... Coś mi jednak jest...*

Zwalam się na podłogę z głuchym łupnięciem.

– Ja pierdołę – warczy Cameron. – Nie ruszaj się, dopóki cię nie opatrzę... – Słyszę jego głos, ale jakby spod wody.

Nagle silne ręce Bena podnoszą mnie z ziemi i kładą na kanapie.

– Wszystko dobrze? – szepcze czule, odgarniając mi włosy z czoła.

Kiwam głową i unoszę się do pozycji siedzącej.

– Jasny gwint... – szepczę, zażenowana.

– Zostań tam – warczy Cameron. – A ty wracaj na krzesło, Ben – popędza go.

Ben ściska moją dłoń i wraca, ja nie ruszam się z kanapy.

Cam ponownie wznosi skalpel.

– O Boże... – zawodzę.

– Bridget, do chuja pana, zasłoń sobie oczy – strofuje mnie Cameron.

Łapię poduszkę i zakrywam nią twarz. Serce wali mi jak szalone.

Ben syczy.

– Wszystko dobrze?! – memlam zza poduszki.

Wyglądam zza różka i widzę, jak Cameron szarpie coś w ranie z całą siłą. Natychmiast wracam za poduszkę.

– Szybciej, Cameron, więcej nie wytrzymam! – wołam.

– Bridget. Zamknij. Się – szczeka na mnie Ben.

W pokoju zapada głucha cisza.

Nagle Ben bierze głęboki wdech.

– Mam! – oświadcza dumnie Cameron.

Padam na kanapę z ulgą.

– Dzięki ci, Boże – wzdycham.

– Nie obejdzie się bez kilku szwów, chłopie – stwierdza Cameron, wtykając palec w ranę.

Siadam prosto i ponownie wytrzeszczam oczy.

– Będziesz go zszywał bez środków znieczulających?!

– Bridget, to nic takiego – wzdycha Ben. – Rób swoje, Cam.

Ponownie się kładę.

I znowu mi słabo. Zasłaniam oczy przedramieniem.

Fatalnie. Nie nadawałabym się na pielęgniarkę.

– To co? Wróćcie we dwoje do Australii? – pyta Cam.

Nie mam pojęcia, jak może nawiązywać luźną pogawędkę, majstrując przy krwawiącym ludzkim ciele.

– Nie, na tydzień z okładem wrócimy jeszcze do mnie – odpowiada Ben.

Zerkam nieśmiało i widzę, jak skupiony Cam z pomocą szczypiec przeciąga nić przez skórę Bena. Natychmiast zasłaniam twarz poduszką.

Jestem mokra od potu.

*Pierdolony koszmar. Ile jeszcze potrwają te tortury?*

– Jakim cudem potrafisz wykonywać tę pracę, Cam?! – wołam.

– Przychodzi mi to naturalnie – odpowiada, wzruszając ramionami. – Jakoś tak od małego lubiłem krew i flaki. Fascynowały mnie.

Wyobrażam sobie, jak tniesz ludzkie organy skalpelem, i znowu mi słabo.

– Mógłbyś nie mówić o flakach? – jęczę.

Obaj parskają śmiechem.

Na szczęście rozlegają się słowa, na które czekałam:

– Gotowe.

– Jesteś cała zielona – stwierdza wesoło Ben, zerkając na mnie przez ramię.

– Naprawdę? – wzdycham. – A czuję się żółta...

– Żółtawa też trochę jesteś – dodaje Cam z uśmiechem.

Wręcza Benowi fiolkę na próbki z mikroczipem w środku. Obaj patrzą na urządzone podejrzliwie.

– Myślałem, że jest mniejszy – dziwi się Ben.

– Trudno było chuja wyszarpać – odpowiada Cam. – Poboli kilka dni. Musiałem kopać dość głęboko.

– Dość! – krzyczę. – Nie mogę już tego słuchać.

Ben się śmieje, wstaje i podchodzi do mnie.

– Bridget Marx, jesteś wzorowym mięczakiem.

– I dobrze mi z tym – burczę pod nosem. – Cameron, nie ma takich pieniędzy, za które podjąłabym się fachu kardiochirurga.

Cameron uśmiecha się łobuzersko.

– Serca są fajniejsze, bo pompują krew, jak je kroisz.

Wyobrażam to sobie i oczy prawie wypadają mi z orbit.

Obaj się ze mnie śmieją.

– Moglibyśmy już wezwać taksówkę? – proszę. – Jestem zmęczona i do głębi wstrząśnięta obrzydzeniem.

– Zaraz wyjeżdżam, to podrzucę was do hotelu – mówi Cam.

– Masz randkę? – pytam.

– Muszę podskoczyć na chwilę do pracy.

– Ściemniasz?

– Nie – odpowiada wesoło, zarzuca mi rękę na ramię i prowadzi korytarzem.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

– Ale kochasz mnie na zabój, co? – rzuca, stukając czołem w moje czoło.

– Skoro o tym mowa... Kiedy w końcu się zakochasz, Cam? – pytam.

Rechocze pod nosem.

– Miłość? Nie bądź głupia. Zależy mi na dobrej zabawie, a nie na wieloletnim wyroku. Miłość to mój najczarniejszy koszmar.

\*\*\*

– Didge? – Miękki szept Bena otula mnie w ciemności.

Mrugam, próbuję się skupić. Rozglądam się, zdeorientowana.

– No? Co?

Jest ciemno, a do sypialni wlewa się tylko smużka światła z łazienki.

Ben jest całkiem ubrany. Nasze bagaże stoją przy drzwiach. Moje ubrania leżą złożone w nogach łóżka.

– Co się dzieje? – pytam.

– Nic, maleńka. Mamy lot o szóstej.

– Mówisz poważnie? Ben, jestem padnięta. Muszę się wyspać.

– Wiem, aniele. Ale musimy wracać do domu.

Przez moment leżę nieruchomo, próbując skupić wzrok.

– Nie pamiętam, jak tu wczoraj wróciliśmy – wzdycham.

– Zasnęłaś w samochodzie – wyjaśnia, nastawiając dla mnie czajnik. – Musiałem zanieść cię do łóżka jak dziecko.

– Za dużo tych podróży ostatnio. Więcej nie wytrzymam. Sama myśl o locie... Fuj! – Zasłaniam oczy dłońmi. – Nie możemy lecieć jutro? – błagam.

– Didge, to jedyny lot, jaki udało mi się znaleźć. – Pochyla się i całuje mnie czule w usta. A potem jeszcze raz i jeszcze raz.

W końcu się uśmiecham i zarzucam mu rękę na szyję.

– To mi się podoba. Wracaj do łóżka – szepczę.



– Didge – mówi, umykając z moich ramion. – Musimy lecieć. Jak wrócimy do Waszyngtonu, możemy spędzić w łóżku cały tydzień.

Wzdycham, przygnębiona, i odrzucam kołdrę wściekłym gestem.

– Na serio zaczynasz mnie wkurzać – burczę, wyłazając z łóżka.

Uśmiecha się.

– Co cię tak bawi?

– Ty w takim stanie.

– I co to niby ma znaczyć? – warczę.

– Nic – odpowiada i jeszcze wytrzeszcza na mnie oczy.

– Jakie nic? – rzucam, biorąc się pod boki.

– Robisz się jędzowata, jak jesteś zmęczona.

Mrużę groźnie oczy.

– Wcale nie. – Przeczesauję dłonią poplątane włosy. – Natomiast snuję bardzo realistyczne fantazje o utopieniu cię w hotelowej wannie.

– I oto dowód rzeczowy numer jeden, wysoki sędzie – mówi, rozbawiony.

– Ben! – rzucam, obracając się do niego.

– Tak, Bridget? – pyta z durnowatym uśmiechem na twarzy i uniesioną brwią.

– Jeżeli chcesz dolecieć do Waszyngtonu żywy, to lepiej przestań gadać.

Uśmiecha się. W jego oczach tańczą isierki zachwytu i muszę walczyć ze sobą, żeby też się nie roześmiać.

– Co tylko sobie życzysz, moja droga – odpowiada.

– I jeszcze traktujesz mnie z góry?!

Zrywa się, bierze mnie w ramiona i całuje czule.

– Nie śmiałybym – szepcze.

Uśmiecham się przy jego wargach.

– To dobrze – mamroczę, obejmując jego silne barki. – Bo nie chcę ci zrobić krzywdy.

Ben wybucha śmiechem i tuli mnie mocniej.

– No... Jesteś przecież taka twarda, gdy leje się krew...

Uśmiecham się, bo tym razem zabrakło mi riposty. Trafił mnie.

– Tęskniłem za tobą, Didge – szepcze.

Przez chwilę stoimy, mocno się obejmując. Mogłabym natychmiast zasnąć.

– Mógłbyś mi zrobić kawę, gdy będę brała prysznic? – pytam, wysuwając się z jego objęć.

– Tak, ale nie ociągaj się – prycha.

Zerkam na zegarek, czwarta rano. Wytrzeszczam na niego oczy.

– Nie waż się mnie pospieszać! To nawet jeszcze nie jest poranek.

Wchodzę do łazienki i zamykam za sobą drzwi. Jestem taka rozespana, że ledwie widzę na oczy. Ciekawe, czy zauważyłby, gdybym przespała się jeszcze dziesięć minutek pod prysznicem...

Nagle wkracza do łazienki i puszcza wodę.

– Wchodź... – nakazuje.

– Wynocha! – odwarkuję, wskazując na drzwi.

*Kurczę, ależ on mnie wkurza.*

\*\*\*

Czekamy na taksówkę na lotnisku w Waszyngtonie. Przespałam większość lotu i znowu czuję się jak istota ludzka. Chcę złapać Bena za rękę, ale subtelnie mi się wymyka.

– Dlaczego się wyrwałeś? – pytam.

Zerka na mnie z ukosa i przewraca oczami.

– Nie jestem z tych kolesi, co to łożą za rękę.

– Niby od kiedy?

– A niby to kiedy chodziłem z tobą za rękę?

Marszczę czoło i zastanawiam się.

– Jak tak sobie myślę, to rzeczywiście. Nigdy nie trzymasz mnie za rękę.

Daje mi szybkiego buziaka w usta i uśmiecha się nieszczercze.

– Do tego zmierzałem.

– Ale ja lubię chodzić za rękę – oświadczam, krzyżując ramiona na piersi.

Rozgląda się dookoła, rozkojarzony.

– Spoko. Ja nie lubię.

– Pff! – pry cham. – Coraz więcej wkurzających cech...

To dość zabawne, ale spędziliśmy z Benem naprawdę mało „normalnego” czasu razem. Albo musieliśmy się ukrywać, albo żyliśmy na przyjacielskiej stopie. Miło w końcu poznawać jego kolejne oblicza.

– Na przykład jakich? – docieka, przesuwając nasze walizki w kolejce czekających na taksówkę pasażerów.

– Na przykład... nie śpisz w samolotach.

Przez jego twarz przemyka cień uśmiechu.

– Bo z kolei ty chrapiasz w samolotach i nie mam jak zasnąć.

Otwieram usta w oburzeniu.

– Wcale nie.

On prycha pod nosem, a ja się uśmiecham.

*Okej, może trochę chrapię. To prawdopodobne. Boże, muszę z tym skończyć.*

– Masz bardzo wysoką tolerancję na ból – dodaję, a Ben patrzy przed siebie, wysłuchując moich rewelacji. – Jesteś bardzo schludny... – Spogląda na mnie z góry i unosi pytająco brew. – Myślałeś, że nie zauważę, że zawsze składasz mi ubrania?

Uśmiecha się seksownie, a ten uśmiech przeszywa mnie do szpiku kości.

– Jesteś totalnym seksoholikiem – rzucam ironicznie.

– Nie, jestem uzależniony od ciebie i twojego ciała. Seks nie ma tu nic do rzeczy.

– Taaa... – Chrząkam, wzruszając ramionami. – Pewnie. – Przewracam oczami.

– Ja też co nieco się o tobie dowiedziałem w ciągu ostatniego tygodnia – mówi.

– Na przykład? – pytam. Przygryzam wargę, by stłumić uśmiech.

*Podoba mi się ta gra.*

– Nie znosisz widoku krwi – zaczyna wymieniać, a ja słucham uważnie. – Marudzisz, gdy jesteś zmęczona.

– Prawda.

– Pijesz za mało wody.

Ściągam brwi. To dość dziwne.

Patrzy mi głęboko w oczy.

– Masz najpiękniejszy uśmiech, jaki widziałem. I mógłbym cię całą schrupać.

– A ja ciebie – odpowiadam z uśmiechem.

Jeszcze chwila, a radość rozsadzi mi serce. Powietrze strzela między nami. Chcę usłyszeć wszystko, co ma do powiedzenia.

– To czego jeszcze się o mnie ostatnio dowiedziałeś? – pytam cichutko.

Wsuwa palec wskazujący pod mój podbródek, by przybliżyć sobie moją twarz, i wyznaje:

– Że nie mogę bez ciebie żyć.

Nie wytrzymuję – uśmiecham się szeroko i głupkowato. Mam ochotę machać rękami ze szczęścia.

– Zatem chcesz powiedzieć, że jestem marudną, odwodnioną, apetyczną, chrapiącą, miękką beksą ratującą życie? – szepczę, unosząc brew.

Ben wybucha śmiechem i kręci głową.

– Tak. Dokładnie to chcę powiedzieć. – Kładzie mi rękę na plecach, przyciąga mnie do siebie i całujemy się namiętnie. – Którą przy okazji jeszcze kocham – szepcze.

– Jezu, nie przy ludziach – jęczy dziewczyna za nami.

Ben przygryza dolną wargę i uśmiecha się do mnie zadziornie.

Obracam głowę i posyłam tej głupiej suce ostre spojrzenie.

*Nie psuj mi tej chwili, krowo.*

*Nie dziś.*

*Bo cię potnę.*

\*\*\*

Budzę się z bananem na ustach i od razu przewracam w jego stronę.

Unoszę się w powietrzu wysoko, wysoko nad chmurami. Jestem pijana miłością.

Ben leży nagi na plecach. Śpi.

Wstaję więc, nastawiam kawę i idę do łazienki. Zabieram telefon i wracam poczytać do łóżka.

– Dzień dobry, aniele – szepcze, oplatając mnie ramionami.

Całuję go delikatnie w usta.

- Jak dziś spał mój mężczyzna?
- Jak kamień – odpowiada, nie otwierając oczu. – A ty?
- Może nie jak kamień – parskam – ale jak kamyczek.

Rechocze.

Wodzę ręką po jego szerokich barkach, docieram do szyi i przyglądam się jego twarzy.

Oblizuje wargi, jakby coś chodziło mu po głowie.

– Co jest? – pytam z uśmiechem.

– Mamy dziś bal.

– Bal? – powtarzam, zaskoczona.

– W Białym Domu. – Przewraca się na plecy i ciągnie mnie za sobą. – Będzie wiele ważnych osób, z którymi muszę porozmawiać. Spróbuję zdobyć jakieś informacje o tych agentach i miejscu ich pobytu.

Słucham, leżąc na nim.

– Pójdiesz ze mną? – pyta nagle.

Podnoszę na niego wzrok i uśmiecham się.

– Zapraszasz mnie na randkę?

Zjeżdża dłonią na mój tyłek i go ściska.

– Może, ale jest jeden haczyk.

– Jaki? – pytam szybko, a on przygryza wargę, uśmiechając się. –

No mów!

– Musisz udawać moją żonę.

– Co takiego? – dziwię się.

– Tylko małżonce mogę opowiadać o pracy. Polityka firmy.

Przyglądam mu się przez chwilę.

– Czyli nie mówiłeś żadnej innej kobiecie, czym się zajmujesz?

Zaprzecza lekkim ruchem głowy.

– Tylko kobiety z pracy wiedzą.

Kładę się na plecach i wkładam ręce pod głowę. W duchu cieszę się, że tylko ja jedna znam go tak dobrze.

– W takim razie niech będzie, mogę poudawać twoją żonę przez jeden wieczór – mówię, udając znudzenie.

Uśmiecha się i wtacza między moje nogi. Podnosi się na rękach tak, że jego twardy kutas ślizga się po moim brzuchu.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem? – pytam.

– Od dwóch miesięcy – odpowiada, przesuając nim po mojej łechtaczce.

Przymykam oczy.

– Hmm, przyjemnie... – Uśmiecham się. – Gdzie się pobraliśmy?

– W urzędzie.

Marszczę czoło i odsuwam się, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Co takiego? Dlaczego w urzędzie?

Mina mu rzednie, ale szybko bierze się w garść i odpowiada:

– Bo moja rodzina nie mogła dotrzeć na ślub.

*O cholera. Ale ze mnie za pinda, że zadaję takie pytania.*

Całuję czule jego piękne, pełne usta i uśmiecham się łagodnie.

– Urząd, idealnie.

Ben wychodzi z łóżka i podchodzi do półek stojących w jego sypialni. Otwiera małe drewniane pudełeczko i coś z niego wyciąga.

Jest kompletnie nagi, więc chłonę ten widok z uśmiechem. Stanowi ucieleśnienie męskiego ideału: jest potężny, muskularny, opanowany i cały mój. Szczęśliwa ze mnie zdzira.

Wraca i siada na krawędzi łóżka.

– Musisz to założyć.

Pokazuje mi złotą obrączkę.

Biorę ją ze zdziwieniem i wsuwam na palec.

– Co to za obrączka? – pytam, przyglądając się jej i unosząc brew. Jest wiekowa i piękna.

– Ślubna mojej matki.

Kręcę głową i nagle robi mi się smutno.

– Och, Ben. Nie mogę jej nosić. – Ściągam obrączkę. – Jest zbyt wyjątkowa. Musisz ją zachować dla prawdziwej żony.

Powstrzymuje mnie, nie pozwala mi jej zdjąć.

– Chcę, żebyś ją założyła.

Patrzy mi w oczy, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zachowuje milczenie.

Wpatruję się w obrączkę na moim palcu.

– To tylko jeden wieczór. Jutro możesz ją zdjąć – dodaje, spuszczając głowę. Wyraźnie chce zamaskować emocje.

Uśmiecham się czule, nadal patrząc na ten drogocenny przedmiot.

– Jeżeli ją założę, to już pewnie nigdy nie zdejmę...

Patrzymy sobie w oczy.

– A kto powiedział, że tego chcę? – szepcze.

Przepełnia mnie szczęście.

Gdy Ben do mnie wraca, całuję go z całych sił.

– Kocham cię.

– Teraz powinniśmy się rznąć – mówi cicho tuż przy moim karku.

– Czemu? Bo właśnie się pobraliśmy? – pryham, zarzucając nogę na jego biodro.

Nadziewa mnie na siebie jednym gwałtownym pchnięciem. Ten ruch był tak władczy, że aż otwieram szeroko usta. Powoli się ze mnie wysuwa, a potem znów wchodzi.

– Tak. Dokładnie. Pokaż mi, o co chodzi w tym całym seksie małżeńskim.

# Rozdział 17

## Bridget

Siedzę na kanapie i czytam książkę na ekranie telefonu. Ben leży z głową na moich nogach i ogląda jakiś dokument z cyklu „człowiek kontra dzika natura”. Czytając, od niechcienia głaszczę go po głowie.

Mamy za sobą miły dzień. A nawet bardziej niż miły.

Niesamowity.

Przeżyliśmy razem normalny dzień: obudziliśmy się, umyliśmy, poszliśmy na siłownię, a potem na zakupy.

Nie jestem w stanie pozbyć się banana z gęby. Mówię tu o drobiazgach, które tak wiele znaczą. Przyjemna normalność z Benem to od dziś moje ulubione hobby. Niemniej powoli muszę się zacząć szykować na wieczorny bal. Szczerze mówiąc, trochę się denerwuję. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać.

Dzwoni mój telefon. To Tasza.

– Hej, mała – odbieram z uśmiechem i przekazuję bezgłośnie zdziwionemu Benowi: – Tasza.

Kiwa głową i wraca do oglądania telewizji.

– Jak tam leci? – pyta moja siostra.

– Och, bardzo dobrze, Tasza. Tak dobrze, że aż głupio – odpowiadam, machinalnie głaszcząc Bena.

Przysłuchuje się naszej rozmowie i przez jego usta przemyka uśmiech.

– Co się działo, jak przyleciałaś? – pyta.

– Och... – Zerkam na Bena. Co tam, powiem na głos, jak było. Nie muszę już niczego ukrywać. – Miał do mnie pretensje, więc musiałam wziąć go w rzyż za pomocą mojej biegłości seksualnej.

Tasza wybucha śmiechem, a Ben kręci głową, unosząc kąciki ust.

– Nie miał szans – dodaję. – Wiesz, jaka jestem gorąca.



Ben obraca głowę i muska zębami moje krocze, przez co podskakuję i szarpnię go za włosy.

– A ty jak się masz? Jak dzieci? – pytam.

Ben zerka na mnie łobuzerskim wzrokiem, po czym przykłada wargi do mojej cipki i zaczyna dmuchać w nią przez spodnie ciepłym powietrzem.

– Dobrze, ale Jordanę coś boli gardło... – Natasza zawiesza głos. – Blake, przestań! – wrzeszczy tak głośno, że aż muszę odsunąć słuchawkę od ucha. Rozmowy z siostrą, gdy ma milion spraw na głowie, bywają przykre. – A jak twoje migdałki?

– Bardzo dobrze – odpowiadam, wyciągając za włosy głowę Bena z mojego krocza.

Śmieje się pod nosem, po czym mocno mnie gryzie. Lubi takie zabawy.

– Przestań! – mówię bezgłośnie, a siostrze odpowiadam: – Lek świetnie sobie z tym poradził.

Tymczasem Ben schodzi na podłogę i patrzy na mnie złowieszczo, oblizując wargi.

Kręcę głową, ale on to ignoruje, wchodzi pomiędzy moje nogi i zaczyna całować stopę.

– O, idziemy dziś na bal z pracy Bena – mówię z uśmiechem, próbując skupić się na rozmowie.

– Serio? Fajnie! A dokąd?

– Do Białego Domu – mówię z ekscytacją.

– Pierdolisz... – szepcze.

– Nie – chichoczę. – Trudno uwierzyć, co?

Ben podąża pocałunkami w górę nogi, a ja próbuję go odepchnąć i zaciskam powieki. Rechocze tuż przy moim udzie i rozchyła mi nogi.

– Boże jedyny, co założysz? – Moja siostra aż zachłystuje się powietrzem. – Musisz wyglądać nieziemsko!

Dusząc śmiech, ciągnę Bena mocno za włosy, ale on się podnosi i popycha mnie na plecy.

– Byliśmy dziś na zakupach i kupiłam sobie sukienkę, ale jest taka sobie – odpowiadam.

*Na miłość boską, jak mam się skupić na tej rozmowie?*

– Oj tam, Didge. Ty wyglądałabyś dobrze nawet w worku po ziemniakach – mówi.

Uśmiecham się i odsuwam majtki lekko w bok.

– Ben też tak powiedział.

Jego język zaczyna ślizgać się po moich wargach sromowych.

Odchyłam głowę, gdy łapie mnie obiema rękami za uda i zdecydowanie do siebie przyciąga.

– Eric odwiedza mamę – informuje mnie niespodziewania Tasza.

– Co takiego?! – dziwię się, wracając myślami do rozmowy.

– Kilka dni temu wpadłam wieczorem podrzucić jej parę drobiazgów, a Eric jadł u niej kolację. Wcześniej naprawił jej kosiarkę – opowiada.

– Co? Serio?

Ben wsuwa we mnie palce i przygryza łechtaczkę.

Zamykam oczy, zarzucam nogi na jego ramiona.

*O, tak, znalazł idealny punkt.*

– Abbie i Joshua uważają, że chce ją wykorzystać, żeby wkraść się z powrotem w twoje łaski – dodaje Tasza.

Ben musiał ją usłyszeć, bo usiadł i się nachmurzył.

Kurczę, na pewno usłyszał, prawda?

Łapię go za głowę i przyciągam z powrotem do swojego krocza.

– Kontynuuj – przekazuję mu bezdźwięcznie.

Uśmiecha się półgębkiem, oblizuje wargi i znowu znika między moimi nogami.

– Nie złość się na mamę, po prostu jest uprzejma. Co miała powiedzieć, gdy już stanął w jej progu? – pyta Tasza.

– Może: „Zjeżdżaj stąd”? – Przewracam oczami, zniesmaczona, ale Ben szybko odwraca moją uwagę, gdy zabiera się do pracy na poważnie.

*O, tak.*

– Żal jej go – tłumaczy siostra.

– Nieważne, wkurza mnie to.

Sięgam do spodni dresowych Bena i zsuwam je, patrząc, urzeczona, jak jego kutas wyrywa się na wolność.

– Przyślij mi wasze zdjęcie z balu – mówi Natasza.

– Dobra – odpowiadam jednocześnie wprowadzam członka Bena głęboko w siebie.

– Okej, kocham cię – żegna się śpiewnym tonem.

– Ja też to kocham... – mówię, przymykając powieki. – To znaczy... ciebie. Kocham ciebie! – bełkoczę.

Ben śmieje się tuż przy moim karku.

Ja pierdolę, nie umiem się skupiać na wielu rzeczach naraz. Boże, musisz mi pomagać, gdy już doczekamy się dzieci.

Ben zabiera mi komórkę i się rozłącza. Zrzuca ją na podłogę i wchodzi we mnie mocno, obdarzając mnie mrocznym spojrzeniem.

– Powinna częściej dzwonić do Nataszy – mówię, uśmiechając się seksownie.

– Przymknij się, bo zaraz cię zaknebluję – dyszy, coraz bardziej skupiony.

Wybucham śmiechem.

*Boziu, kocham tego faceta.*

\*\*\*

Jeszcze jedno spojrzenie w lustro. Ta czarna suknia okazała się wcale nie taka najgorsza. Klasyczna, dość obcisła mała czarna bez ramiączek, z powłóczystą, sięgającą ziemi warstwą z organzy. Jest prosta i elegancka, a o to właśnie chodziło. Nieco nudna. No ale mówimy tu o Białym Domu. Nie chcę się zanadto stroić i zgrywać Marilyn, gdy powinnam wypaść jak Jackie.

Włosy rozpuściłam w pięknych hollywoodzkich falach. Postawiłam na stonowany makijaż, nie licząc głęboko czerwonej szminki. Założyłam zwisające diamentowe kolczyki i pasującą do nich bransoletkę, która połyskuje na moim nadgarstku.

Mogłam posmarować się samoopalaczem, ale co tam. Miałam tylko jeden dzień, zrobiłam, ile się dało.

Wchodzę do salonu i oddech więźnie mi w płucach.

*O mój Boże.*

Ben założył mundur galowy. Ma na sobie idealnie skrojoną oliwkową marynarkę i mnóstwo orderów na piersi. Jest wysoki, umięśniony, ma kwadratową szczękę i nosi ten strój z taką dumą...

Czuję to całą sobą.

– Ben... – szepczę. Z jakiegoś powodu jego widok wzbudził we mnie tyle emocji, że się popłakałam.

– Co się stało? – pyta, dotykając mnie wyprostowanymi rękami.

Kręcę głową, nieco zawstydzona, że tak zareagowałam.

– Po prostu wyglądasz tak... – Mierzę go wzrokiem od stóp do głów, próbując wyartykułować myśli. – ...przystojnie.

Patrzy mi w oczy i posyła najlepsze spojrzenie w stylu „chodź mnie zerznąć”, jakie do tej pory widziałam.

– Pani też wygląda nieźle, pani Marx.

Uśmiecham się szeroko, obchodząc go dookoła.

– Co to za medale? – pytam, dotykając wiszących na jego torsie odznaczeń.

– Zwykłe medale... – Wzrusza ramionami, jakby skrępowany.

– Zwykłe? – powtarzam, unosząc brew. – Nie ma czegoś takiego jak zwykły medal.

Nachyla się, by mnie pocałować, ale zatrzymuje się w połowie drogi.

– Jak mam cię pocałować z tą czerwoną szminką?

– Nie będziesz mnie całował. To odstraszcza na Kenów z armii.

– Kenów? – dziwi się.

– Gdyby istniała idealna lalka wojskowego... – przesuвам dłonią po klapach munduru, rozbierając go wzrokiem – ...to byłbyś nią ty. W tym stroju.

Ben sunie dłonią po moim biodrze i łapie mnie agresywnie za krocze, aż odbiera mi dech.

– A gdyby istniała lalka księżniczki, którą natychmiast trzeba zerznąć, byłabyś nią ty... W tym stroju... – szepcze groźnie, a jego wzrok pada na moje wargi, które oblizuję dla lepszego efektu.

Całuje mnie czule.

– Ale nie teraz, aniele. Później. – Gryzie mnie w obojczyk, aż podskakuję.

– Nie zanudzaj mnie szczegółami, bo właśnie jestem w samym środku seksualnej fantazji o dziarskim żołnierzu... – wzdycham i wcale nie żartuję.

Ociera wierzchem dłoni mój policzek i bacznie mi się przygląda.

– By cię cholera... – szepczę. – Mam mokre majtki.

Jego oczy stają w ogniu. Uśmiecha się seksownie i poprawia mi sukienkę.

– Będą w strzępach, nim ta noc dobiegnie końca, mój aniele.

\*\*\*

Kroczymy długim korytarzem, pilnowanym przez wartowników. Trzymam Bena pod rękę, bardzo się denerwuję. Nigdy nie uczestniczyłam w podobnej uroczystości. Wszędzie roi się od facetów w mundurach, jest też trochę kobiet. I ludzi ubranych po cywilnemu.

Ciekawe, co to za jedni.

*Nie pij szampana* – napominam się. Szampan to diabeł... Choć powinnam raczej powiedzieć, że wzbudza we mnie diabła. Większość głupich życiowych decyzji podjęłam po szampanie. Szampan i ja – złe połączenie.

– Nie pozwól mi pić szampana – syczę do Bena.

– Czemu? – dziwi się, nie zwalniając kroku.

– Bo najprawdopodobniej zedrę z siebie sukienkę i zafunduję ci *lap dance*<sup>8</sup>.

– Dobra, ale w drodze do domu skoczmy po trzy butelki – odpowiada.

Uśmiecham się radośnie i rozglądam wokół. Inny świat. No kto by pomyślał, że trafię do Białego Domu.

*Nieźle.*

Gdy mijamy stojących wzdłuż ścian wartowników, Ben kiwa im głową z szacunkiem. Muszę hamować tępawy uśmiech, czuję się dziś jak jego nastoletnia fanka.

Korytarz prowadzi do ogromnej sali balowej, po której rozglądam się, zdumiona. Jest bosko, dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam. Z sufitu, najwyższego, jaki widziałam, zwieszają się potężne żyrandole. Czysty luksus w najwyższej formie. Jest dosłownie jak w filmie.

– O mój Boże... – wzdygam.

Mija nas kelner z tacą i Ben ściąga z niej dwa kieliszki.

– Jeden nie zaszkodzi, prawda? – pyta, unosząc brew.

Mierzymy się wzrokiem. Biorę łyk.

– Żeby nie było, że cię nie ostrzegałam, jak już zacznę się rozbierać.

Uśmiecha się seksownie, a potem stukamy się kieliszkami.

– Obiecanki cacanki – odpowiada, po czym zaczyna wodzić wzrokiem po zebranych gościach.

– Widzisz ich? – pytam.

– Jeszcze nie – odpowiada w skupieniu.

W tym momencie zauważam, że wszyscy odwracają głowy na nasz widok.

– Na co się tak gapią? – pytam szeptem.

– Na ciebie – odpowiada, zerkając mi w oczy. – Nie wiedzieli, że się ożeniłem. Są w szoku – wyjaśnia.

Otwieram szeroko oczy.

– Cholerka, prawie o tym zapomniałam.

– Mam ci odebrać tego szampana? – pyta, unosząc brew. – Jeden łyk i już zapominasz, że masz męża.

– Pewnie byłoby dobrze... – odpowiadam z głupkowatym uśmiechem.

– Buzz! – woła jakiś facet.

Ben odwraca się i podaje mu rękę.

– Witaj.

– Poznaj moją żonę. – Wskazuje na mnie. – To Bridget – mówi i na chwilę zatrzymuje rozkochany wzrok na mojej twarzy.

Serce pęcznieje mi w piersi.

*Och, cóż za cudowne zapoznanie.*

– Dobry wieczór, miło poznać. – Mężczyzna podaje mi dłoń.

– Dobry wieczór – odpowiadam z nerwowym uśmiechem.

– Wyrwałeś się? – pyta znajomy Bena, po czym kontynuują rozmowę.

Ja nie skupiam się na ich słowach, zamiast tego rozglądam się wokoło.

*Buzz... Ciekawe, dlaczego tak go nazywają.*

Niektórzy mężczyźni noszą plakietki z nazwiskami na mundurach. Wszyscy mają medale, ale Ben chyba najwięcej. Część gości założyła

normalne ubrania, jest też trochę kobiet w mundurach, ale poza tym dominują stroje wieczorowe.

*Hmm... Kto tu jest kim?*

– Bridget, cudownie było poznać – rzuca z uśmiechem mężczyzna.

– Nawzajem – odpowiadam.

Facet znika w tłumie. Wszyscy mijający nas ludzie witają Bena z uznaniem. Wygląda na to, że jest tu bardzo szanowany i chyba wszystkich zna.

Zaczyna monitorować salę wzrokiem.

– Wyjaśnij mi, dlaczego niektórzy są w mundurach, a inni nie – proszę.

– To zależy od ich stopnia... – mamrocze, rozkojarzony.

– A ci z medalami, ale bez nazwisk na mundurach, to co za jedni?

– pytam, sącząc szampana.

*Mmm. Zerkam z uznaniem na kieliszek. Solidny towar.*

– Delta.

– Co to Delta? – pytam, ściągając brwi.

– Elitarny Oddział Delta, moja dawna jednostka.

– Och... Czyli oni nie noszą plakietek z nazwiskami?

– Nie, ich tożsamość jest chroniona.

*Hmm. Ciekawe.*

Ben nadal wodzi wzrokiem po tłumie.

– Kogo dokładnie szukasz? – pytam, zasłaniając usta kieliszkiem.

– Dwóch osób... – mamrocze w roztargnieniu.

Wytrzeszczam oczy.

– Jak to?

Cholera, rozgląda się za facetami, którzy próbowali go zabić. Miałam nadzieję, że o nich zapomniał.

Zaciska zęby i kontynuuje poszukiwania.

– Grozi nam dziś jakieś niebezpieczeństwo? – pytam, zaniepokojona.

Obejmuje mnie i całuje w skroń.

– Nie, maleńka. Ale im tak.

*Kurwa.*

– Kim są ci ludzie w zwykłych garniturach? – pytam, żeby odciągnąć jego myśli od tamtych dwóch.

– To dyplomaci.

Temperatura nagle wzrasta, robię się nerwowa.

*Przyszędł tu, żeby ich zabić?*

– Ben, co zamierzasz zrobić? – pytam, spanikowana. Nie przyszło mi do głowy, że wybiera się na bal szukać zemsty.

Kładzie dłoń na moim biodrze.

– Hej...

Nie zdążył odpowiedzieć, bo podchodzi do nas trzech facetów. Ich zachowanie wskazuje, że są bliskimi znajomymi Bena. Szybko skupiają uwagę na mnie.

– To Matt, Ethan i Jed. Moi najlepsi kumple.

To pewnie ci, z którymi służył od pierwszych lat w wojsku. Opowiadał mi o nich.

Uśmiecham się szeroko, bo widziałam ich na zdjęciach, które oglądałam kilka dni temu.

– Cześć. – Witamy się, podając sobie dłonie.

– To moja Bridget – oświadcza z dumą Ben, ponownie spoglądając na mnie z miłością w oczach.

Och, uwielbiam, jak na mnie patrzy, gdy mnie przedstawia. Zaraz zemdleję. „Moja Bridget”.

Wszyscy są bardzo uprzejmi, ale gdy tak sobie gawędzą, ja się denerwuję. Szkoda, że nie mogę wysłać ich zdjęcia Abbie. Dostałaby orgazmu na miejscu, gdyby zobaczyła, jacy są seksowni. I wolni.

Wszyscy są bardzo męscy i muskularni jak Ben. Ethan ma czarne włosy i oliwkową skórę. Jed miodowe włosy i najpiękniejszy uśmiech, jaki widziałam u mężczyzny. A Matt... Cóż, on jest niemożliwy. Już nie muszę się martwić o upojenie szampanem, bo naćpam się fruującym w powietrzu testosteronem.

Podchodzi do nas jeszcze jeden mężczyzna i pozostali witają go radosnym śmiechem. Trzyma za rękę cudowną kobietę w widocznej ciąży.

Ben pochyla się i daje jej buziaka w policzek.

– Ally, to Bridget – przedstawia mnie. – Bridget, to Rick i Ally. Ally często musi się z nami użerać.

Rick spogląda mi w oczy i się uśmiecha.

– Poznaliśmy się już.



Kiwam głową, lekko zawstydzona, że widział, jak wysiaduję na walizce po nocy przed budynkiem, w którym mieszkał Ben.

Ally uśmiecha się ciepło. Już ją lubię. Unosi się wokół niej przyjemna aura.

– Cześć, Bridget. – Podaje mi rękę i całuje mnie w policzek. – Ben, jest dokładnie tak piękna, jak opowiadałeś.

Ben przygląda się naszemu powitaniu z uśmiechem na ustach.

Przygryzam dolną wargę, zerkając na nich po kolei. Ben wyraźnie jest z nią blisko. Spuszczam wzrok na jej pokaźny brzuch.

– Który to już miesiąc? – pytam.

– Piąty – odpowiada, głaszcząc brzuch.

– Cudownie. – Uśmiecham się.

Ona patrzy z miłością na męża, stojącego w kółeczku naprzeciwko niej.

– Tak, nie możemy się doczekać.

– Przyniosę ci jeszcze jednego szampana – mówi Ben. – Ally, na co masz ochotę?

– Lemoniadę poproszę.

Ben kiwa głową i odchodzi w stronę baru.

Ally odprowadza go wzrokiem, cały czas się uśmiechając, po czym wraca spojrzeniem do mnie.

– Chyba chce, żebyśmy się zakolegowały – szepcze tak, bym tylko ja ją słyszała.

– Na to wygląda – parskam śmiechem. Pozostali chłopcy zajęli się własną rozmową, więc próbuję podtrzymać konwersację z Ally. – Elegancko tu – stwierdzam, rozglądając się dookoła.

– Wiem – odpowiada z uśmiechem. – Zawsze się denerwuję przed przyjściem.

– Ojejku. – Przykładam dłoń do serca. – Ja byłam dziś przerażona. Nie miałam pojęcia, jak się ubrać. Dowiedziałam się wczoraj i musiałam iść z Benem na zakupy.

Ally wybucha śmiechem.

– Jeśli chcesz poznać prawdziwy koszmar, to spróbuj znaleźć stosowną suknię ciążową.

Śmiejemy się obie, tymczasem wraca Ben z napojami.

– Zostań w ciuchach. – Podaje mi szampana z zadziornym mrugnięciem.

Mrużę oczy i pryham.

– Co ty gadasz, Ben? – parska Ally.

– Zapytaj Didge. – Uśmiecha się i odwraca do kolegów.

– „Didge”? – dziwi się Ally.

– Skrót. Łatwiejszy w wymowie niż Bridget. Och, ostrzegałam go, żeby nie pozwalał mi pić szampana, bo mogę zechcieć się rozebrać. Raczej się powstrzymam, ale kto wie? – Wzruszam ramionami i wybałuszam oczy, czym serdecznie ją rozśmieszam.

Gdy zapada cisza, obracam obrączkę na palcu.

– Pokażesz mi obrączkę? – pyta.

Jestem zażenowana, bo ona wie, że wcale nie jesteśmy małżeństwem, ale i tak unoszę dłoń.

– To obrączka mamy Bena. Tylko pożyczyłam ją na dziś. – Uśmiecham się nieśmiało.

Ally patrzy na mnie wymownie.

– Wybacz mi wścibskość, ale Rick opowiadał, że masz problem z zaakceptowaniem... – wskazuje na salę – ...tego wszystkiego.

Spuszczam głowę.

– Tak... – Podnoszę na nią wzrok i marszczę czoło. – Czy twój mąż... – urywam, bo nawet nie wiem, jak to nazwać.

– Tak – przytakuje. – Rick wykonuje ten sam zawód co Ben.

– Dokładnie ten sam? – upewniam się, unosząc brew.

Potwierdza skinieniem głowy.

– Trochę mi zajęło, zanim się z tym pogodziłam... – przyznaje.

– Ale jak? – zawieszam głos, żeby właściwie dobrać słowa. – Jak możesz spokojnie patrzeć, gdy wyjeżdża z domu do pracy?

Uśmiecha się smutno.

– Bridget, ci mężczyźni górują nad innymi. Poświęcają się na rzecz wolności naszej ojczyzny. Rozejrzyj się, spójrz na nich.

Patrzę na rozmawiającego z kolegami Bena. Stoi na szeroko rozstawionych nogach, wyprostowany, z wypiętą piersią. Naprawdę nosi mundur z dumą.

– Chcesz mojej rady? – pyta z uśmiechem Ally, łapiąc mnie za rękę, a ja kiwam głową z nadzieją. – Żyj każdym dniem z Benem,

jakby był waszym ostatnim – mówi, a mnie rzednie mina. – Bo może tak być. Pewnego dnia może wyjechać do pracy i już nie wrócić.

Na samą myśl kłuje mnie w dołku.

– Ale to jego... – wskazuje na męża i poprawia się – ...to ich decyzja. A my jesteśmy tylko kobietami, które ich kochają. Ich cel jest większy od nas.

Patrzę jej pytająco w oczy, a potem spuszczam smutno głowę.

– Ja nie mogę znieść tej myśli.

– Jakiej myśli? Że wybrałaś mężczyznę, który kocha swój kraj tak bardzo, że jest gotów za niego zginąć? Przecież to definicja prawdziwego bohatera. Pogódź się z tym, Bridget. To bohaterstwo jest w pakiecie z Benem. On cię kocha, więc ciesz się nim i też go kochaj.

Patrzę na nią, ale się nie odzywam.

Rozdymam nozdrza, żeby powstrzymać napływ tych głupich łez.

Nagle dłoń Bena zakrada się na moje biodro. Mój bohater się do mnie uśmiecha.

– Musimy usiąść. – Wskazuje w lewo. – Tędy – mówi, lecz na widok mojej twarzy, robi zatroskaną minę.

– Hej, co się stało? – szepcze.

Uśmiecham się i ściskam dłoń Ally, a ona odwzajemnia uśmiech i patrzy na mnie porozumiewawczo.

– Nic, skarbie. – Całuję go czule. – Wszystko jest idealnie.

Zajmujemy miejsca przy stoliku. Reszta grupy zaczyna o czymś rozmawiać, ale ja skupiam się na Benie i na tym, co się dzieje w jego głowie, do cholery.

Wpatruje się w coś po drugiej stronie sali z mocno zasępioną miną.

– Na kogo tak patrzysz? – szepczę dyskretnie.

Obejmuje oparcie mojego krzesła i bawi się moją dłonią na swoim kolanie.

– Patrz, kto przyszedł...

– Kto?

– Jason Steele.

Wytrzeszczam oczy.

*Czy to nie ten facet, którego miał zabić?*

– Ten, którego...

Od razu kiwa głową.

*Cholera.*

Otwieram szerzej oczy i biorę łyk szampana.

*Przestań pić. Przestań pić!*

– Gdzie są toalety? – pytam.

Ben wskazuje na tył sali.

– Tam, w korytarzu. Pokazać ci, jak trafić? – pyta.

– Nie, dam sobie radę. Wracam za minutkę.

– A ja postaram ci się znaleźć drinka, który nie sprowokuje cię do erotycznego tańca – parska.

– Okej, nie narzekałabym – odpowiadam, chichocząc.

Korzystam z toalety, po czym myję dłonie w umywalce. Wtem z jednej z kabin wyłania się boska brunetka.

Wyciągam szminkę i zaczynam poprawiać usta.

– Nie przedstawiono nas sobie – zwraca się do mojego odbicia w lustrze.

Obracam się do niej z uśmiechem.

– Cześć, jestem Bridget. – Wyciągam rękę, ale ona piorunuje mnie wzrokiem, więc natychmiast cofam dłoń.

*No dobra, to bardzo niegrzeczne.*

Krzyżuje ręce na piersiach, jakby oburzona, po czym opiera się tyłkiem o umywalkę.

– Wiesz, że mu się znudzisz? Będzie mu się robiło niedobrze na twój widok – syczy.

*Och, na serio? A zatem chcesz zagrać w tę grę, co?*

Nie wytrzymuję i się uśmiecham.

– Kto taki? Masz na myśli mojego męża? – pytam słodziutko.

*No dawaj, krowo, piłka w grze.*

Zadiera podbródek i posyła mi zabójcze spojrzenie.

– Nie znasz go tak dobrze jak ja – cedzi, wykrzywiając twarz z niesmakiem.

Włoski na moim karku stają na baczność.

– Czy mam się czuć... zagrożona? – pytam, udając teatralnie zaskoczenie.

Mruży oczy.

– Na twoim miejscu tak właśnie bym się czuła. Łączy nas z Benem długa historia.

– Och... – Wzdycham z teatralnym współczuciem. – To bardzo smutne. Łączy was taka długa historia, a jednak to mnie błagał o rękę. – Unoszę dłoń i macham jej przed oczami palcem z obrączką. – Ewidentnie nie umiałaś go zadowalać tak, jak ja.

Jest wstrząśnięta moją odpowiedzią, szczęka jej opada.

*Głupia zdzira. Nie ma pojęcia, z kim, kurwa, zadziera.*

Poklepuję ją po ramieniu ze współczuciem.

– Słońce, jeśli to wszystko, na co cię stać, nie dziwne, że go nie usidliłaś.

Odskakuje wściekle.

– Miło było poznać – dodaję uroczo. – Wracam do stolika, ale pomyślę o tobie, gdy w nocy będę go rżnęła do nieprzytomności.

Posyła mi wrogie spojrzenie, na co uśmiecham się od ucha do ucha.

– Suka – mamrocze pod nosem nieznajoma.

– Dla ciebie Pani Suka – odpowiadam i puszczam jej oko.

Mierzę ją wzrokiem ostatni raz i wychodzę na korytarz, poprawiając suknię.

*No dobrze... To gdzie ten byczek, mój mężulek?*

# Rozdział 18

## Ben

Czekam przy barze na zamówione drinki. Sala tętni życiem. Gdy potrąca mnie jakiś facet, rzucam mu przelotne spojrzenie, ale po chwili przyglądam mu się dokładniej.

Obok mnie, przy barze, stoi Jason Steele i wpatruje się w coś przed sobą. Nie odwraca się do mnie, ale przesuwając się po barze w moją stronę złożył serwetkę.

Odczekuję kilka sekund, zabieram ją dyskretnie i chowam do kieszeni.

*Co on mi tam, kurwa, dał?*

Moje zamówienie jest gotowe. Zabieram więc drinki i nie nawiązując z nim kontaktu wzrokowego ani nie odzywając się nawet jednym słowem, wracam na swoje miejsce.

Bridget też właśnie wróciła, uśmiecha się, patrząc w podłogę.

– Coś taka zadowolona z siebie? – pytam.

– A nic, nic – odpowiada, po czym bierze drinka i od razu upija łyk. – To jest znacznie lepsze – mówi, wskazując na szklankę. –

Poznałam właśnie jedną z twoich koleżanek do rżnięcia – mówi z łobuzerskimi kurwikami w oczach.

– I co zrobiłaś? – pytam, patrząc na nią niespokojnie.

Wsuwa dłoń pod moją marynarkę, obejmuje mnie w talii.

– Nic, na co by sobie nie zasłużyła.

Parskam śmiechem i całuję ją w czoło.

– Zachowuj się – szepczę.

Mija nas pewna brunetka. Patrzy groźnie, a Bridget uśmiecha się do niej i unosi szklankę jak do toastu.

Muszę przygryźć wargę, żeby się nie zaśmiać.

– Ach, już rozumiem, poznałaś Nicole.

– Bardziej ona poznała mnie – odpowiada Bridget, patrząc na mnie ironicznie.

Łapię moją dziewczynę mocniej. Jej pewność siebie jest kurewsko podniecająca. Należy do najbardziej pewnych siebie kobiet, jakie znam, i nigdy nie pozwalała, żeby inne podkopywały w niej tę cechę. Wie, że żadna nie może się z nią równać.

Mija nas Anderson. Muszę z nim pogadać.

– Didge, chcę zamienić słowo z tym gościem. Mogę cię zostawić na minutkę? – pytam.

– Dam sobie radę – odpowiada z uśmiechem.

– Dasz sobie świetnie radę – szepczę i nasze spojrzenia się spotykają.

Bridget oblizuje usta, a ja czuję, jak mój kutas podskakuje.

Kręcę głową.

*Później. Teraz się skoncentruj.*

– Anderson! – wołam za kumplem.

Obraca się i mnie zauważa.

– Buzz! – śmieje się i wyciąga rękę. – Co ostatnimi czasy porabiałeś, stary druhu? Kawał czasu cię nie widziałem.

– Byłem na przepustce... – mówię i odwracam się w stronę Didge, która zdążyła już do kogoś zagadać. – Ożeniłem się.

– A niech mnie chuj strzeli. – Śmieje się, zszokowany. – Nie pomyślałbym, że dożyję tego dnia.

– Nawet na najlepszych przychodzi pora... – odpowiadam wesoło.

– Wysoka frekwencja – stwierdza, rozglądając się po sali.

– No... Widziałeś Johna albo Sama? – pytam. – Muszę z nimi pogadać.

Marszczy czoło, omiatając tłum wzrokiem.

– Nie. I nie mogłem się z nimi skontaktować przez cały tydzień. To dziwne – kontynuuje, zaszepiony. – Mieli robotę w Europie i wiem, że dolecieli po niej do Waszyngtonu, bo Sam dzwonił do mnie z lotniska. Później już nikt ich nie widział.

*Hmm, interesujące.*

– Dzwoniłeś do ich domów? – pytam.

Zaprzecza ruchem głowy.

– Nie, nie chciałem przedwcześnie martwić ich żon, ale obaj zapowiadali, że dziś tu będą. Niemniej póki co ich nie widziałem... – mówi, wzruszając ramionami.

– No tak... – Kiwam głową i myślę. *Co tu się dzieje?* – Cóż, miło było pogadać. – Uśmiecham się i podaję mu rękę. – A jak Kerry i dzieciaki?

– Dobrze, dobrze. Kerry jest tam. – Wskazuje na przeciwległy kąt sali. – A przez dzieci będę wkrótce totalnie spłukany.

– Podejdę później i przedstawię ci Bridget – mówię.

Wskazuje na mnie palcem i rusza tyłem w stronę baru.

– Nie zapomnij sobie. No i wiesz... Gratulacje.

Nagle przy drzwiach robi się zamieszanie i błyskają flesze. Zapewne zjawił się prezydent z sekretarzem stanu. Wszyscy spoglądają w tamtą stronę, ale ja patrzę na Bridget, obserwującą to przedstawienie w zdumieniu. Gdy mnie zauważa, uśmiecha się seksownie.

Biorę ją za rękę.

– Panie Statham, czyżby trzymał mnie pan za rękę przy ludziach? – pyta, unosząc brew.

– Nie – parskam. – Po prostu cię złapałem, żebyś nie wskoczyła prezydentowi nago na kolana.

Bridget wybuchła śmiechem i wprost czuję, jak się roztapiam.

Biorę głęboki wdech.

*Boże, jak ja kocham tę kobietę.*

## Bridget

Stoję w sali balowej i obserwuję każdy jego ruch. Ciągłe uczestniczy w jakichś rozmowach, a jednak prawie nie mówi. Cały on. Takiego Bena znam. Nie ja jedna wyczuwam jego siłę – wszyscy wokół chyba też. Wprost nią emanuje. Kiedy mówi, wszyscy zamieniają się w słuch.

Stoi z kumplami trzy metry ode mnie. Ja rozmawiam z Ally.

A jednak nie odrywa ode mnie oczu. Co jakiś czas spogląda na moje stopy i powoli wędruje wzrokiem w górę. Jego język wyskakuje



wówczas z ust i zwilża wargi, na co wszystko głęboko w moim kroczu się zaciska.

*Boże, nigdy nie znałam mężczyzny równie mocno emanującego seksapilem.*

Ma dziś to spojrzenie, które tak kocham: „Jesteś, kurwa, moja”. Przyzywa nim moje ciało jak żaden inny mężczyzna. Powołuje do istnienia to pierwotne, zwierzęce i bardzo fizyczne przyciąganie. Fakt, że naprawdę lubię człowieka zamkniętego w tym idealnym ciele, to dodatkowy bonus.

Wskazuje podbródkiem na drzwi, a ja w odpowiedzi kiwam głową.

W końcu, będę go miała na osobności.

Żegna się z kolegami i podchodzi do mnie, więc uśmiecham się w stronę poznanych dziś dziewczyn, a potem całuję je w policzki, żegnając się.

– Miło było poznać.

Ben kładzie mi dłoń na lędźwiach i wychodzimy na zewnątrz, kierując się do czekającego na nas samochodu. Jedziemy do jego mieszkania.

Nie odzywa się ani słowem. Nie musi.

Wiem wszystko.

*Już się zaczęło.*

Oto Ben Statham w pełni swej pierdolonej chwały i, do cholery, nie mogę się doczekać, kiedy ujrzę go nago.

Otwiera drzwi do mieszkania, a ja po prostu czekam na polecenia. Pokazuje gestem, bym weszła, a moje serce rusza galopem.

Wchodzę do salonu i odwracam się do niego.

– Do sypialni, Bridget – rozkazuje.

*Kurwa...*

Naprawdę... Jestem tak podniecona tym, że rozstawia mnie po kątach w tym swoim mundurze, że doszłabym w każdej chwili.

Odwracam się i ruszam korytarzem do sypialni.

Ben wchodzi do pokoju za mną i zatrzymuje mnie uniesieniem dłoni.

Zamieram przy nogach łóżka, a on mnie okrąża. Jego oczy wypalają dziury w mojej sukni. Serce wali mi w piersi, gdy powoli

rozpina zamek sukienki, która opada mi na biodra, a potem spada na podłogę.

Ben podaje mi rękę, bym z niej wyszła. Jego wzrok pada na skromne stringi z czarnej koronki, które dziś założyłam. Syczy z uznaniem, po czym je również zsuwa. Pozbywa się też mojego stanika, więc stoję przed nim w samych sięgających ud czarnych pończochach.

– Byłaś dziś najpiękniejszą kobietą na balu – szepcze, a ja się uśmiecham. – I jesteś cała moja.

*Boże, po prostu mnie zerznij.*

– Tak... – wzdycham.

– Pocałuj mnie – szepcze.

Stawiam krok naprzód i całuję go w usta, a Ben przymyka oczy z rozkoszy. Chyba jeszcze nigdy nie byłam taka napalona. On jest w pełnym mundurze, a ja naga. Tak rozpaczliwie go pragnę.

Nasz pocałunek staje się desperacki, palce Bena zaczynają pieścić moje krocze.

– Hmm... – jęczy, zanurzając się okrężnymi ruchami coraz głębiej.  
– Ta twoja piękna cipka aż cieknie.

Zamykam oczy.

Zamieniamy się w zwierzęta i całujemy, jakby jutra miało nie być.

Zrywam z niego marynarkę, on gwałtownym szarpnięciem poluzowuje sobie krawat. Rozpinam jego spodnie i zsuwam mu je z nóg. Zabieram się za guziki koszuli. Rozpinam je niecierpliwie.

*Szybciej, szybciej!*

Łapię go za koszulę, zrywam ją, a on już stoi przede mną nagi, nie licząc krawata. Przyciągam go za niego i całuję, całuję ze wszystkich sił.

Kutas Bena jest już twardy, czuję rozsmarowujące się na moim brzuchu pierwsze oznaki jego podniecenia.

– Na czworaka – warczy, patrząc na mnie z niebezpiecznie wielkim pożądaniem w oczach.

Klękam na materacu i padam na łokcie, a serce wali mi w piersi.

Dziś jestem cała jego i przeżywam żołnierską fantazję.

Gotuję się do walki.

\*\*\*

Budzi mnie jego krzątanie w łazience. Jest wcześnie i nadal ciemno.

Przewracam się na bok i patrzę, jak wychodzi z łazienki, nieświadomy, że się obudziłam. Podnosi spodnie z podłogi i grzebie w kieszeniach. Wyciąga serwetkę, odczytuje z niej coś i wychodzi z pokoju, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

*Co jest?*

*Co on robi? Co to za serwetka?*

Przez chwilę leżę w ciemności i się zastanawiam. Coś czytał. Ktoś musiał wręczyć mu liścik na wczorajszym przyjęciu.

*Dlaczego mi go nie pokazał?*

Przetrząsam umysł w poszukiwaniu odpowiedzi.

*Nicole.*

„Nie znasz go tak dobrze, jak ja... Łączy nas z Benem długa historia”.

Leżę i myślę. Wczoraj, gdy na nią wpadłam, bynajmniej nie czułam się niepewnie. Czułam się wielbiona i szanowana. Zazwyczaj jestem bardzo pewna siebie. Ale skoro Ben nie ma nic do ukrycia, to dlaczego wymknął się z sypialni w środku nocy i zamknął za sobą drzwi?

Przewracam się na bok, wkurzona na samą siebie za ten niepokój.

*Przestań. Nie po to tak wiele przeszliśmy, żeby teraz wszystko spierdolił w taki sposób.*

Ale wyobraźmy to sobie: on wraca, pstryka palcami, a ja rzucam wszystko i padam mu w ramiona... Tymczasem on wciąż spotyka się z dawną koleżanką do rżnięcia.

Przewraca mi się w żołądku.

*Daj spokój.*

Nie zrobiłby tego, na pewno nie. Ben taki nie jest.

Cichy głos skryty w głębi mojej psychiki podszeptuje mi niepokojącą myśl.

*Wcześniej też myślałaś, że go znasz. Czy kiedykolwiek naprawdę go poznasz? Co jest prawdą, a co zbudowaną przez niego fasadą?*

*Nie, to nieprawda. Ja go znam. Wiem, że go znam.*

Wiercę się w łóżku, próbując znów zasnąć.

*Dzwoni do niej teraz?*

Jeśli zaraz za nim nie wyjdę, to się nie dowiem.

*Jebać to, muszę wiedzieć.*

Z wściekłością odgarniam kołdrę i wychodzę z sypialni.

Ben siedzi w ciemności przy kuchennej ladzie i otwartym laptopie.

Przestrzeń rozświetla tylko światło monitora.

Krzyżuje ramiona na piersiach w postawie obronnej.

– Co robisz? – pytam.

Patrzy na mnie, zaskoczony, i zatrząskuje komputer. Wygląda na winnego.

– Nic. Sprawdzam maile. Nie mogłem spać.

– Bzdura.

Bierze do ręki komputer i serwetkę.

– O czym ty mówisz, Bridget?

– Co jest na tej serwetce?

– Nic.

– Kłamca. Pokaż mi to. – Wyciągam rękę.

– Słucham? – mówi, wykrzywiając twarz.

– Słyszałeś. Oddaj mi to – mówię i otwieram dłoń.

– Odbiło ci – warczy, przemykając obok mnie. Wraca do sypialni.

Ruszam za nim, przed oczami robi mi się czarno.

– Jedna z twoich dziewczynek napisała ci list miłosny?! – wrzeszczę za nim.

Robi zaskoczoną minę.

– Nie! – odkrzykuje.

– Nie drzyj się na mnie! – krzyczę.

– Bridget, idź spać.

– Jeśli mi nie powiesz, co jest na tej serwetce, to pójdę co najwyżej na lotnisko.

– Rzeczy z pracy. I nie groź mi, kurwa. Nie okłamuję cię! Nigdy nie okłamywałem!

– Jakie rzeczy?

– Jesteś niemożliwa. Daj już spokój.

– Ben – mówię spokojnie. – Pokaż mi serwetkę. Proszę.

Patrzy na mnie wściekle, ale w końcu mi ją daje. Rozchyłam ją i czytam:

**Gdyby coś mi się stało.  
Skrytka numer 1190  
Strawberry Hills  
Kod: 33996425**

- Kto ci to dał? – pytam, podnosząc na niego wzrok.
  - Jason Steele – odpowiada i zaciska szczękę.
  - Och... – Wytrzeszczam oczy. Czuję się jak kretyńka.
- Ben wpada do łazienki, włącza wodę i wskakuje pod prysznic.  
Kurwa, zachowałam się jak dwulatka.  
Wchodzę za nim do łazienki.
- Przepraszam.
- Ignoruje mnie i zaczyna się myć.
- Sprawdziłem w wyszukiwarce tę skrzynkę – warczy. – Ale miło wiedzieć, co o mnie myślisz.
- Przewracam oczami.
- Ben... – waham się. – Zalazła mi za skórę – mówię, ale on tylko kręci głową z niesmakiem. – Ona... powiedziała, że łączy was długa historia. I że się mną znudzisz... – dukam.
  - Czy moje słowa nic dla ciebie nie znaczą?! – krzyczy. – Jestem z tobą! Ani razu cię nie okłamałem! Ani razu! – Spuszcza głowę. – Zostawiłem cię, żebym nigdy nie musiał kłamać.
  - Co masz na myśli? – dziwię się.
  - Wiedziałem, że nie będę w stanie kłamać ci w oczy przy każdym wyjeździe na misję. Nie dałbym rady. Byłem tego pewien.
- Patrzę na niego, niepewna, co na to odpowiedzieć.  
Wychodzi spod prysznic, wyciera się, owija ręcznikiem, przechodzi do sypialni i zaczyna się pośpieszenie ubierać.
- Biegnę za nim jak mały piesek.
- Ja tylko... – urywam i łapię się za głowę, zdezorientowana. – Przerażasz mnie, Ben.
- Odwraca się do mnie i kręci głową.
- Ja ciebie?!
- Kiwam głową.
- No to witam, kurwa, w klubie, bo ty mnie, kurwa, też! – wrzeszczy. – Nie wiem, z jakimi dupkami byłeś w przeszłości, ale gdy

mówię, że cię kocham, to cię kocham, kurwa!

Patrzę na niego. Mam ogromne wyrzuty sumienia.

– Nigdy nikogo nie kochałem. Nie wypowiedziałem tych słów od śmierci matki, a ty rzucasz mi w twarz coś takiego... – Zawiesza głos.

– To kurewsko boli!

Cholera, czuję się jak gówno. Łzy napływają mi do oczu.

Ben zakłada dres.

– Co robisz? – pytam.

– Wychodzę. Na siłownię.

Rusza korytarzem i znika za frontowymi drzwiami, które zamykają się za nim z trzaskiem.

Wzdycham z rezygnacją i wracam do sypialni. Z frustracji walę pięścią w poduszkę.

\*\*\*

– Dzień dobry, Bridget – zwracam się do siebie. – Jebnij ty się w łeb.

Miotam się po kuchni. Już dziesiąta, a Ben jeszcze nie wrócił.

*Jest na mnie zły czy stało się coś jeszcze gorszego?*

Nie pamiętam, gdzie wyrzuciłam tę zasraną serwetkę podczas porannej kłótni, więc nawet nie mogę poszukać odpowiedzi w Internecie.

Ale mam dwa pytania.

Po pierwsze: kim jest Jason Steele?

Po drugie: czy wrabia Bena i chce go ściągnąć w pułapkę, gdzie będą mogli go zabić?

Ta prośba o udanie się pod wskazany adres wygląda mi podejrzanie. Dlaczego Ben miałby zaufać tym informacjom? Dlaczego ten cały Steele zwrócił się akurat do niego?

Robię sobie kawę i w tym momencie słyszę, że drzwi się otwierają. Ulga ściska mi serce.

– Cześć – rzuca Ben, wchodząc do kuchni.

– Cześć – odpowiadam, uśmiechając się niezręcznie.

Sięga za gumkę dresowych spodni i wyciąga mały pistolet, który kładzie na stole. Zaraz obok ląduje okazała żółta koperta.

Otwieram szeroko oczy.

– Kupiłem ci – oświadcza, stukając palcem w pistolet.

– Skąd pomysł, że będzie mi potrzebny? – dziwię się.

Ben wzrusza ramionami.

– Kupiłem ot tak, dla pewności.

Przyglądam mu się przez chwilę, po czym pytam:

– Gdzie byłeś?

Rozrywa kopertę.

– Pojechałem do tej skrytki.

Wyciąga ze środka plik papierów i bacznie im się przygląda. Czytając, marszczy czoło.

– Co to? – pytam.

– Nie jestem pewien – odpowiada, siadając. Przerzuca strony i ściąga brwi jeszcze mocniej. – To jakiś szyfr.

– Pokaż.

Podaje mi plik kartek. Litery, rozrzucone w jakiejś dziwnej kolejności, nie mają najmniejszego sensu. Przerzucam sześć kartek, wszystkie wyglądają tak samo.

– Co to znaczy?

– Nie mam pojęcia – przyznaje, kręcąc głową.

Na szczycie strony widnieje narysowana niebieskim długopisem strzałka, która wskazuje w górę.

– A ta strzałka?

Kręci głową, zabiera mi kartki i wraca do ich analizowania.

– To żaden z naszych szyfrów, bo nic z tego nie rozumiem.

– Wiesz, kto mógłby to odczytać? – pytam.

– A ty wiesz?

– Joshua.

Ben czyta dalej.

– To stworzone dla niego. Uwielbia takie rozpierdalacze umysłu. Mógłby złamać ten szyfr – ciągnę.

– Nie chcę go w to mieszać – mówi Ben w zamyśleniu.

Kręcę głową.

– Przecież ma taką ochronę, że na pewno będzie bezpieczny. Powinieneś mu to wysłać, upora się z tym w dwa dni.

Przesuwa palcami po dwudniowym zaroście, jakby się zastanawiał.

– W sumie... może...

– Po co w ogóle po to pojechałeś? Przecież Steele napisał: „Jeśli coś mi się stanie”.

Ben patrzy mi w oczy.

– Jak zginie, to będzie za późno. Chciałem rzucić na to okiem wcześniej.

– A nie znalazłeś się przez to w niebezpieczeństwie?

– Nie sądzę. Jeżeli to ważne, to najpierw będą chcieli dopaść jego.

Wstaje i wyciąga butelkę wody z lodówki. Potem siada na kanapie. Bez wątpienia nadal jest na mnie zły.

Idę za nim.

– Przepraszam za rano – mówię.

Patrzy mi w oczy i kiwa głową, popijając wodę.

– No bo co miałam sobie pomyśleć? – kontynuuję, spacerując nerwowo po pokoju. – Powiedziała, że macie długą historię i że powinnam się martwić, a potem widzę, jak wyciągasz jakąś serwetkę ze spodni i wymykasz się z sypialni.

Kręci głową, zniesmaczony.

– Bridget, jak sądzisz, dlaczego przyleciałem po ciebie do Australii? – Klepie się po kolanie, więc odczytuję to jako zaproszenie i siadam na nim.

– Nie wiem... Dlaczego?

– Bo czegoś brakowało...

– Brakowało? – pytam, patrząc na niego, zdezorientowana.

– Bridget, ja nie jestem taki jak ty.

– Co przez to rozumiesz?

– Ja nie... – urywa, szukając właściwych słów.

– No co?

– Ja nie... Nigdy... Odkąd cię zostawiłem, nie spotkałem nikogo, z kim chciałbym spędzać czas.

Unoszę ironicznie brew.

– Półgodzinny seks to coś zupełnie innego niż długi, wspólny czas i budowa związku. Nie znam tych kobiet i nie chcę ich znać. Robiłem swoje i od razu wychodziłem. – Kręci głową. – Czułem się potem tak źle, że dziesięć minut przyjemności nie było tego warte.

– Przestań o tym gadać. – Odwracam wzrok, wściekła. – Nienawidzę sobie wyobrazać, jak uprawiasz seks z innymi.



– Ja też. Za każdym razem, gdy to robiłem, miałem wrażenie, że cię zawodzę. – Wbija wzrok w podłogę. – Jakbyśmy nadal byli razem, ale... – Kręci głową, jakby sam nie wiedział, co myśleć.

Przyglądam się mu.

– To nie było to samo. Z nikim innym nie nawiązałem takiej więzi jak z tobą.

Uśmiecham się czule i całuję jego pełne usta.

– Przyleciałem po ciebie, ponieważ... – urywa i ściąga brwi, patrząc mi w oczy.

– Ponieważ?

– Wiedziałem, że mnie nie potrzebujesz, ale... – Znowu wbija wzrok w podłogę.

Unoszę jego twarz, żeby na mnie spojrzeć.

– Ale co, Ben?

– Ale ja potrzebowałem ciebie.

Patrzymy sobie głęboko w oczy.

– Ciągle powtarzałem sobie w myślach, że lepiej ci beze mnie i że nie mogę ci zaoferować normalnego życia, na jakie zasługujesz.

– Ben... – szepczę.

– Ale musiałem zachować się samolubnie. – Kręci głową ze smutkiem. – Musiałem wrócić i dać sobie szansę na szczęście.

Uśmiecham się łagodnie.

– Jesteś kretynem. – Całuję go w usta. – Dlaczego po prostu nie powiedziałeś mi tego, zanim pierwszy raz odszedłeś?

– Bridget, miałaś wtedy dwadzieścia dwa lata. Zareagowałaś na to wszystko zupełnie inaczej niż teraz. A może całkowicie się pomyliłem? Może byś zrozumiała... – Wzrusza ramionami. – Ale wtedy często wyjeżdżałem. Musiałbym cię na okrągło okłamywać. Nie zniósłbym tego.

Przyglądam mu się ze smutkiem w oczach, ale też z pewnego rodzaju ulgą, bo w końcu mam pewne pojęcie o tym, co się wtedy wydarzyło.

– Patrzyłem, jak wtedy cierpiałaś, i nie mogłem ci pomóc...

– Ben, ale nie chciałam twojej pomocy, wystarczyłoby, gdybyś przy mnie był – szepczę.

Patrzy mi głęboko w oczy.

– Didge, ja wiem, jak się żyje w głębokim smutku. Wiem, jak smakuje rozpacz. Nie dbałem o własną śmierć, wiedziałem, na co się piszę... – mówi, a ja całuję go delikatnie. – Ale nie mogłem narażać na to ciebie. – Gładzi mnie po nodze. – Didge, masz tę swoją zrzedliwą i twardą powłokę, ale w środku jesteś słodka i łagodna. Nie mógłbym ci tego świadomie zrobić.

Moje oczy zachodzą mgłą, bo trafił w czuły punkt.

– Nie myśl choć przez sekundę, że cię zostawiłem, bo cię nie kochałem – dodaje szeptem. – Trzymanie się na dystans było niewiarygodnie trudne.

Opieram się czołem o jego czoło i czuję, jak zalewa mnie smutek z powodu tego, co oboje musieliśmy przejść.

– I każde najmniejsze twoje wątpliwości z powodu innej kobiety są niedorzeczne – mówi dalej. – Tylko ciebie zawsze pragnąłem. Tylko ciebie kochałem. Naprawdę myślisz, że po piekle, które musiałem przejść, tak bym to teraz spierdolił?

Uśmiecham się na przekór napływającym do oczu łzom.

– A wie pan, panie Statham, że jeśli pan tylko chce, to potrafi być całkiem romantyczny? – mówię.

Uśmiecha się i kręci głową.

– No co? – pytam.

– Każdego dnia słyszę od ciebie coś po raz pierwszy w życiu.

– Naprawdę? – uśmiecham się.

– Tak, naprawdę.

Całuję go czule.

– Ben, wiesz, jak bardzo cię Kocham?

Zaciska zęby, jakby przytłoczyły go emocje. Patrzy mi głęboko w oczy.

– Nawet nie w połowie tak, jak ja ciebie.

– Zabierz mnie z powrotem do łóżka – szepczę.

Całuje mnie i bierze na ręce jak pannę młodą.

– Już się robi, szanowna pani.

\*\*\*

Chodzę nago po pokoju Bena i przyglądam się zawartości półek na jego regałach. Wszędzie roi się od zdjęć i innych pamiątek. Jak w jakimś skarbcu. On leży w łóżku z rękami pod głową i obserwuje mnie.

– Kto to? – pytam, wskazując zdjęcie przedstawiające trzech mężczyzn.

– Chłopaki, z którymi mieszkałem kiedyś w koszarach.

Wskazuję głową na stare zdjęcie przystojnego faceta około trzydziestki.

– A to?

– Mój tata.

Biorę ramkę do ręki, przyglądam się dokładniej i na mojej twarzy wykwita uśmiech.

– Przystojny.

Ben się uśmiecha.

Na kolejnej fotografii widać kobietę i staruszkę.

– A one?

– Mama i babcia.

Im również przyglądam się z uśmiechem.

– Wyglądają na miłe. – Przesuwam palcem po szybce. – A co się dzieje z twoją babcią?

– Zmarła na zawał rok przed mamą.

Ściągam brwi i oglądam następne zdjęcia. Docieram do fotki naszej ekipy. Jesteśmy w Kamali, na ślubie Joshui i Nataszy. Stoimy z Benem naprzeciwko siebie.

– Tych znam. – Uśmiecham się ironicznie. – Ładni ludzie.

Ben przewraca oczami.

Na najniższej półce stoi stara drewniana skrzynka. Otwieram ją ostrożnie. Okazuje się pełna małych świecidełek. Biorę ją i siadam obok Bena na łóżku.

Staje się bardzo poważny.

Wyciągam ze środka różowe koraliki i robię zdziwioną minę.

– Co to? – pytam.

– Należały do Meiki.

– A kto to?

– Moja siostra.

Ściska mnie w dołku, ale wymuszam uśmiech.

– Ładne.

Zaglądam głębiej do skrzynki i znajduję w niej kamyczek z namalowaną twarzą.

– A to co?

– To Fred – rechocze Ben.

– Fred? – pytam z uśmiechem.

– Zrobiłem go w przedszkolu dla mamy. Bardzo o niego dbała.

– Słodkie – chichoczę.

Całuję trzymany w dłoni kamyczek, na co Ben posyła mi serdeczny uśmiech. Potem wyciągam czekoladowe serce w pozłotku.

– A to?

– Ty mi to dałaś – odpowiada, patrząc mi w oczy.

– Naprawdę? – pytam, zaskoczona.

Przytakuje, ale jakby lekko zawstydzony.

– Kiedy?

– Byliśmy wtedy w szpitalu przy twojej babci. Ktoś rozdawał czekoladki, ale ja akurat gdzieś poszedłem, więc zabrałaś dla mnie jedną.

– I zatrzymałaś ją? – pytam, marszcząc czoło.

Ben przytakuje.

– Sporo dla mnie znaczyła. Pierwszy raz zdałem sobie sprawę, że o mnie myślisz, nawet gdy mnie nie ma.

Przygryzam dolną wargę, by zamaskować durnowaty uśmiech. Następnie wyciągam jakiś paszport i go otwieram.

Serce podchodzi mi do gardła, bo ze zdjęcia spogląda na mnie blondwłosa dziewczynka. Odczytuję jej imię i nazwisko: Meika Rose Statham.

Patrzę na Bena, ale on spuszcza wzrok.

– Ładna – szepczę.

Kiwa głową.

Czytam resztę jej danych i dodaję dwa do dwóch. Jutro miałyby urodziny.

*O Boże, czyli Ben ma jutro urodziny.*

– Masz jutro urodziny? – pytam.

– Nie obchodzę urodzin – odpowiada natychmiast.

– Dlaczego?

– Bo Meika nie może obchodzić swoich.

– Och, Ben... – Wzdycham smutno.

Przetrząsam pudełko dalej i znajduję starą pocztówkę z Nowego Jorku. Obracam ją, lecz z tyłu jest pusta.

– Co to?

– Meika zawsze chciała pojechać do Nowego Jorku – wspomina z uśmiechem. – To jej. Mówiła, że kiedyś mnie tam zabierze.

Wyobrażam sobie dwunastoletnią dziewczynkę z głową pełną nadziei i marzeń, których nigdy nie zrealizuje, i moje gardło ściska się ze wzruszenia.

– Nie byłeś tam nigdy? – wyduszam, na co on kręci przecząco głową. – No to powinniśmy pojechać.

Ben marszczy czoło, a mnie wpada do głowy pewien pomysł.

– Tak. Powinniśmy pojechać do Nowego Jorku jutro... Dla Meiki. – Uśmiecham się. – Na jej urodziny.

Ale on mówi szybko:

– Nie... Nie mógłbym.

Pospiesznie wychodzi z łóżka i idzie od łazienki. Wchodzi pod prysznic, żeby uniknąć dalszej rozmowy.

Pakuję skrzynkę, odkładam ją na miejsce i idę za nim. Przysiadam na wannie i zastanawiam się.

– Kiedy ostatnio obchodziłeś urodziny, Ben?

Myje się i długo nie odpowiada. W końcu, rozdrażniony, warczy:

– Nie obchodzę, odkąd odeszła.

Czuję ukłucie w sercu. *Jakie to smutne.*

– Ben, a pamiętasz jeszcze, że mamy zacząć razem nowe życie? – pytam, a on odnajduje spojrzeniem moje oczy i kiwa głową. – No więc chciałabym zainicjować nowe tradycje. Nasze tradycje. I chciałabym świętować, że żyjesz, bo... – kręcę głową, szukając odpowiednich słów – ...bo to cud.

– Maleńka, widzę, co próbujesz osiągnąć. Po prostu odpuść.

– Ben, proszę cię – błagam. – Chcę, żebyś ruszył dalej i był szczęśliwy. No i możemy zrobić to razem.

Spuszcza smutno głowę, więc rozbieram się i dołączam do niego pod prysznicem. Na szczęście od razu porywa mnie w silne ramiona.

Wtula się we mnie mocno i węża moje włosy.

– Możemy? – pytam z zachęcającym uśmiechem.

– Didge... – wzdycha. – Wydaje mi się, że nie dam rady.

– Ben, ze mną dasz radę. Dopóki mamy siebie, możemy wszystko.

Uśmiecha się tuż przy moich ustach. Całujemy się.

– Proszę... – Ponawiam błagania i dla większego efektu lekko podskakuję.

– Bridget...

– Proszę...

– No dobrze już – warczy.

Uśmiecham się od ucha do ucha.

– Tak się składa, że znam świetną agentkę podróżniczą.

– Która jest jak drzazga w moim tyłku – mówi, łapiąc mnie za pośladek.

# Rozdział 19

## Ben

Idziemy nowojorską ulicą. Bridget łapie mnie za rękę i unosi brew. To jej nowa zabawa – próbuje łapać mnie za rękę publicznie i sprawdzać, ile wytrzymam. Prawdziwa męka.

Przyjechaliśmy do Nowego Jorku wczoraj po południu, a wieczorem wyszliśmy na miasto. Jedliśmy, piliśmy, śmialiśmy się. Nie bawiłem się tak dobrze z żadną kobietą od czasu... W zasadzie to nigdy.

Ale dziś jest inaczej, bo Bridget ciągnie mnie po wszystkich znanych ludzkości atrakcjach turystycznych.

Staram się, naprawdę. I wiem, że chce mnie rozweselić, ale nie wytrzymam. Nie wytrzymam obecności w Nowym Jorku bez Meiki. Wszystko, na co patrzę, przypomina mi, że ona nigdy tego nie ujrzy. Nie doświadczy.

*Wszystkiego najlepszego, siostrzyczko.*

Czekamy na windę, aby wyjechać na platformę widokową w Empire State Building.

Wbijam wzrok w drzwi, czekam aż się rozsuną.

Często się zastanawiam, dlaczego to ją porwali, a nie mnie. Była taka dobra... Ja nigdy nie byłem dobry. To ma być fair, że ja żyję sobie dalej, a ona nie?

Ściskam dłoń mojej pięknej Bridget odrobinę mocniej. Nigdy nie zrozumie, dlaczego mnie kocha.

Uśmiecha się do mnie czule i oddech więźni mi w płucach. Jest jedyną idealną rzeczą, jaka mnie spotkała. Wystarczy mi, że będzie obok, wpatrzona we mnie. Nie potrzebuję niczego więcej.

Pochyliam się i całuję ją czule.

– Dziękuję – szepczę.

– Za co?

- Za to wszystko – odpowiadam, wykonując zamaszty ruch ręką.
- Dla mojego mężczyzny wszystko. – Uśmiecha się do mnie.

Winda w końcu się pojawia, wjeżdżamy na górę, aż w końcu docieramy na szczyt. Wychodzimy na platformę widokową.

Gardło mam ściśnięte z emocji, a Bridget chyba to wyczuwa, bo pokrzepiająco trzyma mnie za rękę.

Rozglądamy się wokół.

Nagle Bridget zwraca się do kobiety za nami:

- Przepraszam, mogłaby pani zrobić nam zdjęcie?
- Oczywiście. – Kobieta uśmiecha się serdecznie.

*Boże... To jakiś pierdolony koszmar.*

Pozujemy przez chwilę, a potem Bridget mówi:

- Mogłaby pani przełączyć na kamerę i nagrać krótki filmik?

*Co?*

Zerkam na nią z ukosa, a gdy zauważam, że patrzy na mnie lśnącymi oczami, siłą rzeczy się uśmiecham.

– Ben... – Zawiesza głos, jakby się denerwowała. – Chciałabym dać ci jeszcze jeden powód do świętowania w urodziny.

– A jakież to, panno Bridget? – pytam, uśmiechając się do niej z góry.

- Rocznicę. – Całuje mnie czule. – Ożeń się ze mną.

*Co się dzieje, do cholery?*

Patrzę na nią, wstrząśnięty.

*Co? Żartuje sobie ze mnie?*

To ostatnie, czego bym się z jej strony spodziewał.

- Ben? – pyta głosem przepełnionym nadzieją.

Unoszę pytająco brwi.

*Ona tak na serio?*

- Ben, pytam poważnie... Ożenisz się ze mną?

Spoglądam na kobietę, która z szeroko otwartymi oczami nagrywa tę scenę. W odpowiedzi wzrusza ramionami, jest nie mniej zaskoczona niż ja.

- Ben! – warczy na mnie Bridget.
- Odjechało ci coś? – pytam szeptem.
- Tak czy nie, Ben?

Całuję ją, a zgromadzeni wokół nas ludzie zaczynają wiwatować.



– Odpowiedz, do jasnej cholery – cedzi przez zęby.  
– Bridget... – Zawieszam głos. – Ale to ja ciebie chciałem poprosić o rękę – szepczę.

– No cóż, jesteś za wolny. Kto pierwszy, ten lepszy, Statham. – Uśmiecha się tuż przy moich ustach i oplata moją szyję rękami.

*Boże, jak ja kocham tę kobietę.*

– Odpowiadaj, bo zaraz wycofam ofertę – szepcze, gdy trzymam ją w ramionach.

– Boże, dobijasz mnie. – Parskam śmiechem.

– Czyli dzisiaj? – pyta, zadzierając na mnie głowę.

Patrzę na nią, zdziwiony.

*Że co, do cholery?*

– Nie. Nie dzisiaj, Bridget – odpowiadam cicho.

– Ale to musi być dzisiaj. W urzędzie. Chcę ci się oddać na urodziny. – Patrzy mi głęboko w oczy. – Bliscy będą z nami duchem.

Gapię się na nią, a ziemia zaczyna pode mną drzeć i traci koncentrację. Spuszczam głowę na jej ramię. Ona naprawdę byłaby gotowa zrezygnować z obecności własnej rodziny na ślubie, dlatego że ja nie mam swojej.

To zbyt wiele. Nie zasługuję, by mnie kochała.

Emocje przygniatają mi pierś.

– Możemy zorganizować następny ślub dla przyjaciół, później – mówi z uśmiechem. – A o tym nawet nie musimy nikomu mówić, jeśli nie chcesz.

– Ty naprawdę nie żartujesz – stwierdzam szeptem, patrząc jej w oczy.

– Ben – uśmiecha się czule – tu chodzi o nas. Koniec z kłótniami, koniec z sekretami, koniec z pierdołami. Tylko ty i ja. Kochamy się na tyle, prawda? I wiem, że to szybko, ale nigdy nikogo nie pokocham tak bardzo jak ciebie.

Z ekscytacji aż podskakuje, a na ten widok serce wyrywa mi się z piersi. Gapię się na nią, czas staje w miejscu, a ona nadal podskakuje.

– Ben, no chodź. Rzuć się ze mną w przepaść. Żyjmy, jakby każdy dzień był ostatnim.

Czuję się, jakbym unosił się na powierzchni wody, a pod sobą miał bezkresną głębię. Jedynym ratunkiem jest podpłynięcie do Bridget.

*Czy to dzieje się naprawdę?*

– Ben, no nie zmuszaj mnie, bym błagała – mówi z uśmiechem.

Uśmiecham się szeroko, gdy resztki mojego oporu wyparowują. Ujmuję w dłonie jej twarz i całuję jej idealne usta.

– Okej – wzdycham i stykamy się czołami. Całujemy się jeszcze raz. – Kocham cię – szepczę i zanoszę się śmiechem z niedowierzania. – Czy to jedna z tych rzeczy, których pożałujesz jutro zaraz po przebudzeniu?

– A kogo to obchodzi? – odpowiada, wzruszając ramionami. – Żyję tym, co jest tu i teraz.

– Od kiedy?

– Od teraz.

– Czy mogę już przestać nagrywać? – wtrąca kobieta.

– Och, przepraszam – odpowiada Bridget. – Zapomniałam o pani.

– Domyśliłam się. Gratulacje. – Uśmiecha się i oddaje telefon.

Dopiero teraz zauważam, że otacza nas wianuszek gapiących się ludzi, i od razu się zawstydzam.

Łapię Didge za rękę.

– Zmywajmy się stąd. Właśnie mnie wykastrowałaś.

Ciągnę ją do windy, a ona wybucha gromkim śmiechem.

– W końcu! – krzyczy. – Ktoś musiał to zrobić!

## Bridget

– Jesteś tego pewna? – pyta Ben, gdy wchodzimy po schodach ratusza.

Uśmiecham się do mojego pięknego mężczyzny.

– Tak jest. – Nachyliłam się i całuję jego cudowne pełne usta. – Wszystkiego najlepszego, skarbie – dodaję, dotykając jego dwudniowego zarostu.

Oczy Bena błyszczą szczęściem. Ścisza mnie za rękę.

Mam na sobie jasnoróżową sukienkę do kolan – obcisłą w talii, a od pasa w dół rozkloszowaną. Do tego włożyłam różowe sandałki

na szpilkach. Rozpuściłam włosy, a za prawe ucho wsadziłam wielki kwiat. Postawiłam na naturalny makijaż i różową szminkę na ustach.

Oto dzień mojego ślubu. Podjęłam decyzję w ułamku sekundy podczas wczorajszego wieczoru, a chwilę później wymknęłam się do toalety w restauracji i złożyłam przez Internet stosowny wniosek.

Od trzech dni rozbrzmiewała mi w głowie rada Ally, bym kochała Bena tak, jakby to był nasz ostatni wspólny dzień. I dokładnie to robię.

Promienieję szczęściem i niczego nie żałuję.

To dobra decyzja. Kocham Bena. Zawsze go kochałam. Wiem, że to szaleństwo, bo przecież dopiero do siebie wróciliśmy. Może jestem ślepa i kompletnie głupia. Czy chcę wyjść za niewłaściwego faceta? Nie. Bo czuję, że postępuję słusznie. Chcę tego każdą komórką ciała.

Ofiarować mu siebie w urodziny, których nie obchodził od dwóch dekad, to największy możliwy dar.

Do dziś myślałam, że w ślubach chodzi o suknię, gości, piękną salę... Przekonałam się jednak, że chodzi wyłącznie o niego. Chcę jedynie, by mógł przeżywać kolejne urodziny bez bolesnych wspomnień.

Ben ma na sobie strój, w którym planował wyjść dziś wieczorem. Nic specjalnego, a jednak nie wyglądałby lepiej, nawet gdyby się starał. Bo lśni, jakby ktoś uruchomił w nim latarnię morską szczęścia.

Cała niepewność między nami zniknęła w jednej chwili. Oboje to wiemy.

Podchodzimy do recepcji i uśmiechamy się do okienka.

– Dzień dobry. Dzwoniłam do państwa. Jesteśmy umówieni na trzecią – obwieszczam.

Ben przygryza wargę, próbując zachować spokój.

Ja też muszę się skupić, żeby nie podskakiwać.

– Tak, zgadza się. Macie państwo wszystkie papiery? – pyta kobieta.

Wyciągam nasze dokumenty tożsamości z torebki, kładę na ladzie i przesuwam w jej stronę.

Kobieta przegląda je i sporządza kopie.

– Pierwsze drzwi po prawej – mówi serdecznie.

Ben bierze mnie za rękę, skręcamy w korytarz i pukamy we wskazane drzwi.

– Proszę! – woła męski głos.

Patrzymy na siebie z Benem, a ja uśmiecham się szeroko i staję na palcach, żeby pocałować go w usta.

Kręci głową, jakby nie wierzył, że naprawdę chcemy to zrobić. Otwiera drzwi i naszym oczom ukazuje się mężczyzna siedzący za wielkim mahoniowym biurkiem.

Patrzy na nas znad okularów.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry.

Uśmiechamy się oboje.

– Proszę zamknąć drzwi.

Ben odwraca się i je zamyka.

– Nazywam się Henry Thomas i będę prowadził państwa ceremonię ślubną. – Podaje nam dłoń na powitanie.

Oboje z Benem śmiejemy się nerwowo.

– No dobrze. Macie państwo dla mnie dokumenty?

– Tak. – Podaję mu teczkę.

Mężczyzna przegląda papiery.

– A obrączki? – pyta.

Ben wyciąga z kieszeni obrączkę po mamie i drugą złotą, którą kupiliśmy dziś rano. Przekazuje je urzędnikowi.

Kulę się jak zalęknione dziecko.

*Naprawdę to zrobimy?*

Oboje podpisujemy masę dokumentów, aż w końcu nadchodzi ta chwila.

– Proszę, stańcie państwo naprzeciwko siebie. – Urzędnik uśmiecha się i gestem wskazuje nam właściwe miejsca.

Stajemy naprzeciwko siebie, a gdy Ben ujmuje moje dłonie w swoje, zaczynam chichotać jak uczennica. Nawet on ma problem z zachowaniem kamiennej twarzy.

*To naprawdę się dzieje?*

– Powtarzajcie za mną.

– Ja, Benjamin Statham – recytuje Ben, patrząc mi głęboko w oczy i uśmiechając się czule. – Biorę sobie ciebie, Bridget Marx, za żonę.

Będę przy tobie trwał w chorobie i zdrowiu, od dziś, każdego dnia.

Gdy wsuwa mi obrączkę na palec, chichoczę i podskakuję w miejscu. Bierze moją rękę i całuje mnie w dłoń.

Oboje się śmiejemy, w jego oczach skrzy się coś wyjątkowego.

Czuję, jak zalewa mnie pełna gama emocji.

– Ja, Bridget Marx, biorę sobie ciebie, Benjamina Stathama, za męża – mówię dumnie, a Ben przygląda mi się jak zauroczony. – I będę przy tobie trwała w chorobie i zdrowiu, od dziś, każdego dnia.

– Ostrożnie wsuwam obrączkę na jego palec i znowu chichoczę.

– Może pan pocałować pannę młodą.

Ben bierze mnie w ramiona i całuje jak w zwolnionym tempie.

Powietrze uchodzi z moich płuc, bo to najdoskonalszy pocałunek, jaki Ben mi podarował. Jest w nim zawarta obietnica. Oczy zachodzą mi łzami. Śmieję się przy jego wargach, a on obejmuje mnie mocno.

– Proszę pozwolić, że zrobię zdjęcie – proponuje życzliwie Henry.

Podaję mu komórkę, a on pstryka kilka fotek.

Parskam śmiechem na myśl, co powiedziałyby Adrian, gdyby widział, że robię sobie zdjęcia ślubne popsutym telefonem.

– Dziękuję i gratuluję, państwo Statham – mówi i wręcza nam świadectwo ślubu.

– Dziękuję. – Ben kiwa mu głową i ponownie mnie całuje.

*Przecież to, kurwa, jakieś szaleństwo!*

Henry otwiera nam drzwi i wychodzimy, śmiejąc się z niedowierzania.

– Gratuluję! – woła za nami dziewczyna z recepcji.

– Dziękujemy!

Ben bierze ode mnie kopertę z dokumentem.

Podaję mu dłoń i z sercem łomoczącym w piersi wychodzę z nim przed ratusz.

Zrobiliśmy to.

Państwo Stathamowie.

\*\*\*

Mieszam lodem w margaricie, a Ben uśmiecha się do mnie ciepło z drugiego końca stolika. Opiera się na krześle z piwem w dłoni.

Wygląda na bardzo zadowolonego z siebie.

– Z czego się cieszysz?

– Z ciebie – parska.

Podziwiam, jaki jest idealny. Nigdy nie widziałam gorętszego faceta.

– Seksownie ci w małżeńskim stanie.

Surowy, przystojny, ze szczęką ostrą jak brzytwa i krótko przyciętymi włosami. Wygląda niczym ucieleśnienie męskości, a z każdym dniem, gdy jego mury kruszeją, ja coraz bardziej się w nim zakochuję.

*To dobrze... Bo dziś za niego wyszłam.*

Przed chwilą zjedliśmy kolację, siedzimy właśnie w jednym z cocktail barów w Nowym Jorku.

Patrzy na moje usta.

– Mam wyrzuty – szepcze.

– Czemu? – dziwię się.

– Bo rodzina nie towarzyszyła ci w dniu ślubu – odpowiada, wbijając wzrok w stolik.

– Urządzimy dla nich drugi ślub. Ben, w naszym związku nigdy nie chodziło o moją rodzinę – mówię, a on ponownie podnosi na mnie oczy. – Chodzi o nas, o nas dwoje. – Marszczę czoło i zastanawiam się nad odpowiednim doborem słów. – W gruncie rzeczy publicznie nie wypadamy razem najlepiej.

– Ty wypadasz dobrze.

– Ale ty nie – szepczę.

– Nie chcę być taki, jaki jestem, ale...

– Cichy i silny? – wtrącam. – Ben, nie chciałabym, żebyś się zmienił. Jesteś dla mnie absolutnie idealny.

Patrzy na mnie seksownie.

– Ty dla mnie jesteś idealna.

– No to mamy szczęście, że się pobraliśmy. – Puszczam mu zawiadane oczko, na co kręci głową z niedowierzaniem.

– To naprawdę się wydarzyło? – pyta, unosząc brew. – Czy mi się przyśniło?

– No. – Potakuję. – Tak mnie jakoś naszło i musiałam to z siebie wyrzucić...

Wytrzeszcza oczy, przerażony.

– Czyli... Ten cały pomysł z małżeństwem przyszedł ci na myśl nagle? Tam na miejscu? – wydusza, zdumiony.

Wzruszam ramionami, sącząc drinka.

– W zasadzie zdecydowałam dzień wcześniej... w restauracji.

– I nie rozmyślałaś się – stwierdza, marszcząc brwi.

– Kocham cię, Ben – mówię z uśmiechem. – Zawsze cię kochałam i musiałam cię zaobrządkować, zanim znowu mi uciekniesz.

Rechocze i łapie moją dłoń nad stolikiem.

– Już nic nie mogłoby mnie od ciebie oderwać...

– Obiecujesz? – szepczę, patrząc mu w oczy.

– Obiecuję – odpowiada, całując moją dłoń. Zerka na parkiet, a potem znowu na mnie. – Chciałabyś zatańczyć? – pyta.

Przechodzi mnie niespodziewany dreszcz i chichoczę jak nastolatka, gdy Ben bierze mnie za rękę, prowadzi na parkiet i zamyka w potężnych ramionach. Uśmiecham się głupkowato, gdy bujamy się w rytm muzyki.

Leci *Perfect* Eda Sheerana, która idealnie pasuje do naszego nastroju.

– To nasz pierwszy małżeński taniec – zauważam z uśmiechem.

Całuje mnie delikatnie w usta.

– To pierwszy z wielu naszych „pierwszych razów”. Dziś zaczynamy nową historię, Bridget.

Ze wzruszenia wilgotnieją mi oczy. Musieliśmy pokonać morze problemów, żeby rozpocząć tę historię. Mam wrażenie, że zbieraliśmy się do jej rozpoczęcia całe wieki.

– Kocham cię. – Uśmiecha się do mnie. – To najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

Łzy rozrywają tamę. Wycieram je, zawstydzona.

– Przez tę twoją cikliwość sama się rozckliwiam – mówię, na co on parska śmiechem i mnie okręca.

– Myślę, że w dzień ślubu mogę ci pokazać odrobinę cikliwości.

– A co z następnym ślubem? Też będę miała okazję do cikliwości?

Wybucham śmiechem i całuje mnie czule.

– No, myślę, że wtedy też będę mógł się trochę porozklejać.

Ponownie mną obraca, a ja śmieję się w głos.

– A co, gdy będziemy mieli dzieci? – pytam, wpatrując się w niego jak zakochana po uszy nastolatka.

Zaprzecza ruchem głowy.

– Nie, dwa dni ckliwości, więcej z siebie nie wykrzeszę.

Obraca mnie, a potem przyciąga do siebie. Nasz twarze dzieli tylko kilka centymetrów.

– Ben, znam twoją tajemnicę.

– Jaką? – szepcze, muskając mnie ustami.

– Jesteś ckliwy cały czas, tyle że to ukrywasz – mówię.

– Pfff! – Znowu mną obraca, wywołując mój głośny śmiech. – Wcale nie. Masz omamy.

Kończę wirować, zarzucam mu ręce na szyję i przyciągam go do siebie.

– Zachowałeś czekoladkę, którą dałam ci sześć lat temu... – przypominam szeptem.

Jesteśmy bardzo blisko. Przytuleni.

Patrzy mi w oczy.

– Pragnę zaznaczyć na swoją obronę, że dziewczyna, od której ją dostałem, była naprawdę wyjątkowa – mruczy, gdy stykamy się czołami i bujamy powoli w rytm tej pięknej piosenki.

– Teraz jest twoją żoną.

Delikatnie kręci głową z niedowierzaniem.

– Pani Statham... – Jego dłonie ześlizgują się na mój tyłek, a oczy zachodzą mrokiem.

– Wszystkiego najlepszego, skarbie – mówię z uśmiechem i całuję go czule.

Tego idealnego wieczoru tańczę z idealnym mężczyzną do idealnej piosenki.

\*\*\*

Leżę w ciemności.

Oddech Bena drży; próbuje okiełznać podniecenie.

Przetańczyliśmy prawie całą noc, ale w końcu wróciliśmy do pokoju i teraz Ben czci językiem, ustami i dłońmi każdy skrawek mojego ciała.



Leżę na materacu i mam wrażenie, że zaraz postradam zmysły. Moja dłoń krąży po jego głowie, zanurzonej między moimi nogami. Podniecenie sięga zenitu i wyginam się w łuk.

– Ben... – kwilę. Szczytowałam już trzy razy, ale Boże, właśnie nadchodzi kolejny orgazm. – Ben – jęczę. – Pragnę cię.

Jego język nurkuje głębiej. Omiata, ssie, całuje.

Zamykam oczy z rozkoszy, szczęka zwisa mi bezwładnie, gdy tracę nad sobą panowanie.

– Ben! – domagam się. – Nie każ mi błagać. Już. Chcę cię natychmiast.

Unosi się nade mną i czule mnie całuje.

Czuję na jego ustach słony smak mojego podniecenia.

Nasz pocałunek staje się desperacki.

Ben chce się dziś kochać. Mogę policzyć na palcach jednej ręki, ile razy się kochaliśmy. Zazwyczaj się rżniemy, i to ostro.

Ale to mój ulubiony seks z Benem – gdy opuszcza gardę i kompletnie mi się oddaje. Jakby przede mną kapitulował. Rzadko tego zaznaję, ale zawsze warto czekać.

Jego wielkie, podparte na łokciach ciało porusza się nade mną rytmicznie, ale jeszcze we mnie nie wszedł.

Moje dłonie wędrują po jego barkach i plecach, zapuszczając się aż na jędrny tyłek.

Ociera się o mnie tym ogromnym kutasem.

*Boże, jak ja go pragnę. Potrzebuję.*

Zsuwam rękę i naprowadzam go na wejście. Nie wytrzymam ani chwili dłużej.

W końcu się wślizguje i oboje jęczymy w rozkoszy. Wykonuje głębokie, powolne pchnięcia i nasze ciała stają się jednością. Jesteśmy idealnie zsynchronizowani we wspólnym ruchu.

Urodziłam się po to, by z nim to robić. Żeby go tak kochać. Gdy jestem w jego ramionach i on jest we mnie, nic innego się nie liczy.

– Nigdy ode mnie nie odchodź... – szepcze.

Przywieram do niego jeszcze mocniej.

– Nie odejdę, kochany – szepczę i nasze wargi znów miażdżą się w pocałunku.

Ben podpira się na łokciach i patrzy mi głęboko w oczy.

– Powiedz, że nie umrzesz.

Ściska mnie w dołku.

To dlatego trzyma się na dystans od ludzi? Boi się ich śmierci?

Myślę o bólu, jaki musiał samotnie znosić, i oczy zachodzą mi łzami.

– Jestem przy tobie, skarbie. – Przywieram do jego ciała, które wchodzi we mnie głęboko, lecz czule. – Nigdzie się nie wybieram, Ben, obiecuję.

\*\*\*

Promienie słońca przeciskają się przez szpary w zasłonach, a ja przeciągam się leniwie. Spoglądam na leżącego na boku Bena, który mi się przygląda.

– Która godzina? – pytam.

– A kogo to obchodzi? – odpowiada z seksownym uśmiechem.

Obracam się na bok i ujmuję w dłoń jego policzek.

– Panie Statham, wygląda pan dziś na bardzo odprężonego. – Oblizuję łobuzersko wargi i uśmiecham się szeroko. – Poprosiłbyś mnie kiedyś o rękę?

Ujmuje w dłoń moją pierś.

– Chciałbym to zrobić.

– Ale nie zrobiłbyś? – dociekam, mrużąc oczy.

– Ja... – Zastanawia się przez chwilę. – Nigdy nie myślałem o sobie, żeby mógłbym być mężem... – Marszczy czoło, jakby doznał objawienia.

– Ale? – pytam.

– Chyba nie spodziewałem się, że... – urywa w pół zdania.

– Przystaniesz w końcu?

– Co?

– Powstrzymywać się przed mówieniem mi różnych rzeczy. Ben, jestem twoją żoną. Możesz mi powiedzieć wszystko.

Szczerzy zęby i przewraca się na plecy, wciągając mnie na siebie.

– Więc co chciałeś powiedzieć? – dopytuję, patrząc mu w oczy.

Całuje mnie w czoło i z namysłem wodzi palcami po moich włosach.

Kładę głowę na jego nagim torsie.

– Nie sądziłem, że mnie przyjmiesz, gdy już naprawdę mnie poznasz – przyznaje.

– Czyli zamierzałeś mi dać tylko siedemdziesiąt procent siebie? – dociekam.

Kiwa głową, pogrążony we własnych myślach.

– Myślałem, że więcej nie jestem w stanie dać.

Uśmiecham się smutno przy jego piersi.

– A co z tobą? – pyta, patrząc na mnie z góry. – Jak dotąd poznałem cię tylko w czterdziestu procentach.

Rozdziawiam usta.

– W czterdziestu? Znasz... Przecież znasz mnie znacznie lepiej – rzucam, oburzona.

– Nie wiem, jaki był twój ulubiony przedmiot w szkole, jaka jest twoja ulubiona książka, jak jadasz jajka, czemu przestałaś słodzić kawę i o czym myślisz, gdy tak marszczysz czoło... – Uśmiecha się. – I raczej nigdy się nie dowiem, co we mnie widzisz.

– Lubię Bena jako męża – odpowiadam wesoło i całuję go w tors.

Śmieje się i obejmuje mnie mocniej.

Przez kilka chwil leżymy w błogiej ciszy, a potem Ben włącza telewizor i skacze po kanałach. Zatrzymuje się na wiadomościach.

### **Z ostatniej chwili**

**Amerykański dyplomata Jason Steele i jego żona zostali zastrzeleni zeszłej nocy na środku tłocznej ulicy, gdy wychodzili z jednej z waszyngtońskich restauracji. Nie sposób nazwać tego inaczej niż egzekucją w iście gangsterskim stylu.**

**Władze uważają, że był to zaplanowany zamach. Para osierociła czworo dzieci, z których żadne nie skończyło jeszcze dziesięciu lat.**

Marszczę się, przerażona.

*Dobry Boże.*

– Kurwa! – warczy Ben, wyskakując z łóżka.

– Co... Co to oznacza? – bełkoczę.

– Że mamy, kurwa, problem.

– Przyjdą po nas? Gdzie ta koperta?

– Tutaj. Zabrałem ją.

Wyskakuję z łóżka i łapię się za głowę.

– Joshua musi to rozszyfrować. Teraz nie mam już wyboru. Muszę się dowiedzieć, co jest na tych kartkach – cedzi.

Kiwam głową.

– Będzie potrafił złamać ten szyfr. Jestem pewna.

Dzwoni komórka Bena. Patrzy na ekran i odbiera.

– Halo.

Słucha i wspiera rękę na biodrze.

– Co zabrali? – pyta i słucha odpowiedzi, mrużąc oczy.

– Co jest? – pytam bezgłośnie, wyczuwając, że stało się coś złego, ale Ben mnie ignoruje.

– Okej, dziękuję. Aktualnie przebywam poza miastem, ale gdybyście mogli zorganizować mi sprawne drzwi. Wrócę najszybciej, jak się da. – Słucha jeszcze przez chwilę. – Dziękuję za telefon – mówi i rozłącza się.

– Co? – pytam.

– W nocy ktoś się do mnie włamał. Przetrzęsnęli mieszkanie, jakby czegoś szukali.

Wybałuszam oczy.

– Co to oznacza?

– Że ktokolwiek zabił Jasona Steele’a, wie o kopercie.

*Ja pierdolę.*

# Rozdział 20

## Bridget

– Co robimy? – pytam, coraz bardziej roztrzęsiona.

Ben patrzy na mnie przez chwilę, myśli.

– Zostawiłaś w mieszkaniu cokolwiek, co wskazywałoby, że poleciliśmy do Nowego Jorku?

Zastanawiam się i... *O, nie.*

– Zapisałam godziny lotów w notatniku na twoim biurku.

– Użyłaś do rezerwacji mojej karty kredytowej, tak jak ci powiedziałem?

Zdenerwowana, kręcę głową, zaprzeczając.

– Nie, mojej.

– Mówiłem, żebyś użyła mojej! – warczy.

– Wiem, ale to ja cię zaprosiłam... Nie chciałam, żebyś płacił za swój prezent urodzinowy...

Piorunuje mnie wzrokiem.

– Hotel, Bridget. Powiedz, że do rezerwacji hotelu użyłaś mojej...

Krzywię się i ponownie kręcę głową.

– Nie, hotel też jest na mnie.

– Ja pierdołę!

Na moment znika w łazience, a po chwili wyłania się z niej, niosąc wszystkie moje kosmetyki, które wrzuca do otwartej walizki.

– Ubieraj się.

– Co? – dziwię się.

– Już! – rozkazuje i zaczyna wciskać do naszych bagaży wszystkie ciuchy, jakby wpadł w amok.

Jestem tak skołowana, że kręcę się bez celu.

– Myślisz, że tu jadą?

Patrzy na mnie. W jego oczach jest kamienny spokój.

– Bridget, nie panikuj. Każda sekunda naszego pobytu w tym hotelu jest dla ciebie niebezpieczna. Więc się, kurwa, pospiesz.

– Aaa! – krzyczę i zaczynam biegać po pokoju, rozgorączkowana. W locie łapię portfel i ładowarkę. – Gdzie to dać?!

Patrzy na mnie jak na głupią.

– Do jebanej walizki, a gdzie?

– Jasne!

Biegam, gdzie popadnie, ale nie robię nic produktywnego.

Ben rzuca mi swoją komórkę.

– Zaloguj się na moje konto i przelej sto tysięcy dolarów.

– Słucham?

– Zrób to – burczy.

Uruchamiam aplikację banku na jego telefonie drżącymi rękami.

– Jakie masz hasło? – pytam.

– Bridget – odpowiada.

Podnoszę na niego wzrok i uśmiecham się szeroko.

– Jestem twoim hasłem?

Przewraca oczami, ale nie przestaje się pakować i zasuwa zamek w walizce z prędkością światła.

– Wynagrodzę ci to w nocy – mówię z uśmiechem.

– Bridget, jeśli nie weźmiesz się w garść, to w nocy będziemy, kurwa, martwi. Przelewaj ten hajs, już!

– Och... – Telefon mota mi się w dłoniach, prawie go upuszczam. – Co mam robić?

– Przelej sto tysięcy z mojego konta oszczędnościowego na drugie.

Ben pośpiesznie zakłada dzinsy, a ja skupiam się na zadaniu. Wchodzę na jego konto.

**Rachunek oszczędnościowy: 5 960 000,62 \$**

**Rachunek bieżący: 82 000,00 \$**

– Co jest, do cholery? – dziwię się. – Skąd masz tyle pieniędzy na koncie?

– Na czarną godzinę. Pospiesz się – rzuca, zakładając koszulkę przez głowę.

Przed wykonaniem przelewu dwukrotnie sprawdzam, czy się nie pomyliłam, ale w końcu naciskam „przelej”.

– Okej, zrobione. – Podnoszę na niego spojrzenie.

Akurat zamyka ostatnią walizkę.

– A teraz weź telefon i przepisuj na kartkę numery, które chcesz zachować.

– Co? Po co?

– Bo zostawiamy tu karty SIM. Szybko – warczy.

Łapię za komórkę, przewijam niezdarnie listę kontaktów i spisuję numery do mamy, Taszy, Abbie i Adriana.

– Skończyłaś? – pyta.

Kiwam głową, na co on wrywa mi komórkę, wyciąga z niego kartę i wsadza ją pod materac. To samo robi ze swoim telefonem, gdy ja zakładam ciuchy.

Wsuwam stopy w niskie szpilki.

– Załóż jakieś wygodne buty – mówi, patrząc na moje nogi.

– Czemu? – dziwię się.

– Bridget... Po prostu to, kurwa, zrób! – ryczy.

– Przerażasz mnie – zawodzę, wykrzywiając twarz w płaczu.

Jego oblicze łagodnieje, widać, że ma wyrzuty sumienia. Chwyta mnie za rękę.

– Didge, maleńka, ruszajmy, wszystko gra. – Próbuje mnie uspokoić. – Po prostu musisz się troszkę pospieszyć.

Schylam się i błyskawicznie wiążę sznurówki trampek.

Ben otwiera drzwi i rozgląda się po korytarzu. Uniesioną dłonią pokazuje, bym na razie została w środku.

Łapię się za brzuch, próbuję okiełznać cwałujące tętno.

*O, Boże. O, Boże.*

Podaje mi rękę i wychodzimy razem na korytarz. Podchodzimy do wind, Ben wciska guzik trzy razy z całej siły.

– Gdybyśmy się rozdzielili, to idź prosto na posterunek policji i zadzwoń po Joshuę i Brocka, żeby cię odebrali. Nie ruszaj się stamtąd bez nich – instruuje mnie cichym głosem.

– A co się stanie?! – pytam, przerażona.

Słysząc piknięcie windy, Ben zaciska zęby, jakby się na coś szykował.

Moje serce przestaje bić. Dosłownie czuję, jak na moment się zatrzymuje. Gdy drzwi się rozsuwają, ukazując puste wnętrze, zamykam oczy z ulgą.

Wskakujemy do środka, Ben wciska guzik piwnicy.

Zerkam na niego pytająco, ale trzymam język za zębami.

Drzwi rozsuwają się na poziomie parkingu, a Ben łapie mnie za rękę i wychodzimy, ciągnąc za sobą walizki.

– Gdzie idziemy? – pytam.

– Złapiemy taksówkę i pojedziemy do banku, żeby wypłacić trochę kasy. Potem schowamy się na kilka dni – odpowiada, mknąc przez parking, a ja muszę podbiegać, żeby za nim nadążyć. – Nie martw się, wszystko gra – dodaje.

– Naprawdę?

Zerka na mnie z ukosa i wiem, że bynajmniej nie wszystko gra.

*Ja pierdolę.*

Zaciskam szczękę tak mocno, że zaraz skruszę sobie trzonowce.

Podchodzimy do drzwi wychodzących na boczną uliczkę. Ben wciska guzik i brama zaczyna się powoli unosić.

*Proszę, niech nas nie znajdą. Proszę, niech nas nie znajdą* – powtarzam w myślach.

Wychodzimy na ulicę i Ben zatrzymuje taksówkę uniesieniem ręki. To jakiś cud, ale od razu podejżdża do nas wolny samochód.

– Do najbliższego oddziału Bank of America, proszę – mówi Ben.

Taksówkarz kiwa głową i włącza się w ruch.

Ben otacza mnie ramieniem i zmusza, bym położyła głowę na jego kolanach.

Robię zdziwioną minę, ale ucisza mnie groźnym spojrzeniem. Ach, ukrywa mnie. A ja myślałam, że wzięło go na amory. Boże, ale ze mnie kretynka.

Następnie sam pochyla głowę i zasłania twarz dłonią.

*O nie, wyraźnie myśli, że nas obserwują.*

– Gdy dotrzemy do banku, moja żona zostanie w samochodzie z walizkami. Mógłby pan kilka razy okrążyć kwartał? – pyta.

– Pewnie – odpowiada kierowca.

– Chcę iść z tobą – szepczę, łapiąc Bena za rękę.



– Nie. Zostaniesz tutaj. – Patrzy przez okno, a potem znowu na mnie. – Wiesz, co masz zrobić, gdybyśmy się rozdzielili.

Gdy taksówka się zatrzymuje, chwytam go mocniej.

– Proszę po prostu objeżdżać kwartał, a ja zaraz wrócę.

Wyskakuje z auta i przebiega przez ulicę. Widzę, jak znika w banku. Taksówka ponownie włącza się w ruch, więc schylam głowę.

*O Boże. Jak do tego doszło? Po cholereę pojechał do tej zasranej skrzynki po te papierzyska? Co on sobie wyobrażał?*

Teraz obojgu nam grozi niebezpieczeństwo, a ja nie mam pierdolonego pojęcia, co się dzieje. Po kilku okrążeniach kwartału w końcu dostrzegam go na chodniku.

– Tam... Tam jest... – paplam podekscytowana.

Kierowca zjeżdża, a Ben przemyka przez jezdnię i wskakuje na tylne siedzenie. Uśmiecha się i łapie mnie za rękę.

– Może nas pan zabrać do Lombardy na Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy? – pyta.

– Jasna sprawa.

Uśmiecham się nerwowo, a chwilę później wjeżdżamy na podjazd przed eleganckim hotelem i ruszamy do recepcji. Sterczę obok Bena jak dziecko. Nie wiem, co mam mówić ani robić.

– Chciałbym wynająć apartament na siedem dni – oświadcza spokojnie dziewczynie za ladą.

– Naturalnie – odpowiada z ciepłym uśmiechem i mierzy go wzrokiem od stóp do głów.

*Suko, stoję tuż obok.* Posyłam jej spojrzenie pozbawione serdeczności. *Jest żonaty.* Na mojej twarzy zakwita uśmiech satysfakcji. *Jest żonaty ze mną.* A zatem w zasadzie to nasz miesiąc miodowy.

Rozglądam się po luksusowym hotelu, a potem patrzę na siebie. Wyglądam jak brudas i zapewne pachnę seksem. Nawet nie wzięłam dziś prysznic. Przeczesauję dłonią splątane włosy; nagle czuję się bardzo skrępowana.

– Chciałbym też sąsiedni pokój... dla dzieci – dodaje spokojnie. – Dołączą do nas później razem z nianią.

Ben zachowuje się zupełnie spokojnie, jest rzeczowy i opanowany.

*Co za miesiąc miodowy, kurwa... Dwa pokoje, zmyślone dzieci i młody mąż zaduszony przez świeżo poślubioną żonę. Wybornie.*

– Poproszę o kartę kredytową – mówi uśmiechnięta dziewczyna.

Ben przesuwając kartę po ladzie, a ja zerkam, na jakie jest nazwisko. Jake Martin.

– Chciałbym od razu zapłacić za całość pobytu. Gotówką, dobrze?

– Wyciąga portfel.

Na czole dziewczyny pojawia się zmarszczka zdumienia, ale szybko bierze się w garść.

– Oczywiście, panie Martin. – Pisze coś na komputerze. – To będzie razem trzy tysiące sześćset dolarów.

Ben odlicza kwotę i wręcza jej banknoty.

Dziewczyna je przelicza, po czym mówi z uśmiechem:

– W ramach upgrade'u dam państwu apartament z dwiema sypialniami.

– Dziękujemy – odpowiada Ben, kiwając uprzejmie głową.

Przyglądam się pracy dziewczyny w grobowym milczeniu.

Odbieramy klucze i kilka chwil później kroczymy korytarzem do apartamentu na szóstym piętrze. Chciałabym móc powiedzieć coś o otoczeniu, ale mój mózg nie potrafi zarejestrować zbyt wiele ponad mocno bijące serce. Jest luksusowo, to na pewno.

Ben otwiera drzwi i wyciąga do mnie rękę, ale ignoruję ten gest i wchodzę do środka, mijając go.

Jestem rozdrażniona. Nie, wróć. Jestem wściekła. Krzyżuję ramiona na piersi ze złością, a Ben przewraca oczami.

– Nie zaczynaj – cedzi.

Oczy prawie wychodzą mi z orbit.

– Że co?! – syczę. – A żebyś wiedział, że zacznę. Po cholere pojechałeś po dokumenty z tej skrytki? – W złości wyrzucam ręce do góry. – To nie była twoja sprawa, Ben.

Zaczynam chodzić w tę i z powrotem, a tymczasem on kładzie walizki na stojaku na bagaże i otwiera je.

– To była moja sprawa. Coś się dzieje i muszę to rozgryźć.

– Ja ci wyjaśnię, co się dzieje – cedzę zjadliwie. – Ściga cię dwóch zbuntowanych zabójców... Praktycznie rzecz biorąc, mnie również, bo myślą, że wiemy, co jest napisane na kartkach z tej koperty.

Ben zaciska zęby ze złości i patrzy mi w oczy.

– Ale nie potrafimy tego, kurwa, odczytać! – Chwytam się za skronie.

– Uspokój się już – mówi zniecierpliwionym tonem.

– Nie uspokoję się. Nie mamy pojęcia, co się dzieje, poza tym, że chcą cię zabić, a wczoraj zamordowali Jasona Steele’a i jego żonę. Cokolwiek jest na tych kartkach, jest kurewsko ważne. Musisz natychmiast zadzwonić na policję i o wszystkim opowiedzieć.

Przewraca oczami i znika w łazience. Wpadam tam za nim akurat, gdy rozpina spodnie i sika.

– Zadzwoń... Zadzwoń na policję – powtarzam, wskazując na telefon.

– Mogłabyś? – pyta oschle, wskazując podbródkiem na kutasa. – Sikam.

Wytrzeszczam oczy ze zdumienia.

– Ben, do kurwy nędzy, zaraz cię powieszę na jebanej baterii prysznicowej. Posłuchasz mnie w końcu?

– Bridget, to ty mnie posłuchaj. – Kończy sikać, spuszcza wodę, myje ręce i wraca do pokoju. – Policja nas nie ochroni. – Wyciąga czarną skrzynkę, otwiera ją, wyjmuje ze środka trzy pistolety i układa je na stole.

Zamykam oczy i łapię się za nasadę nosa.

– Muszę cię stąd wydostać, a potem sam się zajmę tymi dwoma.

– Co niby zrobisz? – pytam, zaniepokojona.

Ładuje jeden z pistoletów.

– Zabiję ich.

– Nigdzie bez ciebie nie idę.

– Bridget...

– Nie, Ben – wchodzę mu w słowo. – Nigdzie bez ciebie nie idę. Zwłaszcza gdy grozi ci niebezpieczeństwo.

– Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo! – warczy, wsadzając pistolet za pasek z tyłu dżinsów. – Im grozi. Kupię jednorazowe karty SIM, żebyś mogła zadzwonić do Joshui. Ty zostajesz tutaj – mówi.

– Nie, też idę – oświadczam, łapiąc za torebkę, bo ogarnęło mnie przerażenie, że coś mu się stanie.

– Nigdzie nie idziesz.

– Ben, proszę – błagam, złapawszy go za rękę. – Naprawdę mnie przerażasz.

Jego twarz łagodnieje, zakłada mi kosmyk włosów za ucho.

– Maleńka, potrzebuję dwadzieścia minut. Weź prysznic, zamów nam śniadanie do pokoju, a ja wrócę, zanim je przywiozą.

Patrzę na niego zalęknionym wzrokiem, na co on całuje mnie czule.

– Jesteś tu bezpieczna. Po prostu mnie posłuchaj, proszę cię. Potem możesz mnie olewać do końca życia, nieważne. Ale teraz przez chwilę musisz mi zaufać. Wszystko będzie dobrze, ale na jakiś czas musisz zniknąć. Musisz być bezpieczna. – Patrzy mi głęboko w oczy. – Ufasz mi, Bridget?

Kiwam nerwowo głową, a on ponownie mnie całuje. Podchodzi do stołu i podaje mi pistolet, który dla mnie kupił.

– Pamiętasz, jak uczyliśmy się go używać?

Ponownie kiwam nerwowo głową i wpatruję się w broń spoczywającą w mojej dłoni.

– Znajdę jakiś sklep z telefonami i kupię nam karty, żebyśmy mogli dzwonić. Dobrze? Jak tylko wrócę, zgłoszę sprawę do dowództwa – mówi, ale ja nie odrywam oczu od pistoletu. – Maleńka? – pyta czule. – Nie rozklejaj mi się teraz, dobrze?

Patrzę na niego przez wezbrane w oczach łzy.

– Ben, to nasz miesiąc poślubny... – szepczę.

Mina mu rzędzie.

– To... – Zasępia się. – To tylko przejściowy problem. – Ujmuje w dłonie moją twarz, delikatnie omiata językiem moje wargi. – Zamknij za mną drzwi i weź prysznic. W tej chwili nic nam nie grozi.

Potakuję.

– Nie odbieraj telefonów i nigdzie nie dzwoń. Jeżeli ktoś zapuka do drzwi, nie otwieraj. Spójrz przez wizjer i jeśli uznasz, że to ktoś podejrzany, idź do sąsiedniego pokoju i zamknij przejście.

Podchodzi do łączących oba pokoje drzwi i pokazuje, o co mu chodzi.

Kiwam głową.

– Bridget? – Przez chwilę patrzy mi w oczy. – Jeżeli ktoś wejdzie do tego pokoju, strzelasz, żeby zabić. Nie pierdolisz się.

Przełykam ślinę przez ściśnięte gardło.

– Aniele?

Kiwam głową i proszę go szeptem:

– No, idź już, żebyś szybciej wrócił.

Odgarnia włosy z mojego czoła i patrzy na mnie z miłością w oczach.

– Szybko wrócę.

Przytakuję, próbując powstrzymać łzy.

– Kocham cię – szepczę.

Całuje mnie.

– Ja ciebie też. Zamknij za mną. – Podchodzi do drzwi, patrzy przez wizjer i wychodzi. – Do zobaczenia wkrótce – rzuca, a ja zamykam za nim na dwa zamki.

Jest mi niedobrze, boli mnie żołądek.

Rozglądam się po eleganckim pokoju i kręcę głową, próbując wziąć się w garść.

*Weź prysznic. Tak, weź prysznic.*

Idę do łazienki zupełnie machinalnie, puszczam wodę.

*Cóż to była za gorączkowa doba.*

\*\*\*

Patrzę na zegarek, jak co minutę przez ostatnie pół godziny.

*Gdzie on jest?*

Minęło półtorej godziny, a jego ciągle nie ma.

Podchodzę do okna, patrzę na ulicę.

*Stało się coś złego? Dzwonić na policję?*

Ale Ben zakazał używania telefonu.

*Ja pierdolę, co za masakra.*

Piecze mnie w żołądku.

Nie powinnam była puszczać go samego. Mogłam go zmusić, żeby ze mną został.

Jest dziesiąta czterdzieści trzy.

*O której zacząć panikować?*

Wchodzę do łazienki, bo mam mdłości, więc pochylam się nad toaletą, ale nie wymiotuję. Skręcający się w spazmach żołądek próbuje pozbyć się kwasów. Zaciskam oczy z bólu.

Drzwi odskakują, słysząc jak napręża się łańcuch, ktoś chce wejść do środka.

Wstrzymuję oddech i wystawiam głowę z łazienki. Drzwi są uchylone na kilka centymetrów, ale łańcuch je trzyma.

– To ja! – woła Ben.

– Kurwa! – krzyczę, wpuszczając go do środka. – Wszystko dobrze?! Odchodziłam od zmysłów – szepczę.

– Wszystko dobrze, maleńka – rzuca, pośpiesznie całując mnie w usta.

Przyniósł jakieś trzy wielkie torby, które teraz rzuca na łóżko. Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów i bierze się pod boki.

– A z tobą wszystko dobrze?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Właśnie próbowałam wymiotować.

– Wymiotować? – dziwi się.

– Ze stresu, Ben. Stresujesz mnie jak chuj!

W jego oczach zamigotały łobuzerskie iskry.

– Ukołysać cię do snu?

– Niby czemu? – warczę.

– Bo robisz się marudna.

Mierzę go groźnym spojrzeniem.

– Nie, Ben, robię się zabójczo wściekła. Nie myl pojęć.

Rechocze pod nosem i wysypuje na łóżko zawartość wszystkich toreb. Wygrzebuje dwie karty SIM i skaner.

– Mogłabyś uruchomić skaner? Ja się zajmę komórkami.

– Po co nam skaner?

– Przeskanuję dokumenty dla Joshui. Musimy się dowiedzieć, co w nich zaszyfrowano. Jeśli się dowiem, łatwiej ich znajdę.

Kiwam głową.

– Jasne, dobry pomysł.

Czym prędzej odpakowuję skaner i stawiam go na stole. Z całych sił próbuję się skupić na instrukcji. Ten cały komputerowy szajs nie jest moją mocną stroną.

Ben wkłada karty SIM do naszych telefonów i zaczyna je konfigurować. Następnie wbija do obu nasze nowe numery.

– Gotowe – mamrocze pod nosem, po czym stuka kilkukrotnie w ekran swojej komórki. – Cholera... – burczy.

– Co jest? – pytam, odrywając się na moment od mojego zadania.

– Dostałem maila od szefa.

– I co napisał?

Podaje mi telefon.

22:22

**Buzz, zidentyfikowaliśmy naruszenie bezpieczeństwa, mające związek z twoim telefonem z Pragi. Zdobyliśmy konkretne dowody odnośnie do obu podejrzanych. Nie wracaj do miejsca zamieszkania, dopóki ich nie unieszkodlimy. Nie wychylaj się.**

**Komisarz Greg Jackson**

Ben

Bridget wytrzeszcza oczy.

– No i co z tym zrobią? – bełkocze. – Kto to jest komisarz Greg Jackson?

– Szef do spraw bezpieczeństwa – odpowiadam, po czym zabieram jej telefon i czytam wiadomość ponownie. – Wysłał mi to wczoraj wieczorem, jeszcze przed włamaniem.

Bridget opuszcza ręce, zrezygnowana.

– No to co robimy?

– Przyczajamy się, dopóki ich nie znajdą – odpowiadam spokojnie.

– Wiedzą o szyfrze? – pyta.

– Nie, chcę go najpierw odczytać. – Wskazuję na skaner. – Kończysz?

– Tak, daj mi jeszcze kilka minut.

Wracam do konfigurowania urządzenia i przez chwilę wpatruję się w trzymaną w ręce komórkę.

*Kurwa, boję się tej rozmowy.*

Wybieram numer.

Joshua odbiera po pierwszym sygnale.

– To ja – mówię.

– Statham. – Słyszę ulgę w głosie Joshui. – Nareszcie, kurwa, chuju.

– Hej, Stan... – Wzdycham. *Jasna cholera. Joshua Stanton to ostatni człowiek, którego chcę w to mieszać.* – Posłuchaj... – zaczynam, patrząc za okno. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Co jest?

– W czasie przyjęcia taki jeden koleś podsunął mi serwetkę, na której napisał, że gdyby coś mu się stało, to mam udać się do pewnej skrytki.

– No i...?

– I pojechałem tam następnego dnia.

– Jakżeby inaczej.

– Tyle że wszystko jest zaszyfrowane, nie umiem tego odczytać.

– Mogę rzucić okiem. Myślisz, że to ważne?

Zaciskam usta.

– Facet, który mi to dał, nazywał się Jason Steele.

Joshua milczy i kojarzy fakty.

– Ten dyplomata, którego wczoraj zamordowali razem z żoną?

– Tak. – Spoglądam na Didge. – Na tym nie koniec. W noc morderstwa ktoś włamał się do mojego mieszkania. Wiedzieli, że mam ten list.

– Kurwa mać, gdzie jest Bridget?! – warczy.

– Ze mną.

– Żartujesz, kurwa?! – ryczy. – Wplątałeś ją w to gówno?!

Zamykam oczy.

– Nieumyślnie.

– Gdzie jesteście?

– W Nowym Jorku.

– Co tam robicie?

– Wyjechaliśmy na weekend. Chyba mieliśmy szczęście.

– Ja pierdołę, skręcę ci kark, jak się spotkamy.

Przewracam oczami.

– To mogę ci przesłać ten list? Spróbujesz złamać szyfr?



– Tak, możesz... – Zastanawia się przez chwilę. – Wiedzą, że jesteście w Nowym Jorku?

– Myślę, że tak. – Ponownie zerkam na podpinającą skaner Didge.  
– Zmieniliśmy hotele i pozbyłem się kart SIM. Dowództwo mówi, żebym został w bezpiecznym miejscu, aż ich unieszkodliwią. – Odwracam głowę. – Muszę ją stąd wydostać... – szepczę bardzo cicho. – Nie jest ze mną bezpieczna.

– Statham, do kurwy jebanej nędzy! – ryczy ponownie. – Jest już bezpieczniejsza z tobą niż z kimś innym. Nikt jej lepiej nie ochroni. Kurwa, Nataszy odpiardoli, jak się dowie. Wysyłam po was odrzutowiec.

– Dobra, tylko dokąd polecimy?

Zastanawia się przez moment.

– Zabierz ją do Kamali. Mogę tam wzmocnić ochronę. Jak długo będą ich szukać?

– Nie powiedzieli.

– Kamala. To najlepsza opcja – stwierdza.

*Kamala. W sumie niezły pomysł. Tam nikt nas nie dorwie, to miejsce jest jak twierdza.*

– Zadzwońię do chłopaków i się odezwę – mówię.

– Dobra, ale spiesz się. Musimy opracować plan lotu.

Kiwam głową i pytam:

– Okej, na jaki adres wysłać plik?

– Na mój prywatny. To będzie: [presh@outlook.com](mailto:presh@outlook.com).

– Kurwa, miękka z ciebie faja – parskam.

– Chyba ty – zawiesza głos. – Daj Bridget do telefonu.

Przewracam oczami. Nie mam ochoty, by urządził mojej dziewczynie wykłady.

– Nie.

– Statham... – cedzi ostrzegawczym tonem.

– Do widzenia. – Rozłączam się i obracam do Bridget.

– Wszystko dobrze? – pyta.

– Mogłabyś to przeskanować i wysłać na adres [presh@outlook.com](mailto:presh@outlook.com)?

Didge prycha, słysząc ten adres.

– No nie? Co za miękka faja, ma ksywkę Taszy w adresie maila...

– Tak, za to twoje hasło do konta bankowego jest bardzo gangsterskie.

Uśmiecham się półgębkiem, podaję jej kopertę i przyglądam się, jak skanuje.

– Więc co dalej? – pyta.

– Czekamy.

\*\*\*

Jest późne popołudnie. Bridget czyta coś w telefonie, a ja próbuję powstrzymać się przed nerwowym chodzeniem po pokoju.

*Nie zniosę tego. Nie zniosę pierdolonego czekania.*

Gdyby nie było ze mną Bridget, właśnie szukałbym ich w terenie, ale teraz skupiam się przede wszystkim na jej bezpieczeństwie. Obserwuję, jak bawi się swoim długim kucykiem i ściska mnie w dołku. Sama myśl, że coś mogłoby się jej stać, doprowadza mnie do szaleństwa. Rozmawiałem rano z Rickiem i on też uważa, że przy mnie jest bezpieczniejsza.

Na ekranie mojej komórki pojawia się „Stan” – skrót od nazwiska Joshui.

– Hej. – Odbieram.

– Cześć, siedzę nad tym cały dzień. Nie mogę tego rozgryźć. To szyfr w szyfrze. Wydaje mi się, że złamałem pierwszy z nich i nie chcę cię niepokoić, ale wygląda mi to na gówno wielkiego kalibru. Pada tu kwota czterystu milionów dolarów.

– Cholera.

– Będę pracował nad tym dalej, ale trochę mi zejdzie.

– Okej, dobra... – mamroczę, patrząc na przysłuchującą się nam Didge.

– Samolot odbierze was z lotniska JFK o czwartej rano – kontynuuje. – Nie udało mi się załatwić na jutro innej godziny. Jeśli nie ta czwarta rano, to musimy zaczekać trzy dni.

Marszczę czoło. *Cholera.*

– Wszędzie będzie mało ludzi... – Myślę na głos.

– Wiem, ale jeszcze dziś wyślę do Nowego Jorku kilku ochroniarzy, żeby wam pomogli.

Zastanawiam się.

– W porządku, ściągnę tu kilku swoich kumpli... – mówię i zauważam niepokój na twarzy Bridget. – Tak na wszelki wypadek.

– Dla pewności zabierz ich ze sobą do Tajlandii.

– No, może zabiorę.

– Jak Bridget?

– Powiem, żeby do ciebie zadzwoniła.

– Kiedy?

– Za chwilę, jak będę obdzwaniał chłopaków.

– Trzyma się?

– Udaje, że tak.

– Złamię ten szyfr i będziemy mogli działać dalej. Zadzwonię później. Rozmawiałeś już ze swoimi przyjaciółmi? – pyta Joshua.

– Tak, rano. Zapoznałem ich z sytuacją.

– I co o tym sądzą?

– Wiedzą tyle, co i my. Nic.

Milczy przez chwilę, myśli.

– Dobra, pogadamy później.

– Dobra, chłopie. No i... dzięki – mówię z uśmiechem.

– Każ Bridget zadzwonić.

– Dobra. – Rozłączam się i zwracam do niej: – Joshua chce, żebyś do niego zadzwoniła.

Wypuszcza powietrze z płuc.

– No dobra... – mówi, niechętnie wyłączając książkę na telefonie.

– Ben, a może trochę dramatyzujemy? Może włamanie to zwykły zbieg okoliczności?

Patrzę na nią.

– Chłopcy są już w moim budynku i przeglądają nagrania z kamer. Wkrótce się z nami skontaktują. Miejmy nadzieję, że włamanie nie miało żadnego związku z morderstwem i będziemy mogli wrócić do domu.

Boję się o stan mieszkania i chciałbym wrócić je obejrzeć.

Nagle jej twarz rozpala się z ekscytacji.

– Och, zapomniałam!

Biegnie i grzebie za czymś w bagażu podręcznym. W końcu wykopuje tę małą drewnianą skrzynkę, którą trzymałem u siebie

w pokoju. Wręcza mi ją, a ja otwieram wieczko. W środku są wszystkie rzeczy Meiki.

Wyciągam różowe koraliki i patrzę Didge w oczy.

– Chyba nie myślałeś, że zostawię ją samą w domu, prawda? Od teraz wszędzie z nami jeździ – mówi czule.

Przytłaczają mnie emocje. Gardło mam ściśnięte. Padam na łóżko, pociągając ją za sobą i tulę najmocniej, jak tylko potrafię.

– Bridget... – szepczę.

Na tym świecie jest zbyt mało słów, by wyrazić moją miłość do tej kobiety. W tej chwili pragnąłby się napawać jej towarzystwem, spijając jej obecność, a muszę drzeć o jej bezpieczeństwo.

– Zadzwoń do chłopaków i spytam, czy chcą lecieć do Kamali – mruczę w jej włosy.

Odsuwa się, by spojrzeć mi w twarz.

– Czy to naprawdę konieczne?

Wstaję.

– Pewnie nie, ale przydadzą im się wakacje, a ja będę czuł się przy nich nieco lepiej. To pomysł Joshui.

– Okej. – Przytakuje i patrzy na mnie.

– Musisz zadzwonić do Joshui i Nataszy, bo odbija im ze strachu. Może przygotuj sobie kąpiel i zadzwoń do nich z wanny? A ja zadzwonię do chłopaków.

– Dobrze. – Zabiera swój telefon i znika w łazience.

Dzwoni moja komórka. Ethan.

– Hej, stary. – Odbieram.

– Jesteśmy u ciebie, oglądamy nagrania i to na pewno oni.

– Widzicie ich twarze?

– Tak, dokładnie i wyraźnie. Bez dwóch zdań czegoś szukali. Prześlę ci nagranie, żebyś mógł pokazać Bridget, jak wyglądają.

– Dzięki. Byli uzbrojeni?

– Byli.

Przymykam oczy.

– Chłopaki, macie ochotę wyskoczyć do Tajlandii na w pełni opłacone wakacje? – pytam.

– Chce, żebyśmy lecieli z nim do Tajlandii – słyszę, jak przekazuje propozycję reszcie.

– Pewnie, kurwa! – woła w tle Jed.

Potem mówią coś niewyraźnie, a następnie się śmieją.

– Wchodzimy w to.

– No to łapcie samolot do Nowego Jorku. Nasz prywatny odrzutowiec startuje o czwartej rano. Musicie mi pomóc dotrzeć bezpiecznie na lotnisko.

– Zrobi się, ruszamy.

– Ethan?

– No co tam, stary?

– Zabierzcie broń.

# Rozdział 21

## Ben

Siedzę w ciemnym pokoju i patrzę, jak Bridget śpi.

Musiałem leżeć obok, dopóki nie zasnęła. Jeżeli ja jestem spokojny, ona też, więc mogłem choć trochę jej pomóc, udając, że idę spać razem z nią.

Minęła pierwsza, chłopaki już wylądowali. Powinni tu być lada moment. Nie będę dziś spał. Wytrzymam do jutra, przynajmniej będę miał pewność, że oni mają ją na oku.

Pierś Bridget unosi się i opada. Ma na sobie kremową satynową koszulę nocną, a jej włosy leżą rozrzucone na poduszce. Pełna usta ma lekko rozchylone, a długie rzęsy co jakiś czas lekko trzepoczą.

Mój anioł.

Moja miłość.

Moja żona.

Wwierca mi się we flaki niepokojące poczucie, że ktoś lub coś mi ją odbierze. Próbuję je tłumić. Z całych sił staram się wierzyć, że świat nie mógłby być dla mnie taki okrutny... Ale przecież wiem, że może. Moje dzieciństwo jest tego żywym świadectwem.

Jak wyglądałoby moje życie, gdyby coś jej się stało?

Zamykam oczy i próbuję zablokować lęk, że stracę kolejną ukochaną osobę. Nie zniósłbym tego.

Wstaję z krzesła obok łóżka i kładę się przy niej. Przytulam się do niej i ostrożnie całuję w czoło. Potrzeba trzymania jej w ramionach jest tak silna, że nie potrafię się powstrzymać.

– Ben? – mruczy cichutko, rozespana.

– Jestem tu, aniele – szepczę.

– Wszystko dobrze?

Całuję ją czule w usta.

– Oczywiście, jestem przy tobie.

Uśmiecha się, a chwilę później oddycha miarowo, co oznacza, że znowu odpłynęła w sen.

Zanurzony w myślach, delikatnie wodzę wargami po jej czole.  
Po chwili dostaję SMS.

**Na dole.**

Odpisuję:

**6. piętro, pokój 349.  
Dzwonię do recepcji.**

Wstaję, wychodzę do sąsiedniego pokoju i dzwonię do recepcji.  
Odbiera kobieta.

– Recepcja, jak mogę pomóc?

– Dzień dobry, Jake Martin z pokoju trzysta czterdzieści dziewięć.  
Mogłaby pani wyrobić dodatkowy klucz, żeby moi goście mogli wjechać windą na piętro?

– Naturalnie, proszę pana.

– Dziękuję.

Otwieram drzwi i czekam na nich.

Mam wrażenie, że minęła cała wieczność, nim ukazują mi się ich parszywe ryje, na widok których uśmiecham się od ucha do ucha.

*Dzięki, kurwa, Bogu, kawaleria przybyła.*

Kroczą korytarzem z torbami w rękach. Wyruszyli w kolejną misję, tyle że tym razem dla mnie.

Ethan rechocze i zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku, Matt i Jed podają mi ręce, uśmiechając się szeroko. Zrobiliby dla mnie wszystko, ja dla nich też. I nigdy nie potrzebowałem ich bardziej.

– Naprawdę dziękuję, że przylecieliście – szepczę i wpuszczam ich do środka.

Zamykam drzwi prowadzące do pokoju, w którym śpi Bridget.

Chłopaki rzucają torby na podłogę.

– Co się odpierdala, stary? – pyta Ethan.

Siadam przy stole, oni zajmują miejsca obok.

– Nie wiem – przyznaję. – Ale nic dobrego, kurwa.

Jed wyciąga z bagażu laptopa i stawia go przed nami.

– Przegrałem materiał z kamer – informuje. – Jest bardzo interesujący, delikatnie rzecz ujmując.

– Bridget okej? – pyta Matt.

– Raczej tak – burczę pod nosem. – Chyba w pełni nie pojmuję, co się dzieje. – Przeczesałem włosy dłonią. – Nie chcę jej straszyć, więc udaję i trochę bagatelizuję sprawę. – Biorę głęboki wdech. – Puść nagranie.

Patrzymy w milczeniu, jak dwóch naszych dawnych kolegów włamuje się do mojego mieszkania.

Gdy pracowałem dla Joshui, zamontowałem sobie kamery w klimatyzatorze. Często wyjeżdżałem, ale i tak nie sądziłem, że kiedyś mi się przydadzą.

Mężczyźni wchodzą do mojego mieszkania i się rozglądają.

– Pierdolone żmije – cedzi Matt. – Fajnie będzie skurwysynów zajebać.

Kręcę głową z niesmakiem.

– Powinienem był to załatwić. W Pradze miałem szansę. Doskonała okazja. Na opustoszałym parkingu, nikt by się nie zorientował. Mogłem nacisnąć jebany spust. Nie wiem, dlaczego posłuchałem szefostwa. I gdzie oni teraz, kurwa, są?! – Nadymam policzki. Czuję, jak skacze mi adrenalina. – Przysięgam, kurwa, że jak coś jej się stanie...

– Zajmujemy się tym – uspokaja mnie Jed. – Nie myśl o tym.

Znowu puszcza nagranie i obserwujemy w ciszy, jak mężczyźni przetrząsają moje mieszkanie. Przechodzą z pokoju do pokoju w poszukiwaniu dokumentów, przy okazji wszystko demolując. Wchodzą do mojej sypialni. Uruchamia się nagranie z kamery w świetliku na suficie. John podchodzi do łóżka od strony, na której śpi Bridget. Bierze buteleczkę jej perfum i wącha. Uśmiecha się zbereźnie.

Włosy na karku stają mi dęba.

Unosi brew i podaje buteleczkę Samowi, który też głęboko się zaciąga. Mówią coś, a potem wybuchają śmiechem.

Zgrzytam zębami ze złości.

– Ja pociągnę za spust – cedzę. – To będzie moja egzekucja.



Chłopaki kiwają głowami i oglądają dalej.

Intruzi oglądają po kolei zdjęcia na moich regałach. John bierze do ręki nasze zdjęcie z Kamali i wskazuje Samowi Bridget. Następnie ostrożnie wyciąga je z ramki i chowa do tylnej kieszeni. Następnie niszczą wszystko na półkach.

Adrenalina wpada do moich żył z takim impetem, że aż mnie podnosi. Spuszczam głowę, nie mogę na to patrzeć.

– Oooj, oni już, kurwa, nie żyją, zapewniam – szepcze Ethan.

Moje myśli wędrują ku drewnianej skrzyneczce, którą Bridget na szczęście zabrała do Nowego Jorku. Co zrobiliby z paszportem i koralikami Meiki, gdyby je znaleźli?

Podnoszę wzrok na kumpli. Wściekłość wysącza się ze wszystkich porów mojej skóry.

– Znajdziemy ich, a potem ich zabiję. Milutko i niespiesznie.

\*\*\*

– Aniele... – szepczę, budząc Bridget.

– Hmm... – mruczy, przeciągając się w łóżku.

– Didge, kochana, musimy ruszać na lotnisko. Musisz wstawać.

– Która jest? – mamrocze.

– Wyjeżdżamy za pół godziny. – Wyciągam z jej walizki ubranie i bieliznę i przygotowuję je dla niej na łóżku. – Masz czas na szybki prysznic – dodaję.

– Spałeś coś? – pyta.

– Oczywiście – kłamię. Tak naprawdę siedzieliśmy z chłopakami i omawialiśmy różne teorie.

– A twoi przyjaciele dotarli? – pyta, rozglądając się po pokoju.

– Tak, są w pokoju obok, też kimnęli się dwie godzinki. – Kolejne kłamstwo, dobrze mi dziś idzie.

Bridget przeciera oczy.

– To dobrze.

Zwleka się z łóżka i idzie ciężko do łazienki, a ja ruszam za nią i biorę ją w ramiona.

– A gdzie buziak na dzień dobry od żony? – pytam i całuję ją delikatnie.

Uśmiecha się do mnie sennie, przez co czuję ukłucie w dołku.

– Ben, gdy twoja żona jest zmęczona, zamienia się w drażliwą sukę. Dla własnego dobra powinieneś trzymać się od niej z daleka.

– Nie obrażaj mojej żony. Jest idealna. – Uśmiecham się i całuję ją ponownie.

– Często wypowiadasz dziś słowo „żona” – stwierdza.

– Bo lubię jego brzmienie.

Przygryza dolną wargą i zjeżdża dłońmi na mój tyłek.

– Masz ochotę na poślubny seks pod prysznicem? – mruczy.

Rechoczę pod nosem. Ta kobieta mnie dobija.

– Nie, nie mam. Zaraz ruszamy.

Marszczy czoło, wysuwa się z moich ramion i puszcza wodę.

– Wkurzasz mnie, gdy zachowujesz się tak logicznie i w ogóle, Ben.

Obserwuję, jak się rozbiera, w moich oczach tańczą iskierki zachwyty.

– Co to za spojrzenie, Ben?

– Oto i ona.

– Co za ona? Mówże po ludzku – warczy.

– Moja zmęczona, opryskliwa wiedźma.

Piorunuje mnie wzrokiem.

– Nie przeciągaj struny, Ben. Jest, kurwa, trzecia nad ranem.

Uśmiecham się półgębkiem i wskazuję kciukiem na prysznic.

– Wchodź.

\*\*\*

Bridget stoi w pokoju już ubrana i gotowa, a jednak ciągle kurczowo mnie obejmuję.

– Dziwnie mi – szepcze w moją pierś.

– Dlaczego? To moi przyjaciele – odpowiadam w jej włosy.

– Ben, czy to nie lekka przesada? Naprawdę. Myślę, że coś nam się poplątało, wolałabym po prostu iść na policję.

– Didge – mówię surowo. – Policja nie może nam pomóc. Musisz mi zaufać.

– Ale...

– Chłopaki przyleciały, żeby chronić nas oboje, nie tylko ciebie – wchodzę jej w słowo, wiedząc, że trochę ją to uspokoi. – I lecą z nami do Kamali. Są tutaj, żeby nam pomóc... Tak na wszelki wypadek – pocieszam Bridget, patrząc jej w oczy.

– Ja tylko...

– Co? – pytam cicho.

– Nawet ich nie znam, a teraz lecę z nimi do Azji. Dziwnie mi z tym.

Uśmiecham się i całuję jej piękne usta.

– Poznasz ich. Ci goście są jak moje lepsze połówki. – Uśmiecham się lekko. – Nie, cofam to. Ty jesteś moją lepszą połówką. – Obejmuję ją i mocno przytulam. – A teraz lećmy do Tajlandii, gdzie będziesz bezpieczna.

Uśmiecha się i kiwa dziarsko głową, jakby odnalazła nowe pokłady determinacji.

Otwieram drzwi na korytarz, chłopaki już czekają.

– Cześć, Bridget – wita się radośnie Ethan i całuje ją uprzejmie w policzek.

– Cześć – odpowiada nieśmiało.

Matt stawia krok w jej stronę.

– Cześć, Bridget, miło cię znowu widzieć – mówi łagodnie.

– Cześć – odpowiada z uśmiechem, ale zerka na mnie niespokojnie.

Zalewa mnie fala miłości.

*Ja pierdolę, jest nie z tego świata.*

– Pamiętasz Jeda? – pytam.

Uśmiecha się i kiwa głową.

– Dziękuję, że przylecieliście – szepcze.

Jed kłania się lekko, uśmiechając się półgębkiem.

Idziemy korytarzem w milczeniu, wsiadamy do windy i zjeżdżamy na podziemny parking.

– Podziemie? – pyta Bridget.

– Taksówka nas stamtąd odbierze.

Na jej twarzy pojawia się zmarszczka niepokoju, więc obejmuję ją ramieniem i przyciągam do siebie. Nie mam serca wyjaśniać jej, że

nie chcemy, by ktoś ze snajperką mógł nas trafić z okolicznych budynków.

Wsiadamy do taksówek i wyjeżdżamy z parkingu, a Ethan monitoruje sytuację za nami, żeby mieć pewność, że nikt nas nie śledzi.

Droga na lotnisko upływa nam w ciszy, bo wszyscy skupiamy się na najbliższym zadaniu.

Przeżyć.

## Bridget

– To gówno, i dobrze o tym wiesz – rzuca cierpko Ethan.

– Cóż, dałeś się na to gówno nabrać – stwierdza Matt, zaśmiewając się, i rzuca karty na stolik.

Siedzę z dwoma kumplami Bena i patrzę, co robią.

Lecimy do Kamali. Ben leży w swoim fotelu, śpi jak kamień. Miał świadomość, że zaraz po starcie może się w końcu odprężyć, bo jego przyjaciele się o mnie zatroszczą. Podróż na lotnisko poszła jak po maśle i naprawdę zaczynam się zastanawiać, czy nie robimy wiele hałasu o nic.

Jed również siedzi w fotelu i czyta. Różni się od pozostałych dwóch chłopaków. Jest cichszy, spokojniejszy, trochę jak Ben. Co zabawne, to właśnie on służył z moim mężem od bardzo młodego wieku, podobnie jak Rick. Jego dzieciństwo wyglądało chyba podobnie. Czy i na jego rodzinę spadły tragedie? Zauważam, że nieustannie przyciąga moje spojrzenia, jakbym chciała wzrokiem wyciągnąć więcej informacji na jego temat.

To śmieszne, że akurat mnie ciekawą cisi mężczyźni.

– Ben nam nie mówił, że jesteś aż taka gorąca – zagaja łobuzersko Ethan.

Matt parska śmiechem, tasując karty.

– Prowokujesz, kurwa, śmierć – mówi do kolegi, rozdając. – Grasz, Didge?

– Nie, wolę dalej patrzeć – odpowiadam z uśmiechem.

Byłam dla nich Bridget przez całe pół godziny, a teraz jestem już Didge, jakbyśmy znali się od zawsze. Siedzimy na trójosobowym siedzisku i mamy przed sobą stolik. Ciągłe się wierciłam i Ben nie mógł spać, więc pomyślałam, że się przesiądę i poznam jego kumpli nieco lepiej. Rano czułam się niezręcznie, ale po sześciu godzinach spędzonych w ich towarzystwie zaczynam się przyzwyczajać. Ethan jest zawadiacki i bezczelny, przypomina Camerona. Jed refleksyjny i spokojny, a Matt... Cóż... To palant, wyjątkowo zabawny palant.

– Macie dziewczyny, chłopaki? – pytam.

Ethan uśmiecha się, układając swoje karty w idealny wachlarz.

– Ja mam wiele koleżanek – odpowiada z uśmiechem, nie odrywając oczu od kart.

Śmieję się, bo wiem, o jakie koleżanki mu chodzi.

– A ty, Matt?

– No... – zaczyna, układając pierwszą kartę. – Ja tam nie lubię kolegować się z dziewczynami, które pieprzę. Jestem zwolennikiem przygód na jedną noc.

W jego szczerości jest coś rozbijającego.

– Czyli co, poznajesz dziewczynę i zabierasz ją do siebie?

– Mniej więcej – odpowiada, wzruszając ramionami. – Nie chcę spędzać z nimi czasu.

Uśmiecham się w duchu, bo Ben był kiedyś taki sam.

– Czemu nie?

– Bo albo jestem w którejś zakochany, albo nie jestem.

Ethan unosi dłoń i pokazuje gest kłapania dziobem.

– Kłamiesz – mówi.

– Odpierdol się – odwarkuje Matt.

Ethan przewraca oczami.

– Po prostu dalej jest zabujany w dziewczynie, z którą stracił dziewictwo, jak miał szesnaście lat – mówi Matt, czochojąc kolegę po włosach. – Prawda, kochasiu?

Szczęka mi opada, patrzę na nich niepewnie.

– Naprawdę? – pytam.

– Zamkniesz się już, kurwa? – burczy Matt i wbija Ethanowi łokieć w żebra.

– Powiedz – namawiam go.

– Nie ma o czym mówić. – Rzuca kartę na stół. – Jak miałem szesnaście lat, to poznałem jedną dziewczynę. Jej ojciec był w wojsku i przyłapał nas gołych w łóżku – opowiada od niechcienia.

– I co się działo potem? – pytam, krzywiąc się z obawy.

– Nic. Poprosił dla mnie o stanowisko za granicą i już nigdy więcej jej nie widziałem.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia siedem – odpowiada, rzucając kolejną kartę.

– I cały czas jesteś w niej zakochany?

– Nie.

*Wyraźnie kłamie.*

– Bardzo. Przeszukaliśmy za tą laską pół świata. Ben szukał nawet jej ojca w wojskowych dokumentach, ale chyba przekręciliśmy jego nazwisko albo coś... – wyjaśnia Ethan. – Nic nie znaleźliśmy. A Matt mówi, że skoro nie może mieć tej dziewczyny, to innej nie chce.

Rozdziawiam usta.

– Jakie to romantyczne! – Przykładam dłoń do serca. – Czyli ją stalkowałeś?

– Nie – odpowiada Ethan. – Ale ciebie stalkowaliśmy – mówi i puszcza mi oko.

– Jak to? – pytam, wybuchając śmiechem.

– No tak to. Odkąd pięć lat temu Ben wrócił do jednostki, wszyscy mieliśmy cię na oku.

– Niby jak? – pytam, teraz już szczerze zdziwiona.

– Na przykład gdy Ben obsrywał zbroję, bo miałaś jakiegoś nowego chłopaka, to wszyscy sprawdzaliśmy go na twoim fejsie.

– Jesteśmy znajomymi na Facebooku? – piszczę.

– Nie, przez konto ziomka Bena. – Zastanawia się. – Jakiegoś Camerona czy coś takiego.

– Ben ma dane logowania do konta Camerona?! – piszczę z niedowierzaniem.

– Tak, ale do jakiegoś starego, nieużywanego.

*O mój Boże. Co ja tam publikowałem przez ostatnich pięć lat? I on to wszystko widział... Groza.*

Zerkam na śpiącego jak niemowlę Bena i mam ochotę zdzielić go poduszką, ale wracam do rozmowy z jego kumplami.

– Skoro jesteście tak znakomitymi śledczymi, to czego się o mnie dowiedzieliście?

– Masz kilka mega seksownych koleżanek – odpowiada Ethan z cwaniackim uśmieszkiem.

– No tak, oczywiście, że to zauważyliście.

Patrzą jeden na drugiego.

– Buzz jest piekielnie zazdrosny o każdego koleśia, z którym masz zdjęcie. Wpada w szał i w ogóle.

– A dlaczego nazywacie go Buzz? – pytam, marszcząc brwi.

– No wiesz, od Buzza Astrala...

– Wiem – mówię, zanosząc się śmiechem. – Ale dlaczego?

– Bo ma zamiłowanie do zasad i procedur. Wszystko musi być zrobione, jak trzeba, według regulaminu. Lubi porządek. Nie spotkasz w życiu porządniejszego faceta.

Uśmiecham się i zerkam na niego kątem oka. Rzeczywiście lubi postępować, jak trzeba.

Hmm, nie wiem, dlaczego, ale myśl, że przez te lata pilnował mnie na odległość, sprawia mi przyjemność.

– Idę się zdrzemnąć obok mojego porządnickiego Buzza Astrala – mówię, wstając, i przechodzę na drugą stronę kabiny, by usiąść obok mojego mężczyzny. Przykrywam nas oboje kocem i daję mu całusa w policzek. – Słodkich snów, mój Buzzie – szepczę, składając głowę na jego ramieniu i wtulając się w niego. – Słodkich snów.

\*\*\*

Samochód zatrzymuje się na podjeździe Kamali i wszyscy chłopcy ściągają brwi na widok posiadłości.

Rozległy trawnik rozciąga się na poziomie ulicy, ale z tyłu, za domem, opada wraz z klifem. Podjazd jest wybrukowany i wije się przez tę tropikalną oazę.

Przejeżdżamy obok wodospadu, mijamy ogrody i docieramy do okrągłej zatoczki dla samochodów. Stoi przed nami główny dom, rozchodzące się na bok podjazdy prowadzą do pozostałych domów.

– Żartujecie sobie, prawda? – wzdycha Ethan, otwierając szeroko oczy. – Ja pierdołę, to jest domek letniskowy Joshui?

Przytakuję z uśmiechem.

– Yhm. Gdy zobaczyłam go pierwszy raz, też mi szczęka opadła.

– A więc to dom twojej siostry? – pyta Jed.

– Tak, letniskowy. – Wzruszam ramionami. – A w zasadzie domy.

Na posesji stoją cztery.

– I jak często tu przylatują?

– Spędzają tu kilka miesięcy w roku. A w zasadzie wszyscy spędzamy. Mamy wielkie szczęście. – Uśmiecham się z lekkim zażenowaniem. – Ben, kiedy byłeś tu ostatnio? – pytam.

– Kilka miesięcy temu, z Camem i Adrianem – odpowiada.

*Hę? Nie wiedziałam o tym, będę musiała go później o to wypytać. Dlaczego Adrian mi nie powiedział? Czy on coś przede mną ukrywa?*

Przypomniało mi to, że muszę później do niego zadzwonić. Nie rozmawiałam z nim od ponad tygodnia, a przecież nie ma mojego nowego numeru.

Sześciu tajskich opiekunów posiadłości, wszyscy w tradycyjnych strojach, ustawia się w rzędzie w ogrodzie, by nas powitać i równocześnie składa dłonie jak do modlitwy, po czym lekko pochyla głowy. Mężczyźni troszczą się o cały teren i samochody, poza tym gotują dla gości. To praca na cały etat.

– *Sawas dee krab* – mówią chórem.

– *Sawas dee krab*. – Ben i ja powtarzamy ich powitanie, również składamy dłonie i pochylamy głowy.

Chłopcy patrzą po sobie, jakby się bali, że śnią na jawie. Kiedyś czułam się tak samo. Kiwają pośpiesznie głowami, gdy dociera do nich, że to było powitanie.

– Panna Bridget. – Anya uśmiecha się do mnie i obejmuje mnie serdecznie.

To właśnie spotkanie z nią nie mogę doczekać się najbardziej, gdy przylatuję do Tajlandii. Zawiązała się między nami mocna więź. Gdy tylko mogę, wysyłam jej różne rzeczy z domu. Kiedy Ben przedstawia chłopaków, trzymamy się z Anyą za ręce, a potem wchodzimy razem głównym wejściem do środka.

Nad rozległym pokojem wznosi się wysoki sufit z rzeźbionego drewna. Ściany są kremowe, podłogi pokryte ciemnym parkietem. Przez przeszkloną ścianę widać basen infinity i dalej morze. Na



środku basenu jest wysepka, a na niej pokryta słomą okrągła przebieralnia, palenisko i rozstawione wokół niego leżaki. Ogrody wszystkich czterech domów mają odrębne ogrodzenia – ze względu na prywatność gości.

Posiadłość została przebudowana. Joshua dodał trzy sypialnie na piętrze każdego z domów. Chciał, żeby nie zabrakło miejsca nawet wtedy, gdy wszyscy doczekamy się dzieci. Trudno w to uwierzyć, ale posiadłość wydaje się jeszcze okazalsza.

– Chłopaki, wy zatrzymacie się w ostatnim domu. – Ben wskazuje dłonią na wyłożoną kamieniami ścieżkę i wszyscy ruszamy nią przez tropikalny ogród.

Ten dom jest wielki i otwarty. Cały biały i przewiewny, do tego wyposażony w każde współczesne udogodnienie znane ludzkości. Tylna ściana również jest przeszklona i też wychodzi na basen i morze.

– Jasna cholera, ale wykurwiście... – szepcze Ethan z podziwem, przyglądając się wysokiemu sufitowi.

Matt rozgląda się i przeciągle gwizdże.

– Nieźle. – Uśmiecha się do pozostałych.

W tym domu telewizory zostały na stałe przyczepione do ścian. Ekrany są podzielone na cztery okna, w których stale widać obraz z różnych kamer bezpieczeństwa. Gdy do posiadłości zjeżdża się rodzina, w tym domu mieszka ochrona.

Tutaj zatrzymywał się kiedyś Ben.

– Trzy sypialnie na dole, trzy na górze, każda z własną łazienką. Posiadłość jest ogrodzona i bezpieczna, więc możecie się spokojnie uchlać. Siłownia po prawej, basen i barek po lewej. Róbcie, na co macie ochotę.

– Jakie plany na dziś? – pyta Ethan.

– Żadnych planów – odpowiada krótko Ben. – Zostajemy tutaj.

– Ben, potrzebuję trochę letnich ubrań – wtrącam. – I ty też. Spakowaliśmy się na Nowy Jork. Przecież tu jest czterdzieści stopni – tłumaczę, a mój mąż marszczy czoło, niezadowolony. – Po południu wyskoczę do sklepu po kilka drobiazgów. Wszyscy możemy iść. Oprowadzimy trochę chłopców... – dodaję błagalnie, tak na wszelki wypadek.

Ben mruży oczy, zastanawia się.

– Ben, uwiniemy się szybko. Jesteśmy za granicą. Nic się nie stanie.

– Nie – odpowiada w końcu. – Chłopaki mogą kupić, co trzeba. Ty zostajesz tutaj.

Przewracam oczami.

– Niech ci będzie.

– No to na razie – rzuca do kumpli i idziemy do naszej willi.

Uśmiecham się szeroko, bo to właśnie w niej zawsze mieszkałam. Wchodzę prosto do wielkiej sypialni.

Ben idzie za mną, ale jakby z oporami. Czuję, że jest spięty.

– O co chodzi? – pytam, odwracając się w jego stronę.

– Nie byłem... – zawiesza głos. – Nie byłem w tym pokoju od czasu... – urywa.

*Ach, no tak.*

– Odkąd złamałeś mi serce i mnie porzuciłeś? – pytam oziębło.

Przełyka nerwowo ślinę i kręci głową.

Rzucam torbę na łóżko i biorę się pod boki. Czuję, jak na wspomnienie tamtej nocy wzbiera we mnie gniew. Nie mogę znieść, że łączy nas takie wspomnienie.

– Po co to wyciągasz? – warczę. Wkurza mnie, że tak łatwo mu wybaczyłam.

– Sama to wyciągnęłaś – odpowiada, wzruszając ramionami.

Przewracam oczami i zaczynam się rozpakowywać. Wchodzę z rzeczami do wielkiej garderoby, a on idzie do części dziennej.

Składam ubrania i się zastanawiam.

To się wydaje nierealne. Sześć tygodni temu spotykałam się z kimś innym, a teraz jestem na drugim końcu świata, bezrobotna, do tego żonata z innym mężczyzną. Uciekam przed dwoma popieprzonymi szpiegami, którzy chcą zabić Bena.

Czuję niepokój w brzuchu. Wydaje nam się, że możemy z grubsza przewidzieć, co nas w życiu spotka. Wychodzi na to, że moje przewidywania były całkowicie chybione.

Z kuchni dobiega głos Bena, więc stoję w drzwiach, żeby lepiej słyszeć.

*Z kim rozmawia?*

– Tak, dotarliśmy bezpiecznie. Poszcęściło się z szyfrem?

*To Joshua.*

Odkąd to wszystko na nas spadło, Ben jest zdystansowany. Stara się tego nie okazywać, ale wiem, że przeszedł w tryb roboczy. Niby przy mnie jest, ale tak naprawdę jest nieobecny. Jego umysł pracuje. Gdy był ochroniarzem Joshui, też się tak zachowywał. Dla siebie miałam go tylko wtedy, gdy wszyscy inni poszli spać, a my zostawaliśmy we dwoje.

Dokopuję się do skromnego złotego bikini i uśmiecham się triumfalnie. Spakowałam je z myślą o podgrzewanym basenie w hotelu w Nowym Jorku. Teraz będę mogła je założyć w prawdziwym cieple. Uśmiecham się od ucha do ucha. Chwila w basenie, lodowata margarita, leżaczek i będę jak nowa.

Przebieram się i przechodzę obok zagadanego Bena, bujając tyłeczkiem na boki.

Odwraca się, rozkojarzony, i... wtedy mnie zauważa. Omiata łapczywym wzrokiem moje ciało.

Wskazuję palcem na basen.

– Będę łapała słońce, gdybyś mnie potrzebował... – mówię cicho.

Uśmiecha się seksownie i puszcza mi oko, ale wraca do rozmowy, a ja wychodzę na zewnątrz i zanurzam duży palec w basenie.

– O, tak... – szepczę sama do siebie. – Chłodniutka i przyjemna.

Wskakuję do wody na główkę, płynę do końca basenu i z powrotem. Kocham to. Spędziłam tutaj najszcześniejsze dni życia. Przez chwilę dryfuję sobie na plecach i wychodzę z wody.

– Nie było mniejszego bikini? – burczy męski głos z leżaka.

Podskakuję, wystraszona, ale zauważam, że to Brock. Leży na leżaku pod parasolem.

– Brock, do jasnej cholery! – krzyczę. – Wystraszyłeś mnie na śmierć! – Przykładam dłoń do serca.

Rechocze, ma na sobie tylko szorty, od pasa w górę jest nagi.

– Jak... Jak długo tam siedzisz? – jąkam się.

– Ze dwie godziny. Nie wiem, jak mogłaś mnie nie zauważyć.

Podnoszę ręcznik, rozdziawiam usta ze zdumienia.

– Chwileczkę, co ty tu robisz?

– Joshua zadzwonił, powiedział, co się dzieje – odpowiada z nagłą powagą i zaciska zęby. – Gdzie jest Statham?

*O cholera. Jest wściekły.*

– To... To nie jego wina – wyduszam nerwowo.

Unosi ironicznie brew i spogląda na moją dłoń.

– Co to za obrączka?

*Kurwa mać.*

Przełykam ślinę przez ściśnięte gardło.

– A taka obrączka. Pasuje tylko na ten palec... – bełkoczę, obracając ją na palcu.

Pojawia się Ben, kiwa Brockowi głową na powitanie, na co mój brat morduje go wzrokiem.

– Co to jest za obrączka na jej palcu, kurwa?!

Wytrzeszczam oczy.

*O Boże.*

Wstrzymuję oddech.

*Nie mów mu. Nie mów mu.*

Ale Ben zadziera podbródek i bierze się pod boki.

– A jak ci się wydaje? Ślubna – warczy. – Pobraliśmy się.

Brock zrywa się z leżaka i łapie Bena za koszulkę.

– Mam nadzieję, że łzesz, chuju jebany, bo jak nie, to cię zabiję gołymi rękami.

# Rozdział 22

## Bridget

Wytrzeszczam oczy, przerażona.

– Co wy wyprawiacie, do cholery? Przestańcie! – krzyczę, patrząc to na jednego, to na drugiego, bo obaj złapali się za fraki.

Ben odpycha Brocka z całych sił.

– Ożeniłeś się z nią, kurwa?! – wrzeszczy wściekle Brock. – Ożeniłeś się z nią bez wiedzy rodziny?!

– Brock... – mówię z poważną miną.

Ben ciężko dyszy, jego tors faluje. Patrzy na mojego brata i na jego twarzy widać wyraźnie rozczarowanie zarzutami z ust Brocka.

– Co... ty... – Brock wykrzywia się ze złości. – Wymyśliłeś sobie, że wrócisz nagle na kilka dni i wślizgniesz się do rodziny?!

Przybiegają chłopaki, wyraźnie zaniepokojeni poruszeniem.

– Co się dzieje? – pyta Ethan.

– Idźcie do środka – mówi Ben.

– Nie wierzę w to, kurwa – syczy Brock.

Ben patrzy mu surowo w oczy i mówi stanowczo:

– Bridget, idź do domu.

*Ooo, nie.*

– Przestańcie, przestańcie obaj.

– Do środka! – krzyczy Ben.

– Nie odzywaj się tak do niej – cedzi mój brat.

Ben posyła mu mordercze spojrzenie.

– Będę traktował moją żonę, jak zechcę, i chuj ci do tego.

Wytrzeszczam oczy.

– Ben, przestań! – krzyczę. – Dostyc tego! Obaj!

Brock podchodzi do Bena. Prawie stykają się nosami.

– Powiedz to jeszcze raz, kutasie.

– Dość. Przestańcie! – Wpadam między nich, przodem do Brocka.  
– Brock! To ja! To ja chciałam ślubu. To ja go namówiłam, a nie odwrotnie. – Następnie odwracam się do Bena. – I po co mu powiedziałeś? Ostrzegałam, żeby nikomu nie mówić.

– Nie będę go okłamywał – warczy Ben. Posyła nam długie, groźne spojrzenie i wraca do środka. Drzwi zatrzasują się za nim z hukiem.

Chłopaki stoją czujnie, pilnując, czy Ben przypadkiem nie postanowi wrócić na zewnątrz, ale po kilku chwilach też znikają w środku.

Brock jest zły, wręcz wściekły. Patrzy na mnie z furią w oczach.

– Pobraliście się, kurwa?! – Słyszę w jego głosie, że cierpi z tego powodu.

Moje oczy zachodzą łzami. Nie chciałam, by dowiedział się w taki sposób.

*Zasrany Ben.*

– Chodźmy się przejść na klif – wzdycham, a on patrzy mi w oczy. Biorę go pod rękę i ciągnę za sobą. – No chodź.

Idziemy za basen i otwieramy metalową bramę. Schodzimy oplatającą klif kamienną ścieżką. Mamy tutaj naturalną skalną półkę wielkości kortu tenisowego. Rosną na niej trzy wielkie drzewa, a bezpieczeństwo zapewnia bardzo stara barierka. Stoi tutaj kilka wygodnych leżaków. To jedno z moich ulubionych miejsc na świecie, bo panuje tu niezwykły spokój. Nasz prywatny punkt widokowy na raj.

Schodzimy do barierki i Brock opiera się o nią, patrząc na morze.

Ja robię to samo. Wzdycham ciężko i marszczę brwi, próbując znaleźć właściwe słowa.

– Miałeś kiedyś takie... ogromne poczucie pilności, pośpiechu, że... – urywam.

– Że co?

– To bez sensu, ale dawało ci takie szczęście, że nie mogłeś się powstrzymać?

Patrzy na mnie bez zrozumienia.

– Opowiem ci dokładnie, jak było. Nie planowałam tego i nie spodziewałam się... Ale jestem bardzo szczęśliwa, że się odważyłam  
– wyznaję, na co Brock przewraca oczami. – Kochamy się z Benem.

Przecież wiesz... Jesteśmy tak bardzo zakochani. Tak bardzo, Brock, że nic poza tym się nie liczy. On jest inny niż my. Jest... uszkodzony.

Na jego twarzy pojawia się zmarszczka dezorientacji.

– Ile wiesz o jego dzieciństwie? – pytam brata.

– Niewiele – odpowiada po chwili namysłu.

– W taki razie coś ci opowiem, bo chcę, żebyś zrozumiał, dlaczego to zrobiłam. I chcę, żebyś zrozumiał, dlaczego zrobienie tego w taki sposób było dla mnie ważne.

Zaciska wargi i przewraca oczami.

– No to mów.

– Meika, jego siostra bliźniaczka, została zamordowana, gdy miał dwanaście lat. Rok później jego ojciec popełnił samobójstwo, a jego matka umierała na raka, więc gdy miał piętnaście lat ona zapisała go do wojska.

Brock spuszcza głowę. Widzę, że moje słowa wywołały u niego silne emocje.

– Brock, on nigdy nie miał domu – dodaję, a brat patrzy mi głęboko w oczy. – Od śmierci siostry nigdy nie obchodził urodzin. Powiedział, że skoro ona nie może ich świętować, to on również nie będzie.

Brat ściąga brwi. Jesteśmy ze sobą blisko, więc wiem, że zna siłę braterskiej więzi.

– Dowiedziałam się, że Ben ma wtedy urodziny i chciałam ofiarować mu coś cudownego, co mógłby obchodzić co roku. Siebie. Zabrałam go więc do Nowego Jorku, wjechaliśmy na Empire State Building i mu się oświadczyłam.

Brock marszczy czoło.

– Najpierw odmówił. Musiałam go namawiać. – Chwytam brata za rękę i patrzę mu w oczy. – Chcieliśmy wam powiedzieć, że się zaręczaliśmy, i wyprawić wesele już w kraju – przyznaję, a mój brat ponownie spuszcza głowę. – Nie wiem, dlaczego ci powiedział, ale mnie tym wkurwił. Nie miał prawa – mamroczę.

– On nie umie kłamać – stwierdza sucho Brock. – Ma prawdomówność w genach.

– Brock, ja i tak zamierzałam za niego wyjść. I tak wyprawimy huczne wesele – mówię z uśmiechem.

Brat spogląda na mnie ze smutkiem.

– Czuję się oszukany. Chciałem być na twoim ślubie.

– I będziesz. – Uśmiecham się przez łzy. – Bo o naszym pierwszym ślubie nikt się nie dowie. Chciałam, żeby to był mój intymny dar dla męża. Chciałam zrobić z nim to sama, bo on jest w życiu sam. – Wycieram łzę, która przerwała tamę. – To coś wyjątkowego między mną a nim. I po prostu chciałam, żebyśmy zrobili to sami.

Brock patrzy na mnie i wzdycha ciężko, a ja spoglądam w morze i po chwili mówię:

– Pewnie i tak bym ci powiedziała.

Trąca mnie ramieniem, za co rewanżuję mu się tym samym.

– Brock, gdy poznasz właściwą osobę, zrozumiesz – ciągnę.

– A co z tym całym wojskowym szajsem? – pyta, spoglądając w dal. – Jakie masz do tego podejście?

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewna – odpowiadam, wzruszając ramionami. – W Pradze próbowali zabić Bena, potem dostał jakieś zakodowane informacje od tego zamordowanego dyplomaty. Wciągnęło go to. Wiesz, że gdyby się tego spodziewał, to za żadne skarby by po mnie nie wrócił – mówię, a brat zerka na mnie z ukosa. – Nie może znieść, że jestem w to wmieszana. Nosi go ze strachu, że coś mi się stanie. Udaje, że wszystko gra, ale odkąd to się zaczęło, prawie nie śpi. Musisz mu pomóc.

Brat przygląda mi się ze ściągniętymi brwiami.

– Jest przerażony, że spotka mnie coś złego... – dodaję szeptem.

Brock obejmuje mnie ramieniem i całuje w czoło.

– Nic ci się nie stanie – mruczy. – Zadbamy o to.

– Mógłbyś tam wrócić i się z nim dogadać? Dla mnie? – błagam, podskakując w miejscu. – Znasz go. Będzie się zamartwiał, że nie chciałeś, żebym za niego wychodziła. On nieustannie zadręcza się myślami.

– Bridget, tu nie o to chodzi. Kocham Bena. Nie znalazłbym ci nikogo lepszego. Chodzi o to, że zrobiliście to, kurwa, po kryjomu.

– Rozumiem, ale on raczej nie.

– Wkurza mnie... – wzdycha.

– Oj, mnie też – odpowiadam ze smutnym uśmiechem. – Jestem wściekła, że powiedział ci w taki sposób.



– Zapytałem go bez ogródek, bo wiedziałem, że mnie nie okłamię.  
Przewracam oczami.

– Pierdolony Buzz Astral, pan porządnicki.

Brock uśmiecha się i kręci głową.

– Chodź, wracajmy. – Znow obejmuje mnie ramieniem i wracamy po schodkach.

– Brock, możesz mi wyświadczyć przysługę?

– Jaką?

– Mógłbyś nikomu nie opowiadać o dzieciństwie Bena? Proszę cię... Pozwól, żeby sam ci o tym opowiedział we właściwym czasie.

– Chyba tak... – mówi, wzdychając.

Wspinamy się po kamiennych schodach.

– A możesz wyświadczyć mi jeszcze jedną przysługę? – pytam jeszcze.

– No co znowu?

– Poprowadzisz mnie do ołtarza podczas ślubu?

Jego oczy rozbłyskują radością.

– Jeśli akurat nie będę zajęty...

Daję mu kuksańca w brzuch, a on zwija się ze śmiechu.

– Przecież wiesz, że tak – odpowiada. – Za nic bym tego nie przegapił.

Obejmujemy się, a ja uśmiecham się w jego pierś. Jest samcem alfa, chciałby wszystko kontrolować, ale i tak ogromnie go kocham.

Wracamy do domu.

Ben siedzi przy stole, ale na nasz widok wstaje.

Serce wali mi w piersi i wstrzymuję oddech, gdy Brock się do niego zbliża. Ich spojrzenia się spotykają.

– Dbaj o nią, kurwa, bo cię zajebię – mówi Brock.

– Ręczę za nią życiem – odpowiada chłodno Ben.

Przez chwilę mierzą się wzrokiem, jakby toczyli jakiś niemy pojedynek, ale mój brat w końcu wyciąga rękę.

– Witaj w rodzinie.

Ben uśmiecha się półgębkiem, podaje mu dłoń, a ja w końcu oddycham z ulgą.

Potrzebuję solidnego drinka, bo w powietrzu unosi się zdecydowanie zbyt dużo testosteronu.

\*\*\*

Ogrzewają mnie promienie słońca; uśmiecham się w niebo. Od trzech dni mieszkamy w raju, ale ja robię się nerwowa i zaczynam mieć klaustrofobię.

Chłopaki wyprawiają się do miasteczka pojedynczo. Obowiązek zaopatrzenia mnie w ciuchy spadł na Brocka, więc moja garderoba składa się obecnie z sarongów w najróżniejszych kolorach. Aha, kupił mi jeszcze dwa komplety bikini.

Ben nie pozwala mi opuszczać posiadłości. Ale na tym nie koniec, bo prawie nie spuszcza mnie z oczu. Broń palna wala się po całym domu, a najgorsze, że zaczynam się do tego przyzwyczajać. Chłopaki świetnie się dogadują i co rusz omawiają różne plany, ewentualności, teorie spiskowe i pomysły awaryjne. Naprawdę nie sądziłam, że tak długo to potrwa.

Joshua prawie złamał szyfr – odczytał już niektóre fragmenty, ale część pozostaje niejasna. Chyba naprawdę się martwi, bo dzwoni do nas po trzy razy dziennie.

Dowództwo Bena też jest w stałym kontakcie, ale tych dwóch agentów pozbyło się mikroczipów, więc nikt nie ma pojęcia, gdzie są. I jestem niemal pewna, że oni nie wiedzą, gdzie jesteśmy my.

Leżę na ręczniku, zażywam kąpieli słonecznej i czytam książkę w telefonie. Ethan i Matt rzucają piłką w basenie. Obserwuję ich z uśmiechem.

Są przezabawni i tacy seksowni.

Abbie oddałby rękę za ich towarzystwo. Jed, Ben i Brock siedzą na leżakach i wymieniają się półszepem opowieściami wojennymi albo rozmawiają o czymś równie nudnym. Są podobni. Silni i cisi.

Byłam zaskoczona, gdy dziś przy śniadaniu mój brat zaproponował kumplom Bena pracę w swojej firmie w Australii. Oferta ich zaintrygowała. Nie wiem, co się stanie, gdy skończą im się kontrakty w wojsku.

Co jakiś czas podnoszę wzrok i widzę, że Ben patrzy na mnie wygłodniałe. Jakby już nie mógł wytrzymać trzymania się na dystans. Chcielibyśmy po prostu zostać sami.

Nakładam na skórę kolejną warstwę kokosowego kremu do opalania. Sprawdzam ukradkiem i widzę, że Ben obserwuje to jak urzeczony, więc uśmiecham się seksownie.

Wiem, co mu chodzi po głowie. Znam to spojrzenie.

Nagle wstaje i wchodzi do domu, jakby nie mógł dłużej wytrzymać.

Uśmiecham się pod nosem i wyprężam na słońcu. Kilka minut później moja komórka wibruje.

SMS od Bena.

**Nałóż więcej tego olejku.**

**Chcę sobie popatrzeć na osobności.**

Prycham pod nosem i patrzę na wielkie okno niedaleko przede mną. Jest z podwójnego szkła, więc ja nic przez nie widzę, ale za to on widzi wszystko.

Po drugiej stronie tej szklanej ściany stoi nasze łóżko.

*Zabawię się z tobą odrobinę.*

Nalewam olejek na dłoń i rozsmarowuję go sobie na brzuchu i piersiach. Nie śpieszę się, wcieram dokładnie, bo wiem, że patrzy.

*Dotyka się?*

Na samą myśl w moim kroczu pulsuje podniecenie.

Drugą porcję olejku wcieram w dekolt, wsuwając dłoń pod top od bikini. Zerkam ukradkiem na pozostałych chłopaków, ale są zajęci swoimi sprawami i nie mają pojęcia, co się dzieje. Wytrząsam kilka kropel olejku na nogi i obie gruntownie smaruję. Czuję na sobie wzrok Bena i kurewsko mnie to kręci. Telefon informuje o kolejnej wiadomości.

**Chodź tutaj.**

**Masz umówione spotkanie... Na mojej twarzy.**

Biorę głęboki wdech.

*Wyszłam za pierdolonego boga.*

Wstaję, ale dostaję jeszcze jeden SMS.

## **Zabierz olejek.**

Moje wnętrzości zaczynają się topić, bo olejek może oznaczać wyłącznie jedno... Boże, czekałam na to od dawna.

Biorę ręcznik, olejek i wchodzę do środka. Powoli otwieram drzwi sypialni i zastaję Bena na łóżku. Leży na plecach, zupełnie nagi, w dłoni trzyma swojego stojącego członka. Na poduszkach i kołdrze rozłożył duże ręczniki.

*Ma jakiś plan...*

– Byłam umówiona na drugą... – szepczę niewinnie.

Patrzy na mnie posępnym wzrokiem, pieszcząc naprężonego fiuta.

– Zgadza się. Ściągaj majtki. I siadaj mi na twarzy.

Nasi przyjaciele są dosłownie kilka metrów dalej, za szybą, ale nie widzą nas i nie mają zielonego pojęcia, co właśnie robimy. To tylko podkręca napięcie w sypialni. Jesteśmy tacy niegrzeczni.

W tym momencie zauważam, że łóżko zostało lekko odsunięte od ściany.

Zsuwam majtki, a Ben wyciąga rękę, bierze ode mnie olejek i nalewa sobie nieco na dłoń. Następnie poklepuje poduszkę obok swojej głowy.

– Kolana tutaj – rozkazuje.

Chcę rozpiąć stanik, ale Ben powstrzymuje mnie uniesieniem dłoni.

– Zostaw.

Dociera do mnie, że właśnie gram w jednej z jego fantazji.

*Ile razy wyobrażał sobie podobną scenę?*

Wstrzymuję oddech, wchodzę na łóżko i klękam okrakiem nad jego twarzą.

– Oprzyj się o zagłówek – szepcze.

*Jasna cholera, ale to jest seksowne.*

Nachylam się nieznacznie i opieram łokciami o zagłówek.

Benowi drży oddech, bo próbuje okiełznać podniecenie. Wciera olejek w mój tyłek i okolice tylnego wejścia. Następnie jego dłonie wędrują w dół i w górę moich piersi, wsuwając się pod stanik. Każdy dotyk jest niezwykle intymny.

Muska ustami moje krocze, a wtedy nachylam się odrobinę mocniej.

*Posmakuj mnie... Posmakuj...* – powtarzam w myślach.

Gdy całuje wnętrze mojego uda, zamykam oczy. Zerkam przez ramię i widzę, że leży płasko na plecach, z lekko rozchyłonymi kolanami, a jego twardy kutas spoczywa na brzuchu.

Całuje drugie udo, potem liże, a moje krocze zaciska się niecierpliwie.

– Nie masz pojęcia, ile razy obserwowałem cię nad basenem i sobie to wyobrażałem... – mruczy.

Zaciskam powieki. Już sam tembr jego głosu może doprowadzić mnie na szczyt. Jeszcze raz nachylam się w przód. Rozpaczliwie pragnę, żeby mnie dotknął. Kiedy całuje mnie delikatnie, wstrzymuję oddech i coraz mocniej wspieram się na łokciach.

*Kurwa, no dotknij mnie w końcu.*

Jego język omiata delikatnie moje rozwarte wargi, a ja wydaję z siebie ciche westchnięcie. Całuje mnie jeszcze raz i jeszcze raz.

Nie mogę oddychać.

Jego dłonie spoczywają na moich pośladkach i dyrygują ruchami bioder. Buja mną w tył i w przód, w tył i w przód, a jego język zapuszcza się coraz głębiej i głębiej.

– Nie dochodź... – warczy we mnie, po czym ściska moje pośladki i nabija mnie mocno na swoją twarz. Pomrukuje wewnątrz, jakby tracił nad sobą kontrolę.

Zaczynam dyszeć, moje ciało porusza się już samodzielnie.

*Och, jak, kurwa, dobrze.*

Moja szczeka zwisa luźno, szeroko otwarta.

– Ben... – jęczę, bujając biodrami. – Ben. – Głowa opada mi w tył, puszczam zagłówek i siadam prosto. – Głębiej, proszę – błagam go.

W jego oczach lśni wręcz niebezpieczne podniecenie, ściąga mnie z twarzy i układa na łóżku bokiem, twarzą do naszych przyjaciół na zewnątrz.

Zamykam oczy, gdy jego wargi opadają na moją szyję.

– Patrz na nich – szepcze mrocznie. – Patrz na nich, ale czuj mnie.

Gdy niespiesznie ustawia się za mną, rozwiązuje pasek od bikini i odrzuca je na bok, wszystko się we mnie zaciska. Jego usta wracają na moją szyję, gryzie mnie. Krzyczę, a on wmasowuje olejek w moje

piersi. Zakłada moją górną nogę na swoje przedramię i przesuwa twardym kutasem między moimi pośladkami.

– Wiesz, czego chcę? – dyszy w mój kark. Jego oddech owiewa moje ucho, a ja dostaję gęsiej skórki.

– Weź to sobie – jęczę.

Uśmiecha się tuż przy mojej twarzy.

– Nie prosiłem o pozwolenie, aniele.

Uśmiecham się i zamykam oczy, podczas gdy on ustawia się przy moim tylnym wejściu.

– Pocałuj mnie – mruczy.

Obracam głowę, całuję jego piękna usta i czuję smak własnego podniecenia. W tym momencie Ben wykonuje pchnięcie, więc krzywię się z bólu.

– Aua... – skamle.

– Całuj mnie – warczy.

Jego palce zaczynają krążyć po mojej łechtaczce i już kilka chwil później odprężam się na tyle, że może wejść głębiej. Nasz pocałunek staje się gorączkowy, a Ben wysuwa się ze mnie i wraca.

*Boże, jakie to seksowne. Nie wytrzymam.*

Łapie za butelkę olejku, polewa nim miejsce, w którym łączą się nasze ciała i od razu odrzuca butelkę na bok. Chyba traci nad sobą panowanie.

– Kurewsko tego potrzebuję... – dyszy mi do ucha.

– Ja też – sapię, gdy jego otwarte usta suną w górę i w dół mojej szyi.

Unosi moją nogę wyżej i zaczyna mnie ujeżdżać. Długimi, głębokimi pchnięciami.

Oczy uciekają mi w tył głowy, w pokoju niesie się echo naszych uderzających o siebie wilgotnych ciał.

Podnoszę wzrok i zaledwie kilka metrów dalej dostrzegam naszych niczego nieświadomych przyjaciół. Nie widzą, co Ben wyczynia z moim ciałem, i to jest tak... Nie wytrzymam... Tracę kontrolę.

– Ben! – krzyczę, gdy moim ciałem zaczynają targać spazmy.

– Kurwa! – warczy. – Ja pierdołę, Bridget!

Czuję, jak we mnie drży. Poruszamy się niespiesznie, nasze ciała płyną na fali rozkoszy, idealnie zsynchronizowanej. Jesteśmy pokryci

potem.

Uśmiecham się, a on zamyka mnie w objęciach.

- Zboczony z ciebie człowiek... – szepczę.
- Jesteś więc Pani Zboczona – odpowiada.

\*\*\*

W domu rozbrzmiewa alarm.

- Kurwa! – rzuca Ben, podskakując.

Siadam, rozespana, i patrzę na zegar przy łóżku. Druga w nocy. Ben zapala światło i zakłada szorty.

- Ubieraj się! – warczy, porywając pistolet z szafki nocnej.

Słyszę odległy trzask drzwi. A potem kolejny, jakby coś łupnęło o ścianę. Podnoszę szlafrok z podłogi i w tym momencie gaśnie światło.

- Co się stało?
- Odcięli zasilanie.

# Rozdział 23

## Bridget

– Co?!

*O mój Boże.*

Zarzucam koszulę nocną na ramiona, a Ben przyciąga mnie do siebie od tyłu i wystawia przed nas pistolet.

– Na dachu. – Słyszę przez radio albo coś podobnego.

– Co to? – pytam.

– Moja słuchawka. Jed jest na dachu.

Czuję na plecach, jak mocno wali mu serce.

– Generator zaskoczy za dziewięćdziesiąt sekund – mówi, ale nie do mnie. Wszyscy muszą mieć podobne słuchawki.

Ben ciągnie mnie w lewo, cały czas trzymając broń z przodu. Następnie skręcamy w prawo.

Jest ciemno, bardzo ciemno.

*Kurwa, kto tu przyszedł?*

Strach aż wykręca mi twarz.

– To oni. Widziałem w kamerze. Strzelać, by zabić. Powtarzam: strzelać, by zabić – słyszę głos Ethana.

– Jeden po południowej stronie domu, blisko siłowni, drugi z przodu w ogrodzie. Zbliży się do ciebie, Buzz.

Ben obejmuje mnie mocniej i mierzy bronią w drzwi.

– Widzę go – szepcze Jed ze stanowiska na dachu.

Żarówki mrugają, generator się uruchamia i nagle znowu jest jasno.

Pada strzał.

Cisza.

Pięć strzałów, jeden za drugim.

– Do Bridget! – wrzeszczy przez słuchawkę Brock. – Dotrzyjcie do Bridget!



Po moich policzkach płyną łzy, jeszcze nigdy tak się nie bałam. Ben ściska mnie mocno. Słyszę jakieś łupnięcie, trzaśnięcie drzwi i kolejną serię.

– Mam go. Trafiony! – krzyczy Jed. – Trafiony!

Kolejne dwa wystrzały.

– Drugi ucieka! – wrzeszczy Ethan. – Biegnie do ogrodzenia!

– Dorwicie go – warczy Ben. Łapie mnie i wpycha do garderoby. – Brock, Jed, przyjdźcie do Bridget. Ruszam za nim! – wrzeszczy Ben.

– Nie, nie, nie... – Próbuję go złapać za rękę. – Nie idź, to niebezpieczne.

Zamyka mi drzwi przed nosem. Słyszę odległy trzask drzwi frontowych i jeszcze jeden wystrzał. Ukrywam twarz w dłoniach i zaczynam się kołysać do przodu i do tyłu. Dociera do mnie daleki dźwięk uruchamianego motocykla, a chwilę później ryk silnika. Potem jakiś trzask i pisk opon.

Martwa cisza.

Mój oddech wypełnia ciasną przestrzeń echem.

*Co tu się, kurwa, dzieje?*

– Bridget?! – woła Brock, wpadając do naszej willi.

– Tutaj! – krzyczę. – Tutaj jestem!

Otwiera drzwi i mina mu rzednie, gdy widzi mnie skuloną na podłodze i zapłakaną. Podnosi mnie i przytula do piersi.

– Już dobrze, maleńka. Już dobrze.

– Gdzie Ben? – zawodzę.

– Ściga go.

– To niebezpieczne! – rozpaczam. – Brock, zatrzymaj go.

Pojawia się Jed i na mój widok marszczy czoło. Jest zdyszany.

– Nic mu nie będzie – oświadcza spokojnie, po czym dodaje jakby od niechcienia: – Potrzebne mi prześcieradło.

– Po co? – pytam, zdumiona.

– Żeby przykryć ciało – wyjaśnia mi spokojnie Brock.

Oczy zachodzą mi łzami.

– Nie żyje? – szepczę, przerażona.

– Nie żyje.

Brock sprawdza stan magazynka, po czym zatrzaskuje go i patrzy mi w oczy lodowatym wzrokiem.

*Dobry Boże, oni tym właśnie się zajmują. Czy ja w ogóle znam tych mężczyzn?*

Wbijam wzrok w podłogę i mój umysł zaczyna się zamykać.

– Gdzie Ben? – szepczę przez łyzy.

– Z Mattem. Ruszyli za nim na motocyklach.

Wyrywam się z ramion brata i kręcę głową.

– Jesteście pewni, że było ich tylko dwóch?

– Jesteśmy.

– Znajdź go. Musisz sprowadzić Bena do domu – szepczę.

– Wkrótce sam wróci.

Do pokoju wpada zdyszany Ethan.

– Wszystko dobrze?

Kiwam głową i siadam na łóżku.

– Co teraz zrobimy? – pytam potulnie, patrząc na nich w nadziei, że udzielą mi odpowiedzi.

– Teraz... czekamy.

\*\*\*

Brock i Ethan chodzą nerwowo po pokoju z bronią w rękę, ja kulę się na kanapie w pozycji embrionalnej, a Jed czeka przed domem na powrót Bena i Matta.

Cały budynek jest rozświetlony, każda żarówka jarzy się z pełną mocą. Jest również milczący. Niepokojąco cichy, jakby wszyscy bali się odezwać.

Minęło czterdzieści minut.

*Gdzie oni są?*

Na trawniku przed domem leży przykryty prześcieradłem trup, a ja nie mam pierdolonego pojęcia, gdzie się podziewa mój mąż.

– A co, jeśli coś się stało? – ośmielam się zapytać, choć nie wiem, czy chcę znać odpowiedź.

Brock i Ethan patrzą mi w oczy.

– Jeśli coś im się stało, to jak się dowiemy? – pytam i czuję, że moje nerwy są napięte do granic możliwości.

– Nic się nie stało. Dadzą radę, to tylko jeden facet.

– A co... A co... jeśli jest ich więcej? – bełkoczę. – Co jeśli za rogiem czekało ich z dziesięciu? Jeśli to była pułapka? – dopytuję, zatrwożona.

Słyszę zbliżający się motocykl.

– To oni! – woła Jed, a ja zrywam się z kanapy.

Jeden motocykl. Jeden.

Zaciskam wargi, łzy spływają mi po policzkach, Brock bierze mnie w ramiona.

Lecz chwilę później przez bramę przejeżdża druga maszyna i powietrze wypełnia ryk jej silnika.

Moja głowa z ulgą opada na bark brata.

Dwa motocykle. Wrócili obaj.

Wszyscy chłopcy wybiegają na zewnątrz, słyszę, jak rozmawiają w podnieceni, ale ja mogę tylko schować twarz w rękach i płakać.

– Didge, jestem przy tobie. Już dobrze, aniele.

Podnoszę wzrok i widzę stojącego w drzwiach Bena. Zrywam się i wpadam mu w ramiona, wdzięczna, że może mnie mocno przytulić.

Stoimy w objęciach, ja płaczę.

– Już dobrze, już koniec. Dorwałem go – szepcze, odgarniając mi włosy z czoła. – Nie żyje. Ćśśś, mój aniele, już po nim.

\*\*\*

Na pokładzie samolotu słychać tylko głośny pomruk silników. Wszyscy odsypiają nocne piekło.

Ben zgłosił się do władz i na miejscu pojawili się ludzie z amerykańskiej ambasady, którzy przez całą noc nas przesłuchiwali. Inaczej nie dostalibyśmy zgody na opuszczenie Tajlandii. Ostatecznie w sprawę włączyła się specjalna jednostka WNZ i wszystko załatwiła. Niemniej musieliśmy wylecieć z Tajlandii natychmiast, a Ben za dwa dni ma się stawić w dowództwie. Przez całą noc rozmawiał przez telefon z przełożonymi.

Joshua prawie złamał szyfr i Ben chce zabrać zakodowane dokumenty. O cokolwiek chodziło, sprawa była poważna. Dzięki Bogu, że to już koniec.

Spuszczam głowę na ramię Bena i wtulam się w jego wielki, bezpieczny tors, rozpaczliwie próbując wymazać z pamięci minioną noc.

Ale czy to w ogóle możliwe? To był horror.

\*\*\*

Idziemy korytarzem budynku Bena w całkowitej ciszy. Jest wcześnie rano, dopiero ósma. Niestety oboje wiemy, czego oczekiwać w mieszkaniu. Kilka dni temu Ben mnie zmusił do obejrzenia nagrania z włamania. Chciał, żebym wiedziała, jak wyglądają ci faceci, na wypadek gdybym gdzieś na nich wpadła.

Mieszkanie jest zdemolowane.

– Może powinniśmy przenocować w hotelu? – wzdycha Ben, otwierając drzwi.

– Nie, po prostu to załatwmy – odpowiadam. – Im szybciej posprzątam ten burdel, tym szybciej będziemy mogli się odprężyć.

Otwieramy drzwi i oboje zaglądamy do środka.

Wszystko wała się po podłodze. Opróżnili każdą jedną szufladę, zajrzeli wszędzie. Zerwali ze ścian obrazy, przewrócili kredens w kuchni.

Ben rozgląda się i zgrzyta zębami, a ja czuję promieniujący od niego gniew. Wzdycham ciężko, bo – Boże – to naprawdę przytłaczające.

– Od czego zaczynamy? – pytam.

Ben drapie się po głowie, sfrustrowany, ale nie odpowiada. Rusza korytarzem, żeby sprawdzić sypialnię, więc idę za nim. Wchodzi na łóżko, majstruje przy włączniku światła, a schodząc, miażdży coś pod stopą.

– Co to było? – pytam.

– Kamera... – odpowiada, zamyślony.

Rozglądam się przez chwilę, a potem biorę pod boki, bo odnalazłam w sobie nowe pokłady determinacji.

– Powiem ci, co zrobię.

– No co? – wzdycha, oglądając zniszczenia.

– Wezmę prysznic, a potem ogarnę ten bajzel. – Wymierzam w niego palec. – A potem zabierzesz mnie na kolację. A jeszcze potem wrócimy i będziemy uprawiali naprawdę ostry seks.

Ben uśmiecha się i kręci głową z niedowierzaniem.

– Co? – pytam.

– Ty.

– Co ze mną?

– Jesteś maniaczką seksualną. Jak można myśleć, kurwa, o seksie, stojąc pośrodku tego chaosu?

Rozdziawiam usta i wybałuszam oczy.

– Wcale nie jestem maniaczką seksualną! Po prostu dzielę życie z naprawdę gorącym facetem, któremu nigdy dość... – zawieszam głos – ...i gdy uprawiam z nim ostry seks, naprawdę się relaksuję. Miałam mocno stresujący tydzień, wiesz?

Uśmiecha się i przyciąga mnie do siebie za tyłek.

– Mam lepszy pomysł – szepcze, patrząc na moje usta.

– Jaki? – pytam z uśmiechem, obejmując jego szerokie barki.

– Weźmiemy prysznic i będziemy uprawiali naprawdę ostry seks teraz.

Patrzę na niego jak rozkochana nastolatka i pytam:

– Taaak?

– A potem posprzątam.

Całuję go w usta.

– Mhm.

– A potem pójdziemy kupić stosowny pierścienek zaręczynowy.

Co?

– Naprawdę? – pytam, wybałuszając oczy.

Ben uśmiecha się i daje mi buziaka.

– Tak, naprawdę.

Zaczynam podskakiwać w miejscu.

– Myślisz, że uda ci się zorganizować ślub w sześć tygodni? – pyta.

– Sześć tygodni? – powtarzam, zdezorientowana.

– Albo szybciej, jeśli to możliwe.

– Skąd ten pośpiech?

– Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że najpiękniejsza kobieta na świecie należy do mnie.

Wyszczierzam się od ucha do ucha.

– Oj, należy do ciebie, żebyś wiedział – szepczę rozmarzonym głosem tuż przy jego ustach.

– No to czas na prysznic! – oświadcza, klepiąc mnie w tyłek.

\*\*\*

Wpatruję się w wielki kamień na moim palcu. Szeroki, promienny uśmiech chyba już na stałe przykleił się do mojej twarzy.

Ben przewraca oczami i patrzy w menu.

– Ciągle tam jest, nikt ci go nie ukradł... – mamrocze zrzędlowie.

Wyszliśmy na kolację. No, w zasadzie obiadokolację.

Posprzątaaliśmy w domu, ile daliśmy radę, potem poszliśmy na zakupy. Ben kupił mi najpiękniejszy pierścionek, jaki widziałam – z pojedynczym, dwukaratowym brylantem. Składa się ze złotej obrączki i wyjebistego kamienia.

Uśmiecham się, prostując przed sobą rękę.

– Boże, będę kochała to maleństwo do porzygu i bez przerwy pokazywała na Insta.

Ben nadal wpatruje się w kartę dań.

– Ale jeszcze mnie nie poprosiłeś – burczę, unosząc kieliszek z winem.

Patrzy mi w oczy i unosi pytająco brew.

– Nie poprosiłem?

– Tak, no wiesz... żebym za ciebie wyszła.

Zaciska wargi, powstrzymując uśmiech, a potem nachyla się nad stolikiem i podpira głowę na złączonych dłoniach.

– Chcesz, żebym ci się oświadczył?

Uśmiecham się i durnowato kiwam głową.

– Odmówisz? – parska.

Przewracam oczami.

– Nie bardzo, bo w zasadzie już jesteśmy małżeństwem – pryham. – Po prostu zrób mi tę przyjemność, Ben. Dobrze? – mamroczę w kieliszek. – Wkurzasz mnie tą swoją logiką i w ogóle.

– Wspominałaś... – odpowiada z seksownym uśmiechem.

Sączę wino i nie mogę powstrzymać uśmiechu.

– Oświadczę się, gdy przyjdzie czas – stwierdza.

Patrzymy sobie w oczy.

– Czyli kiedy?

– Gdy uznam, że nadszedł czas.

– Masz świra na punkcie kontroli.

– Kontroluję tylko jedno... – szepcze i jego oczy nagle ciemnieją.

– Co takiego?

– Twoje ciało.

Czuję motyle w brzuchu, bo rzeczywiście, kontroluje moje ciało całkowicie.

On decyduje jak.

On decyduje kiedy.

On decyduje, jak ostro.

– Skoro o tym mowa, jaka jest twoja ulubiona część mojego ciała?

*Podoba mi się ta gierka.*

– Twoje serce – odpowiada bez chwili namysłu.

Mógł wybrać cokolwiek...

Zaraz odlecę.

Łapię go za rękę i całuję w wierzch dłoni. Patrzymy sobie głęboko w oczy. Kocham tego człowieka.

– Nie, mówię serio. Wybierz ulubioną część ciała.

Pytam, ale znam odpowiedź. Ben ma fioła na punkcie moich cycków. Trzyma je, gdy zasypia i gdy się budzi; przygryza je, gdy się rżniemy; kładzie na nich głowę, gdy chce się odprężyć. Nawet dziś rano w samolocie przykrył nas kocem, bo musiał wsunąć mi rękę pod stanik. Jest fanatykiem cycków. Dzięki Bogu, że jestem hojnie obdarzona w tym obszarze.

Zastanawia się przez chwilę i marszczy czoło.

– Twarz.

– Twarz? – powtarzam, zdziwiona.

– Kiedy ją widzę... – zawiesza głos – ...to mam to poczucie...

Poczucie szczęścia, głęboko wewnątrz.

Moje oczy zachodzą łzami, uśmiecham się czule.

– Nie słyszałam nic bardziej romantycznego.

– A ja nie widziałem nic piękniejszego od twojej twarzy.

*Och, jak ja go kocham.*

– Powinniśmy wrócić do domu i znowu pouprawiać ostry seks – szepczę.

On jednak kręci lekko głową i mówi:

– Nie.

– Nie?

Zadziera podbródek.

– Dziś jestem w nastroju na uprawianie z moją żoną miłości.

Roztopia mi serce.

– Powiedziałeś mi to pierwszy raz.

Patrzy mi głęboko w oczy.

– Cóż, dziś w nocy zrobię to pierwszy raz w życiu. – Oblizuje dolną wargę, zastanawiając się nad następnym zdaniem. – Dziś w nocy całkowicie ci się oddam.

Moje ręce pokrywa gęsia skórka, lecz nie odrywam od Bena wzroku.

*Dobry Boże, pomóż mi. Przecież moje serce tego nie zniesie.*

*Czas na jazdę.*

## Ben

Wprowadzam ją do mieszkania tyłem, trzymając ręce na jej pośladkach. Po moich wargach spływają jej ciche chichoty. Mam wrażenie, jakbyśmy przekroczyli pewien próg intymności. Jesteśmy tak blisko siebie.

Zrobiliśmy to – osiągnęliśmy najwyższy poziom bliskości. Ale ja czuję, że muszę być jeszcze bliżej, więc przygważdżam ją do lodówki i całuję dalej. Tym razem nie ma pośpiechu, nie musimy zdzierać z siebie ubrań. Po prostu chcemy się sobą nacieszyć.

Dzwoni dzwonek do drzwi.

Co?

– Kto to, do kurwy nędzy? – cedzę przez zęby.

Didge wali w złości potylicą o lodówkę.

*Cholera jasna.*

Podchodzę do domofonu i patrzę na obraz z kamery bezpieczeństwa. To Greg, mój szef.



– Jezus, idealne wycucie czasu, kurwa – mamroczę. Zanim wpuszczam go do budynku, dodaję: – Przykro mi.

– Kto to? – pyta Bridget, prostując sukienkę.

– Greg, z pracy – wzdycham ciężko. – Załatwię to w mgnieniu oka, góra pół godzinki.

– Cholera, Ben, nie jestem w życzliwym nastroju – szepcze, wyraźnie rozeźlona. – A mieszkanie nadal wygląda jak pobojowisko.

– Chyba przydałaby ci się drzemka – mówię zadziornie, patrząc jej w oczy.

– A żebyś wiedział – odpowiada wściekle i krzyżuje ramiona na piersiach.

Gdy rozlega się pukanie do drzwi, otwieram je i wpuszczam szefa.

– Cześć, Buzz. – Uśmiecha się szeroko.

Greg jest koło sześćdziesiątki, był moim przełożonym przez sześć ostatnich lat. To dobry gość.

– Chciałem wpaść, by pogratulować ostatniej misji.

– Dzięki. – Podajemy sobie ręce, a potem obracam się do Bridget.

– To moja żona, Bridget. – Przedstawiam ją i dodaję: – Wejdz, proszę... Usiądź.

– Dziękuję. – Uśmiecha się serdecznie i ląduje na kanapie.

– Masz ochotę na kawę albo coś innego? – pytam.

– Tak, byłoby świetnie. Co się stało, do cholery? – Kręci głową z niedowierzaniem. – Nie mogłem w to uwierzyć.

– Dwaj agenci przeszli na złą stronę, a ja zostałem w to przypadkowo zamieszany – odpowiadam, wzruszając ramionami.

– Jak? – dziwi się.

– Jason Steele przesłał mi wiadomość z kodem.

– I co w niej jest?

– Nie mam pojęcia. Nie udało mi się jej rozszyfrować. Jutro na spotkaniu w dowództwie przekażę ją naszym fachowcom. Nie mam, kurwa, pojęcia, co tych dwóch kombinowało.

– Jezu... – szepcze w zamyśleniu.

Nie mamy kawy, kiepski ze mnie gospodarz.

– Greg, a może coś zimnego do picia albo coś...?

– Tak, poproszę.

– Napijesz się herbaty, Didge?

– Poproszę – odpowiada z uśmiechem.

Idę do kuchni, nastawiam czajnik, wyciągam kubki z szafki, a komórka daje mi znać z tylnej kieszeni, że dostałem SMS.

Greg i Didge nie widzą mnie w tej chwili, więc odczytuję wiadomość od Joshui.

**Złamałem szyfr.**

**Greg Jackson sprzedał broń jądrową pewnej komórce terrorystycznej, która zastosuje ją w jednym z sąsiednich państw... Za czterysta milionów dolarów.**

**Nie Jesteś Bezpieczny.**

**Wynoś Się z Domu.**

**WYNOŚ SIĘ Z DOMU NATYCHMIAST!!!**

# Rozdział 24

## Ben

Zamykam oczy.

*Ja pierdolę.*

Odpisuję:

**Właśnie u mnie jest. Dzwon na policję.**

Próbuję opanować bicie serca.

– Jak Jenny i dzieciaki?! – wołam z kuchni, na chybił trafił otwierając i zamykając szafki, żeby zamaskować niepokój.

– Bardzo dobrze, wkrótce wybierają się na wakacje – odpowiada Greg z pokoju.

Po cichu wysuwam dolną szufladę, wyciągam schowany tam pistolet i sprawdzam magazynek.

Dwa pociski.

*Kurwa.*

Cicho chowam magazynek i próbuję się kontrolować, pomimo pompowanej do żył adrenaliny. Unoszę broń w wyprostowanej ręce i wychodzę z za rogu.

Trzyma Bridget za kark i przystawia jej lufę do skroni.

– Puść ją, Greg – żądam.

Zbrywa mnie parsknięciem.

– Gdzie dokumenty?

Zaciskam mocniej palce na rękojeści.

– O czym ty mówisz? – Zgrywam głupiego, próbuję ugrać trochę czasu.

– Dokumenty, kurwa! – ryczy, pchając kark mojej żony w dół. Trzyma ją tak mocno, że Bridget płacze z bólu.

– Puść ją – powtarzam. – To nie jej bitwa. – Poprawiam uchwyt broni, ale Greg trzyma Didge tak mocno, że jeśli strzelę, mogę ją trafić.

– A właśnie, że to jej bitwa. Ty nie przejmujesz się własną śmiercią, tyle już wiem – syczy.

Patrzemy sobie w oczy.

– Ale na jej życiu ci zależy – mówi z parszywym uśmiechem.

– Puszczaj ją, kurwa! – wrzeszczę, tracąc nad sobą panowanie.

Wbija lufę w jej skroń, na co Bridget kwili z bólu.

Krew w żyłach zamienia mi się w lód.

*Strzelę na trzy...*

– Puść ją, to je przyniosę. Są w sejfie.

– Zero szans, kurwa. Nie jestem głupi.

Zerkam ukradkiem na Bridget, która ledwie zauważalnie kiwa głową.

*Zapamiętała, co opowiadałem jej przed laty?*

Gdy byłem jeszcze ochroniarzem Joshui, uczyłem ją, jak ma się zachować w podobnej sytuacji.

Patrzy mi w oczy i ponownie lekko kiwa głową.

*Pamięta.*

Ujmuję pistolet mocno w dłoni, poprawiam ustawienie stóp.

– Padnij! – krzyczę.

I Bridget wiotczeje w jego rękach, jej ciało wali się naprzód, a ja dostaję swoją szansę – ułamek sekundy na strzał. Strzelam tylko raz i trafiam dokładnie między oczy.

Greg przewraca się, o ziemię uderza już martwy.

Bridget krzyczy, a ja biorę ją w ramiona i obejmuję, żeby nie musiała na niego patrzeć. Wrzeszczy w moje ramię, ale trzymam ją mocno.

Moje ciało drży od adrenaliny. Zamykam oczy.

*O mój Boże, ja pierdolę, mało brakowało. Zdecydowanie zbyt mało.*

\*\*\*

– I co się stało potem? – pyta sekretarz stanu.

Siedzę przy stole konferencyjnym z dwunastoma liderami WNZ. Przesłuchują mnie od dwóch godzin. Kilka krzeseł dalej przesłuchują też Ethana, Matta i Jeda.

Leżą przed nimi już w pełni rozszyfrowane dokumenty.

Po wczorajszej strzelaninie przenieśliśmy się z Didge do hotelu, żeby ekipa posprzątała moje mieszkanie, ale wątpię, by moja żona kiedykolwiek chciała tam wrócić. Jest rozstrojona nerwowo. Ale czy można ją winić?

Musiałem ściągnąć do niej Ally, żebym mógł się tu dziś stawić.

– Potem... pociągnąłem za spust – odpowiadam, patrząc na nich chłodno.

Stenografistka sprawnie notuje moje słowa.

– Umarł od razu?

– Tak – odpowiadam bez cienia emocji, patrząc przed siebie.

Prezydent wstaje i łączy dłonie za plecami.

– Wiemy o tej broni już od pewnego czasu. Została wykradziona ponad rok temu, ale nie potrafiliśmy jej namierzyć. To on zorganizował kradzież, a potem sprzedał ją na czarnym rynku temu, kto dał więcej.

Śledzę wzrokiem jego nerwowy spacer po pomieszczeniu.

– Zdobyliśmy pewne dane. Broń znajduje się w magazynie na terenie Syrii i za trzy dni ma zostać przekazana dalej – kontynuuję, a ja marszczę czoło. – Jeżeli przekazanie broni się powiedzie, zginą setki tysięcy niewinnych cywili.

Spuszczam głowę.

*Ja pierdolę.*

– Wysyłamy tam oddział uderzeniowy – oświadcza i patrzy mi w oczy. – I chcemy, żebyś nim dowodził.

Zaciskam zęby.

*Nie.*

Obiecałem Bridget, że już do tego nie wrócę.

– Wykorzystają tę broń przeciwko któremuś z naszych sąsiadów. Ich celem będą kobiety i dzieci. Ta broń spowoduje masowe zniszczenie i śmierć. Buzz, zrobisz to, do czego byłeś szkolony? – Prezydent zwraca się bezpośrednio do mnie i patrzy mi prosto w oczy.

Nie odpowiadam, tylko patrzę przed siebie.

– Musisz pomyśleć o tych biednych kobietach i dzieciach, które poniosą bolesną śmierć, bez szans na ratunek. Buzz, to będzie prawdziwa katastrofa.

Patrzę na niego z zaciśniętymi zębami i wyobrażam sobie, co czeka tych ludzi.

*Niewinne dzieci.*

– Jesteś z nami? Poprowadzisz zespół? Nikt inny nie ma doświadczenia, które pozwoliłoby wykonać tę robotę i bezpiecznie wrócić. Tylko ty. Buzz, czy zrobisz to, do czego byłeś szkolony? – powtarza pytanie z naciskiem.

– Tak jest, panie prezydencie – odpowiadam odruchowo.

Kiwa głową.

– Wylatujecie za dwadzieścia cztery godziny – mówi. Zwraca się do reszty: – Dziękuję.

Wszyscy wstajemy i salutujemy.

On również nam saltuje, kiwa głową i wychodzi, a wszyscy inni podążają za nim.

Wbijam wzrok w stół.

– Zagraniczne misje nigdy nie są łatwe, ale ta będzie najtrudniejsza.

## Bridget

– Wszystko w porządku? – pytam.

Ally wyszła z naszego pokoju hotelowego, gdy tylko Ben wrócił ze spotkania.

– Ally jest miła – stwierdzam.

Ben kiwa głową i patrzy mi głęboko w oczy.

– Wszystko dobrze?

– Tak, jestem trochę zestresowana, ale jeśli dziś w nocy porządnie się wyśpię, powinno już być dobrze – odpowiadam z uśmiechem i bacznie mu się przyglądam. – A u ciebie?

Wodzi wzrokiem po mojej twarzy, zamiast odpowiedzieć, więc najwyraźniej coś się stało.

– O co chodzi? – pytam szeptem.

Przełyka ślinę.

– Wysyłają mnie na misję.

– Co takiego? – pytam, zdumiona.

– Jutro wylatuję.

– Gdzie? – warczę.

– Do Syrii.

Kręcę głową.

– Nie, nigdzie nie lecisz. – Zaprzeczam jeszcze mocniej. – Nie.

– Bridget...

– Nie, Ben! – krzyczę ze łzami w oczach. – Skończyłeś już z wojskiem. Wracasz ze mną do domu, do Australii.

– To krótka misja. Nie będzie mnie tydzień, maksymalnie dwa. – Próbuje złapać mnie za rękę, ale mu się wrywam. – Nie mam wyboru! – warczy. – Muszę postąpić właściwie.

Łzy rozrywają tamę i spływają po moich policzkach.

– A co jest właściwe dla mnie, Ben? Dla nas?

Patrzy na mnie bez słowa.

– Co...? Co jest tak ważne, że akurat ty musisz lecieć?

– Broń jądrowa – odpowiada sucho.

Moja twarz tężeje. Kręcę gorączkowo głową.

*O Boże.*

– Nie, nie, nie.

– Bridget – mówi oficjalnym tonem. – Jeżeli nie odzyskamy tej broni, zostanie wykorzystana przeciwko kobietom i dzieciom. Greg Jackson sprzedał ją na czarnym rynku, ma zostać użyta przeciwko jednemu z naszych sąsiadów. Zostanie przekazana nabywcom za trzy dni. Nie możemy do tego dopuścić. Jeżeli im nie przeszkodzimy, zginą tysiące ludzi.

Moje oczy znów wypełniają się łzami.

– Mnie zależy tylko na twoim życiu – szepczę.

– Skarbie, będzie dobrze. Szybko wrócę do domu. – Wsuwa palce pod moją brodę i unosi moją twarz, żebym mogła spojrzeć mu w oczy. – Przysięgam. – Całuje mnie czule, lecz ja wykrzywiam twarz, płacząc. – Rano wsadzę cię do samolotu. Polecisz do Australii zorganizować nam ślub. – Całuje mnie ponownie, ale ja kręcę głową.

– Ben, nie zniosę rozłąki. Nie leć, proszę cię – błagam. – Nie zostawiaj mnie drugi raz.

Ujmuje moją twarz w dłonie i mocno trzyma.

– Bridget, to jest właśnie ta chwila – mówi, a ja patrzę na niego pytająco. – Musisz być silna. Musisz być wojskową żoną i trzymać się mocno, dopóki nie wrócę.

Łzy płyną po mojej twarzy.

– Ale ja nie umiem być silna bez ciebie.

Uśmiecha się i obejmuje mnie mocno.

– Umiesz, umiesz. Dobrze o tym wiesz.

Płaczę w jego tors, a jednocześnie uwielbiam siłę, z jaką mnie tuli.

– Wszystko będzie dobrze, aniele. Obiecuję.

\*\*\*

– Pomyślałem, że spakuję wszystkie swoje rzeczy i możemy wynająć to mieszkanie... – Ben rozmyśla na głos w ciemności, bawiąc się moimi włosami.

Jest czwarta nad ranem, jeszcze nie spaliśmy. Nie możemy zmarnować ani sekundy.

Moje załamanie trwało dobrą godzinę, jednak w końcu wzięłam się w garść i przywdziałam maskę odwagi. Tylko dla niego. Rozmawialiśmy o tym, gdzie zamieszkamy w Australii, o weselu i o wielu innych sprawach. Kochaliśmy się godzinami. Miłość w perspektywie wyjazdu męża na misję to zupełnie odrębna odmiana seksu.

Nie mogę pojąć, jak intymna była ta noc.

Ben milczy przez moment, nawijając sobie moje włosy na palce.

– Poproszę Brocka, żeby został z tobą do mojego powrotu.

– Nie – wzdycham. – Jestem dorosła, umiem o siebie zadbać.

– Będę czuł się lepiej, jeśli przy tobie będzie. – Całuje mnie w czoło. – To był koszmarne tygodnie.

– Jakie to dla ciebie typowe – mówię z uśmiechem i całuję go w pierś.

– Co takiego?



– Lecisz do Syrii wykraść terrorystom broń nuklearną, ale martwisz się, że zostanę sama w cholernym mieszkaniu.

Uśmiecha się i całuje mnie w usta.

– Poradzisz sobie? Na pewno?

Patrzę mu w oczy i wiem, że mój świat przestanie się kręcić do czasu, aż Ben znowu weźmie mnie w ramiona, jednak zamierzam udawać twardą.

– Oczywiście, że tak... – zawieszam głos, bo czuję, że łzy znów wzbierają w moich oczach. *Przestań. Bądź wojskową żoną, na jaką zasługuje.* – Ben, wiesz, jak bardzo cię kocham? – pytam szeptem.

Kiwa głową i przetacza mnie po łóżku tak, że ląduję pod nim. Jego usta opadają na mój kark.

– Aniele, szybko wrócę i będziemy mogli rozpocząć nowe życie. – Wślizguje się w moje ciało. – Przysięgam.

Patrzę w sufit, nie jestem w stanie odpowiedzieć, bo mam mocno ściśnięte gardło.

Ben ujeżdża mnie niespiesznie, zanurzając twarz w mojej szyi.

Za wolność trzeba słono zapłacić.

\*\*\*

– Można wsiadać – obwieszcza uśmiechnięta stewardessa.

Idziemy do bramek, trzymając się za ręce. Ben odprowadza mnie na prywatny lot do Australii. Samolot właśnie przyleciał z Los Angeles. Adrian już w nim czeka – będzie mi towarzyszył. Ben nie pozwoliłby mi lecieć samej, a ponieważ Tasha nie mogła po mnie przylecieć ze względu na dzieci, stawił się Adrian.

Przynajmniej będę mogła spędzić trochę czasu z serdecznym przyjacielem.

Desperacko szukam jakichś pozytywów; mój stres z zeszłego tygodnia przerodził się w strach o Bena.

Oboje milczymy. Udaję odważną, Ben chyba też gra.

*Co się mówi w takie dni?*

– O, popatrz, trzymasz mnie za rękę – wypalam wesoło.

Spogląda z góry na nasze splecione dłonie i się uśmiecha.

– No, twoja cipka ustawiła mnie do pionu i w końcu musiałem skapitulować.

– Tak, z moją cipką nie ma żartów – chichoczę.

Ben uśmiecha się i zakłada mi kosmyk włosów za ucho. Oboje milkniemy i patrzymy sobie w oczy.

Już czas.

Bierze mnie w ramiona, a gdy na niego patrzę, oczy zachodzą mi łzami.

Na ten widok Ben zaciska zęby.

– Nie płacz, proszę – szepcze. – Nie zniosę tego.

Kiwam głową, z całych sił staram się nie łkać na głos, a on trzyma mnie mocno przy piersi.

– Bridget, teraz cię puszcze i chcę, żebyś od razu się odwróciła i przeszła przez te bramki.

*Nie.*

Chwytam się go mocniej. Nie chcę puszczać.

– Bridget, proszę cię – szepcze.

Kiwam głową, podnoszę na niego wzrok i uśmiecham się przez łzy.

– Nie jestem taką beksą jak ty – mówię cichutko.

Rechocze pod nosem, ale zaraz poważnieje.

– Kocham cię.

– Ben... – szepczę.

– Tak, aniele? – pyta również szeptem, ujmując moją twarz w dłonie.

– Jestem z ciebie naprawdę, naprawdę dumna. – Pociągam nosem.

– Jesteś bardzo dobrym człowiekiem – mówię, na wpół płacząc, na wpół się śmiejąc. – I tak bardzo cię kocham.

Spuszcza głowę, jest przytłoczony emocjami.

– Idź – szepcze, a jego czoło przecina głęboka bruzda.

Odwracam się, przechodzę przez bramki i pokazuję bilet. Oglądam się przez ramię i widzę, że Ben stoi ze wzrokiem wbitym w podłogę. Aż serce boli.

*Będzie sam... znowu.*

Podnosi głowę, więc uśmiecham się sztucznie i macham do niego, na co odpowiada mi tym samym. Potem odwracam się i idę korytarzem, nogi same mnie niosą.

Zostawiłam serce przy bramce numer dwadzieścia jeden.

\*\*\*

Maszeruję dziarsko na stepperze w siłowni.

Po przylocie z Waszyngtonu przez dwa dni użalałam się nad sobą u mamy, bo Tazsa wróciła do Los Angeles. Byłam naprawdę przybita. Ale już się ogarnęłam i realizuję operację „zajmij się czymś”.

Od dwóch dni chodzę do siłowni rano i wieczorem. Pomyślałam, że nie zaszkodzi, jeśli na jego powrót będę nieziemsko seksowna. Wcielam się też w organizatorkę ślubów. Ustaliłam przybliżoną datę za około sześć tygodni. Całymi dniami omawiam szczegóły uroczystości z Adrianem przez Skype’a. Pięć razy wyszłam z mamą na kawę do miasta. Przez kilka godzin nawet pomagałam Brockowi w biurze.

Bena nie ma od pięciu dni. Jestem już wycieńczona, ale muszę się czymś zajmować.

*Gdzie jest w tej chwili?*

Przed wylotem ostrzegłam, że nie wie, czy będzie w stanie dzwonić, i być może pewnego dnia po prostu stanie w moich drzwiach.

Liczę, że to dziś.

– No, to co myślisz? – pyta Abbie.

*Hę?*

Obracam się do niej. Ćwiczy na urządzeniu obok, obie jesteśmy złane potem. Wycieram twarz ręcznikiem.

– Cóż, który ci się podoba? – odpowiadam pytaniem.

Ugania się za nią dwóch facetów. Jeden jest poprawny, a drugi popieprzony.

Kręci głową.

– Oczywiście, że poprawny, ale... – dyszy z wysiłku – ...przez tę całą owulację jestem piekielnie napalona. Sama nie wiem, chyba chciałabym puknąć tego popieprzonego, wiesz?

Ponownie wycieram twarz ręcznikiem.

– Chwileczkę... Masz owulację? – pytam, dając sobie jednocześnie niezły wycisk na stepperze.

– No.

- A kiedy miałaś ostatni okres? – pytam.
- Nie wiem – wzrusza ramionami. – Ze dwa tygodnie, może dziesięć dni temu. Nie pamiętam, ale tak jak ty. Mamy takie same cykle, zapomniałaś? Kiedy miałaś okres?
- Ściągam brwi, nie przestając ćwiczyć.
- Nie wiem... – sapię. – Chyba nie miałam, odkąd byłam z Benem...
- Co?! – Patrzy na mnie podejrzliwie, a ja otwieram oczy z przerażeniem. – Ja pierdołę, myśl! – szczeka na mnie.
- Nie przestając ćwiczyć, przypominam sobie ostatnie tygodnie.
- Kiedy miałam ostatni okres?*
- Na weselu... Gdy jeszcze byłam z Erikiem.
- Uprawiałaś z nim potem seks? – pyta.
- Nie – mówię i energicznie kręcę przy tym głową. Zatrzymuję maszynę, ciężko dysząc.
- Co ty robisz? – pyta Abbie.
- Schodzę z tego gówna – odpowiadam. – Jedziemy do apteki. Już.

\*\*\*

Abbie siedzi na krawędzi wanny i czyta ulotkę.

- Piszą, że odczyt jest pozytywny, jeśli kreska pojawi się w drugim okienku.

- Dobra, to gdzie mam nasikać? – pytam.

- Usunąć nasadkę z patyczka... – czyta.

Tak też robię.

- No i sikasz na tę końcówkę – instruuje Abbie.

- W porządku. – Ściągam legginsy, siadam na sedesie i sikam. – Ja pierdołę, cała się polałam. Moja wagina jest jak zraszacz do trawy – burczę.

Abbie chichocze i wyciąga rękę po test. Podaję go jej, a ona bierze go między opuszki palców, robiąc miny pełne obrzydzenia.

Podcieram się, podciągam legginsy i myję ręce.

Nagle Abbie wytrzeszcza oczy.

- Co jest?

Oddaje mi patyczek.

– Jesteś w ciąży, stara. Zbrzuchacił cię.

# Rozdział 25

## Bridget

Dociera do mnie groza sytuacji.

– Co?! – Wyrywam jej test z rąk i wbijam w niego wzrok. – To na pewno jakiś błąd. Pokaż mi tę ulotkę.

Podaje mi ją, a ja czytam na głos:

– „Odczyt jest pozytywny, jeżeli w drugim okienku pokaże się kreska”.

Sprawdzam jeszcze raz i rzeczywiście są kreski w obu okienkach. Patrzymy sobie z Abbie w oczy.

– Ja pierdolę... – szepczę.

Ona natomiast wyszczerza zęby, robi głupią miną i mówi:

– Uuups.

– To nie jest śmieszne, Abbie – warczę na nią.

– Trochę jest – odpowiada, wciąż kretyńsko się uśmiechając. – Żegnaj seksowne ciało, witajcie obsrane pieluchy.

– O Boże. – Zrywam się na równe nogi. – Ben oszaleje, przecież on nie jest na to gotowy! – wołam, wyrzucając ręce w powietrze.

– A skąd wiesz? – pyta cierpko.

– Bo wiem! Przecież wpierdalałam tabletki. Jak można zaciążyć na tabletkach?

– Dzięki superpotężnej spermie... – odpowiada, zaciskając usta, próbując pohamować śmiech.

– Och, proszę cię. – Przewracam oczami. – Brzmi jak pierdolony Cameron Stanton. – Zaczynam grzebać nerwowo w pudełku. – Ten test był pewnie zepsuty, zrobię jeszcze jeden. – Wyciągam drugi patyczek i powtarzam procedurę. Oczywiście znów pojawiają się dwie kreski.

Podnoszę na Abbie przerażony wzrok, ale ona tylko się uśmiecha.

– Pięćdziesiąt dolców, że to chłopak.

– O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże... – Wachluję się dłonią, próbuję się obronić przed atakiem paniki na pełną skalę.

– Dasz już z tym spokój? Bóg ci teraz nie pomoże, do cholery.  
Zamykam oczy.

– Och, chciałabym, żeby Ben był w domu. Nie mów nikomu, proszę cię. Musi dowiedzieć się pierwszy.

– Wiadomo. Wkrótce wróci, nie martw się. Umów się na jutro do lekarza i zobaczysz, co ci powie – odpowiada.

\*\*\*

Wchodzimy do salonu, padam ciężko na kanapę.

– Jesteś pewna, że to Bena, a nie Erica?

Patrzę na nią ostro i robię przerażoną minę.

– Nawet tak nie mów. – Kręcę głową i ponownie przerabiam w głowie wydarzenia ostatnich tygodni. – Nie, z całą pewnością nie spałam z Erikiem od ostatniej miesiączki.

– Dzięki Bogu, bo niezły byłby burdel, co nie?

– Nawet tak nie mów... – powtarzam, masując skronie.

– Wygoogluję sprawę – oświadcza.

Zaczyna pisać w telefonie: „Jak można zajść w ciążę na tabletkach?”. Czyta i co chwilę kiwa głową, ale nic nie mówi.

– No i co? – pytam w końcu.

– Piszą, że powinnaś była ograniczyć się do analu.

– Ja pierdołę, Abbie, to poważna sprawa! – krzyczę, a ona wybucha śmiechem.

– Piszą, że jeśli bierzesz tabletki o różnych porach albo przyjmowałaś jakieś antybiotyki, albo któregoś dnia zapomniałaś...

– Czyta dalej i nagle marszczy brwi. – Jeśli zostawiłaś tabletki w samochodzie. Przypadkowo. – Krzywi się. – Wychodzi na to, że tracą siłę działania, jeśli się przegrzeją. – Podnosi na mnie oczy. – Masz na koncie którąś z tych rzeczy?

Krew odpływa mi z twarzy.

– Tak, wszystkie. – Pochylam się i chowam twarz w dłoniach. – Pierdolona katastrofa – jęczę.

– Ale dlaczego? Zaręczyłaś się, jesteś z właściwym facetem. Masz dom, oboje jesteście zabezpieczeni finansowo. Więc czemu to niby taka katastrofa? Mnie to wygląda na idealny czas na dziecko.

Gapię się na nią bez słowa, a ona uśmiecha się i łapie mnie za rękę.

– Didge, to dar. Dziecko to twój dar. Ben będzie tatusiem. Będzie w tobie rosło jego dziecko.

Uśmiecham się delikatnie, bo czuję pierwszy błysk ekscytacji.

– Będzie świetnym tatą – stwierdzam cicho.

Abbie obejmuje mnie ramieniem i przyciąga bliżej.

– A ty mamą. Ten maluszek będzie miał tyle miłości!

Uśmiecham się, choć czuję, że zaraz popłyną łzy, i kiwam głową.

– Ale ja nie będę go niańczyła – szepcze, niszcząc powagę chwili.

Chichoczę. Cała Abbie.

– Świetnie sobie poradzisz. To idealnie zgodne z wielkim planem twojego życia. Nic nie dzieje się przypadkowo, Didge.

– Jesteś bardzo mądra, jak na podstępna szmatę. – Obejmuję ją i uśmiecham się w jej włosy.

Parska śmiechem i kręci głową.

– Niestety mój krąg szmacianych koleżanek się kurczy. I to szybko.

\*\*\*

Noce są najgorsze.

Leżę w ciemności i zamartwiam się o Bena. Zerkam na zegarek, trzecia. Która jest u niego? Są dziewięć godzin za nami, więc z obliczeń wynika, że osiemnasta wczoraj. Było tam wczoraj zimno, maksymalnie pięć stopni.

Czy nie marznie?

Ma czas spać?

Jest bezpieczny?

Wyobrażam go sobie w stroju maskującym na zapyłonej, zimnej pustyni, słyszę ogień z broni maszynowej i ściska mnie w dołku.

Jest bohaterem. Moim bohaterem.

Przez co musi teraz przechodzić?



Przypominam sobie, jak beczałam, jak błagałam go, żeby nie jechał, i wkurwiam się na samą siebie. Musiał poprosić, żebym zachowała się jak wojskowa żona i wytrzymała do jego powrotu.

Nie powinnam była go tak obciążać. Powinnam była okazać większą siłę... Dla niego. Wiem, że się tam o mnie martwi.

*Do jasnej cholery, dlaczego jestem taką beksą?*

Kładę dłoń na brzuchu i się uśmiecham. Żyje we mnie nasze dziecko i rozpaczliwie pragnę mu o tym powiedzieć. Im bardziej przyzwyczajam się do myśli o dziecku, tym bardziej wydaje mi się, że Ben będzie się cieszył.

Rano wybieram się do lekarza, dowiem się, kiedy mam termin, więc chyba przyspieszę też przygotowania do ślubu. Chcę, żeby się odbył, zanim będzie widać.

Ben powiedział, że szczegóły uroczystości go nie interesują, byle tylko bym się stawiła. Powiedział, że mogę zamawiać, co chcę.

Uśmiecham się. To cały Ben. Nigdy nie lubił kręcić nosem nad szczegółami.

Wstaję, zapalam światło i wyciągam pamiętnik.

Za sześć tygodni będzie końcówka grudnia, więc wszyscy będą mogli zostać w Australii na Boże Narodzenie. Tak, ta data ma sens.

*Zróbmy to.*

Wybieram numer do Adriana, nieważne, że jest środek nocy. To jedyna zaleta faktu, że dzieli nas pół świata. Zawsze jest na nogach, gdy ja powinnam spać.

– Hej, mała.

– Cześć – mówię z uśmiechem. – Coś ty taki zadowolony?

– Ach, tak, jestem zadowolony. Czemu nie śpisz?

– Bo... – Ściągam brwi, próbuję dobrze się wysłować.

– Didge, nic mu nie będzie – wchodzi mi w słowo.

Biedny Adrian, przez cały lot do Australii musiał się użerać z moim zawodem. Po wylądowaniu towarzyszył mi przez jedną noc, po czym wsiadł do samolotu i ruszył w drogę powrotną.

Nie mogłabym sobie wyprosić cudowniejszego przyjaciela.

– Wiem – szepczę. Nie chcę, żeby ta rozmowa przerodziła się w kolejną sesję jęczenia. Biedaczysko, musi mnie mieć po dziurki w nosie. – Pomyślałam, że mogłabym zabukować wesele za sześć

tygodni. Wypadałoby to pod koniec grudnia. Pasowałoby ci przylecieć tu na święta?

– Pewnie, że by pasowało... – Na chwilę zawiesza głos. – Wydaje mi się, że w styczniu wszyscy polecimy do Kamali, nie?

– Tak jest – przytakuję. – Może moglibyśmy polecieć stąd, wszyscy razem? – Uśmiecham się na myśl o pierwszym Bożym Narodzeniu z Benem i naszym dojrzewającym w brzuchu dzieckiem. To będzie coś wyjątkowego.

– Więc ślub... – kontynuuje. – Co chcesz założyć?

– Nie wiem. – Zastanawiam się przez chwilę. – Będę musiała się trochę rozejrzeć za suknią.

– Dobra, też czegoś poszukam. – Myśli przez kilka sekund. – Tradycyjny krój?

Uśmiecham się półgębkiem.

– Nie wiem, może. Jeśli znajdziemy coś tradycyjnego i obcisłego.

Hmm, ciekawe, czy za sześć tygodni będzie już coś widać. Może jednak, na wszelki wypadek, powinnam pomyśleć o luźniejszej sukni.

– Tak, czaję. Okej. Jakies pomysły odnośnie do miejsca? – pyta.

Wypuszczam powietrze z płuc.

– Nie, ale jutro po południu może wyjdę z mamą czegoś poszukać i pooglądać.

Korci mnie, żeby powiedzieć mu o dziecku, ale gryzę się w język. Ben musi dowiedzieć się pierwszy. Jestem na siebie zła, że zrobiłam test przy Abbie. Ben naprawdę powinien być pierwszy.

– Wszystko dobrze? – pyta.

– Tak, tylko trochę odchodzę od zmysłów...

– To całkowicie zrozumiałe, maleńka. Ale on lada dzień wróci, może nawet jutro.

– Powiedział, że prawdopodobnie zrobi mi niespodziankę i po prostu stanie w drzwiach – szepczę.

– Tak właśnie będzie. Usłyszysz pukanie do drzwi i to będzie on.

Ta myśl wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

– Dobra, nie zatrzymuję cię dłużej.

– Ej, prześpij się trochę, dobra?

– Dzięki, maleńki. Kocham cię.

– Ja ciebie też.  
Rozłącza się.

\*\*\*

- Wynik jest pozytywny, gratuluję – mówi lekarz z uśmiechem.  
Mój żołądek fika małe salto, ale też się uśmiecham.
- Dziękuję.
- Teraz zrobimy badania krwi, sprawdzimy poziom hormonów i ustalimy termin.
- Okej.
- I dam pani skierowanie do położnika. Musi pani zapisać się jak najszybciej, bo bardzo trudno o terminy.
- Mam iść do niego od razu czy...?
- Nie, proszę się umówić na wizytę w mniej więcej dwunastym tygodniu ciąży, gdy drastycznie zmniejszą się szanse na poronienie – wyjaśnia, a mnie aż skręca w brzuchu.
- Proszę nawet nie wymawiać tego słowa na głos.*
- Lekarz naciska guzik interkomu i do gabinetu wchodzi pielęgniarka.
- Tak, panie doktorze?
- Mogłabyś pobrać krew od pani Bridget?
- Oczywiście, panie doktorze.
- I zapisać ją na wizytę za mniej więcej tydzień, żebyśmy przyjrzeni się wynikom? Wtedy też przeprowadzę dokładniejszą diagnostykę. Zobaczymy, czy wszystko jest, jak należy.
- Oczywiście, tędy, moja droga. – Pielęgniarka uśmiecha się do mnie ciepło.
- Dziękuję za pański czas – zwracam się do lekarza. – I do zobaczenia za tydzień.

\*\*\*

- A w następnym pomieszczeniu jest parkiet – informuje uśmiechnięta planistka weselna.

Przechodzimy z mamą przez centrum eventowe i obie aż promieniejemy. Wczoraj obejrzałyśmy trzy miejsca, dziś następne trzy.

– To chyba mój faworyt – stwierdza mama.

– Mój też – przyznaję szeptem.

– Macie miejsce w weekend w połowie grudnia? – pytam.

Kobieta zagląda do zeszytu.

– Będę musiała się z panią skontaktować w tej sprawie. Mamy rezerwację na ten termin, ale drugi depozyt nie został uiszczony, więc nie wiem, co się dzieje u tych państwa. – Podnosi na mnie wzrok. – Mogę zatelefonować za kilka dni, gdy tylko się dowiem?

– Byłoby świetnie.

Patrzę, jak zapisuje sobie notatkę, żeby się ze mną skontaktować, po czym podajemy sobie ręce.

– Dziękuję, że poświęciła nam pani tyle czasu – mówię, uśmiechnięta. – Mam nadzieję, że ten weekend się zwolni.

Wychodzimy z lokalu, bierzemy się z mamą pod rękę.

– Czas na kawę i ciasto – obwieszcza mama.

– Poszłaś ze mną tylko dlatego? – pytam wesoło.

– Naturalnie, moja droga. A po cóżby innego?

\*\*\*

– A kogo Ben wybierze sobie na drużbów? – pyta, dmuchając na gorącą kawę.

Jesteśmy u Oscara i – tak, jak obiecałam – zamierzamy zjeść tyle ciasta czekoladowego, ile ważymy.

– Mówił, że chce Jeda i Ricka. Ale pozostali chłopcy też przyjadą na ślub.

– Rozumiem. Cóż, powinnaś czym prędzej zająć się zaproszeniami, bo ludzie muszą zaplanować podróż międzynarodową z wyprzedzeniem.

Kiwam głową.

– Racja. Kupię i zamówię wydruk zaproszeń, gdy tylko dostaniemy informacje w sprawie sali.

– A które to ci się podobały? Widziałam je?

– Adrian podesłał mi link do firmy, która robiła zaproszenia na wesele, na którym niedawno był. Powiedział, że były niesamowite. Przyjemne i proste. Stonowane.

– W Ameryce?

– Tak. Mogę je zamówić dziś, żeby dotarły na czas, a nadrukowanie na nie tekstu załatwimy już na miejscu.

Mama patrzy na mnie i uśmiecha się szeroko.

– Co? – pytam.

– No spójrz na siebie, taka piękna i dorosła. – Głaszczę moje przedramię spoczywające na stoliku między nami. – Organizujesz ślub z mężczyzną swoich marzeń. Promieniejesz, Didge.

Uśmiecham się i mam ochotę wypalić: „Jestem w ciąży!”, ale się powstrzymuję. Trudno dochować tajemnicy.

Sprawdzam komórkę po raz tysięczny od rana. Chciałabym, żeby po prostu zadzwonił i powiedział, że jest cały i zdrowy.

Mama sączy kawę i bacznie mi się przygląda.

– Nadal ani słowa?

Kręcę głową.

– Nadal... To już osiem dni.

– Cóż, misja zaczęła się prawdopodobnie trzeciego dnia po jego wylocie, więc pomyślałabym, że powinien już być w drodze powrotnej.

Wymuszam uśmiech i kiwam głową.

– Tak, też tak myślałam.

Nadchodzą ciasta. Kelnerka stawia przed nami dwa potężne kawały.

Biorę głęboki wdech.

– Jeśli będę tyle jadła, przyda mi się większa suknia.

Mama uśmiecha się szeroko.

– Rozkoszuj się nim. Ciasto jest lekarstwem na wszystko.

\*\*\*

Przewracam jajka na patelni. Byłam z Abbie na siłowni i właśnie wróciłam do domu. Jest siódma rano w środę.

Zastanawiam się, czy nie złapać jakiejś dorywczej pracy. Nagle dociera do mnie, że za osiem miesięcy w ogóle nie będę mogła pracować, a ja kocham pracę. Postanawiam, że na kilka miesięcy zaangażuję się w coś, co naprawdę lubię.

Dzwonek do drzwi.

Otwieram szeroko oczy.

*To on. Wrócił!*

Biegnę do drzwi i otwieram je zamasyście.

Stoi przede mną dwóch w pełni umundurowanych żołnierzy. Trzymają czapki przy piersiach, mają uroczyste miny.

Twarz mi tężeje.

– Bridget Marx?

– Tak.

– Jestem kapral Stuart, a to kapelan, kapral Donohue. Czy możemy wejść?

*O, nie...*

– Co się stało? – szepczę. Serce zaczyna mi mocniej bić.

Wymieniają się spojrzeniami.

– Czy możemy wejść? – pyta kapelan.

Odsuwam się i wpuszczam ich do salonu. Zamykam za nimi drzwi, a potem patrzę im pytająco w oczy.

– Pragniemy poinformować z największym żalem, że pani małżonek, Ben Statham, poległ na służbie.

Moje oczy od razu zalewają się łzami.

– C... Co? – szepczę.

– Pani Marx, zginął jak bohater, wczoraj, na minie w Syrii...

Gapię się na nich bez słowa.

*Nie.*

*Nie.*

*Nie.*

Słyszę walenie własnego serca. Łzy płyną wartkim strumieniem po policzkach.

– Czy możemy przy pani zostać, dopóki nie zadzwoni pani po kogoś bliskiego?

– Nie żyje? – skrzeczę, patrząc to na jednego, to na drugiego.

– Niestety tak. Mamy nadzieję, że znajdzie pani pocieszenie w tym, że zginął szybko, nie cierpiał. Poległ jako bohater, a w ciągu swoich dziewięciu misji ocalił życie tysięcy osób.

Cofam się o dwa kroki, rozrywa mnie cierpienie.

– Nie żyje? – szepczę.

– Przykro nam, proszę pani. Czy moglibyśmy do kogoś zadzwonić...?

Patrzę na nich, a cały mój świat wali się w gruzy.

– Gdzie pani telefon? – pyta kapelan.

Wskazuję na stół, a żołnierz sięga i podaje mi komórkę.

– Pani Bridget, czy mogłaby pani odblokować ekran?

Patrzę na niego przez łzy, nie jestem w stanie przetworzyć pytania.

– Proszę...

Machinalnie wpisuję kod.

– Do kogo mam zadzwonić?

Chwytam się oparcia krzesła, żeby się nie przewrócić.

– Mojej... Do... Do mojej matki.

Wybiera numer, a ja czuję ucisk w żołądku.

– Nie odbiera. Inna osoba?

– Brock.

Kręcę głową.

*To nie może być... Nie... Nie może...*

*Nie.*

*Nie.*

– Dzień dobry, panie Brock. – Żołnierz słucha. – Tutaj kapral Stuart, jestem właśnie z panią Bridget Marx. – Znowu słucha przez chwilę. – Jej mąż poległ na służbie i zastanawiam się, czy nie mógłby pan przyjechać się o nią zatroszczyć. – Słucha. – Dziękuję. – Rozłącza się.

Patrzę w twarz tego obcego mężczyzny, a łzy wciąż płyną strumieniami po mojej twarzy.

*Czy to się dzieje naprawdę?*

– Proszę usiąść, zaparzę pani herbaty – mówi.

Padam ciężko na kanapę i gapię się w przestrzeń.

*Nie wróci do domu.*

*Dziecko. Nawet nie wiedział...*

Spuszczam głowę.

*Nie.*

Żołnierze coś mówią, ale ja ich nie słyszę, bo jestem setki kilometrów stąd. Z Benem... W Syrii.

Podnoszę na nich wzrok.

– Gdzie on jest?

– W kostnicy, w obozie na terenie Syrii.

Kolejne spazmy płaczu wykrzywają mi twarz.

– Jest w kostnicy? – szepczę.

Wyobrażam go sobie w kostnicy, rannego, zimnego... Samotnego.

Żołnierze spuszczaają głowy.

– Wynocha! – ryczę. – Wynocha z mojego domu!

Obaj patrzą na mnie wzrokiem pełnym żalu.

– Wynocha! – wrzeszczę, zrywając się na nogi.

Drzwi otwierają się gwałtownie i do środka wpada Brock. Na mój widok cierpienie ścina rysy jego twarzy. Bierze mnie w ramiona i trzyma bardzo mocno, a ja płaczę na cały głos.

– Nie, nie, nie! – zawodzę, waląc go pięściami w pierś. – Zabierz ich z mojego domu! – Osuwam się na podłogę, a Brock próbuje mnie podtrzymać. – Nie, Brock! Neeee!!!

\*\*\*

Gapię w ścianę mojego pokoju. Mija dwudziesta godzina. Tapeta ma dziwny wzór, nigdy wcześniej go nie zauważyłam.

*Ciekawe, czy Ben ją zauważył?*

Mój żołądek burczy z głodu, ale jestem za słaba, by go nakarmić. Nic mi nie zostało.

Abbie, Brock i mama mnie nie opuszczają. Mama i Brock tymczasowo się tu wprowadzili.

Dom jest cichy. Niebo szare. Każdy oddech to nowa walka.

Rozmawiają, telewizor jest włączony, ale dla mnie to wszystko tylko szum. Już nic się nie liczy, ponieważ on odszedł.

Ben nie dostał szczęśliwego zakończenia. Nie zdołałam go ocalić. I jestem wściekła.



Wściekła na świat, bo ze wszystkich ludzi, których znam, to właśnie on najbardziej zasługiwał na szczęśliwy koniec.

*Jak mam dalej żyć?*

– Hej... – Z kuchni dobiega mnie głos mamy.

– Gdzie ona jest? – Słyszę głos Nataszy i od razu się krzywię, czując napór łez.

Przylecieli z Los Angeles.

– U siebie – odpowiada cicho Brock.

Chwilę później widzę Taszę w drzwiach mojej sypialni. Jest mi tak smutno, że chyba nie wytrzymam.

– Maleńka... – szepcze i biegnie do mnie.

Zwijam się w kulkę, ból jest zbyt świeży, by się z nim zmierzyć. Siostra kładzie się obok i tuli mnie, a ja płaczę.

– Już dobrze, już dobrze... – szepcze przez łzy. – Jesteśmy z tobą.

– Całuje mnie w głowę. – Jesteśmy z tobą, maleńka.

– Didge? – odzywa się cicho Joshua. – Musimy porozmawiać o pogrzebie. Trzeba domknąć ustalenia...

\*\*\*

Siedzę na kanapie. Adrian jest obok, Tasia na podłodze przy moich stopach. Mama, Brock i Abbie siedzą przy stole.

– Chcę, żeby został pochowany obok siostry – mówię.

Joshua i Natasza patrzą na siebie.

– Miał siostrę bliźniaczkę, Meikę. Zmarła w wieku dwunastu lat.

Chcę, żeby został pochowany przy niej.

– Gdzie? – pyta z przejętą miną Joshua.

– W Afryce Południowej.

Zapisuje coś na kartce.

– A wiesz, gdzie dokładnie? – pyta delikatnie.

– Ben ma ciotkę, która będzie wiedziała. Numer jej telefonu będzie w jego mieszkaniu, w Waszyngtonie.

Josh wstaje i wychodzi.

– Joshua – wołam za nim, a on obraca się do mnie. – Możesz zapewnić mi miejsce obok nich?

Zaciska zęby i patrzy mi prosto w oczy.

– Chcesz zostać pochowana w Afryce Południowej?

Kiwam potakująco głową.

– Z Benem.

Patrzę na moją wspaniałą rodzinę i wiem, że prędzej czy później i tak musiałabym to zrobić.

– Chciałam wam to powiedzieć w zupełnie innych okolicznościach... – zaczynam z najwyższym trudem.

Brock patrzy mi w oczy ze smutkiem.

– Pobraliśmy się z Benem. – Uśmiecham się na wspomnienie tego idealnego dnia.

Widzę, jak na ich wpatrzonych we mnie twarzach pojawiają się zmarszczki zdziwienia. Kładę dłoń na brzuchu.

– I w tym tygodniu się dowiedziałam, że jestem w ciąży.

Twarz Taszy przecina ból, Joshua spuszcza głowę, oczy zachodzą mu łzami i wybiega z pokoju. Mama wybucha płaczem przy stole, a Adrian łapie się za głowę.

Świadomość, jak wiele ominie Bena, jest druzgocąca dla wszystkich, którzy go kochali.

Świadomość, że nie dostanie szczęśliwego zakończenia.

Wstaję, jestem całkowicie wyprana z emocji.

– Teraz pójdę się położyć.

Wracam do siebie na autopilocie i znowu gapię się na tapetę.

*Niech ten ból zniknie.*

\*\*\*

– Bridget – mówi Brock, wychodząc z kuchni. Ma w ręce mój telefon.

– Armia Stanów Zjednoczonych. Chcą z tobą rozmawiać.

– Halo.

– Dzień dobry, pani Statham. Mówi kapral Martin. Proszę przyjąć najgłębsze kondolencje.

– Dziękuję – odpowiadam sucho.

– Dzwonię, by potwierdzić, gdzie życzy sobie pani dostarczyć zwłoki małżonka.

Patrzę tępo na Brocka, nie jestem w stanie przetworzyć pytania kaprała.

– Pani Statham, jest tam pani? W Stanach Zjednoczonych otrzyma pogrzeb z pełnymi honorami, ale później przekazemy jego ciało, gdzie sobie pani zażyczy.

Ściągam brwi i wbijam wzrok w dywan.

– Czy mogę dać znać jutro? Właśnie próbujemy dopiąć kwestie pogrzebowe... – szepczę.

– Oczywiście. Zadzwoń jutro.

Rozłączam się i spoglądam na leżącą na stoliku stertę zdjęć Bena. Organizuję nabożeństwo pogrzebowe.

– Joshua?

– Tak? – pyta delikatnie. Siedzi tuż obok mnie.

– Czy możesz załatwić, żeby pogrzeb został nagrany?

Patrzę po sobie z Brockiem.

– Chcę, żeby dziecko mogło go kiedyś obejrzeć...

Joshua spuszcza głowę i szepcze:

– Oczywiście.

\*\*\*

Przemierzam kolejne sklepy z mamą i Taszą, które wyciągnęły mnie z domu. Usilnie próbują mnie rozweselić, a ja usilnie próbuję być dzielna. Tak, jak chciałby Ben.

*Chcę, żeby był ze mnie dumny.*

Jadłyśmy ciasto, ale niepotrzebnie je zamawiałam. Straciłam węch, poczucie smaku i... życia.

Mijamy sklep zabawkowy i coś przykuwa moją uwagę. Figurka Buzza Astrala. Zamieram i patrzę na nią przez chwilę. Zabawne, że zauważam tę figurkę właśnie teraz. Marszczę czoło i bez namysłu wchodzę do sklepu.

Buzz Astral jest lśniący, silny i dobry.

Naciskam guzik na jego ręce.

– „Na koniec świata i jeszcze dalej!” – krzyczy głos.

Uśmiecham się i idę z nim do kasy.

– Co robisz? – pyta szeptem Tasha.

– Kupuję dziecku pierwszą zabawkę.

\*\*\*

Wzdycham ciężko i patrzę na siebie w lustrze. Duszę się tu. Muszę stąd wyjść. Muszę się stąd wyrwać.

Wchodzę do salonu, a wszyscy patrzą na mnie zaskoczeni.

– Idę na siłownię – obwieszczam.

Zerkają po sobie.

– Daj mi pięć minut, to pójdę z tobą – mówi Tasza i wstaje. – Mogę pożyczyć twoje ciuchy...

Zadzieram podbródek.

– Dziękuję, ale chcę iść sama.

– Bridget... – wtrąca się Brock, ale uciszam go uniesieniem dłoni.

– Dziękuję wam wszystkim za... – urywam, by dobrze dobrać słowa – ...festiwal litości, który tu trwa, ale ja muszę się już ruszyć. Muszę się przygotować na dziecko. Możecie już wracać do domów, proszę. Chcę zostać sama.

Wszyscy obserwują mnie bez słowa, gdy biorę torbę na siłownię i ruszam do drzwi.

– Dziękuję wszystkim za przyjazd. Ale już wracajcie. Nic mi nie jest. Zadzwońię do was jutro.

Wychodzę z mieszkania, zjeżdżam windą do piwnicy i wyjeżdżam z podziemnego parkingu.

\*\*\*

Leje, wycieraczki uwijają się jak w ukropie.

Włączam radio i skupiam się na jeździe.

Ben kochał deszcz.

Uśmiecham się.

Raz, przed laty, całowaliśmy się w deszczu na jego aucie, bo chciał czuć na twarzy spadające krople.

Leci *Perfect* Eda Sheerana. Słucham i oczy zachodzą mi łzami. Nasza piosenka weselna.

I nagle przepełnia mnie ten płonący gniew. Jestem wściekła. W furii.

Walę pięściami w kierownicę.

– Dlaczego mnie zostawiłeś?! – krzyczę. – Jeśli i tak miałeś mnie opuścić, to po co wracałeś?!

Nie widzę już drogi przez łązy, więc zjeżdżam na pobocze.

*Nie chciał mnie opuścić. To nie była jego decyzja.*

Co jeśli to usłyszał? Co jeśli pomyślał, że go obwiniam? Dlaczego to powiedziałam?

Mam wyrzuty sumienia i zaczynam płakać, wyć na całe gardło. Spazmy targają całym moim ciałem.

– Przepraszam – zawodzę z wykrzywioną bólem twarzą. – Ben, tak bardzo przepraszam. – Spuszczam głowę na kierownicę. – Tak mi przykro. Dlaczego umarłeś? Nie wytrzymam tego...

Drzwi po stronie pasażera się otwierają i Joshua wskakuje do środka.

On lepiej niż ktokolwiek rozumie, jak się czuję. Przerabiał to.

– Joshua... – szepczę, patrząc mu w oczy.

– Wiem, skarbie – odpowiada i bierze mnie w ramiona. – Ale będzie dobrze. Obiecuję.

\*\*\*

Leżę w łóżku i gapię się w sufit.

Przeznaczenie to dziwna rzecz. Sześć tygodni temu wiodłam normalne życie, miałam pracę i przyszłość. Teraz jestem brzemienną wdową po żołnierzu.

Zabrakło mi łez. Jestem jak puste naczynie. Zniszczone, bez możliwości naprawy.

Wracam myślami do czasów z Benem, jak leżałam z głową na jego piersi, a on pytał, jak mi minął dzień.

Zawsze chodziło mu o mnie. Dlaczego ja nie wysilałam się bardziej dla niego?

Przypominam sobie nasze rozmowy. Wszystkie jakby kręcą się wokół mnie. Ben pyta, jak się czuję, czego chcę, czy jestem zadowolona, czy mi czegoś nie trzeba. Siebie zawsze stawiał na drugim miejscu.

*Ale czego on potrzebował ode mnie?*

Żałuję tylu rzeczy.

*Jest teraz ze mną? Patrzy na mnie?*

*Pokaż się!*

Skoro nie mogę mieć jego ciała, to chcę, żeby został ze mną duchem.

– Daj znak, że wciąż ze mną jesteś – szepczę w ciszę.

Brak odpowiedzi.

Wchodzi Brock z komórką.

– Siostra, znowu armia.

Przewracam oczami i biorę telefon. Przygotowaliśmy z Joshuą plan pogrzebu, żebym mogłam im go podać.

– Dzień dobry, pani Statham.

– Tak?

– Mówi komandor Jenkins, dzwonię z Syrii.

– Dzień dobry – szepczę.

– Obawiam się, że mam dla pani jeszcze więcej wiadomości.

– Okej.

– Siedzi pani?

Moje serce przyspiesza, włoski na karku stają na baczność.

– D-dlaczego pan pyta?

– On żyje.

# Rozdział 26

## Bridget

– Słucham?

– Doszło do fatalnej pomyłki. Pojawił się w obozie w Syrii, żywy.

– C... c....? – jąkam się, a moje serce rusza galopem.

– Podczas jednej z utarczek, kilka dni wcześniej, zerwało mu identyfikator z szyi. Inny żołnierz znalazł łańcuszek z identyfikatorem i zabrał ze sobą. I ten żołnierz był w ciężarówce z cywilami, która wjechała na minę. Było tyle ofiar i ciał... Znaleźliśmy identyfikator i uznaliśmy, że Ben był wśród zabitych.

– On... On... żyje? – szepczę.

Brock otwiera oczy z niedowierzaniem.

– Tak i nie chciał wracać do Stanów, poprosił o lot prosto do Australii.

– Żyje – powtarzam, patrząc Brockowi w oczy.

– Wróci na pokładzie australijskiego samolotu transportowego, który jest spodziewany na lotnisku wojskowym w Sydney około jedenastej.

– Jedenasta – powtarzam. – Lotnisko wojskowe.

Brock kiwa głową, rozumie, o co chodzi.

– Czy z nim... wszystko dobrze?

– Jak najbardziej, proszę pani. Nie mógł się doczekać powrotu do rodziny.

Śmieję się, cała zapłakana. Wymieniamy jeszcze kilka słów, żegnamy się i przerywam połączenie.

– Żyje! – ryczę i wbiegam do salonu. – On żyje! – wydieram się na całe gardło.

Wszyscy patrzą na mnie jak na wariatkę, nie rozumieją.

– To... To prawda... – duka Brock. – Słyszałem całą rozmowę. Ben żyje.

W pokoju nagle wybucha pandemonium, wszyscy skaczą i wiwatują. Natasza zaczyna płakać, obejmuje mnie.

– Pierdolony Statham – cedzi Joshua. – Jutro naprawdę zajebię tę pizdę za to, że musieliśmy przez to przechodzić.

– Joshua! – oburza się moja mama.

Joshui rzednie mina, bo dociera do niego, jak pięknie wyraził się przy teściowej.

– Przepraszam – mamrocze, zawstydzony.

Ona jednak tylko wybucha śmiechem i mówi:

– Ja zrobię to pierwsza, Joshua, ja pierwsza.

\*\*\*

Samolot ląduje, a ja podskakuję na pasie startowym. Czekamy od pół godziny.

Przyjechali wszyscy. Trzy auta pełne ludzi.

Rampa powoli się opuszcza, a mnie serce podchodzi do gardła z niecierpliwością.

*Gdzie on jest?! Gdzie on jest?!*

*Jest!*

Schodzi po rampie w pełnym stroju maskującym, a ja rzucam się biegiem. Z początku biegnę powoli, ale pod koniec sprintem. On śmieje się i łapie mnie, bym nie powaliła go na ziemię siłą rozpędu. Trzyma mnie w ramionach.

– Ben! – krzyczę.

Podnosi mnie z ziemi i obejmujemy się na pasie startowym zatłoczonego lotniska.

– Jestem, aniele, jestem – szepcze w moje włosy, tuląc mnie z całych sił.

Ma krótką brodę, widać, że jest zmęczony, ale poza tym wrócił w idealnym stanie.

Trzymam jego twarz w dłoniach, przesuвам palcami po wąsach i patrzę w to piękne oblicze. Poklepuję go po ramionach i piersiach.

– Dobrze się czujesz? – pytam, patrząc mu w oczy wytęsknionym wzrokiem.

– Teraz już tak – odpowiada z uśmiechem.



Wybucham śmiechem, na co on mocno mnie obejmuje. Po chwili jednak wysuwam się z jego ramion, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Ben? – szepczę.

– Słucham, aniele? – odpowiada, uśmiechając się do mnie.

– Jestem w ciąży.

– Co takiego? – pyta, patrząc na mnie, zdezorientowany.

– Będziesz ojcem – mówię, po czym biorę jego dłoń i kładę ją sobie na brzuchu.

– Mówisz poważnie?

Kiwam głową, a po mojej twarzy spływają łzy.

Ben znów podnosi mnie z ziemi i kręci mną dookoła. Oboje śmiejemy się przy tym wniebogłose.

Podchodzą do nas przyjaciele, więc Ben na chwilę stawia mnie na nogach, żeby mama mogła pocałować go w policzek.

– Och, Ben... – szepcze, obejmując go.

Przytulają go też Tasha i Adrian, a potem chłopcy.

Joshua daje mu kuksańca w ramię.

– To, kurwa, za to, że mnie tak stresujesz, kutasie.

Ben wybucha śmiechem i kręci głową, po czym obraca się do Brocka.

Brock też kręci głową, ale dlatego, że musi hamować łzy.

Ben przyciąga go do siebie i zamyka w niedźwiedzim uścisku. Słowa są zbędne.

Mój mężczyzna wrócił do domu.

\*\*\*

Pokój wypełnia para z kabiny, ale my wcale nie jesteśmy pod prysznicem.

Ben przygwoździł mnie do umywalki i całuje, trzymając mnie za szczękę, by dogodnie dla siebie manewrować moją twarzą. Mam wrażenie, że jego dominacja nad moim ciałem wzbiła się o dziesięć poziomów wyżej. Może to dlatego, że wie o rosnącym we mnie dziecku. A może doceniliśmy na nowo siłę dominacji, jaka w nim drzemie.

Ściąga mi sukienkę i odrzuca ją na bok, muska wargami mój kark.

*Mój mężczyzna już tu jest i o mnie zadba.*

Rozpina mi stanik i ujmuje piersi w dłonie. Ugniata je, a ja lekko marszczę czoło.

– Jestem napuchnięta – szepczę.

Zerka na mnie oczami błyszczącymi podnieceniem.

– Co jeszcze masz nabrzmiałego? – pyta.

Uśmiechem się, a on całuje agresywnie moje wargi.

*Jezu.*

Zsuwa mi majtki, jego palce wślizgują się między moje uda. Przymyka oczy i szepcze z uznaniem:

– Moja dziewczynka jest mokra.

Też zamykam oczy. Przysięgam, że gdyby chciał, samym swoim głosem z tym mocnym akcentem mógłby doprowadzić mnie do orgazmu.

Jego druga dłoń wędruje niżej i z rozpostartymi palcami przywiera do mojego brzucha.

– Nasze dziecko... – mówi z podziwem, po czym marszczy czoło i patrzy na mnie pytająco. – Czy my możemy...?

Uśmiecham się i całuję jego usta.

– Oczywiście, że możemy.

– Jak ostro? – pyta, gryząc mnie agresywnie w szyję.

Uśmiecham się, oczy uciekają mi w tył głowy.

*Cholera. Kogo to obchodzi?*

– Bardzo ostro. Musi być ostro. Lekarz nakazał... bardzo ostro... – kłamię już nieobecny głosem.

Ben rechocze i niespiesznie ściąga koszulę, a mnie mina rzednie, gdy widzę, jaki jest posiniaczony i poturbowany.

– Ben... – szepczę.

– Wszystko dobrze – zapewnia spokojnym głosem. – To wszystko powierzchowne, bez porównania z twoimi ranami.

Moje oczy zachodzą łzami, a Ben muska moją twarz wierzchem dłoni i przygląda mi się uważnie.

– Tak mi przykro, że musiałaś przez to przejść. To nie fair.

Przykładam dłoń do brzucha.

– Myślałam, że nie żyjesz. Że będę musiała wychować dziecko samotnie.

Przykrywa moją dłoń swoją.

– Ale jestem przy tobie i zadbam o was oboje, aniele.

Zsuwam mu majtki i klękam przed nim.

Potrzebuję go. Muszę czcić każdą cząstkę ciała, którego stratę tak gorzko opłakiwałam.

Biorę go głęboko w usta, aż zachłystuje się powietrzem.

– Grzeczna dziewczynka... – sapie, głaszcząc mnie po głowie.

Pompuję go dłonią.

Ben patrzy z góry, jak ciągnę. Napręża idealnie wyrzeźbione mięśnie brzucha. Wysuwa się z moich ust i siada na krawędzi wanny, unosząc moje nogi i sadzając mnie na sobie okrakiem.

Marszczę czoło.

– Nie można zaufać, że cię dziś nie skrzywdzę. Ty musisz mnie ujeździć – mówi, całując delikatnie mój brzuch. Pluje sobie na dłoń i nawilża moje ciało odrobiną śliny.

Na moim czole pojawia się zmarszczka zdziwienia.

– Nie chcę, żebyś sama się za bardzo rozgrzała... – tłumaczy, jego spojrzenie staje się mroczne.

– Co takiego? – kwilę.

– Jeśli mam być delikatny, to masz poczuć każdy, kurwa, centymetr.

Moje wnętrzności zamieniają się w galaretę, gdy dosiadam go okrakiem. Ustawia się pode mną i nadziewa mnie na siebie, ciągnąc za biodra, na co się krzywię.

*Ale ciasno.*

– Bujaj biodrami – rozkazuje.

Bujam więc w prawo i w lewo, a on obserwuje z wypisaną na twarzy satysfakcją, jak zmagam się z tym, żeby go zmieścić. Jego dłonie spoczywają na moich biodrach, ale nieruchomo. Uśmiecha się ponuro, ze wzrokiem wbitym w moje krocze.

– Czujesz pieczenie, maleńka?

– Tak – skamle.

– Chcę, żebyś doprowadziła się na szczyt sama.

Coraz bardziej gorączkowo kręcę biodrami, próbując nabić się na niego całego.

– Pocałuj mnie.

Szarpie mnie za włosy i przyciąga moją twarz do swojej. Gryzie i naciąga moją dolną wargę.

– Otwórz tę swoją piękną cipkę i przyjmij mężowskiego kutasa. – Ponownie mnie gryzie. – Głęboko... – dodaje, a ja jęczę, kręcąc biodrami.

*O Boże, on jest tak kurewsko gorący.*

– Teraz, Bridget! – warczy. – Teraz... – Gryzie mnie mocniej. – Sprowadź mnie do domu.

Opadam na niego z impetem, a on łapie mnie mocniej za biodra i zaczyna posuwać, powoli i głęboko. Próbuję się unieść i ponownie na niego opaść, ale mnie powstrzymuje.

– Nie za ostro... – cedzi.

*Ja pierdolę... Nie mówcie, że będzie taki przez dziewięć miesięcy.*

– Ben – jęczę – muszę dostać ostrzej...

– Niegrzeczna dziewczynka – beszta mnie groźnie, lecz uroczo, a potem podnosi. – Moja niegrzeczna dziewczynka lubi być ostro zerżnięta.

Wchodzi pod prysznic i przyciska mnie do ściany; nogi wciąż oplatom wokół jego talii. Potem mnie ujeżdża, głęboko i powoli.

Zaraz oszaleję. Rzucam się pod nim, a on patrzy na to z mrocznym uśmieszkiem. Sprawuje nade mną pełną kontrolę. Jestem pod nim niczym zwierzę w klatce.

Nie wytrzymam. Nie wytrzymam.

Wiję się na nim, dochodząc na szczyt, a on pcha mocniej, żeby mnie nań wprowadzić. Skamlę w jego usta, na co jego oczy rozbłyskają, wychodzi ze mnie i siada na posadzce.

Staję nad nim, ciężko dysząc, na co on klepie się w kolano. Kucam nad nim, by od razu z powrotem mógł się we mnie wsunąć.

– Nie możemy zaufać, że cię nie skrzywdzę – szepcze.

Nakrywa moje wargi swoimi.

– Rznij mnie – warczy. – Rznij mnie, natychmiast.

*O Boże.*

W tę i we w tę, w tę i we w tę, głębiej i głębiej. I to trwa i trwa.

*Boże, jak mi dobrze.*

Ben zamyka oczy i na moment traci panowanie, bo nabija mnie na siebie z impetem, a potem krzyczy, bo dochodzi gwałtownie, głęboko

we mnie. Całuje mnie z uśmiechem, lekko kręcąc przy tym głową.

– Rick miał rację – szepcze.

– Co?

– Seks w ciąży to zupełnie inna liga.

Chichoczę i opieram głowę o jego ramię.

– Jesteś kretynem.

– A ty pierdolonym MILF-em<sup>9</sup> – odpowiada, przygryzając moją szyję.

\*\*\*

Siedzimy z Benem w poczekalni i czekamy na wizytę. Dziś poznamy termin narodzin dziecka. Nie mogę przestać się zastanawiać, o ile inaczej wyglądałaby dzisiejsza wizyta, gdybym musiała przyjść sama.

– Bridget Statham? – woła kobieta.

Wchodzimy do gabinetu i lekarz wita nas życzliwym uśmiechem.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. – Wymieniają z Benem uścisk dłoni.

Lekarz wskazuje na krzesła, więc siadamy. Otwiera teczkę i czyta wyniki badań z dziwnym grymasem wypisanym na twarzy.

– Co się stało? – pytam.

– Nic – odpowiada z uśmiechem. – Bez dwóch zdań jest pani w ciąży.

Ben uśmiecha się, patrząc w podłogę.

– No to zróbmy to USG. Proszę wskakiwać na łóżko.

Wchodzę na łóżko lekarskie, doktor podwija mi koszulkę, a Ben przygląda się temu wszystkiemu w milczeniu.

Lekarz jeździ mi po brzuchu głowicą maszyny do USG.

– Tak, jak myślałem – stwierdza z uśmiechem.

Zerkamy na siebie z Benem, nie mamy pojęcia, co on tam wypatrzył.

– Czy w państwa rodzinach są bliźniaki? – pyta.

Wytrzeszczam oczy i szepczę:

– T-tak...

– No to już wkrótce będą następne. Gratuluję.

Odnajduję spojrzeniem oczy Bena.

– Są... Są tam... dwa...? – duka.

– Tak. Podejrzałem, że to może tak wyglądać, sądząc po pani poziomie hormonów.

Leżę płasko, zszokowana.

– Może pani zeskakiwać – mówi lekarz, siadając na swoim krześle.

– Państwa dzieci dołączą do nas w czerwcu.

Zerkam na Bena, kompletnie przerażona, ale on patrzy na mnie z uśmiechem.

– Proszę pani, ciąża bliźniacza jest trudniejsza, ale dacie sobie państwo radę. Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze.

– Dwo... Dwoje dzieci... – skrzeczę, wciąż leżąc na łóżku.

– Proszę funkcjonować normalnie, traktować to jak każdą inną ciążę.

– Dwoje? – Unoszę dwa palce.

– Właśnie tyle.

Obaj z Benem rechoczą.

– Jakieś pytania? – pyta lekarz.

Ben marszczy czoło. Wiem, że chce zapytać o seks, ale tego nie robi.

– Możemy uprawiać seks? – pytam.

Ben zaciska usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Tak, oczywiście.

*Statham, walić cię i twoje nasienie, produkujące bliźnięta. Zaraz będę musiała się przez cię skompromitować.*

– Ostry seks...?

Ben wybałusza oczy. Jest absolutnie przerażony.

Lekarz marszczy czoło.

– No cóż... – Odchrząkuje. – Cóż... Może nie wariacko ostry, ale... normalnie ostry nie powinien zaszkodzić.

Kiwam głową, a Ben kręci swoją, zażenowany.

– Za kilka tygodni ma pani mieć wizytę u lekarza położnika. Gdy będzie pani umawiała termin, proszę koniecznie powiedzieć, że to ciąża bliźniacza.

Ben wstaje i podaje lekarzowi dłoń.

– Dziękuję – mówi i uśmiecha się dumnie.

Łapie mnie za rękę. Na parking idziemy w ciszy, ale gdy docieramy do samochodu, zamieram w bezruchu.

– Ben, dwoje dzieci? – Zaczynam panikować. – Bałam się jednego. Jak niby poradzę sobie z dwoma, do jasnej cholery?!

Ben uśmiecha się do mnie z miłością.

– Damy sobie radę. Wezmę trochę wolnego. – Całuje mnie, a potem pociera dłońią o mój brzuch i pochyla się, by i tam zostawić buziaka.

– Bliźniaki... – szepcze, podekscytowany.

– Chyba nie dam rady.

Uśmiecha się i mruga do mnie.

– Didge, pamiętasz, co mi mówiłaś?

– Co?

– Dopóki mamy siebie, możemy wszystko.

Całujemy się.

Ben jest taki szczęśliwy i pełen nadziei, a mój świat przestaje się kręcić, ponieważ on... ot tak, po prostu... został ocalony.

Będę go kochała po kres czasu i jeszcze dłużej.

**KONIEC**

# Epilog

*Sześć tygodni później: ślub*

## Ben

Zerkam z ukosa na Jeda.

– Masz obrączki? – pytam.

– Po raz dziesiąty mówię: tak, mam obrączki – odpowiada, poklepując się po kieszeni.

Patrzę na ulicę i mój niepokój rośnie.

– Poradzi sobie – pociesza mnie Joshua.

– Tak, wiem.

– O ile człowiek może sobie radzić, nosząc w brzuchu dwa twoje małpiątka – burczy Brock, grzebiąc przy spinkach do mankietów. – Nie dziwne, że jest tak kurewsko upierdliwa.

Parskam pod nosem i dalej gapię się na ulicę.

Stoję przed kościołem z chłopakami, Joshua, Cameronem i Brockiem. Rick, Matt, Ethan i Jed przylecieli, ale Ally została w Stanach, bo ich córeczka jest za mała, żeby latać.

Dziś oficjalnie żenię się z Bridget i biedaczka dostała takich mdłości, jakich jeszcze u niej nie widziałem.

Było tak źle, że rano wręcz poprosiłem ją, żebyśmy przesunęli uroczystość.

Nie chciała o tym słyszeć.

Od trzech tygodni wisi na czworakach nad kibelem i rzyga. Naprawdę nie wiedziałem, o czym mówię, gdy twierdziłem, że jest marudna, gdy jest zmęczona. Jej poranne mdłości wpędzą mnie do grobu.

Jestem niemal pewny, że Bridget knuje, jak mnie zabić, dlatego ostatnio sypiam z otwartymi oczami.



Szkoda, że nie mogę wziąć tego na siebie.

Dobija mnie, że muszę patrzeć, jak przez to przechodzi.

– Więc co się stało z suknią? – pyta Rick, marszcząc czoło.

Przewracam oczami.

– Fuj. Od czego by tu zacząć? Kilka tygodni temu kupiła suknię ślubną, była wspaniała. Ale gdy wczoraj ją przymierzyła, okazała się za ciasna w cyckach. Rozrosła się trochę od tej ciąży... No i wpadła w totalny szal. – Patrzę mu prosto w oczy. – Pierdolony armagedon, nie przesadzam ani trochę.

Rick i Ethan parskają śmiechem.

– Nagle zaczęła rzygać, a wtedy Abbie, jej postrzelona koleżanka z roboty, wybuchnęła śmiechem i powiedziała, że wiedziała, że pewnego dnia te cycki wpędzą ją w tarapaty. Tasza i Adrian biegali w kółko jak wariaci i darli się na wszystkich, że muszą znaleźć suknię i pasujące do niej buty na ostatnią chwilę. – Łapię się za nasadę nosa. – Stary, mówię ci, pierdolony chaos – wzdycham. – Dom wariatów. Poszliśmy się schować na siłownię.

– Grubo... – krzywi się Rick.

– No, a przy okazji dziękuję, że ściągnęliście mi to na głowę... – burczy Brock, otrzepując kurz z ramion.

– To twoje siostry – odpowiada mu oschle Joshua. – To jak najbardziej sprawiedliwie, że też musisz się z tym użerać.

– Tak, i właśnie dlatego nie zamierzam się żenić. Nie będę się pieprzył z czymś takim... – mówi prześmiewczo Brock, po czym zwraca się do chłopaków ze Stanów: – To jak, przylecicie tu i zatrudnicie się w Marx Security jak Jed?

– Ja na razie nie mogę. Ally nie pali się do przeprowadzki – odpowiada Rick. – Ale pracuję nad tym.

– Ja przylatuję – mówi z uśmiechem Ethan.

– Ja też – wtóruje mu Matt.

– Nie mogę się doczekać przenosin na stałe – stwierdza Jed, który przeprowadza się do Australii już za miesiąc.

Uśmiecham się. Fajnie będzie pracować z przyjaciółmi, pokazać im kraj i nie martwić się wojskowymi obowiązkami. W końcu trochę się zabawimy.

O ile oczywiście Bridget przestanie kiedyś, kurwa, rzygać.

– Ilu ludzi dla ciebie pracuje? – pyta Ethan.

– Mam sześciu ludzi, w przyszłym tygodniu pracę zaczyna Jesten, więc doliczywszy was trzech, będzie dziesięciu – informuje nas Brock.

– Fuj – oburza się Joshua. – Nie wierzę, że zatrudniłeś tego pierdolonego debila.

– Jest dobry w swoim fachu – odpowiada Brock.

Parskam pod nosem. Joshua gotuje się na każde wspomnienie o Jestenie.

– A co jest nie tak z tym gościem? Czemu Josh go tak nie cierpi? – pyta Ethan.

– Nic, po prostu leci na jego żonę – odpowiada Brock i puszcza Joshui oczko. – Co nie, stary? Znają się od dawna... – dodaje, sypiąc sól na ranę.

– Wcale się nie znają – warczy Josh, prostując rękawy marynarki.

– Jemu się śni, że łączy ich jakaś historia... Niemniej złamię ci szczękę, jeśli będziesz o tym wspominał – mówi, piorunując Brocka wzrokiem.

Rechoczę i puszczam Brockowi oko. Uwielbiam patrzeć, jak nakręca Joshuę, który za każdym razem połyka haczyk.

– W przyszłym tygodniu zaczynamy pracować nad sprawą TC – zmienia temat Brock.

Kiwam głową i ponownie spoglądam na drogę.

– Cóż, ja już wiem, kto za tym stoi.

– Tak, ale musimy znaleźć dowody.

Cameron gwizdże przez zęby i uśmiecha się mrocznie.

– Och, dzień dobry, Czerwony Kapturku. No, chodź do tatusia...

Wszyscy się obracamy i widzimy nieziemską brunetkę w obcisłej czerwonej sukience, która właśnie wchodzi do kościoła. Jest okrutnie seksowna, zaokrąglona dokładnie tam, gdzie trzeba.

– Zaklepuję! – rzuca cicho Cameron.

– Spierdalaj, Stanton – warczy Brock. – Nie możesz jej, kurwa, zaklepać.

Cam uśmiecha się i unosi brew.

– A to zabawne, bo właśnie zaklepałem – mamrocze pod nosem, nie spuszcżając dziewczyny z oka. – Na razie, frajerzy. Wilk idzie

połknąć Czerwonego Kapturka. – Rusza za dziewczyną i znika w kościele.

Przewracamy oczami z Joshuą. Cam jest niereformowalny.

– Zajmie się ogniem w tym jebanym kościele – burczy Josh.

Wyobrażam sobie, jak Cameron doznaje samozapłonu, krocząc przez środek kościoła, i parskam śmiechem na tę myśl. Pewnie właśnie tak się to skończy.

Zjeżdżają się kolejni goście, a ja ponownie zerkam na zegarek.

– Gdzie oni są?

– Przyjadą. Wyluzujesz się w końcu?

Wyciągam komórkę i piszę do Maksa.

### **Co się dzieje?**

Odpowiedź przychodzi natychmiast.

**Jedziemy za jej autem.**

**Wszystko dobrze. Pięć minut.**

Odpowiadam:

**Jak ona się czuje?**

On odpisuje:

**Zastrzyk podziałał. Dobrze. Spokojnie.**

– Zaraz będą – ogłaszam. – Lepiej wejdźmy do środka.

Joshua patrzy na ulicę i widzi przekraczającego jezdnię Jestena. Mruży oczy i bierze się pod boki.

Przewracam oczami.

– Dasz w końcu spokój? – pryham.

– Mam go, kurwa, na oku – cedzi, patrząc na Jestena z mordem w oczach.

– Josh.

– Co? – pyta, nie odrywając spojrzenia od mężczyzny.

– To mój ślub. Jeśli rozkręcisz jakąś gównoburzę w związku z tym kolesiem... To zabiję cię gołymi rękoma – kończę.

– Ja nic nie zacznę, ale jeśli mnie wkurwi, to na pewno skończę – burczy, po czym wchodzi do kościoła.

Patrzemy, jak znika w środku.

– Brock, mógłbyś go pilnować? – pytam.

– Nie. – Pociera oczy. – Akurat tej roboty się, kurwa mać, nie podejmę. Nie utrzymam na smyczy Gorącogłowego Joshui Stantona. Nikt nie zdołałby tego dokonać. On jest poza wszelką, kurwa, kontrolą.

Pod kościół podjeżdża biały rolls royce.

Uśmiecham się.

*Przyjechała.*

– Chodźmy.

Dziesięć minut później czekam pod ołtarzem.

Stawili się moi przyjaciele. Wuj i ciotka przylecieli z Afryki Południowej. Chciałbym im powiedzieć, że to najszczęśliwszy dzień w moim życiu, ale to nieprawda. Najszczęśliwszy był dzień pierwszego ślubu.

Prawdziwego ślubu.

W Nowym Jorku, gdy byliśmy tylko we dwoje.

To było tak nieoczekiwane i przedwczesne... ale znaczyło dla mnie tak wiele, bo nie mogłem uwierzyć, że Bridget postanowiła rzucić się w tę przepaść.

*Dla mnie. Ze mną.*

Jej wiara we mnie jest niezachwiana.

I niczym piękny, nieskazitelnie czysty anioł całkowicie odmieniła moje życie.

Byłem zahartowany żalem, teraz patrzę w przyszłość pełen nadziei.

Gdy się pojawia, oddech więźnie mi w płucach.

Czuję, jak oczy wypełniają mi się łzami.

Ma na sobie tę samą jasnoróżową suknię co na pierwszym ślubie.

Te same buty, ta sama fryzura, z dużym białym kwiatem wetkniętym za ucho.

Ta sama idealna kobieta z tym samym pięknym uśmiechem.

Zauważa, jakie wywarła na mnie wrażenie, i cała się rozpromienia, a ja mam ochotę po nią pobiec i przynieść ją do ołtarza na rękach.

*Boże, jest idealna.*

Kroczy dostojnym krokiem pomiędzy rzędami i prowadzona pod rękę przez brata, patrzy mi w oczy.

– Cześć... – szepcze, podchodząc.

Unoszę się na palcach, walczę z ekscytacją, nad którą panuję ostatkiem sił.

– Cześć – odpowiadam.

Brock podaje mi rękę, a potem przekazuje dłoń siostry.

Nie potrafię się powstrzymać, biorę ją w ramiona i całuję delikatnie.

– Wyglądasz pięknie – szepczę.

Abbie i Natasza, stojące obok niej, chichoczą.

– Jesteśmy gotowi? – słyszę pytanie księdza.

– Och, tak – odpowiadam, odsuwając się od niej o krok.

– Zebraliśmy się tu, by świętować związek małżeński Bridget Marx i Benjamina Stantona...

Ksiądz mówi coś dalej, ale ja odlatuję.

Wodzę wzrokiem po pięknej twarzy Bridget, wydatnych ustach, a potem zjeżdżam niżej. Potem znowu patrzę jej w oczy i zapominając całkowicie, gdzie jesteśmy, uśmiecham się. Pochyliam się i znów ją całuję.

Wszyscy parskają śmiechem, a ja prostuję się gwałtownie, bo zdaję sobie sprawę, co właśnie zrobiłem.

Bridget też się śmieje i teraz to ona mnie całuje, nieco dłużej, niż wypada.

– Jeszcze nie, proszę państwa – upomina nas duchowny i patrzy na nas ze srogą miną.

Oboje uśmiechamy się półgębkiem i staramy się już być grzeczni.

Ksiądz wraca do ceremonii, natomiast Bridget uśmiecha się głupkowato, jakby celowo chciała mnie sprowokować.

Nachyliam się, całuję ją ponownie, a duchowny parska śmiechem.

– Zachowuj się – szepcze, gdy cały kościół wybucha śmiechem. – Powtarzaj za mną.

– Ja, Benjamin Stanton, biorę sobie ciebie, Bridget Marx, za żonę i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie

opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący. –

Nasuвам obrączkę na jej palec i ponownie ją całuję.

Bridget chichocze i kręci głową.

– Powtarzaj za mną – mówi duchowny.

– Ja, Bridget Marx, biorę sobie ciebie, Benjamina Stantona, za męża i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący. –

Nasuwa obrączkę na mój palec.

– Ogłaszam was mężem i żoną. I teraz pan młody może pocałować pannę młodą.

Cały kościół wiwatuje, a ja biorę Didge w ramiona i ją całuję.

– Nie potrzebuję na to niczyich pozwoleń... – szepczę jej na ucho.

– Zachowuj się w końcu – szepcze Bridget przez śmiech.

– Ani myślę.

### *Osiemnaście miesięcy później*

– Dziękuję, że wszyscy się zjawiliście – mówi prezydent. – Zebraliśmy się, aby uczcić męstwo jednego z najprzedniejszych żołnierzy naszej elitarnej jednostki Delta, Benjamina Stantona.

Staję przed nim w mundurze galowym. Dziś otrzymam Medal Honoru, najwyższe odznaczenie wojskowe.

Prezydent mówi dalej, lecz mój wzrok pada na pierwszy rząd, w którym siedzą Bridget i nasze dwie piękne córki. Rosie i Meika mają dwanaście miesięcy i są światłem naszego życia. Meika siedzi u mamy na kolanach, za to Rosie wspina się na Adriana, który bezskutecznie próbuje ją uspokoić. Przyjechali też Joshua, Natasza, Cameron, Brock, Abbie, mama Bridget i wszyscy moi przyjaciele. Jestem bardzo wdzięczny za rodzinę, w którą się wzeniłem. Którą teraz nazywam własną.

Bliźniaczki są prześliczne. Na początku było ciężko, ale w końcu wypracowaliśmy odpowiednią rutynę i teraz nie wyobrażamy sobie bez nich życia.

Rosie ma silny charakter; chodzi i odmawia jedzenia czegokolwiek oprócz bananów. Już mamy z nią urwanie głowy. Meika jest mniejsza, spokojniejsza i łagodna. Nie zaczęła jeszcze chodzić, ale wkrótce na pewno zacznie. Często wisi na mamie i nigdy się od niej nie oddala. Obie dziewczynki mają oliwkową skórę i ładne ciemne włosy – po Didge. Mieszkamy nad oceanem, w pięknym, otoczonym drzewami domu, jakąś godzinę drogi od Sydney.

Widok na ocean zapiera dech.

– Ten oto żołnierz samodzielnie pokonał jedno z największych zagrożeń w dziejach naszej armii, ratując tysiące ludzkich istnień – kontynuuje prezydent.

Wracam myślami do tamtej nocy w Syrii. Przecież to wszystko mogło się zakończyć zupełnie inaczej.

*Wciągam w płuca mgliste powietrze. Jest zimno, zaledwie jeden stopień.*

*Teren jest ciężki i suchy, nie wybaczy błędów. Jest druga w nocy, leżymy w wysokiej trawie nieopodal jakiegoś gospodarstwa na odludziu, ale to właśnie tu znajduje się skradziona broń jądrowa.*

*Otrzymaliśmy dane wywiadowcze, z których wynika, że właściciele tego gospodarstwa zostali zamordowani, a ich własność przejęta. Leżące na podjeździe truchła dwóch zastrzelonych psów chyba to potwierdzają.*

*Zostało nas pięciu. Dwa wieczory temu wpadliśmy w zasadzkę w barze, byliśmy nieprzygotowani i jeden z naszych został dźgnięty nożem. Bójka zrobiła się naprawdę paskudna, ktoś zerwał mi identyfikator z szyi. Na szczęście nasz raniony towarzysz ma się dobrze, wraca do zdrowia w bazie.*

*Unoszę rękę i daję sygnał: „Ruszamy!”. Zaczynamy się podkradać do posesji, pozostajemy niewidoczni.*

*Z frontowych drzwi wyłania się czterech mężczyzn, na widok których wszyscy kucamy. Rozmawiają i palą papierosy, opierając się o samochód. Nie rozumiemy ich języka, ale są mocno poruszeni, jakby wzburzeni jakimś niedawnym wydarzeniem.*

*Dwóch rusza na obchód domu, dwójka pozostałych kieruje się do stodoły.*

Wskazuję palcem na tych pierwszych i wybieram dwójkę naszych żołnierzy, żeby za nimi podążyli. Wskazuję na oczy i na dwójkę kolejny moich ludzi, co oznacza, że mają obserwować dom.

Obracają się i zaczynają się czołgać w stronę stodoły, a tymczasem ja czołgam się w stronę domu.

Docieram do celu, wstaję z ziemi i przywieram do ściany.

Ze środka docierają do mnie męskie głosy.

Wiele głosów. Koncentruję się, próbuję je policzyć.

Siedem.

Czyli łącznie jedenaście osób.

Z walącym w piersi sercem zakradam się pod okno i zaglądam do środka.

Na podłodze siedzą związani i zakneblowani: kobieta, mężczyzna i troje dzieci. Dzieci śpią na siedząco.

Czyli jednak żyją. Pytanie tylko, jak długo.

Rozpala się we mnie ogień, zaciskam dłonie na karabinie.

Nie możemy strzelać... jeszcze.

Wartowników trzeba ściągnąć ręcznie, żeby ich koledzy się nie zorientowali.

Jeden wyłania się zza rogu.

Skaczę na niego. Szamoczemy się, dopóki nie udaje mi się zacisnąć dłoni na jego szyi. Gdy kręgosłup przeciwnika pęka, słyszę krótkie, ostre chrupnięcie. Zwłoki osuwają się na ziemię.

Czekam w ciszy na drugiego i gdy się pojawia, atakuję go. Walę jego głową o mur, dopóki nie traci przytomności.

Wracam w pobliże przodu domu.

– Pozycja? – szepczę do słuchawki.

– Z przodu.

– Wchodzę tylnymi drzwiami – informuję.

– Przyjąłem. Powiedz słowo i wejdziemy od frontu.

Jeżeli dostanę się do domu niewykryty, zdołam zlokalizować tę broń, zanim rozpęta się piekło. Kilka kilometrów dalej czeka na nas ciężarówka, którą wszystko wywieziemy.

Wszyscy jesteśmy wyposażeni w kamery. W Białym Domu obserwują każdy nasz ruch.

Widzą to samo, co my.



*Przechodzę nad ciałami dwóch wartowników i sprawdzam tylne drzwi. Na szczęście jakimś cudem są otwarte.*

*Moje serce wali jeszcze mocniej.*

*Powoli naciskam klamkę i wchodzę do środka, trzymając broń przed sobą.*

*Jestem w kuchni, słyszę głosy nieprzyjaciół w salonie, z przodu domu.*

*Będę musiał wyskoczyć z za rogu i w pięć sekund wykosić ich jak najwięcej, bo inaczej sam zginę.*

*– W środku – szepczę do słuchawki.*

*– Przyjąłem.*

*Idę ciemnym korytarzem, mijam pokój, w którym siedzi skrzepowana rodzina.*

*Mężczyzna mnie zauważa i wytrzeszcza oczy ze strachu.*

*Przykładam palec do ust, pokazując, by był cicho, na co kiwa głową. Boi się tego, co nastąpi.*

*Stoję w korytarzu z gotową bronią i przez chwilę nasłuchuję. Rzucam okiem na schody za mną, dokonując w myślach oceny ryzyka sytuacji.*

*Najpierw muszę zabezpieczyć piętro. Nie mamy pojęcia, czy ktoś tam jest, a jeśli jest, to kto.*

*– Ani śladu broni – szepczę. – Wchodzę na piętro.*

*– Ostrożnie.*

*Pochylam się bardzo nisko i wchodzę po schodach. Gdy przedostatni stopień głośno skrzypi, zamykam oczy.*

*Zamieram na chwilę, serce wali jak szalone.*

*Czysto.*

*Sprawdzam piętro pokój po pokoju. Nikogo nie ma.*

*– Góra czysta – szepczę.*

*– Przyjąłem.*

*– Nie siedzą bezpośrednio przy frontowych drzwiach. Zайдę ich od tyłu. Wchodźcie przodem po trzecim wystrzale.*

*– Zrozumiałem.*

*Zakradam się z powrotem na dół i na tył domu, do kuchni. Zaglądam do salonu. Zauważam broń, leży na stole w skrzyni.*

*– Broń zauważona. Powtarzam: broń zauważona. Strzelać, żeby zabić – szepczę.*

*Odczekuję chwilę, a potem odwracam się i wyłanian z za rogu.*

*Zabijam jednego.*

*Zabijam drugiego.*

*Wszyscy zrywają się i sięgają po broń, zabijam trzeciego.*

*Nagle w pokoju wybucha chaos.*

*Frontowe drzwi wylatują z zawiasów, moi ludzie wpadają do środka i plują kulami na wszystkie strony.*

*– Wszyscy zlikwidowani, sprowadźcie ciężarówkę! Natychmiast! – warczę. – Zabierzcie to na zewnątrz! – krzyczę.*

*Żołnierze łapią za skrzynię, ale jest bardzo ciężka. Nawet sobie nie wyobrażam, jakie mogłaby wyrządzić szkody.*

*Biegnę do pokoju w korytarzu, odrywam kamerę i zaczynam rozwiązywać tę rodzinę.*

*– Znasz angielski? – pytam mężczyznę, którego rozwiązałem jako pierwszego.*

*Zaprzecza ruchem głowy.*

*Kobieta i dzieci płaczą.*

*Mężczyzna pomaga mi ich rozwiązać.*

*Słyszę, że pod dom podjeżdża ciężarówka.*

*– Buzz, wychodź.*

*Próbuję rozwiązać małą dziewczynkę.*

*– Buzz, wychodź, już!*

*Nie mogę poradzić sobie z liną.*

*Ciszę przeszywa wystrzał z broni.*

*Kurwa.*

*Biorę dziewczynkę na ręce.*

*– Buzz, gdzie ty, kurwa, jesteś?!*

*– Jedźcie beze mnie. Nie mogę ich tu zostawić! – krzyczę.*

*– Wyłaź tu!*

*– Jedźcie, zabierajcie stąd tę broń, już! – wydieram się.*

*Ciężarówka rusza z piskiem opon, a ja biorę rodzinę. Wybiegamy z domu do stodoły.*

*Zewsząd rozlegają się strzały.*

*Przebiegamy przez podwórko i chronimy się w mroku stodoły.*

*Nasłuchuję.*

*Tak wiele męskich głosów.*

*Słyszę odjeżdżającą ciężarówkę, słyszę też, że ruszył za nią jakiś samochód.*

*Nasza ciężarówka jest opancerzona.*

*Wystarczy pokonać kilometr i broń będzie bezpieczna.*

*Tam wróg straci przewagę liczebną.*

*Czeka tam wielu naszych żołnierzy, ale nie mogliśmy doprowadzić ich bliżej, bo broń mogła zostać zdetonowana.*

*W stodole stoi samochód, otwieram drzwi.*

*– Kluczyki? – rzucam.*

*Mężczyzna patrzy na mnie, nie rozumie.*

*– Kluczyki... – szepczę. Pokazuję dłonią, jakbym przekręcał kluczyk, ale on znowu kręci głową i wskazuje na dom.*

*Kurwa mać.*

*Wsiadam do środka, odrywam pokrywę i próbuję odpalić na spięcie.*

*Słyszę coraz więcej zbliżających się głosów.*

*Kurwa.*

*Rodzina kuli się w ciemności w samochodzie. Kobieta szlocha ze strachu.*

*Pokazuję mężczyźnie, żeby siadał za kierownicą.*

*– Ja odpalę, ty jedziesz! – szepczę.*

*Marszczy czoło.*

*– Jedź! – Wskazuję na drogę. – Jedź, będę cię osłaniał.*

*Chyba zrozumiał.*

*Stykam kable i doprowadzam do spięcia. Samochód ożywa z rykiem silnika.*

*Odbiegam na bok i zaczynam strzelać do wroga. Muszę osłaniać auto, bo inaczej nie uciekną. Zabijam jednego nieprzyjaciela, potem drugiego.*

*Zostało jeszcze tylko dwóch.*

*Samochód gna podjazdem z piskiem opon, a ja strzelam i strzelam, żeby wróg nie mógł nawet dobyć broni.*

*Odjechali.*

*Dzięki Bogu.*

*Biegnę za stodołę i sprawdzam stan amunicji.*

*Sześć kul.*

*Dwóch facetów.*

*Zamykam oczy, nie mogę chybić.*

*Słyszę ich kroki, zaciskam dłoń na broni.*

*Serce wali jak pojebane.*

*Bridget. Muszę do niej wrócić.*

*Dyszę ciężko, próbuję złapać oddech.*

*Przepętnia mnie determinacja.*

*Wróć do niej, nikt mnie nie powstrzyma.*

*Nie dorwiecie mnie dzisiaj, skurwiele.*

*Nigdy.*

*Odwracam się, wyłaniam jak spod ziemi i wystrzeliwuję serię.*

*Obaj padają.*

*Dyszę, rozpaczliwie walczę o oddech i też padam na ziemię, ale z ulgą.*

– A potem samotnie pokonał dwadzieścia kilometrów do bazy – mówi prezydent, przywołując mnie do teraźniejszości.

Nie mam pojęcia, o czym mówił wcześniej.

– Gratuluję, synu. Jesteś chlubą armii. – Zakłada mi na szyję medal na błękitnej wstędze i z szerokim uśmiechem ściska moją dłoń.

Zebrani goście wiwatują.

Odwracam się i widzę, że Bridget równocześnie płacze z dumy, śmieje się i klaszcze.

Uśmiecham się do niej.

Medal to tylko medal.

Jej miłość to moje życie.

# Postowie

Ogromnie dziękuję, że przeczytaliście tę książkę.  
Spełniacie moje marzenia.

# Podziękowania

Dziękuję moim wspaniałym czytelniczkom wstępnych wersji książki – Mum, Vicki, Am, Rachel M., Lisie K., Lisie D., Nadii, Jane, Nicole, Rachel i Kellie. Wykonałyście cholernie dobrą robotę!

Nie dość, że zmuszam Was do czytania moich książek, i to w ślimaczym tempie, rozdział po rozdziale, od razu po napisaniu, to jeszcze musicie przebijać się przez przynajmniej trzy różne wersje tej samej historii. Przez te same fabuły, lecz z różnych ujęć.

Jak wiecie, jestem wiecznie niezadowolona z tego, co napiszę, więc nie poddaję się i piszę, i piszę, dopóki mi się nie spodoba wersja ostateczna.

Nigdy się nie skarżycie, nigdy nie jęczycie. Jesteście cierpliwe, wspierające i takie kochane.

Piszę tak, jak piszę, jedynie dzięki Waszym poprawkom i Waszej szczerości. „Dziękuję” wydaje się zbyt skromnym podziękowaniem za wszystko, co dla mnie robicie, ale DZIĘKUJĘ.

Dziękuję Lindzie, która zajmuje się moim wizerunkiem i reklamą, oraz zespołowi Forward PR. Dziękuję za wszystko, co robicie.

Dziękuję Vikowi – za wszystko. Dzięki Tobie jestem lepsza.

Dziękuję moim cudownym czytelniczkom, z którymi zaprzyjaźniłam się w naszej facebookowej rodzinie, The Swan Squad. Rozśmieszacie mnie każdego dnia, dziewczuchy, i zapewniacie mi bezpieczną przystań, którą mogę nazwać domem.

Dziękuję mojej świetnej ekipie recenzenckiej. Dziewczyny, cóż, wymiatacie... Nawet niepotrzebnie o tym wspominać, bo każdy to wie. Dziękuję, że pomagacie mi odnaleźć właściwą drogę w tej całej pisarskiej robocie. Ogromnie Was doceniam i kocham.

Dziękuję wszystkim osobom, które przeczytały choć jedną z moich książek. Dziękuję, bo to dzięki Wam spełnia się moje marzenie.

Dziękuję mojemu partnerowi w zbrodni, zwanemu też mężulkiem. W tym roku zapewniłeś mi wprost niewiarygodne wsparcie.

Niewiarygodnie mocne. Kocham Cię bardziej niż kiedykolwiek.  
I dziękuję trójce moich pięknych dzieci – to dla Was to wszystko.  
XOXOXOX

- 
- <sup>1</sup> Kolorystyka wnętrza powiązana jest z nadmorską lokalizacją, dominują więc: biel, błękit, granat, odcienie szarości oraz beżu (przyp. red.).
- <sup>2</sup> Amerykański serial kryminalny (przyp. red.).
- <sup>3</sup> Agent specjalny, bohater filmu *Dorwać Smarta* z 2008 roku (przyp. red.).
- <sup>4</sup> Zaburzenia związane z nagłą zmiany strefy czasowej (przyp. red.).
- <sup>5</sup> *I'll be with you from dusk till dawn. You'll never be alone* – (z ang.) Będę z tobą od zmierzchu do świtu. Nigdy nie będziesz sam (przyp. red.).
- <sup>6</sup> Poczekalnia lotniskowa o podwyższonym standardzie, zapewniająca komfort i relaks (przyp. red.).
- <sup>7</sup> SEAL – siły specjalne marynarki amerykańskiej (przyp. red.).
- <sup>8</sup> Seksowny, erotyczny taniec, wykonywany na kolanach partnera (przyp. red.).
- <sup>9</sup> MILF – akronim pochodzący od słów „mom I'd like to fuck” (z ang.) „mamuśka, którą chciałbym przelecieć” (przyp. red.).